

*Piękna  
debiutantka*

**SIRI MITCHELL**

Wydawnictwo WAM

Rok 1891. Siedemnastoletnia Klara Carter ma wkrótce zadebiutować na salonach Nowego Jorku. Zadanie postawione przed dziewczyną jest jasne – powinna oczarować Franklina De Vriesa na tyle, by się jej oświadczył. Małżeństwo może uratować pozycję rodziny. Klara nie chce ślubu tym bardziej, że do walki o względy młodzieńca staje również bliska przyjaciółka Lizzie. Rodzinna tragedia weryfikuje wszystkie plany...

**W grudniu 2010 r. książka otrzymała  
INSPY Award for Historical Fiction.**

SIRI MITCHELL ukończyła studia w dziedzinie biznesu na University of Washington. Pracowała na różnych poziomach administracji rządowej. Wraz z mężem, wojskowym, mieszkała w wielu miejscach na świecie m.in. w Paryżu i Tokio. Uwielbia obserwować i „uczyć się” innych kultur. Do tej pory wydała 10 powieści. *Piękna debiutantka* jest jej pierwszą książką opublikowaną w Polsce.

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

ISBN 978-83-7767-139-9



9 788377 671399

cena 39.90 zł

WYDAWNICTWO



KRAKÓW

rok założenia 1872



**Nie możesz znaleźć książki?**

**Wszystkie są w jednym miejscu – Księgarnia Wysyłkowa WAM**  
e.wydawnictwowam.pl • tel. 12 62 93 260

*Piękna  
debiutantka*

A decorative flourish consisting of a thin, curved line with several pointed, leaf-like shapes extending downwards and outwards from the end of the line.

SIRI MITCHELL



PRZEKŁAD  
BARBARA ŻAK

WYDAWNICTWO WAM  
KRAKÓW 2012

NOWY JORK, 1891

*W czasach bogactwa, przepychu  
i zbytku Połączanego Wieku*

# 1

- Ubierz się, Klaro. W strój wizytowy. Wychodzimy. - Słowa mojej ciotki były jednocześnie rozkazujące i precyzyjne - tak jak i jej postawa. Siedząc na jednym z krzeseł w mojej sypialni, wydawała się kombinacją kątów prostych. Była wyjątkowo strzelista.

Były jednak ważniejsze sprawy do rozważenia niż geometria. Przygryzłam wargę, by ukryć uśmiech, który o mało co nie pojawił się na moich ustach. Miałyśmy wyjść! *A my* nigdy nie wychodziłyśmy. *My* nigdy nigdzie nie chodziłyśmy. Przynajmniej od czasu, gdy ciotka wprowadziła się do nas miesiąc wcześniej. Kilka razy dostałam pozwolenie, by odwiedzić moją przyjaciółkę Lizzie Barnes, ale tylko w towarzystwie panny Miller, mojej guwernantki.

Ciotka podniosła się z krzesła, które stanowiło komplet z tym, na którym ja siedziałam. Wypchane, haftowane w bratki siedzenia i liliowe frędzle harmonizowały z resztą urządzenia mojej sypialni. Grube, puszyste szpice ciotki, podrażnione przez jej nagły ruch, zaczęły szczekać i skakać wokół jej stóp.

- Czy wyrażam się niejasno, Klaro? Wychodzimy *zaraz*.

- *N i e*.

- Proszę? Nie muszę chyba naciągać uszu, żeby cię usłyszeć.

Rzeczywiście nie musiała. Uszy ciotki miały zwyczaj odstawać od głowy jak dwie warzachwie, jakby pragnęły uwolnić się od jej nieustająco staromodnej fryzury: włosów zaczesanych w kok, z przedziałkiem pośrodku.

- Nie. Nie wyraziłaś się niejasno.

- Doskonale. - Cmoknęła na psy i wyszła z pokoju przy wtórze ich zwariowanego jazgotu. Trzy zwierzaki, które potruczały za nią, były najbardziej nieznośnymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek znałam.

Po wyjściu ciotki panna Miller wychynęła z kąta, żeby rozsunać aksamitne kotary i zaciągnąć rolety na oknach.

- Nie rozumiem, dlaczego ona uważa, że może mną rządzić jak jednym ze swoich okropnych psów! Nie jestem dzieckiem, mam siedemnaście lat.

- Po prostu przywykła do tego, że ludzie robią, co im każe. - Panna Miller uśmiechnęła się i podeszła do pustego już krzesła.

- Powinna zostać tam, skąd przyjechała.

- Wykazała zainteresowanie twoim wychowaniem, a to, uważam, bardzo uprzejme z jej strony. Zwłaszcza że... cóż...

- Że nie mam matki.

- Nie chciałam, żebyś się poczuła... Nie chciałam ci przypominać. Przepraszam. Panna Miller usiadła, natomiast ja wstałam, żeby pokojówka mogła pomóc mi się rozebrać.

- Doskonale radziłyśmy sobie same, pani i ja. - Nie potrafiłabym się gniewać na pannę Miller. Zresztą mama umarła tak dawno temu.

- Ale teraz trzeba zastanowić się nad twoim debiutem w towarzystwie.

- To dopiero za ileś tam miesięcy. - Więcej niż rok. A ja czekałam na to wydarzenie prawie tak niecierpliwie, jak mysz czeka, by rzucił się na nią kot. - Poza *tym, pani* mogła-by być moją osobą towarzyszącą! - Że też wcześniej o tym nie pomyślałam. Zanim ojciec oznajmił, że jego siostra się do nas wprowadza.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, ale to nie jest moja rola.

- Nie mogłaby pani? Wtedy nie musiałybyśmy wcale tego robić! Mogłybyśmy powiedzieć, że idziemy na bal, a zamiast tego pójść do Muzeum Sztuki. Nikt nie musiałby o tym wiedzieć.

A nawet jeśli musiałabym uczestniczyć w tych okropnych towarzyskich wydarzeniach, z towarzyszką bym sobie poradziła. Z kimś poza moją przyjaciółką Lizzie, którą na pewno pochłonie całe to zamieszanie. A kiedy okazałoby się, że nikt nie chce ze mną tańczyć, nikt nie chce ze mną rozmawiać, panna Miller mogłaby poćwiczyć ze mną matematykę i pokonwersować po włosku. Byłoby to równie dobre, jak pozostanie w domu, w moim własnym pokoju, w bezpiecznym towarzystwie książek.

- Wydajesz się naprawdę zdesperowana - roześmiała się Panna Miller.

Bo byłam.

Przestała się śmiać i spojrzała na mnie z wyrazem niemal współczucia w oczach.

- Ja nie mogę ci towarzyszyć. Ale jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, może w ogóle nie będziesz musiała debiutować.

Nie będę musiała debiutować?

Kiedy pokojówka poszła po szczotkę do włosów, panna Miller wstała i podeszła, by szepnąć mi do ucha:

- Napisałam do Vassar College\*. Jestem pewna, że będą pod wrażeniem twoich postępów w nauce.

Vassar College? Uważała, że dam sobie radę w Vassar? Serce zadrżało mi z radości na te słowa!

Panna Miller uściśniła moje ramię, a potem wyszła na korytarz, zostawiając mnie z głową pełną obrazów dystyngowanych profesorów i wykładów w college'u.

\* Vassar College - założona w 1861 roku elitarna żeńska szkoła wyższa w Poughkeepsie, 115 km na północ od Nowego Jorku, od 1969 r. koedukacyjna [wszystkie przypisy w tej książce pochodzą od tłumacza].

Kiedy pokojówka ułożyła mi włosy, zbiegłam z pośpiechem na dół, do frontowego holu, ale okazało się, że ciotki jeszcze nie ma. Musiałam na nią zaczekać. Gdybym o tym pomyślała, mogłam wziąć z sobą książkę, ale teraz nie było sensu po nią wracać. Nie chciałam ryzykować, że ciotka usłyszy moje kroki i wygłosi kazanie na temat moich gustów literackich.

Pięć minut przed czwartą ciotka majestatycznie zeszła po schodach. W wizytowej toalecie wyglądała olśniewająco. Położyłam za nią i razem wyszliśmy na ulicę. Powóz już na nas czekał. Ciotka wsiadła pierwsza; dałam jej chwilę, żeby się usadowiła i poprawiła spódnice, potem usiadłam obok niej.

Stangret usiadł przed nami na swojej grzędzie nad przednimi kołami.

Kiedy powóz ruszył, poleciałam do przodu, a ledwo zdołałam odzyskać równowagę, powóz się zatrzymał. Stangret zląkł ze swojego siedzenia.

Ale... przyjechaliśmy do domu Lizzie!

Był podobny do naszego, z kilkunastoma schodkami wiodącymi do wejściowych drzwi. Tak samo wąski i wysoki, z frontowym portykiem z kolumnami, dwa okna zdobiły parter, po trzy następne piętra. Jednak dom Barnesów zawsze wyglądał tak jakoś mniej imponująco, bardziej sympatycznie niż nasz.

Stangret podał mi rękę i pomógł wysiąść z powozu. Odsunęłam się na bok, czekając na ciotkę, a potem ruszyłam za nią po schodkach. Drzwi otworzył lokaj, który wyciągnął błyszczącą srebrną tacę, żeby przyjąć jej bilet wizytowy.

Wkrótce wprowadzono nas do salonu, który został odnowiony i teraz był utrzymany w ciepłych odcieniach zieleni i złota. W zeszłym roku, o ile dobrze pamiętałam, stały w nim



meble z ciemnego drewna, a ściany pokrywał brokat w kolorze śliwkowym. To nowe urządzenie dosyć mi się podobało.

Pani Barnes siedziała na kanapie, Lizzie obok niej. Obydwie wstały, gdy weszliśmy do pokoju.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się na mój widok, ale zaraz się opanowała, skrywając swój entuzjazm pod delikatnym kasznięciem.

Wydawało mi się dziwne, że nasza wizyta odbywa się w salonie, ponieważ normalnie szłyśmy z Lizzie od razu do jej pokoju. A teraz siedziałyśmy z ciotką naprzeciw pani Barnes i Lizzie na krzesłach, które pasowały do kanapy, a ta z kolei do zasłon i dywanów, i abażurów. Cały pokój przywodził na myśl złote sny i lśniące słońce.

- Pani Stuart, tak się cieszę, że mogę panią gościć. - Pani Barnes mówiła z akcentem jej rodzinnego Południa. Nigdy nie miałam dosyć słuchania jej słodkiego i melodyjnego głosu.

- Żałuję, że tak słabo się czuję w tym sezonie. - Ciotka westchnęła i położyła rękę na swej potężnej piersi.

Poczułam, że brwi unoszą mi się ze zdziwienia. Przez większość dni ciotka tak stanowczo kierowała domem, że pozostali z nas czuli się całkiem gnuśni.

- Z pewnością pani brat, lekarz, jest w stanie pani pomóc.

- Obawiam się, że na to, co mi dolega, tylko w niebie znajdzie się lekarstwo.

- Och! No cóż - uśmiech pani Barnes zniknął tylko na chwilę. - Oczywiście my wszyscy musimy oczekiwać, że nasze łzy obeschną na łonie Abrahama.

Ciotka większość życia spędziła na opłakiwaniu swego męża, człowieka, którego upiorną obecność najlepiej wyrażała jednolita czerń głębokiej żałoby, jaką ciotka nosiła, odkąd sięgałam pamięcią.

- Jedyną rzeczą, jakiej trzeba oczekiwać od życia jest utra-  
pienie. - Ciotka przez chwilę spuściła wzrok. Westchnąwszy  
ponownie, zamknęła oczy. Potem je otworzyła. — A mówiąc  
o oczekiwaniach, spodziewam się, że kształci pani Lizzie  
w towarzyskich obowiązkach związanych z jej debiutem.  
W przyszłym roku.

- Tak jak zapewne pani doskonali piękne cechy pani młodej  
bratanicy. - Pani Barnes pochyliła głowę.

Fakt, że mówią o tobie w twojej obecności sprawiał, że  
człowiek próbował udawać, że go nie ma. Starałam się nie  
poruszyć, nie oddychać. Lizzie też wyglądała, jakby próbo-  
wała robić to samo.

Tymczasem ciotka pokiwała głową.

- Oczywiście. Z pewnością. Tak wiele trzeba przekazać  
i tak wiele się nauczyć, że to cud, iż żadna z dziewcząt nie  
czeka z debiutem, aż skończy dwadzieścia lat.

- Zaiste. Mówią, że wiek daje wielką... mądrość. - Ton  
głosu pani Barnes nie pozostawiał złudzeń, że ona się z tym  
nie zgadza. - Miałaby się pani ochotę czegoś napić?

- Nie, nie. Dziękuję.

- Nawet herbaty?

- Nie. To nie jest konieczne.

Pani Barnes odchyliła się lekko i spojrzała przez ramię.  
Widząc ten gest, kamerdyner pojawił się u jej boku.

- Proszę podać herbatę.

Kamerdyner uklonił się i wyszedł z pokoju, ale szybko  
wrócił. Przez kilka chwil, gdy podawano filiżanki, w pokoju  
panowała cisza. Sącząc herbatę, zastanawiałam się nad swym  
nadchodzącym debiutem, zdjęta nieomal przerażeniem.  
Miałam nadzieję, że plan panny Miller zadziała. Jeśli na-  
stępnej jesieni poszłabym do Vassar, nie byłoby możliwości,  
żebym została przedstawiona w towarzystwie. Ale jeśli jej się  
nie uda? Po co mi te tańce, flirty, uprzejme rozmowy? Czy

mogłam mieć choć cień nadziei na przekonanie ojca, żeby pozwolił mi studiować?

Zauważyłam, że Lizzie powstrzymała uśmiech, gdy filiżanka zadrżała mi w dłoni.

Lizzie była jedyną osobą, która wiedziała, jak bardzo obawiam się naszego nadchodzącego debiutu. Tak jak ja byłam jedyną osobą, która wiedziała, jak bardzo ona go pragnie. Gdyby nie jej oddanie i wsparcie, gdyby nie fakt, że razem stawimy temu czoło, prędzej bym szczyła, niż pojawiła się w wielkim świecie. Nie miałam na tyle nadziei, by sądzić, że uda mi się unikać debiutu w nieskończoność, nawet mając w pamięci słowa drogiej panny Miller, ale przynajmniej nie musiałam się o to martwić w tym sezonie. Będzie na to czas przyszłej jesieni.

Pani Barnes i ciotka nie przestawały mówić o naszym wspólnym debiucie. O tym, ile czasu trzeba będzie czekać na uszycie naszych sukien, jakie tańce w szczególności powinnyśmy znać. A także ile dziewcząt będzie przedstawianych razem z nami. Wolałabym pójść do pokoju Lizzie i wklejać wycinki do jej albumu albo słuchać, jak rozplływa się nad ostatnim wydaniem „Harper's Bazar”. Albo jeszcze lepiej, być w swoim własnym pokoju tylko w towarzystwie Byrona.

Lizzie robiła do mnie miny, które ignorowałam, a ja próbowałam wywabić jej kota spod kanapy, ruszając palcem w bucie. Zdarzyło mu się wcześniej raz czy dwa, skoczyć na migoczące guziki.

Zegar wybił połówkę godziny wesołym dzwoniem.

Ciotka postawiła swoją filiżankę i spodeczek na stoliku i odwróciła się do mnie.

- Chodź, Klaro.

Chciała, żebym podeszła. Podałam jej rękę i pomogłam wstać.

Gdy wychodziła z pokoju w towarzystwie matki Lizzie, poczułam, że ktoś szarpie mnie za rękaw.

Gdy odwróciłam się w kierunku salonu, Lizzie chwyciła mnie pod ramię i nachyliła nade mną.

- Musimy spotkać się przy krzewach w czwartek za dwa tygodnie. O wpół do czwartej.

Kiwnęłam głową. Spotykałyśmy się tam często, kiedy mamajeszczce żyła. Posyłała nam tacę z naparstkami herbaty dla naszych lalek.

Ciotka dotarła już do wyjściowych schodów i najwyraźniej na mnie czekała. Opuściłam w pośpiechu Lizzie i pożegnałam się z panią Barnes. Stangret pomógł nam wsiąść do powozu, a potem wspiął się na swoje miejsce. Ciotka złożyła ręce na kolanach, uśmiechając się krzywo.

- To było całkiem zadowalające. Oczywiście, oprócz herbaty, którą w nas wmusiła. Kto podaje herbatę podczas dnia przyjęć?

Przygryzłam dolną wargę. Ta rozmowa mnie zaniepokoiła. Nie chciałam ani rozmawiać o debiutach, ani o nich myśleć. Postanowiłam, że będę za to myśleć o college'u. O Vassarze i jego wspaniałych salach wykładowych; o tych wszystkich cudownych książkach wypełnionych wiedzą, które czekały na mnie następnej jesieni. Z pewnością panna Miller potrafi przekonać władze college'u, że nadaję się na studia. Z pewnością potrafi przekonać ojca, żeby mi pozwolił tam pojechać.

Wtedy jednak ciotka złapała moją rękę i przycisnęła ją do piersi.

- Postanowiłam, że zadebiutujesz w towarzystwie w tym sezonie, a nie w przyszłym.

## 2

W *TYM SEZONIE?* Wyrwałam rękę z jej szponów, chociaż nie mogłam oderwać wzroku od jej twarzy. Jestem zupełnie pewna, że w moich oczach widać było całe przerażenie, jakie czułam.

- Ależ ja nie jestem gotowa! Mam... mam jeszcze *wiele* rzeczy do nauczenia się. A musisz wiedzieć, że nie jestem dobra w żadnej z nich. A poza tym nie mogę debiutować bez Lizzie!

- Możesz i musisz.

- Przecież powiedziałaś jej matce, praktycznie *obiecałaś* jej matce, że zostanę przedstawiona w towarzystwie razem z Lizzie w *przyszłym* roku. Już to zaplanowałyśmy. - **I** na to liczyłam... jeśli nie pozwolono by mi jechać do Vassaru.

Ciotka wsunęła dłoń do torebki. Gdy ją wyjęła, w palcach trzymała kwadratowy kawałek gazety. Wyciągnęła go w moją stronę.

- Przeczytaj.

### **„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA 1 października 1891 r.**

**Dowiedzieliśmy się właśnie, że Franklin De Vries, dziedzic fortuny De Vriesów, i jego brat Harold wkrótce wracają ze swej Wielkiej Podróży. Wyruszywszy w drogę w zeszłym roku, bracia zgorszyli Anglię, sterroryzowali Francję i zbulwersowali Niemcy. Nie tylko wykupili połowę skarbów Europy, ale również opróżnili wiele z jej piwnic. Nie wiadomo jeszcze, co cze-**

**ka biednych Włochów, którzy wkrótce powitają ich w Rzymie. Obawiamy się, że kontynent europejski już nigdy nie będzie taki sam. Szczęśliwej podróży, młodzi nowojorczy! Olśniewający sezon towarzyski czeka na wasze przybycie!**

Gdy podniosłam wzrok znad artykułu, ciotka energicznie kręciła głową.

- Nowojorczy! Ci bracia są potomkami najwspanialszych rodów osadników holenderskich w tym mieście... chociaż najwyraźniej młodszy synowie zawsze pakuja starszych w tarapaty. Jestem pewna, że z tego powodu mają wrócić. Ale właśnie na to czekałam. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, który upodobił ją do jednego z jej psów.

Oddałam jej gazetę.

Powóz zatrzymał się przed naszym domem i ciotka wysiadła.

- Dziedzic De Vriesów wraca do domu, a to wszystko zmienia. Musisz go zdobyć.

- Ale mama i pani Barnes były najlepszymi przyjaciółkami! Jej najgorętszym życzeniem było...

- Żebyś wyszła za męża. A najgorętszym życzeniem twego ojca jest, żebyś wyszła za męża bogato, za De Vriesa. Straciliśmy kiedyś wszystko, on i ja, przez rodzinę De Vriesów i drugi raz się to nie powtórzy. Są nam winni dziedzica, nawet jeśli jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. Liczymy na ciebie, że przywrócisz honor rodziny Carterów. I tak będzie. *Jeśli* będziesz mnie słuchać i pozwolisz sobie pomóc.

Przywrócić honor rodziny? Ja? Zrobiło mi się niedobrze. Nie zdawałam sobie sprawy... ale... ale oczywiście odzyskam honor rodziny. Tak poważne zobowiązanie warte było nawet debiutu. Był jednak jeszcze jeden ważny szczegół, którego ciotka zdawała się nie pojmować. Pospieszyłam za nią, potykając się o swoją suknię.

- Nie mogę debiutować bez Lizzie.

- A ja nie mogę pojąć twojej przekory! My z bratem może zbliżyliśmy się do towarzystwa, ale nigdy tak naprawdę nie pozwolono nam wejść do środka. Ty, moja droga, będziesz miała to wszystko.

- Ale...

- Każdy, kto ma choć trochę rozumu, nie posiadałby się ze szczęścia, słysząc taką nowinę.

Lecz w tym właśnie tkwił sęk. W wielkopańskich układach nowojorskiej socjety byłam absolutnie nikim. Nie mogłam zrozumieć, jak jakakolwiek rozsądna osoba mogła się spodziewać, że będę w stanie zdobyć dziedzica De Vriesów. A ciotka mówiła tak, jakbym już go złapała.

Panna Miller znalazła mnie w mojej sypialni, gdy pokojówka pomagała mi zmienić suknię.

- Przygotowałam dla nas eksperyment naukowy.

Nie odpowiedziałam, ale usiadłam na krześle, żeby dziewczyna rozpięła mi guziki u butów.

- Przedmioty ścisłe należą do twoich ulubionych.

Obawiam się, że kiedy na nią spojrzałam, w moich oczach widać było udrękę.

- Ciocia właśnie mi powiedziała, że mam debiutować w nadchodzącym sezonie.

- Tak. W przyszłym roku. Dlatego przedmioty ścisłe i nauka są takie ważne. Cały świat na ciebie czeka, czy to w college'u, czy w najwspanialszych salach balowych w mieście. Musisz rozwijać swe zdolności na każdym polu, żeby stawić czoło wszystkim wyzwaniom.

- Nie. W *ty*m roku. Mam debiutować w *ty*m roku.

- W tym roku? Ależ to śmieszne! Nie jesteś gotowa. I dopiero skończyłaś siedemnaście lat.

- To właśnie jej powiedziałam.

Maleńka zmarszczka pojawiła się między oczami panny Miller, ale szybko znikła.

- Ona się myli. Pomówię z nią. Twój debiut zawsze był planowany na twoje osiemnaste urodziny. - Panna Miller przerwała i rzuciła mi znaczące spojrzenie. - I mamy zaległości w przygotowaniach. Obawiam się, że odłożyłam nauczanie towarzyskiej ogłady na korzyść osiągnięć intelektualnych.

- Dlatego tak dobrze się dogadywałyśmy!

- Tak. Ale będziesz musiała mi obiecać, że w przyszłym roku, kiedy odłożymy książki na rzecz nauki tańca i lekcji konwersacji, dołożysz wyjątkowych starań - uśmiechnęła się panna Miller.

- Obiecuję.

Uniosła brew.

- Daję słowo. - Westchnęłam. Nie było na to rady. Ale nie mogę powiedzieć, że się zmartwiłam przełożeniem tych udręk na następny rok. Prawdę mówiąc, panna Miller odkładała moje wykształcenie towarzyskie od dłuższego czasu. Za moją namową. Lizzie brała lekcje tańca i śpiewu już od kilku lat. Po cóż miałam rezygnować z prawdziwej nauki - matematyki, włoskiego, łaciny - na rzecz lekcji tańca i właściwego zachowania? Nie mogły być tak trudne do nauczenia się jak geometria. A ja nadal miałam wiele czasu, żeby to zrobić... jeśli panna Miller rzeczywiście miała rację.

Później, kiedy zakończyłyśmy eksperyment, wróciłyśmy do pokoju, żebym mogła go opisać. Potem panna Miller



przeprosiła i wyszła, wzywając pokojówkę, żeby pomogła mi się ubrać do kolacji. Jednak kiedy zeszłam po schodach, idąc do jadalni, zobaczyłam, jak moja guwernantka odprowadza na jest do wyjścia. Przez ciotkę we własnej osobie.

Panna Miller niosła sakwojaż i była ubrana w strój podróżny. Nie wyglądało jednak na to, żeby chciała wyjeżdżać.

- Muszę zaprotestować! - zawołała.

- Może pani protestować do woli. Decyzja została podjęta. - Ciotka ujęła ją za ramię i pociągnęła w kierunku drzwi.

- Być może opóźniłam trochę towarzyską edukację Klary, ale...

- Trochę? W ogóle jej pani nie zaczęła!

Panna Miller wyrwała rękę i postawiła sakwojaż na podłodze.

- Musi pani zrozumieć. Klara jest niezwykle bystra. I miałam zaprzepaścić te kilka ostatnich lat, żeby skoncentrować się na tańcach i etykiecie? To by był absurd!

- Absurd? Absurdem jest to, że Klara ma być przedstawiona w towarzystwie za mniej niż dwa miesiące, a nie jest do tego zupełnie przygotowana!

- Ale z pewnością jest pani zadowolona z postępów, jakie poczyniła. College Mount Holyoke przyjąłby ją z radością. Pozwoliłam sobie też napisać w imieniu Klary do Vassar College w zeszłym tygodniu.

- Vassar? College? Jak pani sądzi, panno Miller, do czego Klara jest przeznaczona?

- Mogłaby robić, co tylko zapragnie. Jesteśmy świadkami wielkich postępów w naukach ścisłych i... i... medycynie...

Ciotka skinęła na odźwiernego, żeby wziął sakwojaż panny Miller.

- Z pewnością to wszystko prawda, ale ojciec Klary i ja chcemy być świadkami tylko jednego: jej pójścia do ołtarza.

- No nie, pani Stuart! - Panna Miller wyciągnęła rękę i złapała za rączkę swojej torby.

Odźwierny nie bardzo wiedział, co ma zrobić.

Dzielnym szarpnięciem panna Miller odzyskała torbę i zacisnęła na rączkach obie dłonie.

- Skończyły się czasy, kiedy młode dziewczęta wydawano pośpiesznie za mąż.

- Nie w tym domu! - Ciotka wypchnęła pannę Miller za drzwi i skinęła na odźwiernego, by je zamknął. Kiedy odwróciła się ku schodom, zobaczyła mnie.

- Panna Miller odeszła.

- Ale... dokąd?

- Opuściła nas. Na dobre.

- Dlaczego? - Dlaczego ciotka odesłała moją nauczycielkę i najbliższą powierniczkę?

- J e j poglądy były nie do pogodzenia z wymogami związanymi z twoim wykształceniem.

- Moim wykształceniem? Ale myśmy nawet nie zaczęły jeszcze retoryki!

- Tak. No cóż. Wszystko co dobre musi kiedyś się skończyć.

- Ale...

- Nie chcę więcej o tym słyszeć.

- Jesteś tyranem i despota! Chciałabym, żebyś wróciła tam, skąd przyjechałaś! - Łzy przesłoniły mi wzrok, gdy odwróciłam się i pobiegłam po schodach do swojego pokoju, żeby jeszcze raz zobaczyć pannę Miller. Z czołem przyklejonym do szyby patrzyłam, jak idzie Piątą Aleją. Z wyprostowanymi plecami, równym krokiem, nie oglądając się ani razu za siebie. A ja, wyrosnięta siedemnastolatka, siedziałam przy oknie i płakałam tak, jak nie płakałam od czasu, gdy jakieś sześć lat temu zmarła moja matka.

Po chwili, gdy moje łzy obeschły, gdy poczułam, że mogę wziąć oddech bez dygotania w piersi, ustaliłam sposób postępowania. Zdecydowałam, że przedstawię sprawę ojcu. Takie posunięcie wymagało pewnej strategii. Ojciec wydawał się ostatnio powierzać swej ukochanej siostrze wszystkie sprawy związane z moim dobrem. Kiedy ich rodzice zmarli, ona go wychowała, więc nie mogłam sprawić wrażenia, jakbym potępiała jej działania. Nie mogło też się wydawać, że jestem niewdzięczna za jej opiekę. Ostatecznie poświęciła właśnie swoje własne życie w czcigodnym wdowieństwie na łonie rodziny męża, by zamieszkać z nami. I od tej pory rządziła domem ze szlachetną bezinteresownością.

Spóźniłam się chyba na kolację. Kiedy przyszłam, ojciec i ciotka siedzieli już przy stole. Gdy weszłam do pokoju, napotkałam ich wściekłe spojrzenia. Jednak nie potrafiłam się tym przejąć. Siedzieliśmy w milczeniu i jedliśmy w milczeniu, z kamerdynerem usługującym u boku ciotki. Najpierw zupa, potem danie rybne, następnie danie mięsne.

Ojciec poruszył się na krześle.

Zawsze uważałam się za największą szczęściarę na świecie, bo mam tak przystojnego ojca. Z srebrnymi włosami i starannie przystrzyżoną bródką wyglądał bardzo szykownie. Uosobienie powszechnego poważania. Rzecz jasna, ojciec był najstawniejszym lekarzem w mieście i wynalazcą opatentowanego „Toniku dr. Cartera”. Na swym lekarstwie zbił fortunę. Tonik był reklamowany w gazetach i na plakatach w całym mieście.

Ojciec podniósł wzrok znad kotleta jagnięcego i uśmiechnął się do mnie. Odwzajemniając uśmiech, spojrzałam na ciotkę, żeby zobaczyć, czy coś powie.

Nie powiedziała.

Nie mogłam odezwać się pierwsza. Ciotka musiała coś powiedzieć na temat panny Miller, inaczej straciłabym okazję. A zatem, kiedy smarowałam bułkę masłem, wysunęłam łykociek i przewróciłam swój kielich na wodę.

- Klaro!

Splotłam ręce na kolanach i pochyliłam głowę na upomnienie ciotki.

- Ona nie potrafi nawet zjeść posiłku jak należy, a ma debiutować w tym sezonie?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że ojciec ze zdziwieniem marszczy brwi.

- Debiutować? W tym sezonie? Myślałem... ona ma dopiero...

- Wiem, że dopiero skończyła siedemnaście lat, ale dziedziec De Vriesów wraca z Europy. Nie można zwlekać.

- Zdecydowanie nie. Nie można, jeśli młody De Vries jest do wzięcia.

- J e s t bardzo dużo do zrobienia.

Ojciec zmarszczył brwi jeszcze bardziej, a ja dostrzegłam swoją szansę.

- Jeśli udałoby się przekonać pannę Miller, żeby została, to mogłaby mnie wszystkiego nauczyć.

- Przekonać, by została? Dlaczego trzeba by ją przekonywać? - Brwi ojca uniosły się z niepokojem.

Zerknęłam na ciotkę, a potem z powrotem wbiłam wzrok w talerz.

- Dlaczego? - Ojciec patrzył na siostrę, a w jego głosie wyczuwało się zdenerwowanie. - Panna Miller miała świetne rekomendacje. Musiałem zapłacić fortunę, żeby skłonić ją do odejścia od Vanderbiltów.

Ciotka prychnęła. Kolczyki z gagatu zadyndały jak waha-dła, gdy stanowczym ruchem zaczęła kroić jagnięcinę.

Ojciec położył nóż na podpórcę, potem wyrównał trzonek łyżki z trzonkiem noża do sera. Przeszył ciotkę wzrokiem.

- Moja droga siostró, wiesz, że rzadko kwestionuję twoje metody, ale stwierdzam, że tym razem muszę to zrobić.

Teraz był odpowiedni moment, żebym powiedziała swoje. Nawet jeśli miałam odezwać się pierwsza.

- Doprawdy, ojczu, nie wiem absolutnie nic na temat towarzystwa. Jestem strasznie nieprzygotowana do debiutu.

- Właśnie. Jest dokładnie tak, jak Klara powiedziała. Jest straszliwie nieprzygotowana do debiutu. Panna Miller kompletnie nie dopełniła swoich obowiązków. - Ciotka posłała uśmiezek w mój kierunek.

- Jeśli sądzisz, że nie jest gotowa...? - Brwi ojca podjechały w górę, a potem zbiegły się razem, opadając w dół.

- Będzie gotowa. Teraz jest właściwa pora, bracie. Pomyśl tylko: dziedzic De Vriesów. To jest moment, na który czekaliśmy.

Odwrócili się obydwój, żeby na mnie spojrzeć. A w uśmiechu ojca czaiło się coś więcej niż zwykły dobry humor.

Po kolacji wróciłam do swego pokoju pokonana. Rzuciłam się na łóżko apatyczna i przygnębiona. Gdy moja głowa dotknęła poduszki, poczułam coś twardego. Podniosłam się na łokciu i uniosłam jej róg. Pod spodem była książka. Nawet dwie.

Wyciągnęłam je ku światłu.

Pierwsza z nich to był mój Byron. Byron mamy. Spomiedzy stron wystawał róg koperty.

Usiadłam, podkręciłam lampę gazową i rozłożyłam książkę na kolanach.

List. Adresowany do mnie. Eleganckim pismem panny Miller.

Wyciągnawszy kopertę spomiędzy strofwiersza *Gdy stąpa, piękna*, rozcięłam ją i wyjęłam z niej pojedynczą kartkę papieru.

*Najdroższa Klaro!*

*Nie smuć się z powodu mojego odejścia. Obydwie wiemy, że przeżyłyś mnie w nauce dawno temu. Żałuję tylko, że nie pokazałam ci książki Riisa wcześniej. Teraz musisz nauczyć się tego, czego ja nie jestem w stanie ci przekazać, i w tym względzie twoją nauczycielką musi być twoja ciocia. Ucz się pilnie jej lekcji. Jej naprawdę zależy tylko na twoim dobru, a jej doświadczenie i dorada będą nieocenione w nadchodzących dniach i miesiącach. Jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować, możesz to zrobić za pośrednictwem mojej siostry, pani Johnowej Mifflin w Cortland.*

*Zegnaj, pozostaję na zawsze twoją przyjaciółką.*

*Julia Miller*

Wzięłam do ręki drugą książkę. Książkę Jacoba Riisa *Jak żyje druga połowa\**. Otworzyłam na pierwszej stronie i zaczęłam czytać. Godzinę później oderwałam się od niej tylko po to, by znowu podkręcić światło.

Jakich rzeczy dowiedziałam się na temat warunków, w których żyje połowa miasta! Jakich okropności! Przeczytałam o kamienicach czynszowych tak pozbawionych świeżego powietrza, że ludzie spali w lecie na dachach... i często spadali z nich, ponosząc śmierć. Przeczytałam o instalacji wodno-kanalizacyjnej tak przestarzałej, że woda nie docierała nawet do drugiego piętra, nie mówiąc o siódmym czy ósmym. O pokojkach jak królicze nory, w których miało spać

\* *How the Other Half Lives* - najbardziej znane i wpływowe dzieło Jacoba Riisa, duńskiego dziennikarza i fotografa, działającego w USA. Wydana w 1890 r. książka dokumentowała dramatyczne warunki życia w nowojorskich slumsach.

po tuzin osób. I o chorobach, w moim mniemaniu dawno wypłenionych, które każdego lata szalały w tych budynkach, zostawiając za sobą dziesiątki martwych dzieci. To wszystko się zdarza, *nadal*, w tym mieście. Moim mieście.

Właśnie tutaj.

I te fotografie! Spomiędzy stron wzywały udręczone oczy zbłąkanych dusz, kobiet i dzieci, które prosiły, błagały o litość.

W moim mieście. Moim domu.

Uwielbiałam kiedyś ideę Pani Wolności, stojącej u wejścia do portu, by powitać przekraczających progi miasta. Nawet myśl o jej podniesionej ręce napełniała mnie ogromną radością.

*Dajcie mi swoich zmęczonych i ubogich,  
Uciśnione masy marzące o wolności,  
Nieszczęsne śmieci wyrzucone na brzeg.  
Poślijcie do mnie bezdomnych i miotanych wichrem,  
Unoszę lampę u wejścia do złotych drzwi!\**

I po co? W jakim celu witała imigrantów? By zaprosić ich do zaszczurzonej, nękaniej chorobami rudery? By nie zapewnić im ani domu, ani jedzenia, ani solidnego schronienia? Pani Wolność najwyraźniej nie wypełniła swojej obietnicy.

Tej nocy zapadłam w niespokojny sen, dręczona obrazami ubogich dzieci i przekonaniem, że codziennie wiele z nich żyło i umierało w nieprzyzwoitej biedzie. Lecz cóż mogłam na to poradzić? Cóż ktokolwiek mógł na to poradzić? Problem był tak olbrzymi. Jeśli połowa miasta żyła w kamienicach czynszowych, to... to było ponad milion osób.

\* Fragment pochodzącego z roku 1883 sonetu amerykańskiej poetki Emmy Lazarus *The New Colossus*. W 1903 r. wiersz został wygrawerowany na płycie z brązu i umieszczony wewnątrz Statuy Wolności.

Z pewnością jedna osoba, taka jak ja, nie mogła zrobić nic, co by przyniosło jakieś zmiany.

Spuścizna po panie Miller może i była niepokojąca i ponura, ale bez niej życie wydawało się nieciekawe i pozbawione celu. Chociaż ciocia podjęła się zadania poprawienia mojej edukacji towarzyskiej, na razie nie miałam żadnych lekcji. Przez pierwsze dwa dni po odejściu mojej guwernantki zostałam pozostawiona całkowicie samej sobie.

Na trzeci dzień była niedziela. Gdy wchodziliśmy do kościoła Bożej Łaski, w ławkach nastąpiło prawie niedostrzegalne poruszenie. Poruszenie w naszym kierunku. Gdy zaczęliśmy iść wzdłuż nawy, nasze kroki odbijały się echem od kratownicy podtrzymującej sklepienie.

Ojciec wyprostował ramiona.

Ciocia podniosła głowę.

Starałam się ignorować siedzących w ławkach wiernych - i ich spojrzenia. I nie myśleć o nikim oprócz Lizzie, czerpiąc pocieszenie z faktu, że ona też stanie przed tym samym wyzwaniem, też będzie bacznie obserwowana, gdy jej rodzina wejdzie za nami.

Ale nie nastąpi to zbyt szybko.

Każda rodzina wchodząca do tego kościoła przynajmniej przez kilka chwil chciała mieć nawę tylko dla siebie. Żeby ich lepiej widziano, żeby lepiej skatalogowano ich suknie i skrytykowano kapelusze. W niedziele noszono najbardziej wyszukane stroje.

Kiedyś, gdy szłam nawą, patrzyłam na ludzi w ławkach. Ale wtedy byłam młodsza. I nieświadoma, że oni też gapią się na mnie.



Dotarliśmy w końcu do naszej ławki. Zająłem miejsce obok ciotki, która usiadła przy ojcu.

- Popatrz tam.

Rozejrzałem się, starając się zobaczyć, kto to powiedział.

- Popatrz. Tam.

Nie potrafiłem ustalić, kto mówi te słowa.

- Na miłość boską! - Wyszczane słowa przeszły mi uszy.

Pochodziły od ciotki. Siedziała zupełnie bez ruchu, tak że wcale nie było widać, że mówi. - Jeśli spojrzysz na drugą stronę, po przeciwnej stronie nawy, zobaczysz długą ławkę. Siedzą w niej dwie osoby.

Przesunęłem się, by coś zobaczyć.

- Nie. Tak. Wyraźnie. - Powiedziała ciotka przez zęby.

Wyprostowałem plecy i wychyliłem się leciutko do przodu.

- Widzisz?

- N i e .

Ciotka odchyliła się leciutko do tyłu.

- A teraz?

Czy widziałam? Tak trudno było powiedzieć, gdzie ławki zaczynały się, a gdzie kończyły. Zwłaszcza jeśli stały po drugiej stronie nawy. Było ich tam kilka par. A w nich kilka par osób. Co prawda, obok większości z nich siedzieli inni ludzie. Ale jak mogłam stwierdzić, czy para, obok której nikt nie siedział, jest tą parą, o którą chodziło?

- Widziałaś ich?

Chyba tak. To musieli być oni, nieprawdaż?

- T a k .

- To tutaj będzie siedział dziedzic De Vriesów. Kiedy wróci do miasta. Obok kobiety ubranej na niebiesko.

O! *Tej* kobiety. Patrzyłam za daleko. Pani De Vries była ubrana w niebieski strój z beżową koronką wokół szyi i mankietów. Ciemnoniebieski kapelusz, osadzony na upiętych

wysoko blond włosach, był ozdobiony wstążkami w kolorze kości słoniowej i kitką strusich piór w tym samym kolorze.

To była pani De Vries?

Jakie wnioski można było wyciągnąć w odniesieniu do kobiety, która ubierała się na niebiesko i nosiła strusie pióra przy kapeluszu? W odniesieniu do kobiety, której rodzina w jakiś sposób podała w wątpliwość honor mojej rodziny? Żadnych innych oprócz wniosków, jakie można było wyciągnąć odnośnie jakiegokolwiek z kobiet obecnych na nabożeństwie. Pani De Vries była absolutnie szacowną osobą. Pod każdym względem. Nie potrafiłam wyciągnąć żadnych wniosków.

Mimo wszystko, miło by było wiedzieć, że pani De Vries była... miła. Ze nie miałyby mi za złe, iż kazano mi uganiać się za jej synem. Zwłaszcza że to nie był mój pomysł. Gdybym za pomocą magii czy jakiejś innej sztuki czarnoksiężskiej mogła uniknąć debiutu, tobym chyba to zrobiła. Ale moja rodzina liczyła na mnie. Mój ojciec liczył na mnie. A ja nie mogłam go zawieść.

### 3

Następnego dnia rano zostałam wezwana do pokoju ciotki. Ciotka zaanektowała jeden z wolnych pokoi i zanim się wprowadziła, kazała go odnowić w głębokich czerwieniach i ciemnych brązach. Byłam u niej wcześniej tylko dwa razy, ale za każdym razem czułam się, jakbym wchodziła do podziemnej groty - wyjątkowo dusznej. Tego ranka na szczęście ciężkie zasłony zostały odsunięte, by wpuścić parę promieni słońca.

Pies leżący obok ciotki przewrócił się z pleców na brzuch i zaszczekał, zwracając jej uwagę na moją obecność. Widząc mnie, ciotka odłożyła gazetę i podniosła do oczu lorgnon.

- Domagam się przeprosin.

Zapewne za nazwanie jej tyranem i despota.

- Czekam. Od pięciu dni.

- Przeprasza się za działania, których człowiek żałuje.

Zza okularu wychynęła jej brew.

- Domagam się przeprosin i je usłyszę.

- To może powinnaś zwrócić się gdzie indziej? Ode mnie ich nie usłyszysz.

Nozdrza się jej rozszerzyły, gdy wzięła głęboki oddech.

- Panna Miller była kimś więcej niż tylko moją nauczycielką. Była moją *przyjaciółką*. Była moją guwernantką od śmierci mamy.

- Tak. A ja ją odesłałam, ponieważ nie dopełniła swoich obowiązków.

- Ale nie pozwoliłaś mi się nawet pożegnać! - Ku mojemu kompletnemu przerażeniu poczułam, że po policzku spłynęła mi łza.

- A zatem przepraszam, że odprawiłam ją tak szybko. - Ciotka przechyliła głowę w moim kierunku w sposób, który nie pozostawiał złudzeń, że mam się odwzajemnić.

- A ja przepraszam, że... mówiłam do ciebie podniesionym głosem.

- Twoje przeprosiny zostały przyjęte, tak samo jak, przepuszczam, moje. A zatem, niech ci się przyjrę.

Otarłam łzy, stojąc i nie wiedząc za bardzo, o co jej chodzi.

- Obróć się.

Obróciłam się, zadowolona, że nie muszę być świadkiem jej badawczego spojrzenia.

- Powoli.

Obróciłam się powoli.

- Tak, tak... nie. Nie, nie i jeszcze raz nie!

Nie?

- Muszę być w stanie coś *zobaczyć*. - Ciotka skinęła na pokojówkę. - Zdejmij jej suknię.

Moją suknię? Podniosłam rękę do stanika, ale nie byłam wystarczająco szybka. Bez względu na to, jak się wykręcałam, ręce pokojówki mnie znajdowały i wkrótce stałam przed ciotką tylko w halce i reformach.

- Są naturalne? - Jeden z palców ciotki wskazywał w dość określony sposób na moją klatkę piersiową.

- Naturalne...?

- Twoje piersi. Są naturalne?

Spojrzałam na nie, a moje policzki oblały się nagłym rumieńcem.

- Tak. W zasadzie tak.

- W zasadzie? A to co ma znaczyć?

Mając na uwadze upodobanie ciotki do poprawnego wyrażania się, starałam się precyzyjnie dobrać słowa.

- Mam... trochę... watowania.

- Watowania!

- W gorsecie.

Ciotka spojrzała na mój zdjęty gorset.

- Nazywasz to gorsetem? Byłabym zdziwiona, gdyby miał choćby tuzin fiszbin. I nie można go nawet przyciągnąć w pasie. - Jeszcze raz skinęła na pokojówkę. - Muszę zobaczyć, z czym będę musiała się zmierzyć.

Pokojówka zrobiła, jak jej kazano i wkrótce stałam obnażona.

Pogłaskawszy psa po opasłym brzuchu, ciotka ponownie wzięła do ręki lorgnon.

- No tak. - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Szkoda, że nie możemy poczekać do przyszłego roku. Wołałabym cię pokazać w pełnym rozkwicie, ale musimy zadowolić się tym, co masz. - Przekręciła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. - Nie byłoby tak źle, gdybyś była pulchniejsza. Mogłybyśmy po prostu zasznurować mocniej gorset, żeby nadmiar wylał się z dekolту. Jak szczipła jesteś w pasie?

- Nie...

Pokojówka podeszła do mnie z miarką i otoczyła nią moją talię. - Dwadzieścia dwa cale, psze pani.

- Dwadzieścia dwa. Mogło być lepiej. A ile masz w biodrach?

Pokojówka przesunęła taśmę niżej, pod moje reformy, i wzięła miarę. - Dwadzieścia pięć, psze pani.

- Dwadzieścia pięć cali? Nie mogę cię wprowadzić do towarzystwa z figurą młodego chłopca. I wzrost też masz prawie chłopięcy. Doprawdy nie wiem, dlaczego nie zauważyłam tego wszystkiego wcześniej. Będziemy musiały wyszczuplić cię w pasie i podtuczyć u góry, i mieć nadzieję, że

uda się to osiągnąć na czas. Do rozpoczęcia sezonu mamy tylko jedenaście miesięcy. - Jeden z psów stanął na tylnych nogach i wyciągnął łapę, żeby poskrobać ciotkę po ręce. Wzięła go na kolana i mówiła dalej.

- Każę kucharce robić ci jajka na miękko na śniadanie i dawać porządny kawałek sera do lunchu oraz zupę-krem na kolację. Bez obaw, ani się obejrzysz, jak będziesz pulchniutka jak kwoka. - Poklepała psa, a potem wzięła gazetę.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że nie jestem już potrzebna. Wciągnęłam halkę przez głowę. Pokojówka ciotki zapięła mi haftki gorsetu i pomogła włożyć suknię.

Gazeta zaszeleściła, gdy wydobył się zza niej głos ciotki.

- K l a r o ?

- T a k ?

- Każę gorseciarce przyjść jutro o drugiej, żeby wzięła z ciebie miarę na gorset z prawdziwego zdarzenia. Oczekuję, że do czasu twego debiutu będziesz miała osiemnaście cali w pasie.

- Osiemnaście cali!

- Tak. Talię idealną można objąć dłońmi. O ile dziedzic De Vriesów nie jest Filistynem, nie będzie w stanie objąć twoich dwudziestu dwóch cali w pasie. Musimy dać mu to, czego oczekuje, jeśli mamy nadzieję go zdobyć bez zbytniego kłopotu. - Oczy ciotki pojawiły się nad gazetą. - Możesz odejść.

No to poszłam. Obawiam się jednak, że gdy zamykałam drzwi, gałka wyslizgnęła mi się z dłoni. Zamknęły się z bardzo zadowalającym hukiem.

Uwolniony się od obecności ciotki, resztę dnia spędziłam na bardzo odpowiednich dla damy zajęciach - wklejaniu obrazków do albumu i wyszywaniu krzyżykami sentencji, którą

szycowałam na świąteczny prezent dla Lizzie. Dzieła te zajmowały mnie do lunchu, a potem od lunchu do kolacji.

Następnego dnia gorseciarka i jej pomocnica przyszły o wyznaczonej godzinie. Usłyszałam, jak wchodziły i zakradłam się na schody, żeby popatrzeć, jak odźwierny bierze od nich peleryny. Ponownie zostałam poproszona do pokoju ciotki. Pomocnica wzięła moją miarę w ten sam sposób, co pokojówka ciotki dzień wcześniej. Gorseciarka przyglądała się temu i mówiła do ciotki.

- Mamy gorsety ze wstążek i gorsety z materiału. Z atłasu, jedwabiu i satyny. Z bawełny. Zdobione koronką, wstążkami lub haftem, białe albo w różnych kolorach, od kości słoniowej, przez różowy, niebieski, po czerwony...

- Doprawdy! - Ciotka wydawała się trochę urażona tym szerokim wyborem.

Gorseciarka ukłoniła się.

- Z kolorowymi klinami lub bez. Gorsety, które mają załedwie dwieście fiszbin, i modele, które mają ich aż sześćset.

- Po pierwsze, chcemy taki, który można zapiąć tylko na plecach.

Kobieta zakasłała.

- Najnowsze modele są sznurowane z tyłu i mają zapięcia z przodu. Wystarczy raz zasznurować, a potem można zdejmować tak często, jak się chce.

- Musimy wiele osiągnąć, a czasu na to mamy niewiele. Jeśli gorsety będą zapinane z tyłu, nie będzie możliwości oszukiwania.

- Sądzę, że można taki zrobić. - Gorseciarka zmarszczyła brwi.

- A ja sądzą, że właśnie taki pani zrobi, jeśli chce pani dla nas pracować!

Gorseciarka uśmiechnęła się blado. Odwróciła się do mnie.

— Może taki, panienko?

Trzymała w ręku model, który miał pienistą koronkę u góry i wstążki z przodu. Jeśli już musiałam nosić gorset, to właśnie ten bym wybrała.

- T a k , j a ...

- Nie. - Głos ciotki zagłuszył mój własny. - Nie potrzebujemy falbanek. Potrzebujemy prostego gorsetu. Którego nikt nie będzie widział. A jeśli moja bratanica odniesie sukces podczas swojego debiutu, jeśli uda jej się na czas wyszczuplić talię, wtedy wezwiemy panią, żeby przygotowała pani gorsety na jej wyprawę ślubną.

Uszycie gorsetów zajęło tydzień. Dostarczyła je sama gorseciarka, która kazała mi je przymierzyć, żeby upewnić się, czy dobrze leżą.

**- I jak?**

- Chyba nie mogę oddychać. - Rzeczywiście, nie miałam nawet dość tchu w płucach, żeby wydusić tych parę słów.

Ciotka wstała z krzesła i podeszła do mnie, żeby przyrzyć się gorsetowi.

- T w o j e cia ło wkrótce się przystosuje. A kiedy to się stanie, będziesz miała talię godną pozazdrosczenia. - Skinęła na pokojówkę, która podeszła do mnie z halką.

Dziewczyna pomogła mi włożyć halkę, a potem na powrót moją suknię. Była trochę ciaśniejsza w ramionach, ale dość luźna na dole.

Reszta dnia należała do mnie, więc wykorzystałam ten czas na haftowanie dewizy dla Lizzie. Po skończeniu miała głosić *Przyjaźń Miłość i Prawda* we wszystkich kolorach tęczy. Ale nieoczekiwanie rozboleły mnie plecy i zmęczyła się szyja. Gorset wymusił nienaturalną postawę - nie mogłam



znaleźć wygodnej pozycji do siedzenia. Co więcej, kiedy tylko się poruszyłam, przynajmniej jedna z sześciuset fiszbin kłuła mnie w bok. Liczyłam godziny, kiedy będę mogła zdjąć gorset i pójść spać.

Jednak tego wieczoru, zdjawszy ze mnie halkę, pokojówka podała mi koszulę nocną.

- Zapomniałaś zdjąć gorset.

Dziewczyna dygnęła.

- Ma go panienka mieć na sobie.

- Wiem. I mam. I założę go znowu. Ale teraz jest czas na spanie. - Ciotka miała problemy ze znalezieniem pokojówek, które by ją zadowolily. Zaczynałam myśleć, że dni tej dziewczyny też są policzone.

- Ma go panienka mieć na sobie podczas snu.

- *Podczas snu?* Ale jeśli go będę miała na sobie, *nie zasnę*. Pokojówka schyliła głowę i ponownie dygnęła.

- Takie było polecenie pani.

Gdybym mogła dosięgnąć sznurówek, sama bym je rozwiązała. Prawdę mówiąc, próbowałam już po południu. Jednak nie dość, że gorset zasznurowany był na plecach, to końcówki tasiemek wsunięto pod niego, tak że nie mogłam ich znaleźć.

- Dać koszulę nocną, panienko?

Poddałam się i przychyliłam do jej propozycji.

Próbowałam. Naprawdę próbowałam zasnąć.

Rozluźniłam całkowicie kończyny i plecy, pozwalając, by napięcie spłynęło z moich ramion do koniuszków palców. Ale nadal byłam ściśnięta w moim pancerzu, plecy miałam sztywne, a biodra skrępowane. Odwróciłam się na bok, nie było jednak lepiej. Mogłam przesunąć dłoń pomiędzy moją talią a materacem, nie dotykając ani jednego, ani drugiego.

Wzdychałam, przewracałam się z boku na bok i wpatrywałam w ciemność przez, jak mi się wydawało, całą wieczność. A potem wstałam. A właściwie próbowałam wstać. Ponieważ nie mogłam zgiąć się w pasie, musiałam ześlizgnąć się po materacu, spuścić nogi poza łóżko i czekać, aż grawitacja zrobi swoje.

Kiedy już znalazłam się w pozycji stojącej, pozbierałam wszystkie poduchy, jakie były w pokoju, i użyłam ich, żeby podeprzeć poduszki na łóżku. W końcu znalazłam doskonały sposób na spanie. Wykorzystując wszystkie poduszki, zrobiłam sobie rodzaj siedziska. I tym sposobem nareszcie, z wielką ulgą, byłam w stanie zasnąć. W pozycji siedzącej.

## 4

Dwa dni później ciotka znowu mnie zaskoczyła, oświadczając, że wychodzimy.

- Masz się ubrać w strój spacerowy.
- Mogę zapytać, gdzie się wybieramy?
- Do krawcowej.

Wsiadłyśmy do wiktorii ojca. Jednak tym razem podróż trwała trochę dłużej. Po drodze mijałyśmy chodniki zaśłane stertami śmieci, na których postawiono powozy. Z tyłu za budynkami biegł nadziemny tor kolejowy, spinający razem ulice. Ponad łoskotem powozów i krzykami ludzi słychać było nieustające dudnienie pociągu. W pewnym momencie, gdy mijaliśmy skrzyżowanie, zobaczyłam tenże pociąg, strzelający iskrami i obsypujący sadzą tych, którzy na swoje nieszczęście przechodzili pod torami. Jakjakiś mityczny średniowieczny smok zostawiał za sobą cień i ciemność.

- Nie wychylaj się tak. Można by pomyśleć, że nigdy nie widziałas tego miasta. - Ciotka trzepnęła mnie parasolką po rękach.

Bo nie widziałam. Nie tak naprawdę. Byłam z panną Miller po jego drugiej stronie, w zoo i w Muzeum Sztuki, ale nigdy nie zapuściłam się tak daleko za Dwudziestą Czwartą ulicę.

Kiedy dotarłyśmy do celu podróży, wysiadłyśmy z powozu i weszłyśmy do sklepu przystrojonego kryształowymi żyrandolami i jedwabnymi frędzlami. Urządzono go w kolo-rach brzoskwini i złota, ciepłych i błyszczących. Posadzono

nas na krzesłach wyściełanych tak przesadnie, że z trudem utrzymywałam równowagę, zsuwając się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, tak że w końcu skorygowałam postawę, zapierając się bucikami o podłogę.

Ciotka, nie zwlekając, zwróciła się do krawcowej.

- Trzeba uszyć mojej bratanicy całą garderobę. Ma debiutować w tym sezonie.

- *W tym* sezonie? Nie wydaje mi się, żebyśmy byli w stanie...

- A mnie się nie wydaje, żeby pani mogła sobie pozwolić na nieprzyjęcie tego zamówienia.

Twarz krawcowej znieruchomiała na dłuższą chwilę, a potem kobieta zamknęła oczy. Pochyliła głowę.

- Rozumiem. - Kiedy otworzyła oczy, zwróciła się bezpośrednio do mnie. - Proszę wstać.

Najej skinienie pojawiło się z pół tuzina dziewcząt. Dwie z nich rozstawiły obity jedwabiem parawan i odgrodziły nas od reszty sklepu. Pozostałe pomogły mi zdjąć suknię. Potem jedna z nich zdjęła miarę z mojego ramienia, druga z pleców, trzecia z szyi, a czwarta ruszyła w kierunku mojej talii.

- Do grudnia jej talia ma osiągnąć osiemnaście cali.

Czwarta dziewczyna opuściła miarkę, spoglądając na trzecią.

- A zatem osiemnaście cali w pasie.

- A kolory? - Krawcowa stała z dala od dziewcząt, pozwalając im robić swoje.

- Oczywiście biały! Na debiut. I na wszystkie kolejne bale. - Ciotka zakołysała się na swoim krześle.

Krawcowa ukłoniła się.

- Oczywiście. A na inne wydarzenia?

- Coś, co podkreśli jej karnację. I zwróci uwagę innych.

Pierwsza dziewczyna wyszeptała coś do dwóch pomocnic. Znikły za zasłoniętymi kotarą drzwiami, pojawiając się

kilka minut później obładowane kolorowymi belami materiałów. W odcieniach ciemnej czerwieni, palisandru, miedzi, cesarskiej zieleni i szafiru.

Ciotka zmarszczyła brwi.

- Chcę, żeby zwróciła uwagę mężczyzny, a nie cyrku!

Dziewczyny skłoniły się i wycofały, wracając wkrótce z nowym asortymentem tkanin. Tym razem kolory były bardziej stonowane, w odcieniach od bladej zieleni do jasnoniebieskiego, od różu do popielatolawendowego. I te najwyraźniej spełniły wymagania ciotki.

Kiedy kolory zostały wybrane, ciotka zamówiła dla mnie kompletną garderobę na cały sezon. Zamówiła także kilka krynolin. Jedna z dziewcząt przyniosła najnowszy model. Składał się z piętnastu obręczy w różnych rozmiarach, od najmniejszego do największego, które były zawieszane na pięciu taśmach przymocowanych do szóstej taśmy zapinanej w pasie. Byłam w stanie usiąść, ponieważ pierwsza obręcz znajdowała się dopiero nad kolanem, ale nie miałam pojęcia, jak sobie poradzę z chodzeniem.

Kiedy już myślałam, że skończyłyśmy, ciotka zatrzymała krawcową, kładąc rękę na jej ramieniu.

- A teraz chciałam się pani poradzić co do mojej własnej garderoby.

*Jej garderoby?* Odkąd ją znałam, była ciągle taka sama. Czarne suknie, czarne kapelusze, czarne szale i czarne peleryny. Nawet jeśli od czasu do czasu zmieniała się sylwetka, ogólne wrażenie żałoby nigdy nie zostało podane w wątpliwość.

- Słuchampanią?

- Chciałam zamówić - ciotka zamknęła oczy, jakby słowa sprawiały jej ból - jedną suknię w kolorze fioletowym i jedną w popielatym.

Popielatym? Fioletowym! Mój debiut dokonał tego, czego nie dokonały całe lata wdowieństwa - skłonił ją do porzu-

cenia ciężkiej żałoby. Być może wkrótce zaczniesz nosić także inne ciemne kolory.

- I fioletoworóżowe mankiety. - Zamawiając je, spiorunowała mnie wzrokiem, jakbym mogła ośmielić się to zakwestionować. - Ktoś musi towarzyszyć ci podczas tych wszystkich przedstawień operowych, bali i przyjęć.

Kiedy załatwiłyśmy nasze sprawy u krawcowej, pojechaliśmy prosto do Constable'a. Słyszałam, jak Lizzie mówiła o tym sławnym, eleganckim sklepie - prawdziwym domu towarowym - ale ja nigdy tam nie byłam. Kiedy dotarliśmy na miejsce, stangret postawił powóz wprost na ulicy, obok dwóch innych pojazdów. Pomógł nam wysiąść, a potem zajął się rozmową z dwoma wystrojonymi w białe spodnie służącymi, którzy czekali przed sklepem.

Dwóch odźwiernych z ukłonem otworzyło przed nami podwójne drzwi.

Ciotka zabrała mnie prosto do działu rękawiczek.

Ekspedient zajął się nami, jak tylko nas zobaczył.

- Mamy bardzo piękne rękawiczki z Anglii.

Ciotka od razu pokręciła głową.

- Proszę francuskie. Z Grenoble. Najlepsze.

Mężczyzna zmierzył moją dłoń.

- Sześć i pół. - Sięgnął do szuflady, wyjął parę rękawiczek i podał je ciotce.

Natychmiast je oddała.

- Jeśli ona ma rozmiar sześć i pół, to weźmiemy rozmiar pięć.

Sprzedawca zmarszczył brwi, ale odłożył rękawiczki do szuflady i wyjął z niej nową parę.

— Weźmiemy dziesięć par białych rękawiczek szesnastocalowych. I dziesięć par dwunastocalowych. Białych. A także tuzin par sześciocalowych.

- Białych?

Ciotka przytaknęła.

- J a ksobie pani życzy.

Gdy ekspedient zlecał podwładnej spakowanie naszych zakupów, ciotka zabrała mnie na rekonesans po sklepie. Wybrała tuzin par jedwabnych pończoch oraz zapas mufek i parasolek na cały sezon. Pasujących do garderoby, którą zamówiła u krawcowej.

Wróciłam do domu znużona hałasem miasta i zmęczona tymi wszystkimi dźwiękami i obrazami, jakie spotkałyśmy po drodze. Ale to był czwartek - dzisiaj zobaczę się z Lizzie!

Gdy zbliżała się wyznaczona godzina naszego spotkania, starałam się znaleźć jakiś powód, by wyjść do ogrodu. Nie byłoby to trudne wiosną czy latem, ale teraz większość liści padła ofiarą październikowych przymrozków, a ptaki odleciały już do cieplejszych krajów. W końcu postanowiłam wymknąć się po kryjomu. Jednak postanowić to nie to samo co zrobić. Przechodząc na paluszkach obok pokoju ciotki, widziałam, że siedzi na krześle, czytając gazetę.

Jeden z jej psów trzymał wartę przy drzwiach. Gdy przechodziłam, spojrzął na mnie podejrzliwie i warknął cicho.

- Kto tam? - Filiżanka stuknęła o spodeczek.

Jeśli zwlekałabym za długo, ciotka mogła opuścić gazetę i mnie zobaczyć. A przecież gdyby nikogo tam nie było, to nie miałyby kto odpowiedzieć. Zbiegłam szybko po schodach, a gruby dywan stłumił odgłos moich kroków.

Gdy znalazłam się na zewnątrz, poszłam w kierunku żywopłotu. Rozrósł się od czasu, gdy ostatnio szukałam w nim schronienia. Nie było powodu, żeby się spotykać w takich miejscach, kiedy już przestałyśmy bawić się lalkami, a panna Miller mogła mnie odprowadzać i przyprowadzać z domu mojej przyjaciółki. Jak świetnie, że Lizzie wpadła na taki pomysł! Że pamiętała o ścieżce biegnącej od furki w jej ogrodzie przez ogród sąsiada do mojego.

- Lizzie?

- Klara! - Z żywopłotu wychynęła ręka, złapała mnie za łokieć i wciągnęła w krzewy. - Siedzę tu od... od *wieków!*

- Przykro mi, ale... - zebrałam się na odwagę. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- I ja muszę ci o czymś powiedzieć.

Naprawdę? Dobrze się składało - to opóźni moje wyznaczenie dotyczące debiutu.

- Ty pierwsza.

- Nie, ty. Ty pierwsza to powiedziałaś.

Przygryzłam wargę. Uznałam, że najlepiej powiedzieć to wprost.

- Ciotka postanowiła, wbrew wszelkim moim staraniom, żebyją od tego odwieść, że mam być przedstawiona w towarzystwie. W tym sezonie.

Spodziewałam się, że Lizzie będzie zrozpaczona, ale ona wydała stłumiony okrzyk, a potem zaczęła chichotać.

- Ależ to wspaniale. Ja też mam debiutować! To właśnie miałam ci powiedzieć.

- Naprawdę? Ale...

- Będziemy zatem debiutowały razem, tak jak zawsze planowałyśmy.

Tak jak zawsze planowałyśmy. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ciotka ogłosiła mój debiut, poczułam nadzieję. Lizzie nie pozwoli, żebym poniosła porażkę. Zaczęłam się uśmie-



chać. Wtedy przypomniałam sobie o swoim drugim sekrecie. Nachyliłam się do niej, nie chcąc, by o moim wstydzie dowiedział się ktokolwiek poza nią. - I . . . noszę gorset.

- Ja też!

Gdybym mogła, roześmiałabym się z ulgą, ale brakowało mi tchu.

- Czy ty też masz problem... no wiesz... z jedzeniem?

Tak naprawdę problemem nie było jedzenie. Kłopoty zaczynały się później, gdy potrawy znalazły się już w żołądku. Siedziały tam potem godzinami. Zrezygnowałam już z jedzenia surowych jabłek.

- Jedzenie? W gorsecie? - Lizzie skrzywiła się, kręcąc głową. - Szkoda, że w ogóle musi się jeść. Ale, ale! Coś ci pokażę - zaczęła rozpinać stanik sukni.

- Lizzie!

- Musisz go zobaczyć. Jest precudowny.

Zsunęła stanik z ramion, ukazując ten sam gorset, którego ja pragnęłam. Ten ozdobiony koronką i kaskadami wstążek. Potem naciągnęła stanik z powrotem i zapięła pod szyją.

- Teraz pokaż mi swój.

- Nie ma co oglądać.

- Ależ jest, pokaż mi! - Lizzie patrzyła na mnie tak, jakby sama miała zacząć rozpinać mi stanik. - Wybrałaś atłasowy czy jedwabny?

- Wcale nie wybierałam. To ciotka wybrała.

- Więc jest... z satyny? - skrzywiła się Lizzie.

- Gorzej. Ze zwykłej bawełny.

Zmarszczyła brwi w taki sposób, że upajałam się jej współczuciem. Potem jej oczy zabłyśły.

- Ale tylko pomyśl. Na końcu sezonu, kiedy będziesz już zaręczona, będziesz mogła wybrać na wyprawę ślubną, co tylko będziesz chciała!

Ślub. Tak szybko!

- A co będzie, jeśli nikt... - Wiedziałam oczywiście, czego oczekiwano po mnie, ale co z Lizzie? Co będzie, jeśli przeżyje cały sezon tylko po to, żeby jej nadzieje na prawdziwe szczęście zostały na końcu zniweczone? - Co będzie, jeśli nie będzie nikogo odpowiedniego?

- Odpowiedniego? Wszyscy są odpowiedni. Przynajmniej wszyscy na balu. Rzecz w tym, żeby znaleźć kogoś, z kim można sobie poradzić. Kogoś pasującego do ciebie.

- Pasującego. - Zastanowiłam się nad tym. Z pewnością wśród setek osób z towarzystwa musi się znaleźć ktoś, kto będzie pasował. Do Lizzie. I z pewnością starszy z braci De Vries będzie pasował do mnie. - Ciotka powiedziała mi, że mam się starać tylko o jednego. Upatrzyła sobie...

- Nie mów! Niech zgadnę. - Lizzie zamknęła oczy, skrzyżowała ręce na piersi i wzięła głęboki oddech. Potem otworzyła oczy i spojrzała na mnie figlarnie. - Upatrzyła sobie dziedzica De Vriesów.

- Skąd wiedziałaś? - rozdziawiłam usta.

- Mama też go dla mnie wybrała. Jak cudownie!

- Cudownie? Jeśli obydwie...

Wzięła mnie pod rękę.

- Kiedy będziesz miała go dosyć, przekażesz go mnie, a kiedy ja go będę miała dosyć, oddam go tobie. Tym sposobem obydwie będziemy miały okazję stale z nim tańczyć. A w każdy czwartek o wpół do czwartej będziemy się tutaj spotykać i omawiać, jak nam idzie.

- Jak co nam idzie?

- No zaloty, oczywiście!

- Ale czy tak... można? - Czy nie byliśmy teraz przeciwniczkami? Walczącymi o tę samą wygraną? I czy to nie Lizzie na pewno zwycięży?

- Och, Klaro, w twoich ustach to brzmi jak zbrodnia - roześmiała się.

- Ale... czy ty naprawdę musisz go zdobyć? Może jedna z nas mogłaby dać mu kosza? - Ja, oczywiście, nie mogłam, ale Lizzie może tak.

- Nie mogę. Żałuję, ale nie mogę. Ponieważ mama pochodzi z Południa i nie ma prawdziwych koneksji... ona uważa, że są nam potrzebne. Komu innemu bym tego nie powiedziała, ale tak naprawdę niektórzy ludzie wciąż jej nie zaakceptowali. Do tej pory. A ona chce dla mnie czegoś więcej. Więc nie mogę dać mu kosza, ale... może ty?

Pokręciłam głową.

- Muszę zdobyć dziedzica. Nikt inny nie wchodzi w rachubę.

Jak to się stało, że obydwu z nas wyznaczono tę samą osobę? Nasz debiut był zaplanowany od lat, ale nigdy nie myślałam, że będziemy się uganiać za tym samym mężczyzną. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Niepokój w oczach Lizzie najwyraźniej był taki sam jak w moich.

Jednak potem w miejsce konsternacji pojawił się uśmiech i Lizzie przerwała milczenie.

- Złożymy sobie teraz obietnicę. Nigdy, przenigdy nie pozwolimy, żeby jakiś konkurent stanął pomiędzy nami. Powiedz to.

- Nigdy, przenigdy nie pozwolimy, żeby jakiś konkurent stanął pomiędzy nami.

Lizzie kiwnęła głową.

- Ale co będzie jeśli... to znaczy, on będzie musiał wybrać, Lizzie.

- No to niech wybiera. Jeśli wybierze ciebie, ja będę się cieszyć i przyjdę na twój ślub. Jeśli wybierze mnie, ty będziesz się cieszyć i przyjdiesz na mój ślub.

- Nie sądzę, żeby dało się to zrobić w ten sposób.

Lizzie była zawsze taka miła, tak pogodnego usposobienia, że nie chciała widzieć trudności nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach.

- Złożyłyśmy właśnie obietnicę. I teraz nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, tylko jej dotrzymać.

- Ale... skąd wiemy, że nas w ogóle będzie chciał?

- A czemuż by miał nie chcieć? Jesteśmy najlepszymi partiami w mieście. Tato ma mnóstwo pieniędzy, a jeśli ktoś zachoruje, twój ojciec może go wyleczyć. Ja jestem nadzwyczaj wesoła i urocza, a ty jesteś nadzwyczaj ładna i bystra. Cóż może się w nas nie podobać?

Rzeczywiście, co?

- Tylko pomyśl: czekają na nas nasze debiuty, a wraz z nimi prawdziwa miłość! - Lizzie dała nura przez krzewy w kierunku muru. Blond loki wymknęły się jej spod kapelusza. - Nie zapomnij. Przyszły czwartek. Wpół do czwartej!

# 5

Do tej pory nigdy nie rozumiałam, jak niepewne jest życie. Jak w jednym momencie można żyć Byronem i eksperymentami naukowymi, a w następnym może ich już nie być - a ich miejsce zajmują lekcje śpiewu i etykiety, jakby od nich zależało moje życie. W przeszłość odeszły moje dni zabawy i nauki z panną Miller, moje wielogodzinne wizyty u Lizzie w jej wspaniałej sypialni. Mój debiut nie był już mglistym fatum wiszącym nad moją przyszłością: jak skrzydlata bestia spadł na mnie i porwał w otchłań zobowiązań.

- Przestań skakać dookoła jak ptak!

Podskoczyłam, słysząc głos ciotki. Kręciłam się po pokoju, nie mając ochoty usiąść i jeszcze wyraźniej odczuć ograniczeń związanych z gorsetem, nie mając nic konkretnego do zrobienia.

- T w o j ą mocną stroną, o ile w ogóle ją masz, jest twój wygląd. Ta blada, alabastrowa cera i połyskujące, ciemne włosy. Przy odrobinie bezsenności w nocy, przy odrobinie rozmarzenia i apatii, wyglądasz dość dramatycznie. Powinnaś chodzić powoli, jak ktoś w żałobie, miarowym krokiem. Musisz osiągnąć pewną dozę wdzięku.

Miałam jeszcze nabrać wdzięku? Oprócz doskonale ustawionego głosu i znakomitego wykonania wyjątkowo trudnego węgierskiego tańca Brahmsa?

- Żądasz zbyt wiele.

- A ty oczekujesz zbyt mało. Mogę otworzyć przed tobą drzwi towarzystwa. Moje małżeństwo z panem Stuartem

przynajmniej do tego dało mi prawo. Nie mogę jednak sprawić, że przejdiesz przez nie z sukcesem. To zależy od ciebie.

- Spojrzała na mnie, marszcząc brwi z dezaprobatą. - Idź już. I pomyśl o tym. Każ kamerdynerowi przynieść gazety. Muszę wiedzieć, gdzie wszyscy bywają, z kim się spotykają i co robią.

Naprawdę myślałam o swoim sukcesie. Myślałam o nim całą noc, przewracając się z boku na bok, wzdychając i jęcząc. Za rok o tej porze mogę być już mężatką. A jeśli nie mężatką, to narzeczoną. Co do tego nie było wątpliwości. W sprawie mojej przyszłości pozostawała tylko jedna niewiadoma - tożsamość pana młodego. Jeśli miałam wyjść za mąż, a to było pewne, to dlaczego nie miałabym wyjść za dziedzica De Vriesów? Prawie zdołałam przekonać samą siebie, że to ja powinnam zdobyć tę nagrodę. Chociaż nadal nie rozumiałam, dlaczego ciotka i ojciec są tak zdeterminowani, żebym go poślubiła, czyż honor mojej rodziny nie był ważniejszy niż koneksje pani Barnes? Jednak w moich myślach wciąż przewijały się słowa Lizzie:

*Nigdy, przenigdy nie pozwolimy, żeby jakiś konkurent stanął pomiędzy nami.*

Nigdy, przenigdy? Jakim cudem byłyśmy w stanie dotrzymać tej obietnicy, o ile nie zdecydowałybyśmy się oddać jedną drugiej pana De Vriesa? I dlaczego pani Barnes i ciotka miałyby nam na to pozwolić?

W niedzielę miałam chwilę wytchnienia od ćwiczeń, chociaż powinnam przekląć dzień, w którym pomyślałam, że lepiej przejść nawą kościoła Bożej Łaski niż spędzić godzinę z ciotką! Gdy tylko usadowiłam się w ławce, zerknęłam ukradkiem na ławkę po drugiej stronie nawy.

Była zajęta!

I to nie tylko przez pana i panią De Vries. Obok nich siedziała młoda kobieta w kapeluszu obszytym białym futrem. Miała na sobie ciemnozielony kostium oblamowany tym samym futrem. Wyglądała jak rosyjska księżniczka, która zeszła ze stron czasopisma „Harper's Bazar”.

Po drugiej stronie siedzieli dwaj młodzi mężczyźni. Obydwaj ciemnowłosi. Pierwszy miał na sobie elegancki surduty w gołęmbim kolorze, a włosy precyzyjnie zaczesane do tyłu. Na ramionach drugiego widać było charakterystyczne fałdy płaszcza z pelerynką. Miał niesforne włosy i gęste brwi. I to właśnie on przyłapał mnie na patrzeniu w ich stronę.

Szybko wyprostowałam się, przyciskając plecy do oparcia ławki. Ale odchylając się nieco do tyłu, poza obręb kapelusza ciotki, nadal ich widziałam. Na tyle dobrze, by zauważyć, że młodzieniec zrobił to samo.

Pochylając się do przodu, wzięłam do ręki śpiewnik i znalazłam pierwszą pieśń, zdecydowana nie zwracać więcej na niego uwagi. Mimo to zastanawiałam się, którym z braci był ten młody człowiek - starszym czy młodszym? Któremu z nich zostaną przedstawiona? Który z tych młodzieńców miał przywrócić honor mojej rodziny? A w ogóle jeśli De Vriesowie są taką okropną rodziną, to dlaczego muszę wychodzić za jednego z nich? Dlaczego przeznaczono mnie na baranka ofiarnego?

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA**

**27 października 1891 r.**

**Dr Willard Carter i jego siostra, pani Lewisowa Stuart,  
wydadzą podwieczorek we wtorek, 10 listopada, w swojej rezy-**

**dencji przy Piątej Alei nr 472, na cześć córki dr. Cartera, panny Klary Carter, która debiutuje w tym sezonie. W okresie zimowym pani Stuart i panna Carter będą przyjmować we wtorki.**

Ledwie ciotka skończyła czytać mi gazetę, a już mój żołądek ścisnął skurcz niepokoju. Będę przyjmować? Tej zimy? Nawet nie przyszło mi to wcześniej do głowy! - Czy inny dzień nie byłby lepszy? - Na przykład środa, czwartek lub piątek? Jakiś dzień tygodnia, który nie byłby tak blisko jego początku? Dzień tygodnia, do którego będę miała czas się przygotować?

- **W t o r k i** są najlepsze. Pozwala to zainteresowanym dżentelmenom złożyć ci wizytę zaraz na drugi dzień po wydarzeniu towarzyskim w poniedziałkowy wieczór. Tym sposobem nie będziemy tracić czasu - odpowiedziała ciotka, nie podniósłszy nawet oczu znad gazety.

- Dżentelmenom? - Dlaczego ciotka używała liczby mnogiej? - Myślałam, że obiektem mojego zainteresowania jest dziedzic De Vriesów.

- Bo jest. Ale dlaczegoż on miałby się tobą zainteresować, jeśli nie interesowałby się tobą nikt inny? Musimy zarzucić sieć szeroko i złowić pana De Vriesa z nienacka.

O tym samym rozmawiała ciotka z ojcem przy kolacji.

- Wydamy podwieczorek dla Klary we wtorek, dziesiątego listopada. Żeby uczcić jej debiut w towarzystwie.

- Dziesiątego listopada? Nie mógłby być w jakiś inny dzień? Po południu mam... wizytę.

- W "Journalu" została już wydrukowana zapowiedź. Ojciec jadł dalej.

Kiedy nie zareagował, ciotka odezwała się znowu.



- Możesz powiedzieć o tym wszystkim swoim pacjentom, którzy mają nieżonatych synów. Mogą nie uświadać sobie, że mają dług wdzięczności. Teraz jest pora, żeby im o tym przypomnieć.

- Czyż nie pokładamy naszych nadziei w dziedzicu De Vriesów?

- To nie są nuworysze i trzeba z nimi postępować delikatnie. Dyskretnie. Przypominanie im o ich... długu mogłoby się im nie spodobać. Będziemy liczyć na to, że Klara potrafi go zauroczyć - rzuciła w moją stronę srogie spojrzenie - a do twoich środków perswazji uciekniemy się tylko w ostateczności.

Ojciec podniósł kielich i wypił łyk wina.

- Delikatnie i dyskretnie. - Postawił kielich z powrotem na stole. - Nie przypominam sobie, żeby byli delikatni czy dyskretni, kiedy stracili wszystkie nasze pieniądze podczas paniki. Nigdy tego nie zapomnę. W jeden dzień wszystko przepadło. 18 września 1873 roku. To było dość raptowne, nie sądzisz siostrzo? A ich bank zupełnie nie poczuwał się do winy.

To w ten sposób nasza rodzina straciła honor? Tracąc pieniądze? Czyż podczas paniki nie przepadły fortuny wszystkich? Tak mówiła panna Miller. Czyż ciotka nie wyszła za mąż za przedstawiciela znamienitej rodziny Stuartów? A czyż ja nie mieszkałam tu, na Piątej Alei, wśród Vanderbiltów i Gouldów, odkąd sięgałam pamięcią?

Powściągnęłam swoje pytania, widząc stalowy błysk w oczach ciotki.

- To jest nasza szansa. I lepiej dla nas, jeśli uda się osiągnąć nasz cel bez zbytnich... nieprzyjemności.

Kiedy podwieczorek został ogłoszony, moja edukacja towarzyska nabrała tempa.

- Ponieważ tegoroczna debiutantka będzie przyszłoroczną gospodynią, oto czemu! Dlatego należy nauczyć się, czym się różnią szczypcy do szparagów od szczypiec do sardynek. Zwłaszcza jeśli ma się zostać żoną De Vriesa. Zrozumiano?

Kiwnęłam głową.

- A więc. Do czego to służy? - Ciotka wybrała jeden ze sztuczków leżących na stole w jadalni i podniosła do góry.

- To jest widelczyk. - Przynajmniej taką miałam nadzieję. Miał kształt łyżki, ale na samym końcu, tam gdzie powinien znajdować się jednolity łuk, było kilka ząbków. To był łyżkopodobny widelczyk.

- Tak. To widelczyk. Bardzo dobrze. A do czego służy?

- Do... - Nie mógł być do sałatek. I nie mógł być do mięsa; ząbki nie były wystarczająco długie. Nie był do ryb. Ani do chleba. Musiał służyć do czegoś, co zasadniczo powinno się jeść łyżką. Do dżemu? Nie. Dżem smarowało się nożem. I z pewnością nie była to łyżka do zupy.

Ciotka odłożyła widelczyk z powrotem na stół.

- Do lodów.

- O !

- A ten?

*Ten* był widelcem pająkowatym. Miał trzy długie, cienkie, bardzo ostre zęby. A zatem nie był przeznaczony do wkładania pokarmu do ust. Musiał służyć do nabijania czegoś. Pieczeni? Nie. Nie był wystarczająco solidny. Może ciasto? Nie, nie utrzymałoby się. Był przeznaczony do czegoś małego, ale twardego. Jak jabłko? Ale po co ktoś chciałby nabijać jabłko? Pomarańcza?

- Do pomarańczy - powiedziałam z większym przekonaniem, niż czułam.

- Blisko. To widelec do cytryny.

- O !

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Tuzin widelców. Tuzin łyżek. Tuzin noży.

- A to?

- To jest... - To nie mogło być to, co przypuszczałam. Wyglądało jak łopatką. Wąska miniaturowa łopatką. Ale czym innym mogło być? - To jest łopatką.

- Tak, oczywiście to jest łopatką. Ale do czego służy?

- Do czegoś bardzo... głębokiego.

- T a k .

- I dość... wąskiego.

- T a k .

- I... naprawdę nie wiem, ciociu. - Zaczynałam się pocić za uszami.

- Lepiej żebyś wiedziała! I zaraz ci powiem: to jest łopatką do szpiku.

- Łopatką do szpiku. - Nie wiedziałam, że istnieje coś takiego.

- Tak. Żeby wydobyć go z kości. - W jej głosie słychać było irytację.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogę po prostu użyć noża?

- Może mam ci dać jeszcze wykałaczkę? W gruncie rzeczy, dlaczego by nie wziąć całej kości rękami? A potem wytrzeć je w obrus, jak się zbrudzą? Jeszcze jakieś pytania?

Rzeczywiście miałam więcej pytań. Ale najbardziej chciałam wiedzieć, dlaczego kazano mi zdradzić moją najlepszą przyjaciółkę. Jednak tego pytania ciotce nie zadałam. Nie potrafiłam. Nie wiedziałam, jak mam to zrobić.

Kiedy wreszcie nadeszło czwartkowe popołudnie, od dwóch dni zmagalam się z bólem głowy.

A Lizzie, kiedy mnie zobaczyła, dostała ataku hysterii. Natychmiast uczepliła się mojego ramienia.

- Widziałaś go?

- Kogo?

- Dziedzica! W kościele!

Kiwnęłam głową.

- To powiedz mi, jak on wyglądał. Przyjechaliśmy za wcześnie i zanim się zorientowałam, że on tam jest, wyszliśmy już z kościoła.

- Był... - Próbowałam uwolnić się z uchwytu Lizzie. - Nie jestem właściwie pewna, który to był.

- Co masz na myśli? - Lizzie uczepliła się jeszcze mocniej

- Było ich dwóch. W ławce De Vriesów było dwóch młodzieńców.

- To powiedz mi, jak wyglądał jeden i drugi, a ja ci powiem, który z nich to dziedzic.

Jakim sposobem mogła się tego domyślić?

- Pierwszy był ciemnowłosy...

Lizzie kiwnęła głową.

- W gruncie rzeczy obydwaj mieli ciemne włosy.

- Uwielbiam ciemnowłosych mężczyzn!

- I... miał na sobie surdut.

- Jakiego koloru?

- Popielatego. Doprawdy, Lizzie, mogłabyś przestać mnie ścisnąć?

- A ten drugi? - Wypuściła mnie ze swoich szponów.

- Płaszcz z pelerynką.

- Płaszcz z pelerynką? - skrzywiła się Lizzie. - Nigdy mi się nie podobały. Mam nadzieję, że to nie ten jest dzie-dzicem. Chociaż może... może mogłabym mu go po prostu wyrzucić, gdy się pobierzemy.

Wyrzucić? Po prostu wyrzuciłabyś czyjeś ubranie?

- Albo ty mogłabyś. A więc dalej. Obydwaj mają ciemne włosy.

- Tak. Jeden czesze je do tyłu, w ten sposób - przejecha-łam ręką od brwi przez czubek głowy.

- Ten w surducie czy w płaszczu?

- W surducie.

- A ten drugi?

- Najwyraźniej nie przejmował się tym, gdzie jego włosy się znajdują ani co robią - wzruszyłam ramionami.

Usta Lizzie skrzywiły się, ale zaraz uniosły w uśmiechu.

- Ten w surducie jest dziedzicem.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Rozwiąawszy ten problem, Lizzie zaczęła wylizywać, która trwała przynajmniej dziesięć mi-nut: kogo widziano z kim i jak kto był ubrany.

Już otwierałam usta, żeby zapytać o jej przygotowania do debiutu, kiedy odezwała się znowu.

- A widziałas tę kobietę w kościele? Tę, która miała na sobie brązową opończę? Mama mówiła, że od lat takiej nie widziała! Nie wyobrażam sobie, żeby komuś mogła się po-dobać.

- Może po prostu chciała, żeby jej było ciepło.

- Ciepło! Jakie znaczenie ma ciepło w niedzielny poranek? Na tańcach można mieć etolę, a na przyjęciu wyższy koł-

nierz, ale w niedzielę? Wszyscy widzą, jak wyglądasz. Przez pełne półtorej godziny. Niektórzy z tyłu, niektórzy z boku. Nie, dla mody nie ma ważniejszego dnia niż niedziela!

Lizzie zostawiła mnie z takim samym bólem serca, z jakim mnie zastała. W pamięci ciągle miałam jej słowa i generalnie dobry humor.

Następny dzień ciotka poświęciła na ćwiczenie uprzejmej konwersacji. Prawie się z tego ucieszyłam. Było tak wiele interesujących tematów do rozmowy. Ubodzy i książka Riisa. Tammany Hall\* i polityka. Odkąd panna Miller odeszła, pragnęłam znaleźć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o aktualnych problemach.

- Pierwsza zasada brzmi, że nie wolno wspominać o nieprzyjemnych rzeczach.

Bez nieprzyjemnych tematów?

- Ale... to o czym tu rozmawiać? I czemu nie miałabym się dowiedzieć, co pan De Vries sądzi o... - W pośpiechu o mało co nie przyznałam się, że czytałam książkę Riisa. A byłam całkiem pewna, że nie wolno mi było tego robić.

- O ?

Ale czemu nie miałabym się przyznać, że czytałam książkę Riisa? Każda osoba z jakim takim sumieniem byłaby przerażona tym, co działo się w mieście. Uniosłam głowę i odpowiedziałam wprost na jej pytanie. - O książce Jacoba Riisa, na przykład.

\* Tammany Hall - nazwa popularnej w XIX i w pierwszej połowie XX w. organizacji Partii Demokratycznej z siedzibą w Tammany Hall (stąd nazwa) w Nowym Jorku. W latach trzydziestych XIX w. stowarzyszenie przekształciło się we wpływową organizację partyjną, która stopniowo przejęła kontrolę nad życiem politycznym w Nowym Jorku. Jako domena politycznych „bossów” zmieniła się w siedlisko korupcji, stając się synonimem wypaczeń amerykańskiego systemu politycznego.

- A skąd ty wiesz o książce Riisa?

- Panna Miller dała mi egzemplarz.

- Kłamstwa. Wszystko, co mówi ten człowiek, to kłamstwo. To imigrant, na miłość boską! - Ciotka zmarszczyła brwi.

- W książce są fotografie. Mogę ci pokazać! Wszyscy ci biedacy, którzy mieszkają w kamienicach czynszowych na Lower East Side...

- To kłamca. A jeśli chodzi o pana De Vriessa, na pewno myśli o ubogich to, co każda inna normalna osoba: inne rasy są po prostu gorsze od naszej. Na przykład Irlandczycy i Włosi. Jeśli są ubodzy i mieszkają w kamienicach czynszowych, to sami są sobie winni.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z własnej woli chciał mieszkać w rozpadającym się budynku.

- Właśnie. Więc jeśli mieszkają, to musi być z nimi coś nie tak, nieprawdaż?

- Naprawdę myślisz, że dziedzic też tak uważa? - Czy ciotka sądzi, że mógłby być tak bezduszny?

- Tak uważa większość ludzi, którzy mają choć trochę rozumu. Jeśli Bóg by chciał, żeby biednym dobrze się powodziło, toby tak się stało. Jeśli tak się nie dzieje, to znaczy, że zasługują na to, co ich spotyka. I oczywiście on też tak będzie uważał. Dlatego nie ma potrzeby o tym wspominać. Po co mówić o czymś tak nieprzyjemnym, jeśli jest tyle innych tematów do rozmowy? Nie wolno poruszać wątków politycznych, religijnych i innych budzących sprzeciw tematów. Niczego, co obrazi któregokolwiek z rozmówców. Niczego, co sprowokuje dłuższą rozmowę. I musisz zawsze mówić wyraźnie.

Żadnej polityki, religii czy innych budzących sprzeciw tematów. Co zostawało?

- Teraz możesz poćwiczyć.

- Poćwiczyć... co?
- Konwersację.
- Z kim?

Ciotka spojrzała wymownie w dół, na psa drzemiącego na jej kolanach.

- Pies nie potrafi rozmawiać.
- Tak jak większość ludzi, z którymi będziesz się starała konwersować. Umiejętność prowadzenia rozmowy z osobą, która nie potrafi lub nie chce rozmawiać, jest zawsze dla ciebie korzystna.

- Nie mogłabym po prostu powiedzieć „Do widzenia”?  
A potem wyjść?

- N i e .

- Trudno jest mówić do kogoś, kto śpi.

Ciotka obudziła psa i postawiła go na stoliku. Zamrugał i ziewnął szeroko, pokazując rząd ostrych ząbków i różowy języczek.

- Możesz zacząć.

Zwróciłam się bezpośrednio do psa i, wbrew wszelkiej logice, zaczęłam do niego mówić.

- Mam nadzieję, że dobrze się pan dzisiaj czuje. - Albo przynajmniej lepiej niż wczoraj, gdy on sam, albo jeden z pozostałych dwóch, wykopał kwiatową cebulkę i wkrótce potem dostał gwałtownych torsji. Żałowałam, że nie zdechł, oszczędzając reszcie z nas smrodu swojej niestrawności.

- Nie. Nie w ten sposób. Absolutnie nie możesz nikogo pytać o zdrowie.

- Ogromnie mi miło, że mogę pana poznać - spróbowałam jeszcze raz.

Pies przekrzywił głowę. W tej pozycji jego czaszka prawie znikła w futrze. Wyglądał jak poduszka. Jakże żałowałam, że nie mogę naszyć guzików, wyhaftować w kwiatki i dać komuś na prezent. Uśmiechnęłam się.



- Zawsze chciałam pana poznać.

Ciotka zmarszczyła brwi, ale nie przerwała mi.

- Podobała się panu... opera?

Pies nie odpowiedział.

- Mnie bardzo podniosła na duchu.

Ciotka zakasłała.

- Pamiętaj, że pierwszą operą tego sezonu będzie *Romeo i Julia*.

- Chociaż w taki tragiczny sposób.

Pies przeciągle westchnął i wyciągnął łapę, żeby podrapać się po uchu.

Przerywając i zaczynając od nowa, i korzystając z podpowiedzi ciotki, mówiłam do psa chyba przez godzinę.

- Dziesięć minut. Nieźle. Jak na początek - stwierdziła ciotka, spojrzawszy na zegar stojący na kominku. Kazała mi ćwiczyć, dopóki nie potrafiłam mówić przez pół godziny bez podpowiedzi.

- Najprawdopodobniej okazja do rozmowy pojawi się podczas kolacji, jakiegoś przyjęcia lub innego wydarzenia, kiedy będziesz również mogła poprosić o szklankę ponczu lub w inny sposób odwrócić uwagę swojego rozmówcy. - Podniosła psa ze stolika i posadziła sobie z powrotem na kolanach. - No więc, umiejętność takiej konwersacji zawsze bardzo ci się przyda, nawet wtedy gdy osoba, z którą rozmawiasz, nie ma ochoty odpowiadać. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, gdy jesteś traktowana jak powietrze.

- Traktowana jak powietrze?

- Ignorowana. W takim przypadku oczekuje się, że przestaniesz mówić i pozostawisz tę osobę samej sobie.

- A jeśli... będę sama? Jak będę mogła odejść? Jeśli nie powinnam nigdzie chodzić sama?

- Sama? Kiedyż ty będziesz sama? - Brwi ciotki podjechały do góry, prawie znikając we włosach.

- Nie wiem.

- Ja też nie. W każdym razie, właściwą reakcją na afront jest nie przyjąć go do wiadomości, ale po prostu udawać, że to jest twoja decyzja, a nawet największe pragnienie, żeby się oddalić.

Brzmiało to okropnie upokarzająco. Ale...

- A jak się nie domyślę, że jestem ignorowana?

- Jeśli zrobisz ci afront, to będziesz o tym wiedzieć. Ktoś, kto cię zna, nagle nie będzie chciał cię zauważyć. Ktoś, komu masz być przedstawiona, odwróci się na pięcie, wtedy gdy ma nastąpić prezentacja. Są setki sposobów na zignorowanie kogoś i wierz mi, wszystkie zostaną przez tę osobę zauważone. Bo taki przecież był zamiar.

Kiwnęłam głową, mając nadzieję, że nigdy mi się to nie przytrafi.

- Ale musisz się także nauczyć, jak sama zrobić afront.

- Jak zrobić...?

- Jak kogoś zignorować.

- Po cóż miałabym kogoś ignorować? - Przytłaczały mnie ciemne ściany pokoju ciotki. Wszystko, co mówiła, nie miało sensu.

- Nie wszystkich, których się pozna, trzeba zauważać. Zwłaszcza tych, których spotkasz na tańcach.

- Na tańcach? Nawet tych, z którymi będę tańczyć? - Nie mogłam sobie wyobrazić, jak mam z kimś tańczyć, nie zauważając go?

- Zwłaszcza tych, z którymi będziesz tańczyć. Chyba, że ta znajomość będzie dla ciebie korzystna.

- Ale to chyba...

- Prawdziwy dżentelmen, jeśli poznał cię tylko na tańcach, nie będzie oczekiwał, że się mu odkłoniśz.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I w takim przypadku da ci sposobność, byś go zauważyła albo zignorowała - kiwnęła głową ciotka.

- Naprawdę? Po cóż miałyby to robić?

- Naprawdę. Czy ciągle muszę się powtarzać?

- Nie. - Byłam pewna, że jeśli bym dotknęła ręką głowy, poczułabym pulsowanie w skroni.

- A więc. Jeśli nie chcesz kogoś zauważyć, jeśli chcesz mu zrobić afront, nie wolno ci dać mu okazji, żeby się do ciebie odezwał. - Gagatowe kolczyki ciotki zatrzęśły się od jej gwałtownej wypowiedzi. - Musisz albo się oddalić, albo dać jasno do zrozumienia, że nie chcesz z nim rozmawiać.

- Czyli... mam go zignorować?

Surowe usta ciotki nagle się uśmiechnęły.

- Bardzo dobrze. To jest jeden ze sposobów, w jaki można to zrobić. Możesz również nie chcieć spojrzeć mu w oczy. Możesz odmówić podania ręki. Możesz się nie odezwać.

- Ale... czy wtedy ten ktoś... nie będzie mówił dalej? Tak jak mnie uczyłaś?

- Ach. Być może, ale tylko pod warunkiem, że nie będzie sobie zdawać sprawy z afrontu, a najważniejszą rzeczą, jeśli chodzi o afront, jest zrobienie go w taki sposób, by ta osoba o tym wiedziała.

Przećwiczyłam subtelną sztukę robienia afrontu na tuzin różnych sposobów i nie potrafiłam się już wtedy powstrzymać, by nie zaprotestować przeciwko tym wszystkim naukom. - Od trzech dni nieustająco boli mnie głowa.

- Spodziewałam się tego. Tak to jest, gdy usiłuje się przyswoić *en masse* te lekcje, które powinnaś była pobierać stopniowo przez kilka lat.

- Mogłabym wyjść? Żeby się położyć i odpocząć przed kolacją?

- Położyć się i odpocząć? Z powodu bólu głowy? Na pewno nie! Najlepszą kuracją jest chodzenie tyłem przez

dziesięć minut. Poprawi ci to też postawę. - Kiwnęła głową w kierunku holu. - Idź. Dobrze ci to zrobi.

Wyszłam z jej sypialni na korytarz.

- Nie za szybko! Powoli. I dokładnie!

Nie tylko moja towarzyska ogłoda padła ofiarą ciotczynej manii poprawiania. Ciotka zamówiła nowy wieszak i nową tacę na bilety wizytowe do frontowego holu. Zdecydowała, że trzeba przestawić meble w salonie. A kucharkę zasypała lawiną nowych francuskich przepisów. Pewnego ranka, gdy spotkała mnie w salonie, zajęła się moją osobą.

- Doszłam do wniosku, że twoje usta są za duże. Zbyt szerokie.

Podniosłam rękę, żeby je zasłonić.

- Tak. To jest jeden ze sposobów. Możesz je zasłaniać ręką... - Przekrzywiła głowę i zasznurowała wargi. - Ale z drugiej strony, można by pomyśleć, że ziewasz. Może lepiej używać wachlarza. Za moich czasów wszystkie ćwiczyłyśmy usta, wymawiając głoskę P. Dzięki temu usta są ściągnięte. I wyglądają na mniejsze niż są. Spróbuj.

- P?

- Tak. Widzisz? Jeszcze raz.

- P .

- T a k . Możesz do tego dodać „Prus”i „prym”. „Pik”, „Prus” i „prym”\*.

- Pik, Prus i prym?

- Powtarzaj te słowa nieustannie. Kiedy się obudzisz, gdy będziesz zasypiać i w ciągu dnia, kiedy tylko sobie przypomnisz. To na nowo uformuje ci usta. Sprawí, że będą wygląda-

\* W oryginale „peas, prunes and prisms”. Polskie tłumaczenie stara się oddać brzmienie, o jakie chodziło.

dały na pełne, a nie szerokie. Lecz zanim to się stanie, musisz zawsze wchodzić do pokoju ze słowem „prym” na ustach. Dalej. Spróbuj. - Ciotka ręką wskazywała drzwi.

Zrobiłam, jak sobie życzyła - wyszłam, a potem zaraz wróciłam, siadając obok niej.

- Prym! - ciotka prawie wybuchła.

A niech to! Zapomniałam. Odwróciłam się i spróbowałam jeszcze raz.

- Prym. - Dźwięk tego słowa zamarł mi na ustach, gdy przekraczałam próg pokoju.

- Tak. Pierwszym wrażeniem, jakie pozostawisz, będzie elegancja. No i oczywiście mniejsze usta. Chodź tutaj.

Posłuchałam, nie zwracając sobie więcej głowy „prymem”.

- Usiądź.

Usiadłam.

- Musimy teraz... - Pochyliła się do przodu. Sprawiała wrażenie, jakby starała się zajrzeć mi za plecy. - Zawsze tak robisz?

- Co robię?

- Pozwalasz, żeby ramiona opadały ci do przodu w tak niefrasobliwy sposób?

- Nie. - Wyprostowałam się i ściągnęłam je do tyłu, zanim ciotka zdążyła dodać coś jeszcze.

- Czego cię ta panna Miller nauczyła, co by miało jakieś znaczenie?

Matematyki, geografii i literatury. Włoskiego i łaciny.

- Mówi się, że matka Consueli Vanderbilt ma przymocowany do kręgosłupa metalowy pręt.

Metalowy pręt!

- Chociaż z zasady nie zgadzam się z takimi metodami, możliwe, że trzeba będzie podjąć radykalne kroki, jeśli sama nie będziesz w stanie skorygować swojej postawy.

- Nie! - Mówiąc to, wyprostowałam się. Przesunęłam się na brzeg krzesła i splotłam ręce.

Ciotka wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę. Po-tem zmarszczyła brwi. I westchnęła.

- Zauważyłam, że gorset już pomógł ci poprawić sylwetkę. Jeśli postarasz się zachować zawsze odpowiednią postawę, to... - znowu westchnęła. - Musisz zrozumieć, że staram ci się tylko pomóc. Gdyby twoja matka żyła, nauczyłaby cię tego wszystkiego dawno temu. I moje nauki nie byłyby potrzebne. Ale naprawdę bez takiej korekcji nie masz szans na sukces w towarzystwie.

Jeden z psów zaszczekał.

Ciotka pochyliła się lekko i położyła mu rękę na głowie.

- Nie będzie potrzeby uciekania się do takich środków, jeśli uda ci się samej zaradzić temu mankamentowi. Zrozumiano?

Kiwnęłam głową.

Z wielką ulgą wymknęłam się w następny czwartek, by przywitać się z Lizzie. Prześlizgnęłam się obok psów, nie mając odwagi na nie spojrzeć, z obawy, że przejrzą moje zamysły. Zarzuciwszy pelerynę, wyszłam tylnymi drzwiami i podążyłam przez ogród.

- Obserwuję cię już nie wiem ile. Wydawało się, że nigdy tu nie dojdiesz! Coś ty robiła? - zbeształa mnie Lizzie, gdy wreszcie doszłam do żywopłotu.

- Szłam. Tak jak dama. Ciotka mówi: „Żadna dziewczyna z dobrego domu nie idzie nigdy prosto do celu”. - Prychnęłam tak, jak to zawsze robiła ciotka. - „Nie spieszy się jak jakaś zwykła służąca. W naturze najpiękniejsze linie nie są proste. Są zakrzywione”.

Lizzie klasnęła w ręce.

- Czekaj. Ja też coś mam! Mama mówi, żeby trzymać ręce blisko spódnicy, kiedy się idzie.

- Naprawdę? - Tego wcześniej nie słyszałam. - Czemu?

- Żeby niestosownie nie dyndały.

Dodałam to do mojej rosnącej listy rzeczy, których nie wolno robić.

- Mam też nie stać z rękami za plecami. - Lizzie odsunęła się od krzaków i splotła ręce przed sobą.

- Naprawdę? Nie wiedziałam... i nie wiem, czy zdołam zapamiętać.

- Ja nie mogę. Mama mówi, żebym je zawsze splatała. - Twarz Lizzie poczerwieniała.

- Ja mam nie mrugać...

- A ja mam nie pozwalać, żebyjakiś młodzieniec zwracał się do mnie po imieniu...

- I nigdy, przenigdy nie pozwolić młodemu mężczyźnie, żeby wziął cię pod rękę... - Uniosłam do góry palec, tak jak to robiła ciotka, gdy mnie upominała.

- Ponieważ to sugeruje, że jesteś słaba - dokończyła Lizzie, chichocząc.

Wszystko to było bardzo piękne, ale w takim razie *co* miałyśmy robić z młodymi mężczyznami?

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, Lizzie... co nam wolno robić? Kiedy jesteśmy w towarzystwie młodego mężczyzny?

Zmarszczyła brwi i przestała się śmiać.

- Mamy być miłe. I szczerze. I uprzejme. I... mamy złapać jednego na męża!

- A jeśli o czymś zapomnę i coś zrobię... albo zapomnę i nie zrobię?

- Wtedy przyjdę ci z pomocą. A ty masz przyjść mnie.

Kochana, słodka Lizzie. Najwyraźniej miała odpowiedź na wszystko. A ja miałam tylko dylematy.



- Nie chcę debiutować.

Nigdy nie chciałam.

- Nigdy nie chciałaś.

Musiałam się uśmiechnąć, że potrafi tak dobrze czytać w moich myślach.

- Nie jestem gotowa. Nie tak jak ty.

- Ależ jesteś gotowa.

- Nie jestem.

Pochyliła się do przodu i ujęła moje ręce, ściskając je w swoich.

- Urodziłaś się po to, żeby debiutować, i ja też. Nie ma znaczenia, czy chcesz, czy nie, czy jesteś gotowa, czy nie. Nie mamy wyboru.

Nie miałyśmy. Taka była najprawdziwsza prawda.

Dzień mojego podwieczorku wstał zimny i pochmurny. Przez większość ranka zanosило się na deszcz, ale do popołudnia chmury rozwiął bezlitosny wiatr. W ogrodzie targał nieszczęsnymi liśćmi na wszystkie strony.

- Czy uważasz, że...?

- Słucham? - Ciotka obserwowała pilnie, jak pokojówka się mną zajmuje.

Setki myśli cisnęły mi się do głowy, ale nie wiedziałam, na której mam się skoncentrować. Czy ktokolwiek przyjdzie? Czy nie zepsuję podwieczorku? Czy fryzura się utrzyma? Czy będę miała coś mądrego do powiedzenia? Do wszystkich, którzy przyjdą? Jeśli ktokolwiek w ogóle przyjdzie?

- Czy uważasz, że się uda?

- Oczywiście, że się uda. Musi się udać. Jak statek, który właśnie zwodowano, albo wpadniesz na piaszczystą łachę i osiądziesz na mieliźnie, albo z ogromną pewnością siebie wypłyniesz na pełne morze. Ostrzegam, nie możemy sobie

pozwolić na to, żebyś utknęła przy jakimś opustoszałym brzegu! W tym roku Wielkanoc jest dość późno - to daje nam przewagę. Pomiędzy oficjalnym rozpoczęciem sezonu w przyszłym miesiącu a jego zakończeniem w Wielkim Poście jest jedenaście miesięcy. Musimy zyskać jak najwięcej przewagi w tych przyszłych kilku tygodniach. Musisz odnieść sukces i go odniesiesz. Honor rodziny Carterów zależy od ciebie. Poza tym, ten podwieczorek wydajemy bardziej z myślą o matkach niż o kawalerach. Zrób wrażenie na tych kobietach, a one popchną swoich synów w twoim kierunku.

Miałam się przejmować także matkami?

Ubrano mnie w lizeskę, bo nie byłam jeszcze gotowa, żeby założyć suknię do podwieczorku. Pokojówka przeczesła mi włosy, zbierając loki na czubku głowy.

- Stój!

Obydwe z pokojówką podskoczyłyśmy, słysząc krzyk ciotki.

- Sądzę, że fryzura musi być trochę niższa. Klara jest już wystarczająco wysoka

Pokojówka puściła włosy i spróbowała jeszcze raz - poczułam, jak zęby grzebienia prawie robią mi bruzdy w skórze głowy.

- Nie. Nie. Trzeba czegoś mniej surowego. Zrób przedziałek w środku na cal. Grzywkę zakręcimy. Resztę zbierz z tyłu w węzeł z małymi loczkami wymykającymi się na karku.

Pokojówka jeszcze raz puściła moje włosy. Tym razem przedziałek był zrobiony mniej brutalnie, włosy zebrane mniej gwałtownie. Ale kiedy myślałam, że już jestem uratowana, upięła mi włosy szpilkami, które wbiła w moją czaszkę. A potem podeszła z żelazkami do karbowania włosów.

- Podziękujesz mi, kiedy będziesz w centrum zainteresowania rubryki towarzyskiej w gazecie. - Ciotka ucałowała jednego ze swych psów, zanurzając nos w jego futrze.

Raczej w to wątpiłam. Siedziałam, a pokojówka, przesu-  
nawszy żelazka tam i z powrotem nad płomieniem świecy,  
przyłożyła je do mojej grzywki.

Potem wzięła suknię i chciała pomóc mi się ubrać.  
Ale ciotka kazała ją odłożyć i najpierw mocniej ściągnąć  
gorset.

- Proszę! Już teraz ledwo oddycham.

- Suknia ma leżeć idealnie... pod warunkiem że osoba,  
która ją włoży, ma osiemnaście cali w pasie.

Osiemnaście cali? Już? To było półtora cala mniej niż  
miałam.

- Przyciągnij gorset.

Poczułam, jak pokojówka poluzowuje mi sznurowanie na  
plecach. Nastąpiła chwila słodkiej wolności, kiedy mogłam  
bez przeszkód oddychać, a potem dziewczyna szarpnęła  
gwałtownie sznurówki, wypychając całe powietrze z mojej  
piersi. Kiedy już przyzwyczaiałam się do ucisku, pomogła mi  
założyć halkę, krynolinę, a potem suknię. Była to tradycyjna  
biała suknia debutantki. Uszyto ją z krepdeszynu, a do ra-  
mion przytwierdzono atłasowe kokardy, zaś atłasową różę  
z tyłu w pasie. Zupełnie nie była podobna do moich wcze-  
śniejszych luźnych sukien. Tamte opadały swobodnie od  
pasa do kostek. Ta opinała ciasno, nienagannie górną część  
mojego ciała i zwęzła się w pasie, by potem rozejść się pro-  
mieniście na biodrach w niezliczoną ilość plis.

Ciotka wzięła mnie za rękę i podprowadziła do lustra.

Odbicie, które z niego na mnie spoglądało, było zadzi-  
wiające.

Nie byłam już dziewczyną.

Nie byłam już siedemnastolatką.

Byłam debutantką, kobietą. Poszukującą męża.

- Teraz rękawiczki. - Ciotka skinęła na pokojówkę. -  
Tak się to robi. Najpierw musisz posypać je sproszkowanym

ałunem. - Wyciągnęła słoiczek z kieszeni i potrząsnęła nim w środku rękawiczki. - Daj mi rękę.

Podałam.

Pociągnęła mnie w kierunku taboretu stojącego przed toaletką. - Usiądź tutaj i połóż łokieć na stole.

Spojrzałam na nią, zmarszczywszy brwi. Łokieć na stół? Z pewnością żartowała. O ile ciągle nie byłam pewna noży do ryb i widelców do cytryn, tę zasadę znałam na pamięć: nie wolno kłaść łokci na stole.

- No już!

Zrobiłam, jak kazała, choć obawiałam się, że w każdej chwili może mnie złajać. Ale nie złajała. Zaczęła po prostu wywracać jedną z rękawiczek na lewą stronę, aż pokazały się otwory na palce. Potem włożyła w nie po kolei każdy mój palec. Siła, z jaką musiała naciągnąć rękawiczkę, wbiła mi łokieć w stół. Ale na tym się nie skończyło. Nie włożyła jeszcze kciuka. - Zaprzyj się.

- Słucham?

- Zaprzyj się. Ręką o kolano.

Wraz z tymi słowami rozpoczęła się walka. W końcu, po kilku chwilach ciągnięcia i szarpania, dzieło zostało dokonane. Ciotka kiwnęła na pokojówkę, żeby zapięła mi guziki. Potem cofnęła się, sapiąc i trzymając rękę na piersi.

- Następnym razem pójdzie łatwiej.

Miałam taką nadzieję. W tej ciasnej rękawicze zupełnie straciłam czucie w kciuku.

- Ledwie mogę poruszyć palcami.

- Wiem. Ale widzisz, jak ładnie prezentuje się twoja dłoń? Czy nie wygląda na dużo mniejszą?

Wygładała. Ale czy to warte było takiej niewygody?

Zeszłam za ciotką po schodach statecznym krokiem.

Gdy dotarliśmy na parter, ojciec wetknął mi w ręce bukiet białych róż.

- Dla najpiękniejszej.

Zaczerwieniłam się, słysząc jego komplement.

- Pamiętaj, moja droga, że pochodzisz z Carterów i zasługujesz na najlepszego kawalera.

- Czyli na dziedzica De Vriesów. - Ciotka ujęła mnie pod ramię.

Zatrzymała się przed nowym lustrem w holu, żeby poprawić włosy. Fioletoworóżowe mankiety wyglądały dziwnie nieznajomo na tle czerni jej sukni. Jednak na razie gagatowe kolczyki nadal zwisały z jej uszu, a włosy przykrywał wdowi koronkowy czepek.

Kiedy przestała szturchać swoją fryzurę, weszliśmy razem do salonu.

Meble usiane były poduszkami. Lamy, niezadowolone z własnych abażurów, przystroiły się w koronki i zwisające frędzle. Półki zdobiła kolekcja miniatur rodzinnych i wachlarzy. Podłogi przykrywało wiele dywaników. Lustra odbijały niezliczone posążki i figurki. A krzesła zdobiły kokardy. Z wyjątkiem jednego.

Z wyjątkiem naszego rewolucyjnego reliktu.

To krzesło stało pomiędzy innymi, pozbawione jakichkolwiek ozdób.

Wspaniałe w swej topornej formie, głosiło każdemu, kto je zobaczył, że rodzina Carterów ma powiązania z bohaterką przeszłością narodu.

Gdzie indziej w wazonach pieniły się pióra. Biurko zdobiła szarfa, tak samo jak fortepian i szafkę na bibeloty. Kolekcja dzwonek mamy została wyczyszczona i teraz lśniły jasno jak gwiazdy. Brokatowe kotary zostały odsunięte, ukazując przeźroczyste koronkowe firanki. Światło, przedostając

się przez cienki jak pajęczyna materiał, rzucało ich wzór na podłogę.

W jadalni stół nakryto koronkowym obrusem, a na środku ustawiono serwis do herbaty. Obok dzbanuszka na śmietankę i cukiernicy znajdowały się półmiski z różnego rodzaju wędlinami, a także jedna piętrowa patera wypełniona bułeczkami z rodzynkami i druga z babeczkami. Piramida z cieplarnianych truskawek. Iskrzące się kryształowe naczynia z galaretkami oraz maleńkie porcelanowe filiżanki ze słodkimi kremami. A pośród tych wszystkich dań i utensyliów porozkładano bukiety ciętych kwiatów najbardziej wyszukanych odmian.

O czwartej pojawił się pierwszy gość. Następni przychodzili grupami. Wśród nich Lizzie i jej matka. Zobaczywszy je, ciotka uśmiechnęła się szyderczo.

- Bez wątplenia zbierają informacje na podwieczorek Lizzie.

- Lizzie będzie miała podwieczorek?

- Oczywiście, że będzie miała. W następny poniedziałek. W restauracji Sherry ego.

W restauracji! Lizzie na pewno nie posiadała się z podniecenia. Nie ma nic bardziej wytwornego niż restauracja. A jeszcze wydać tam podwieczorek!

- Sherry - prychnęła ciotka. Jeśli już musi się organizować podwieczorek w restauracji, to trzeba to robić wyłącznie u Delmonica. On zna wartość starych fortun. Poza tym, był czas, kiedy każdy przyzwoity człowiek przyjmował gości w własnym domu, a nie w restauracji jak jakiś włóczęga. Zastanawiam się, co oni starają się ukryć? - prychnęła ciotka.

Pomachałam ukradkiem wachlarzem w kierunku Lizzie.

Odpowiedziała tak samo na moje powitanie.

- Przestań! Masz gości, którymi trzeba się zająć. Potencjalnych konkurentów. Zostaw Lizzie i jej matkę samym

sobie. Przyszły tylko po to, żeby zobaczyć, co mamy. Przy-  
najmniej zobaczą, jak w odpowiedni sposób podaje się  
podwieczorek. Nie mam wątpliwości, że wyjdą, zanim się  
skończy.

Ciotka miała rację. Zanim zdołałam się uwolnić od kolej-  
ki gości czekających na przyjęcie i poszukać Lizzie, żeby się  
trochę rozerwać, już ich nie było.

Kolejka gości wydawała się nie mieć końca. Każdy z nich  
czekał, abym go przywitała. Byli wśród nich młodzi męż-  
czyźni we wszystkich rozmiarach i kształtach. Poczawszy od  
tego, który natychmiast zaszył się w kącie i rzucał w moim  
kierunku złowrogie spojrzenia, po innego, który potrakto-  
wał moje powitanie jak niechciany obowiązek, który trzeba  
znieść, by uzyskać dostęp do obficie zastawionego stołu. Nie  
było jednak wśród nich wyjątkowo szykownego młodzieńca.  
Ani nawet trochę rozczochanego bruneta. Pośród tylu gości  
nie dostrzegłam mężczyzny, dla którego zostałam wyszyko-  
wana. Którego szukałam.

Witałam zarówno matki, jak i synów. W gruncie rzeczy,  
połowę swojego czasu spędziłam na witaniu gości. Druga  
połowa zeszała mi na ich żegnaniu. Każdemu z nich mówi-  
łam to samo. *Bardzo dziękuję, że pani przyszła/pan przyszedł*  
oraz, kiedy zbierali się do wyjścia, *Do widzenia*. Dopiero  
kiedy ostatni z gości opuścił nasze progi, pomyślałam, żeby  
zapytać o dziedzica De Vriesów.

- Przyszedł?

Czyżbym go nie zauważyła? Nie bardzo sobie wyobra-  
żałam, jakby to było możliwe. Pomimo moich obowiązków  
i tłumów ludzi byłam w stanie przejść się i po salonie, i po  
jadalni. Dwa razy.

- Kto? - Ciotka odwróciła się od abazuru, który właśnie poprawiała.

- Pan De Vries.

- N i e .

Nie? Ale... Cała niewielka przyjemność, jaką sprawił mi podwieczorek, wyparowała. Nie było go tutaj? Nie widział mnie? Czyż to wszystko nie było dla niego? Cała moja praca, cała moja towarzyska ogłada została zaprezentowana na darmo.



## 8

W następnym tygodniu nadal byłam w kiepskim nastroju. Jeśli pan De Vries nie zechce przyjść się przedstawić, nie miałam pojęcia, jakim sposobem będę miała okazję go zdobyć. Tak jak stało się to ostatnio moim zwyczajem, zrezygnowałam z serów i kiełbasek. Zamiast nich zjadłam kawałek suchego tosta. Była to jedna z niewielu potraw, które nie zalegały mi w żołądku. No i oczywiście, jak zawsze, musiałam skosztować jajek kucharki. Ciotka mi kazała. Ale zawsze chowałam resztę pod serwetką, gdy wstawałam od stołu.

Ciotka zaskoczyła mnie, odzywając się zza stronic gazety.

- Zmieniłam zdanie. Weźmiemy udział w podwieczorku Lizzie. - Ciotka powiedziała to tak, jakby zmiana zdania była u niej na porządku dziennym.

- Weźmiemy? Dzisiaj?

- No przecież nie jutro. - Spojrzała na mnie znad gazety.

Później, po lunchu, przyszła do mnie pokojówka. Wyjęła z szafy suknię wizytową w kolorze bładozielonym. Położyła ją na łóżku. Potem znalazła moje rękawiczki i parę bransoletek i położyła je obok niej. Kiedy dociągała sznurówki gorsetu, do pokoju weszła ciotka.

Dotknęła palcami sukni leżącej na łóżku, a potem spojrzała przez ramię w kierunku szafy.

- Może... może ta jedwabna suknia w kolorze lawendowym byłaby lepsza.

- Jedwabna lawendowa? Ale czy ona nie jest przeznaczona do przyjmowania gości? W domu? - Ponieważ była przeznaczona do przyjmowania, a nie składania wizyt, miała bardziej stonowany krój. Bardziej spokojny. I mniej... ładny.

- Tak, tak. Daj mi chwilę pomyśleć. - Podniosła głowę i zamknęła oczy. Widziałam, jak poruszają się pod powiekami tam i z powrotem, w górę i w dół. W końcu opuściła brodę i otworzyła oczy. - Nie możesz wyglądać zbyt staro, ale też nie możesz wyglądać zbyt młodo. Lizzie jest w sumie zachwycająca. Jeśli spróbujesz rywalizować z nią na gruncie pulchnych policzków i złocistych loków, z pewnością zyska nad tobą przewagę. Twoja karnacja jest zbyt chorobliwie blada, żeby wyglądała dobrze przy jej rumianej cerze. Najlepiej będzie, jeśli pokażesz się na podwieczorku, ale będziesz się trzymać z dala od niej. A twoja suknia musi mieć żywy kolor. Musimy odwrócić uwagę od Lizzie. Tak, zielona suknia będzie dobra.

Usiadła na jednym z moich wyszywanych w bratki krzesel, a psy stłoczyły się wokół jej nóg.

Ubrana w halkę i narzutkę do czesania usiadłam przed lustrem, a pokojówka zebrała mi włosy do tyłu i zaczęła zaplatać je w warkocz, z którego potem miała zrobić pętlę na karku.

Ciotka ją powstrzymała.

- Potrzebna jest bardziej wytworna fryzura. Ogłosiliśmy już twoje pojawienie się w towarzystwie, Klaro. Możesz upiąć włosy w bardziej wyszukany sposób. Lizzie tego zrobić nie wolno. Przynajmniej nie dzisiaj. I tę różnicę należy podkreślić.

Przedyskutowały z pokojówką różne możliwości, decydując się w końcu na fryzurę upiętą do góry.

Kiedy już mnie ubrano i uczesano, wyszczotkowano mi suknię i buciki, zeszłam za ciotką majestatycznie po schodach.

- Nie zabieracie chyba powozu. - Ojciec dogonił nas, gdy wychodziłyśmy.

- Zabieramy.

- Ale mogę go potrzebować dziś po południu!

Ciotka nawet się nie zatrzymała.

- Będziesz musiał powiedzieć swoim pacjentom, żeby byli cierpliwi.

- J e s t jeszcze coś takiego, jak nagłe przypadki.

- J e ś l i w tych okolicznościach ktoś między czwartą a szóstą będzie oczekiwał, że się nim zajmiesz, trzeba mu powiedzieć, żeby umierał kiedy indziej.

Ciotka wyszła z domu.

W restauracji Sherry'ego odebrano od nas peleryny i wprowadzono do fantastycznego świata ekstrawagancji. Pod główną ścianą sali ustawiono różne stoły. Jeden na herbatę, jeden na wędliny i pikantne przystawki oraz jeden na ozdobne desery.

Mój stół w domu był ozdobiony kwiatami. Na stołach Lizzie stały kolumny z owoców sięgające prawie do sufitu, ociekające czereśniami i agrestem, rozchodzące się u góry w pierzaste wachlarze ananasów. Obok nich ustawiono kolumny z kwiatów, które z pewnością pochodziły z egzotycznych krajów. Światło świec odbijało się w lustrach i niezliczonych kryształowych karafkach, wazonach i naczyniach.

Był to migocący, połyskujący pokaz elegancji i wytworności.

- No proszę. - Tym razem ciotka nie powiedziała nic więcej. Prawdę mówiąc, moim zdaniem nie miała czego skrytykować. Ale ona potrzebowała tylko chwilkę na zebranie myśli. - Jeśli zamierzali podać kolację, dlaczego napisali, że podwieczorek? Tylko prości ludzie podają kolację o tej porze.

## „THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA

17 listopada 1891 r.

**Wszyscy, ale to wszyscy, zebrali się w poniedziałek w restauracji Sherryego, by uczcić debiut panny Elizabeth Barnes. Jeśli te tłumy ludzi nie są w błędzie, panna Barnes jest najwyraźniej debiutantką dnia... a może nawet roku.**

Debiut Lizzie był towarzyskim triumfem. Ale ona nie o tym chciała rozmawiać w czwartek, kiedy spotkałyśmy się za żywoptem.

- Widziałaś, co włożyła na siebie Emma Vandermere? Do kościoła?

Emma Vandermere? Czy ona w ogóle tam była?

- Powinam była to widzieć?

- Nie. Wcale nie. Ponieważ miała na sobie *niebieski strój z zeszłego sezonu!* - Oczy Lizzie rozszerzyły się przy tych słowach. - Wyobrażasz sobie? Do kościoła! Gdzie wszyscy to zobaczą.

- Czyż w niebieskim nie jest jej do twarzy? Emma miała najbardziej zadziwiające bladoniebieskie oczy.

- T a k . Być może. Przy tych przejrzystych oczach. Ale doprawdy! Niebieski z zeszłego sezonu? Do kościoła? Nie wie-

działa, że wszyscy zauważą? - Lizzie wydawała się urażona, chociaż nie bardzo mogłam zrozumieć dlaczego.

- Może myślała, że wszyscy skoncentrują się na kazaniu.
- Na kazaniu?
- Było całkiem dobre.
- Nie zauważyłam.

Zawsze miałam wrażenie, że większość ludzi tego nie zauważała. Na pieśni też chyba nie zwracali większej uwagi. Jednak w niedzielę chór zaśpiewał jedną z moich ulubionych pieśni. Jedną z ulubionych pieśni mamy. I wtedy przypomniałam sobie coś, co mama powiedziała, kiedy byłam młodsza. Kiedy układano jej fryzurę przed wyjściem na bal.

Słyszałam, jak cały dzień nuci melodię, którą nawet ja rozpoznałam jako kościelną. Ale dopiero wieczorem, między piątą a szóstą - kiedy zawsze byłam z nią sama - zaczęła śpiewać słowa.

*Tak, jaki jestem, pełen wad,  
Obdarty z niewinności szat,  
By w serce promyk łaski wpadł,  
Tak idę już, Baranku mój! \**

Kiedy pokojówka skończyła czesać jej włosy, odwróciła się do mnie i uściśnięła z niezwykłą gwałtownością.

- Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby Bóg kochał nas takimi, jakimi jesteśmy, kochanie? Bez pozy czy udawania? - Mówiła z namysłem i żarem w głosie.

Spojrzałyśmy z pokojówką po sobie.

- Bez turniur, gorsetów czy sztucznych włosów? - Mama uśmiechnęła się i wzięła garść kolczyków ze swej szkatułki na biżuterię.

\* *Just as I Am (Tak, jaki jestem)* - znana dziewiętnastowieczna pieśń amerykańska, autorstwa Charlotte Elliott; tu w tłumaczeniu używanym w polskich wspólnotach protestanckich.

Przytąknęłam, ponieważ najwyraźniej tego właśnie ode mnie oczekiwała.

Schyliła się i pocałowała mnie w czoło. Potem przyłożyła do uszu parę kolczyków.

- Które twoim zdaniem? Te ci się podobają? - Pozwoliła im dyndać się przez chwilę, a potem odłożyła na toaletkę i przyłożyła do uszu inną parę. - Albo te?

Wybrałam tę parę co zawsze. Ametysty w oprawie z diamentów i szafirów. Miały dokładnie taki sam odcień jak najlepsze kandyzowane fiołki.

- A zatem ametysty. - Spojrzała w lustro i bez wahania przykręciła je do płatek uszu. Potem odwróciła się do mnie. - Jak wyglądam?

- Doskonale. - Mama zawsze wyglądała doskonale.

- Więc chyba warto było znieść te wszystkie niedogodności. - Uśmiechnęła się i schyliła, by pocałować mnie w policzek.

- Jesteś piękna, mamusiu - zarzuciłam jej ręce na szyję i wtuliłam twarz w jej włosy. Pachniały pikantną lawendą i słodkim jaśminem.

Uścisnęła mnie mocno, a potem odsunęła od siebie, żeby mogła podnieść się z krzesła. - Obawiam się, że to tylko pozory, kochanie.

- Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

- To najmiłszy komplement, jakim kiedykolwiek mnie ktoś obdarzył. - Schyliła się wtedy i pocałowała mnie jeszcze raz.

Potem wyszła z pokoju, zjawiskowo piękna, w kolorach kości słoniowej, koralu i zieleni, pozostawiając za sobą wrażenie kaskady drapowań i koronek. I pytanie, dlaczego nikt jej nie lubił. Tak naprawdę. Takiej, jaką była.

- Sądziysz, Lizzie, że tak wielkie znaczenie ma to, czy ubieramy się w odpowiednie kolory lub mówimy odpowiednie rzeczy?

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to... a jeśli... dlaczego musimy udawać osoby, którymi nie jesteśmy? Dlaczego musimy wydawać się szczuplejsze, niż jesteśmy, szczęśliwsze, niż się czujemy, i znać przeznaczenie kilkunastu rodzajów noży, kiedy za zwyczaj wystarcza tylko jeden?

Spojrzała na mnie, jakbym ją właśnie poprosiła o przetłumaczenie moich słów na łacinę.

- Bo musimy.

- A nie lubiłabyś mnie tak samo? Nawet gdybym była ubrana w niemodny kolor niebieski?

- Oczywiście, że bym cię lubiła. Ale być może nie zaprosiłabym cię na kolację. Kiedy już wyszłabym za mąż.

- Nie zaprosiłabyś?

- Nie mogłabym. - Chciała, jak zauważyłam, wrzucić ramionami, ale potem ściągnęła je w dół. - Jeśli chciałabym być modna, a ty byś nie była.

- Więc byś mnie po prostu... ignorowała?

Lizzie by mi zrobiła afront? Mnie - swej najdroższej przyjaciółce? Nigdy bym się tego po niej nie spodziewała!

- Nie *zignorowałabym* cię. Nigdy bym ci tego nie zrobiła! Ale może musiałabym ograniczyć się do składania ci wizyt podczas twojego dnia przyjęć albo do spotkania w muzeum sztuki. Chyba, że stałabyś się jedną z tych szalenie ekscentrycznych osób. Jak ciocia Beulah w Vicksburgu. Mama mówi, że ona ma ogromną trąbkę akustyczną, którą *cały czas* nosi przymocowaną do głowy.

- Jest głucha?

- Nie. - Oczywiście zaczęły błyszczeć. - Jest tylko przekonana, że wszyscy o niej mówią, a ona nie chce uronić ani

jednego słowa. Mogłabyś być tak ekscentryczna jak ona i nikomu by to nie przeszkadzało.

- Doprawdy.

- Nie dąsaj się. Mówię ci tylko prawdę. Każdy by tak zrobił. Każda z nas powinna tak zrobić. A poza tym, ty wcale nie jesteś taka.

Rzecz w tym, że byłam.

- Nie zapomnij spotkać się ze mną w przyszłym tygodniu. I przynieś wachlarz! - Lizzie pochyliła się, żeby pocałować mnie w policzek.



## 9

Mój pierwszy dzień przyjęć nadszedł szybciej, niż sobie tego życzyłam. Starałam się wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu wobec perspektywy siedzenia obok ciotki przez kilka godzin, rozmawiając z ludźmi, których nie znam, na tematy, które nie mają znaczenia, ale czułam jedynie niepokój.

Nie chciałam wychodzić z pokoju.

Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym usiadła najednym z moich wyszywanych krzeseł i odmówiła wyjścia. Co by ciotka zrobiła? Co by mogła zrobić? Zmarszczyłam brwi, gdy pokojówka zwijała mi włosy w kok. Nie chodziło o to, co robi ciotka... ale o to, co pomyśli ojciec. Nie mogłam go zawieść. Mój ojciec pracował niestrudzenie. Musiałam debiutować, byłam to winna mojej rodzinie. A jeśli musiałam się tego podjąć, to postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby odnieść sukces.

Suknia domowa, w którą mnie ubrano, była obcisła i trochę dusząca. Uszyta z wełny w kolorze różanym, miała wysoki kołnierz obszyty koronką. Bufiaste rękawy opadały luźno na przedramiona, gdzie zebrano je koronką, która schodziła do nadgarstków. Stanik ciasno opinał gorset, a potem suknia rozszerzała się na biodrach i opadała prosto aż do podłogi. Byłam całkowicie zakryta. Od stóp do głowy. A jednak moja figura objawiła się w całej swej apetycznie zaokrąglonej chwale.

Wyglądałam jak ktoś obcy.

I nawet mi się ten wizerunek podobał. Dziewczyna w lustrze wyglądała na kogoś, kto należy do towarzystwa.

Dziewczyna w lustrze była uosobieniem elegancji, uroku i wdzięku. Ona wiedziała, jak się tańczy. Ona wiedziała, jak się konwersuje. Na widok pokoju pełnego nieznanym nie szukała schronienia w swojej sypialni.

Żałowałam, że nie czuję się tak, jak ona wygląda.

Zeszliśmy do salonu tuż przed trzecią i siedzieliśmy, czekając, na kanapie przez pełne pół godziny, zanim ciotka się poruszyła.

Ja pod swą elegancką suknią byłam zjadana żywcem. Gorset gryzł mnie w boki jak żmija. Cienka koronka wokół szyi drapała skórę, a wytworne noski pantofelek szczypały mnie w palce.

- Może zagrasz na fortepianie. Gdy będziemy czekać.

Podniosłam się z kanapy, czując ulgę, że mogę się poruszyć.

- Nie. Nie. Lepiej nie. Nie byłoby dobrze, gdyby nasz pierwszy gość pomyślał, że nie przyszedł do ciebie nikt inny.

Ponownie zajęłam miejsce obok niej.

O czwartej usłyszałyśmy, jak kamerdyner otwiera drzwi.

Chwilę później wszedł do salonu, niosąc przed sobą srebrną tacę. Podał ją, zatrzymując się przed nami.

Ciotka chwyciła leżący na niej bilet wizytowy.

- Pan Ira Hooper. - Zmarszczyła brwi. - Ira Hooper. Ira Hooper. Chyba... musi być spokrewniony z tymi Hooperami z Bostonu... o ile dobrze pamiętam, jego matka była siostrą Charlesa Wilsona z bostońskich Wilsonów, którzy dorobili się na czyszczeniu butów. W czasach zamieszek żywnościowych. W latach trzydziestych.

Straciłam wątek przy słowach „siostra kogoś z bostońskich... jakichś tam”. Próbowałam prześledzić w myślach ten dość mglisty rodowód.

- T a k . Poproś go. - Ciotka kiwnęła głową. Gdy kamerdyner wyszedł, odwróciła się do mnie. - Przynajmniej kiedy przyjdą inni goście, przekonają się, że ktoś był tutaj przed nimi.

Gdy kamerdyner zniknął, pojawił się dość wymizerowany, tyczkowaty młodzieniec. Wydawało mi się, że pamiętam go ze swojego podwieczorku. O ile dobrze go kojarzyłam, a byłam tego prawie pewna, stał w kącie koło fortepianu i piorunował mnie wzrokiem. To samo robił teraz. Jeśli mnie nie lubił, to po co przychodził? I to dwukrotnie.

Spróbowałam się uśmiechnąć. Żeby zobaczyć, czy skłoni go to do odezwania się.

Nie skłoniło.

Gdy podszedł, wstałyśmy.

On się ukłonił.

My skłoniłyśmy głowy.

- Pan Hooper. Jak miło, że nas pan odwiedził - uśmiechnęła się ciotka.

- Od czasu podwieczorka panny Carter nie mogłam myśleć o niczym innym.

- Bardzo uprzejmie z pana strony, że wziął pan w nim udział, prawda, Klaro? - Ciotka najwyraźniej przerzuciła ciężar rozmowy na mnie.

- Czy... - Skąd to według ciotki pochodziła jego rodzina? Z Bostonu! - Od dawna pan w mieście, panie Hooper?

- T a k .

Naprawdę?

- Ale chyba dobrze zna pan Boston?

- Nie, niespecjalnie.

- A chciałby pan poznać?

- Nie. Chciałbym się znaleźć w towarzystwie mojej siostry.

Brwi podjechały mi do góry, gdy starałam się zrozumieć tę nielogiczną uwagę. - Pańskiej siostry. Czy ona... debiutuje w tym roku?

- Powinna. Tak.

Powinna? Czyli nie debiutuje.

- Czy jest chora?

Ciotka zakasłała. Najwidoczniej zapuściłam się na niebezpieczny konwersacyjny teren.

- *Była* chora.

- Czyli wyzdrowiała.

A ja, miałam nadzieję, wybrnęłam z mojego *faux pas*.

- Minnie nie żyje.

- Och! Ojej. O mój Boże! Tak mi przykro.

- Mnie też. Myślę, że doktorowi Carterowi też powinno być przykro.

- Doktorowi Carterowi?

- Doktorowi Carterowi. Pani ojcu.

Po tym zadziwiającym stwierdzeniu wpatrywał się dalej we mnie w ten sam nieznośny, nieporuszony sposób. Wyglądało na to, że rozmowa z nim będzie jak rozmawianie ze szpicem ciotki. I to właśnie udawałam, że robię. Prawdę mówiąc, spojrzenie pana Hoopera tak bardzo przypominało mi spojrzenia zwierzaków ciotki, że nie było trudno podjąć się takiego zadania. Trajkotałam o... niczym. Przez całutki kwadrans. Aż zegar wybił godzinę.

I właśnie wtedy pan Hooper w końcu zdecydował się odezwać.

- Mam nadzieję, że będę miał przyjemność zobaczyć panią w tym sezonie w operze.

Naprawdę? A wydawało się zupełnie oczywiste, że mnie nienawidzi.

- Albo na jednym z balów?

Ciotka wstała.

Poderwałam się również, wdzięczna, że coś robię, cokolwiek poza mówieniem. Do kogoś, kto miał bardzo mało do powiedzenia.

Nasze powstanie wymagało, żeby on zrobił to samo.

- Z pewnością tak. Do widzenia, panie Hooper. - Kiwnęłam głową, niczego bardziej nie pragnąc, jak uwolnić się od niego i jego złego humoru.

Gdy pan Hooper wychodził z salonu, ciotka wzięła mnie za rękę. Kiedy już go nie było, pociągnęła mnie obok siebie na kanapę.

- Co za przekorny młodzieniec! Poradziłaś sobie wspa-  
niale mimo jego złych manier. Tak jak ci mówiłam, zawsze  
jest dla ciebie korzystne, jeśli wiesz, jak prowadzić rozmowę  
z kimś, kto nie może lub nie chce mówić.

Kiedy rozkoszowałam się pustym salonem, w którym nie  
było nikogo do rozmowy i nic do zrobienia, pojawił się ka-  
merdyner z srebrną tacą w ręce.

- Pani Izaakowa Hobbs. - Ciotka skinęła głową kamer-  
dynerowi, odkładając z powrotem bilet wizytowy na tacę.  
A potem, wstając, powiedziała do mnie: - Pani Izaakowa  
Hobbs jest żoną pana Hobbsa.

Jakżeby inaczej.

- I matką pana Jeremiasza Hobbsa, który przejmie po  
panu Hobbsie interes.

Hobbs. Hobbs. Najwyraźniej powinnam znać to nazwi-  
sko. - A czym się zajmują?

W drzwiach pojawiła się kobieta i ciotka miała tylko  
krótką chwilę, żeby wyszeptać odpowiedź.

- Usługi pogrzebowe. Najlepsze w mieście.

Brwi podjechały mi do góry i z trudem ściągnęłam je  
z powrotem na dół. Usługi pogrzebowe! Oczywiście. *Usługi  
pogrzebowe Hobbsa: Twoja śmierć, nasze święte powiernictwo.*  
To było... to znaczyło... nie bardzo miałam odwagę zastana-  
wiać się, co to miało znaczyć. I niezmiernie cieszyłam się, że  
przeznaczony mi był inny konkurent, bardziej nastawiony na  
doczesne sprawy.

- Pani Hobbs! Jak miło, że nas pani odwiedziła.
- J a k i wspaniały podwieczorek wydała pani dla bratanicy, panny Carter - kobieta skinęła głową w moim kierunku.
- Odwzajemniłam gest.
- Usiadła na krześle, a my na kanapie.
- Debiutantki są teraz takie pełne życia, pani Stuart. Nie takie, jak za naszych czasów. Za naszych czasów prędeziej się kaszlało, niż uśmiechało. I omdlewało, niż tańczyło. Nie pamięta pani?
- Pamiętam. Byłyśmy wręcz jak suchotniczki. Wszystkie.
- To prawda, to prawda. - Wyszarpnęła chusteczkę z rękawa. - Żadnej z nas nie był pisany długi pobyt na ziemi. I byłyśmy tego świadome. - Wspominając, co jakiś czas kiwała głową.
- Rzeczywiście - uśmiechnęła się ciotka.
- Należy zastanawiać się nad swoją przyszłą wiecznością.
- Pani Hobbs przetarła oko.
- Rzeczywiście. Słyszałam, że żona pana Jamesa Cole'a zmarła zeszłej nocy.
- Tak. Cudowna osoba. Ale...
- Ciotka nadstawiła ucha. Ja też.
- Ale... nie da się pojąć, dlaczego wybrano dla niej taką trumnę.
- Naprawdę?
- Tak. Pan Cole wybrał... no cóż... nie powinnam mówić... naprawdę.
- Nie chciałabym się wtrącać w prywatne sprawy pana Cole'a. - Ciotka splotła ręce na kolanach.
- Oczywiście. Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. - Pani Hobbs odwróciła się do mnie. - Z kim debiutujesz, moja droga?
- Chociaż pytanie było skierowane do mnie, odpowiedziała ciotka.

- Z córką Barnesów, kilkoma Vandermerównami i Remstellówną, Moffatówną i dziewczyną Sturbridge'ów oraz kilkoma innymi dziewczętami.

Pani Hobbs uśmiechnęła się do mnie.

Odwzajemniłam uśmiech.

Zwróciła się znów do ciotki.

- Naprawdę żałuję, że nie mogę nic powiedzieć na temat trumny pani Cole. Ale nie powinnam.

- Proszę nie mówić nic, czego nie chce pani powiedzieć.

Pani Hobbs siedziała na krześle naprzeciwko nas z niepewną miną.

- Tak. Chyba nie powinnam. - Jej twarz się rozjaśniła. - Słyszała pani o nowej liberii Vanderbiltów? Dla służby?

- Nie słyszałam. Czyż nie zamówili niedawno nowej? Kilka lat temu?

- Zamówili. Ale nie była wystarczająco zauważalna.

- Czyż nie o to właśnie chodzi? Jak się ma służbę? Nie powinno się ich zauważać, nieprawdaż?

Pani Hobbs uniosła brew.

- No cóż, czy się powinno, czy nie, teraz będzie ich widać. Wszyscy dostali czerwone stroje.

- Czerwone!

- No cóż. Bordowe. Z bordowego *atlasu*. - Ponownie zwróciła się do mnie. - Proszę mi powiedzieć, panno Carter, co panienka sądzi o swoich ewentualnych kandydatach?

Moich kandydatach? Zrobiłam wielkie oczy. Czułam się przez nich onieśmielona. Prześladowana szczególnie przez pana De Vriesa. Ale pani Hobbs nie to chciała usłyszeć i z pewnością ciotka nie chciałyby, żebym to powiedziała. Desperacko starałam się więc wymyślić coś grzecznego i uroczego.

- Sądzę... z pewnością... - Uśmiechnęłam się i zaczęłam jeszcze raz. - Nie mogę uwierzyć, że w końcu nadszedł mój debiut.

Co było szczerą prawdą. Miałam nadzieję, że będę mogła przełożyć go o rok. Albo dwa. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że zamiast tego pojedę do Vassar.

Uśmiech zniknął z twarzy pani Hobbs. Potem skinęła głową.

- T a k . Ale lepiej teraz zrobić to, czego może nie będzie się w stanie zrobić później. Jak biedna pani Cole. Gdybyż tylko *ona* miała jakiś wybór.

Gdybym to *ja* miała wybór. Gdybym miała wybór, skłoniłabym panią Hobbs do wyjawienia tego sekretu, który starał się z niej wydostać.

- J e s t e ś zdrowa, kochaneńka? - Pochyliła się ku mnie.

- Czy jestem...?

- Zdrowa. - Powiedziała to słowo głośno i wyraźnie, dzieląc na sylaby.

O retę. Mówią, że najpierw traci się słuch. - Dodała.

- Słuch?

- Nie. *Zdrowie*. Czy jesteś zdrowa?

- T a k .

- Och! Bo ja zawsze uważałam, że najpiękniejsze są zwłoki młodych dziewcząt. A ty jesteś taka wysoka i szczupła. Nie taka, jak pani Cole.

- Spodziewam się, że Klara będzie z nami jeszcze przez jakiś czas. Przez *długi* czas. - Uśmiech ciotki stał się dość wymuszony.

- Myśleliśmy właśnie o nowej reklamie. Dla firmy. Pomyśl o tym, moja droga - czyż jest lepszy sposób na opuszczenie tej ziemi, niż mając świadomość, że twoja twarz znajdzie się na każdej mleczarce w mieście?

- O Boże! - Ciotka uniosła się na kanapie i spojrzała w kierunku gzymsu kominka. - Nasz zegar chyba znowu stanął, Klaro. Jestem pewna, że już dawno minęła czwarta.



Pani Hobbs spojrzała gwałtownie przez ramię na kominek.

- Naprawdę? No cóż, to muszę już iść. - Zebrała swoje obszerne spódnice i podniosła się z wysiłkiem. Potem wyjęła wizytówkę z torebki i podała ją bezpośrednio mnie. - Gdybyś zaczęła czuć się słabo, daj mi znać. Jaka to byłaby sensacja, gdyby debiutantka zmarła w trakcie sezonu!

Spojrzałam na wizytówkę. *Usługi pogrzebowe Hobbsa: Twoja śmierć, nasze święte powiernictwo.*

Pani Hobbs podeszła do ciotki.

- Żałuję, że nie mogłam opowiedzieć o pani Cole, ale po prostu nie mogę. Tak mi przykro.

- Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. Dziękujemy za wizytę.

- Po tym podwieczorku ciągle miałam twarz panny Carter przed oczami. Jakjakieś widzenie. A dzisiaj rano przyszło mi do głowy, że byłaby piękną nieboszczką. - Nachyliła się do ciotki. - Sądzi pani, że to prorocze?

- Prawdopodobnie nie. Do widzenia.

Pani Hobbs uśmiechnęła się do mnie, a potem wyszła powoli do holu.

Ciotka patrzyła z gniewem na jej plecy, dopóki nie zniknęła za rogiem.

- Ona nie ma pojęcia, jaka jest nieokrzesana!

- Chciała mnie umieścić w reklamie. Jako umarłą!

- Doprawdy, tej kobiecie tylko jedno w głowie. I nigdy nie wiadomo, co to w danej chwili jest!

Zakryłam usta ręką, tłumiąc wzbierający chichot.

- Pamiętaj, nigdy nie opłaca się zrazić do siebie właściciela zakładu pogrzebowego. Człowiek nigdy nie przewidzi, kiedy może potrzebować jego usług.

- Czyja... poznałam pana Hobbsa? Syna?

- Tak, oczywiście że tak. Był na twoim podwieczorku.

- Naprawdę?

- Tak. Ale nie martw się. Był dużo bardziej zainteresowany potrawami na stole i rozmową ze starszymi osobami niż rozmową z tobą. Można by powiedzieć: ma nos do interesów.

Poczułam, jak mój własny nos krzywi się z odrazą i z jakiegoś dziwnego powodu miałam ochotę umyć ręce. I twarz. I ramiona.

- Nie przejmuj się nią. Kiedy była młodsza, chorowała na suchoty, ale jakoś ją wyleczono. Od tej pory uważa, że pozostała wśród żywych przez jakiś okrutny psikus losu. I sądzi, że wszyscy inni powinni myśleć tak samo. Wiesz, to jest dobre dla ich firmy.

- Tak, ale... czy kiedykolwiek będę musiała rozmawiać z panem Hobbsem? Juniorem?

- Mam wielką nadzieję, że nie!

Siedziałyśmy dalej na kanapie prawie przez godzinę, aż zegar wybił piątą. - No cóż, muszę zajrzeć do gazet. Myślałam, że wtorki są bezpiecznym dniem na nasz dzień przyjęć, ale... musiało być dziś po południu jakieś inne wydarzenie. Jestem pewna, że w przyszłym tygodniu będzie więcej gości. I możesz znowu ubrać się w tę śliczną suknię.

# 10

W czwartek po południu, w Dzień Dziękczynienia, kiedy ciotka drzemała, wymknęłam się na dół. Zauważyłam, że drzwi do gabinetu ojca są otwarte. Podniósł głowę, słysząc moje pukanie.

- Ach, najpiękniejsza debiutantka sezonu! A czemuż to zawdzięczam, że zaszczyciłaś mnie swoim uroczym towarzystwem? - Czasami ojciec potrafił sprawić, że czułam się jak najpiękniejsza dziewczyna na świecie. A czasami zdawał się zapominać, że w ogóle istnieję.

- Chciałam zadać szanownemu doktorowi Carterowi pytanie. - Uśmiechnęłam się.

- Pytanie? Pytania są za darmo. To za odpowiedzi każę sobie płacić. - Odchylił się do tyłu na krześle, aż sprężyny zaprotestowały.

- Miałaś kiedyś pacjentkę o nazwisku Hooper?

- Hooper? Krzesło wyprostowało się gwałtownie.

- Panna Minnie Hooper.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Poznałam jej brata, pana Irę Hoopera.

- Ach! Jej brata. Widziałem go chyba na podwieczorku. Czaił się w kącie?

Kiwnęłam głową.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał cię przed nim chronić. Był zrozpaczony po śmierci siostry i obawiam się, że ten żal pomieszał mu umysł.

- Przyszedł też na mój pierwszy dzień przyjęć.

- Wolałbym, żeby się do ciebie nie zbliżał. Ma skłonność do niedorzecznych oskarżeń. Zarzucił mi kiedyś szarlatanerię! - Ojciec zmarszczył brwi i zasznurował wargi, jakby sama myśl o tym była zniewagą.

- Co się jej stało?

- Zawsze była wątła. Omdlenia i histeria. Niestrawność. - Wzruszył ramionami i zakaszłał. - W każdym razie leczyłam ją strychniną, ale zeszej wiosny najwyraźniej przestała działać. Zwiększyłem więc dawkę. Dostała ataku. To było okropne. Zgięła się prawie w pół... nie byłem w stanie nic zrobić. Nikt nie byłby w stanie nic zrobić. Nadal tego nie rozumiem. Wcześniej strychnina pomagała. Zwykłe zwiększenie dawki nie powinno było jej zaszkodzić, tylko ją wyleczyć. Powiedziałem im to. Powinna zareagować pozytywnie. Może... - Zamilkł ze wzrokiem wpatrzonym w coś, czego nie mogłam zobaczyć. - Nigdy mi się to wcześniej nie przydarzyło. Taki straszny atak...

- Przykro mi.

- Mnie też. Ale przynajmniej umarła we własnym łóżku.

- Pan Hooper mówił, że w tym roku by debiutowała.

- Prawdopodobnie tak. Z tobą. - Podniósł plik papierów.

- Nie myśl już o tym. - Wziął do ręki pióro, a ja zinterpretowałam ten gest jako pozwolenie odejścia.

*Nie myśl już o tym.*

Będę się starała. Ale byłam całkiem pewna, że pan Hooper myślał tylko o tym.

Godzinę później wyszłam do ogrodu, żeby spotkać się z Lizzie. Zabrałam z sobą wachlarz, tak jak mi kazała.

- Nie stój tam! - Z żywopłotu dobiegło syknięcie.

- Chodź tutaj.

Podeszłam chyłkiem do żywopłotu i kiedy nie było mnie widać z domu, odsunęłam gałęzie i zajrzałam do środka.

- Tu jesteś.

- Przyniosłaś wachlarz?

Przepchnęłam się przez żywopłot ku wolnej przestrzeni przy bramie. A potem wyjęłam wachlarz z rękawa i otworzyłam teatralnym gestem.

- Nie wiedziałam, że umiesz się nim posługiwać. - Lizzie zmarszczyła brwi.

- Nie umiem. To wszystko, co wiem.

- Dobrze! Nauczę cię. W zeszłym tygodniu mama kazała przyjść pewnej pani. Poświęciliśmy wachlarzom mnóstwo czasu. Najpierw... - pochyliła się, żeby przyjrzeć się mojej ręce. Potem zmarszczyła brwi. - Musisz zawsze trzymać go tak - pokazała odpowiednią technikę.

- T a k ?

- Dokładnie tak. To będzie świetna zabawa! Będziemy mogły się porozumiewać bez rozmawiania.

- W jaki sposób?

- Przy pomocy wachlarzy. Jeśli zakręcę wachlarzem w ten sposób - mówiąc, lewą ręką zakręciła wachlarzem - to znaczy, że ktoś cię obserwuje.

- Ktoś mnie obserwuje!

- Konkurent. Tego znaku trzeba nauczyć się w pierwszej kolejności. W ten sposób możemy sobie powiedzieć, ilu mamy kawalerów.

- Ale... czy to nie ma być pan De Vries?

- Nie możemy mieć tylko jednego.

- Dlaczego nie? Możemy wyjść za mąż tylko za jednego.

Lizzie przewróciła oczami i westchnęła.

- Uważaj. Udawaj, że jesteś moim kawalerem.

- Dobrze.

Wprawiła wachlarz w ruch.

- Jeśli ci chcę powiedzieć, że zdobyłaś moje serce, to kładę wachlarz tutaj. - Wachlarz zatrzymał się na chwilę nad jej sercem, a potem znowu zaczął się poruszać. - Spróbuj.

- Jeśli ci chcę powiedzieć, że zdobyłaś moje serce, to kładę wachlarz tutaj. - Zatrzymałam wachlarz, stuknęłam się nim w pierś, a potem znowu zaczęłam się wachlować.

Lizzie roześmiała się.

- Nie chcesz mu chyba powiedzieć, że je przebił na wylot. Chcesz mu tylko dać do zrozumienia, że je zdobył. Delikatnie. Leciutkim dotknięciem. Jak skrzydłami motyla.

Spróbowałam ponownie.

- Brawo. A teraz, jeśli ci chcę powiedzieć „Kocham cię”, robię to tak. - Podniosła wachlarz tak, że zakrył jej oczy. A potem cofnęła go, unosząc brew w moim kierunku.

Zrobiłam to samo.

- Ale czemu mu tego nie powiedzieć?

- Powiesz. Później. Rzecz w tym, że możesz to zrobić w trakcie balu. Na zatłoczonym parkiecie. Możesz przekazać wiadomość, którą tylko on zrozumie. Czyż to nie romantyczne?

Też tak sądziłam. Spróbowałam powtórzyć gest.

- Nie zaszkodziłoby z trochę większym wdziękiem, ale dobrze. Właśnie tak. A teraz, skoro powiedziałaś mu, że go kochasz, możesz go pocałować. W ten sposób zachęcasz do pocałunku. - Lizzie złożyła częściowo wachlarz i dotknęła nim ust.

Zrobiłam to samo.

- Doskonale.

Musztrowała mnie przez kilka minut, wołając na przemian: „Serce! Miłość! Pocałunek!”. Kiedy wreszcie zmęczyła się tą grą, bolał mnie nadgarstek i obie śmiałyśmy się z całej zabawy.

- Naprawdę, Lizzie, czy mężczyźni rzeczywiście będą to wszystko wiedzieć?

- Ci, których chcemy, będą.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Nie uczyliby tego, jeśli to nie byłoby ważne.

Następnego dnia ciotka poprosiła mnie, żebym po lunchu przyszała do niej do sypialni. Kiedy się tam zjawiłam, gestem kazała mi usiąść na krześle naprzeciwko siebie.

- Istnieje pewien stary, ale użyteczny język, którego chciałam, żebyś się nauczyła. - Machnęła nadgarstkiem i wachlarz rozłożył się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Język wachlarza. Może wydawać się staroświecki, ale warto się go nauczyć. Czasami może okazać się użyteczny. Oczywiście nie do flirtowania, gdyż dobrze wychowane dziewczęta nigdy nie flirtują, ale może być przydatny do porozumiewania się. - Pochyliła się do przodu i wręczyła mi wachlarz, biorąc z kolan drugi.

Otworzyłam go szybkim ruchem.

Ciotka uniosła brew.

- Słuchaj uważnie. To nie jest takie proste, a nie chcę się powtarzać.

Kiwnęłam głową, po raz pierwszy czując się na siłach, by sprostać zadaniu.

- Jeśli chce się powiedzieć konkurentowi, takiemu jak dziedzic De Vriesów, że zdobył twoje serce, przykładaj się wachlarz tutaj, nad sercem.

Zastanawiałam się, czy pokazać swoje umiejętności, ale w końcu skuteczność wzięła górę nad roztropnością. Jeśli byłabym w stanie skończyć tę lekcję wystarczająco szybko,

czekał na mnie Byron. Powtórzyłam zatem gest ciotki z absolutną łatwością.

- Je ś l i chce się wyznać miłość, robi się to tak. - Podniosła wachlarz, tak że zasłonił jej oczy.

Zrobiłam to samo, co ona.

- T y c h gestów nie należy używać lekkomyślnie. Można je stosować tylko z najwyższą dyskrecją. Nie wypada obnosić się bezkrytycznie ze swoimi uczuciami. Zrozumiano?

- T a k .

- W pewnych okolicznościach może być wskazane, żeby zachęcić do pocałunku. Robi się to tak. - Sprawnym ruchem nadgarstka złożyła częściowo wachlarz i dotknęła nim ust.

Zrobiłam to samo. A raczej próbowałam zrobić.

Westchnęła.

- Mężczyzna nie będzie chciał pocałować dziewczyny, która posługuje się wachlarzem jak policjant pałką. W ten sposób. - Powtórzyła gest, tylko wolniej.

Tym razem mogłam zobaczyć dokładnie, jak poruszała nadgarstkiem. I wkrótce byłam w stanie zrobić to samo bez wahania, bez zastanowienia.

- Doskonale. A teraz powtórz wszystkie gesty. Serce.

Dotknęłam piersi powyżej serca.

- Nie. - Westchnęła jeszcze raz. - Koniecznie trzeba unikać rzucającego się w oczy ruchu. - Zaczęła delikatnie poruszać wachlarzem. Odwróciła głowę, jej oczy nabrały życia. I nagle zrodziła się iluzja. Jej twarzy jakby ubyło lat, w oczach pojawił się błysk. Zwracała się w tę i tamtą stronę. Kiwnęła głową jakby do jakiegoś niewidzialnego konkurenta po przeciwnej stronie pokoju. - Trzeba być pełną wdzięku. I elegancji. I absolutnie nie zwracać na siebie uwagi. Widzisz?

- Tak. - Naprawdę widziałam. O ile wachlarz w ręce Lizzie był zabawką, wachlarz w ręce ciotki był narzędziem.



Przedtem widziałam młodą dziewczynę podczas zabawy, te-  
raz obserwowałam mistrzynię przy pracy.

- A to widziałaś?

- C o ?

Przewróciła oczami i jeszcze raz wpadła w ten dziwny  
trans. Wachlowała się i kłaniała, i uśmiechała kokieteryjnie,  
a potem... proszę! Wachlarz dotknął miejsca nad sercem  
i zatrzymał się na chwileczkę. Potem kiwnęła mi głową.

Starałam się zrobić to samo. Wachlowałam się, kiwałam  
głową i uśmiechałam.

- Nie. Nie, nie, nie. Wachlarz musi stać się przedłuże-  
niem twojego ramienia. Tylko wtedy można to robić właści-  
wie, jeśli nie ma się świadomości, że on tam jest. Nie zrozum  
mnie źle - z twoimi szczupłymi, smukłymi ramionami masz  
naturalne predyspozycje. Już teraz w twoich gestach widać  
pewien wdzięk. Ale musisz się przyzwyczaić. Zrób tak - noś  
z sobą wachlarz przez cały następny tydzień. Gdziekolwiek  
pójdiesz. Jedz z nim. Czytaj z nim... bo i tak wiem, że bę-  
dziesz to robić.

Przerwała, a ja się zaczerwieniłam.

- Śpij z nim. Przez ten czas, o ile się nie mylę, stanie się  
częścią twego ciała.

Przynajmniej nie zabroniła mi czytać. Matka Lizzie wła-  
śnie tak zrobiła. Powiedziała, że czytanie psuje oczy.

- No cóż. Okazało się, że ta lekcja była mniej trudna, niż  
się obawiałam. Może jednak jest dla ciebie jakaś nadzieja.  
Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

- Znam cię, moja droga. Ta lekcja powinna sprawić ci  
o wiele większą trudność.

Jak się nauczyłam? Nie mogłam ciotce powiedzieć, że na-  
uczyłam się tego wszystkiego od Lizzie. Nigdy by mnie już  
nie spuściła z oczu. Wtedy doznałam olśnienia.

- Panna Miller umiała więcej niż tylko popularne piosenki i język włoski. - Znała też łacinę i matematykę.

- Doprawdy? No cóż. - Pociągnęła nosem, wyciągając chusteczkę z rękawa. - Może nie doceniłam zakresu jej wykształcenia. I twojego.

# 11

Gdy wychodziłam z jadalni we wtorek po lunchu, ciotka podniosła wzrok znad gazety. - Nie zapomnij. Dzisiaj przyjmujemy.

Gdybym nie była w gorsecie, tobym się przygarbiła. Miałam nadzieję, że tym razem będzie bardziej ekscytująco.

Nie było.

- No cóż. - Ciotka spojrzała na zegar stojący na kominku. - Jest piąta.

Rzeczywiście była.

- I ani jednego gościa.

Ani jednego. Ciotka zmarszczyła brwi.

- Może błędnie odczytali nasze bilety wizytowe. Może myśleli, że przyjmujemy w... czwartki.

- Niemożliwe. Nikt nie odczytuje błędnie biletu. Znam reguły tej gry. I też umiem w nią grać. - Podniosła się z krzesła i opuściła salon majestatycznie, ciągnąc za sobą fałdy swej czarnej jedwabnej sukni.

Z ulgą weszłam po schodach na górę. Zdjąwszy domową suknię, czas do kolacji spędziłam w towarzystwie strof Byrona, ucząc się na pamięć ulubionych wierszy.

Następnego dnia w południe ciotka poinformowała mnie, że po południu też będziemy przyjmować.

- Ale... czy na naszych biletach nie był podany wtorek?

- Był .

- Więc... dlaczego? - Musiała stać za tym jakaś reguła. Jakaś reguła, której nie znałam. Jeszcze jedna, której nie miałam szans zrozumieć.

- Ponieważ tak się to robi - bilet za bilet, wizyta za wizytę. Przez lata zostawiałam bilety w całym mieście, gromadząc znajomości pod kątem twojego debiutu. Od momentu kiedy brat poślubił twoją matkę, wiedziałam, że ona nigdy nie będzie w stanie podtrzymywać odpowiednich koneksji. Nie tak, jak to powinno się robić. Wystarczy spojrzeć na Barnesów. Nie mieści mi się w głowie, po co Reginald Barnes pojechał po żonę do Mississippi, kiedy tutaj miał z kogo wybierać. Większość osób z dobrego towarzystwa od dawna traktuje ją jak powietrze.

- To dlaczego na podwieczorek Lizzie przyszło tak wiele osób?

- Powiedziałam *dobrego* towarzystwa.

Było jasne, że Barnesowie do niego nie należą. Przynajmniej zdaniem ciotki.

- Oni pasują do Vanderbiltów i im podobnych. Z nami nie mają nic wspólnego. W każdym razie, znajomi z całego miasta zostawiali mi bilety wizytowe. Już czas to wykorzystać, żeby pójść do nich z wizytą.

- Ale...

- Na początek złożymy wizytę tylko osobom równym nam pozycją towarzyską. A potem zaczniemy odwiedzać pacjentów brata. Zobaczysz - na pewno nas przyjmą. Zwłaszcza jeśli to będzie ich dzień przyjęć. Nie będą mogli zaryzykować, że nas obrażą. A teraz zostaw mnie w spokoju, żebym mogła zaplanować nasz sposób postępowania.

W tym dniu ciotka raczyła przyjąć wszystkich gości, a nie tylko wziąć od nich wizytówki. Wkrótce znalazłyśmy się w towarzystwie grupy kobiet w wieku ciotki. Wiele z nich

nosiło wdowi czepek. Inne ubrane były w spódnice o tak staroświecko szerokich obręczach, że wyglądały jak zjawy z czasów wojny secesyjnej. Wszystkie wydawały się nieco zdziwione, że zaproszono je do środka. A ciotka, witając je, za każdym razem mówiła to samo.

- Od tak dawna nie rozmawialiśmy, że nie mogłam odmówić sobie pogawędki. - No i gawędziłyśmy. O pogodzie i sezonie, i o tym, kto ostatnio odszedł do wieczności.

Następnego dnia to my wybrałyśmy się z wizytą. Wszystkie kobiety, które odwiedziłyśmy, wydawały się trochę tym zdziwione, unosząc lub marszcząc brwi podczas powitania, ale przyjęcie, jakie nam zgotowały, wydawało się szczere.

Za każdym razem ciotka wręczała swój bilet wizytowy kamerdynerowi, który znikał z nim w salonie. Potem czekałyśmy, aż poproszą nas do środka. Przy kolejnych wizytach nasze oczekiwanie trwało czasami nawet kilka minut. Dopiero kiedy złożyłyśmy wizytę pewnej wyjątkowo głuchej, starej wdowie, zdałam sobie sprawę, skąd brała się ta zwłoka.

- Kto? - przez otwarte drzwi dał się słyszeć okrzyk.

- Pani Lewisowa Stuart i panna Klara Carter. - W słowach słyhać było obcy akcent kamerdynera.

- Nie znam żadnych Carterów.

- Od doktora Willarda Cartera.

- Doktora Cartera powiadasz?

- Tak, proszę pani.

- Sądzę zatem, że będę musiała się z nimi spotkać. Poproś.

Kamerdyner wrócił do nas niewzruszony. Weszłyśmy do salonu i siedziałyśmy tam przez określoną liczbę minut. I rozmawiałyśmy. Głównie o pogodzie.

Nazwiska tych, którym złożyłyśmy wizytę, były mi znane - Howard, Knowles i Clayton - chociaż ich związek z naszą rodziną już nie. Istotnie, jak wyjaśniła mi ciotka w dro-

dze do domu, większość z nich była spokrewniona z panem Lewisem Stuartem, jej zmarłym mężem. Wiązami krwi lub poprzez małżeństwo.

- Słuchasz mnie, Klaro?

- Hm? Och! Tak. - Słuchałam jednym uchem, spoglądając na miasto, przez które przejeżdżałyśmy.

- Świetnie nam poszło.

- Ale najwyraźniej żadna z nich nie chciała nas widzieć. Przynajmniej żadna z tych, które odwiedziłyśmy później.

- Oczywiście, że nie. Ale przyjęły nas, nieprawdaż? I teraz, o ile się nie mylę, będą się czuły zobowiązane nas odwiedzić. A potem my złożymy im wizytę i... nie rozumiesz, moja droga: właśnie wprowadziłam cię w najwyższe kręgi towarzyskie!

*Ale jakim kosztem?* Nie mogłam się powstrzymać, by nie zadać tego pytania. Bez wątpienia żadna z tych kobiet tak naprawdę nie chciała nas znać. Dlaczego zatem czuły się w obowiązku nas przyjąć?

Była to zagadka nie do rozwiązania. Zanim nadeszła niedziela, byłam śmiertelnie znudzona rozmową bez znaczenia i etykieta, która niczemu nie służyła. Z ulgą oczekiwałam na nabożeństwo.

Kiedy zśliśmy nawą kościoła, odważyłam się spojrzeć na ławkę De Vriesów. Siedzieli tam, wszyscy. Gdy zrównaliśmy się z nimi, spojrzałam razjeszcze.

Ten modnie ubrany, bardziej szykowny z braci odchylił się lekko do tyłu i, o ile mnie wzrok nie pomylił, mrugnął do mnie!

Spiekłam raka, siadając w ławce. Modliłam się, żeby nikt tego nie zauważył. Flirtowanie w salonie to jedno. Flirtowanie w kościele... czy to w ogóle wypada?

Po nabożeństwie, gdy wychodziliśmy kolejno z ławki, De Vriesowie wychodzili ze swojej. Zrównali się z nami. Pan De

Vries kroczył obok ojca, pani De Vries obok ciotki. Potem nadeszła moja kolej. Miałam się zrównać z jednym z braci.

Z tym mrugającym.

Znowu się zaczerwieniłam - nic nie mogłam na to poradzić. Żeby ukryć twarz przed jego wzrokiem, odwróciłam głowę w drugą stronę, prawą ręką uniosłam spódnicę i zaczęłam wychodzić z ławki. Jednak fałdy spódnicy zaczęły o jej kant. Kiedy chciałam się odwrócić, szarpnęło mnie do tyłu, a Biblia wyfrunęła mi z lewej ręki.

Wylądowała pośrodku nawy, tuż przed butem mrugającego brata.

Gdy się zachwiałam, silna dłoń chwyciła mnie za łokieć.

Ogarnął mnie zapach drzewa sandałowego, a niski głos powiedział mi do ucha:

- Nic się pani nie stało?

Moja twarz z pewnością była purpurowa. Czułam to. I niewątpliwie kontrastowała okropnie z zielenią mojej sukni. Nie odpowiedziałam, bo bałam się, że coś pokręcę, tylko kiwnęłam głową.

Zrobiłam niepewnie krok naprzód, uwalniając się od dłoni, która nadal trzymała mój łokieć. Była to dłoń młodszego z braci, tego rozczochranego.

Podał mi moją Biblię.

Spojrzałam na niego nieśmiało, skinąwszy tylko w podziękowaniu głową. Potem odwróciłam się do nich plecami, uniosłam brodę, jakby nic się nie stało, i poszłam dalej nawą na oczach całego kościoła. Przynajmniej nie musiałam rozmawiać o tym z Lizzie. Jej rodzina wyszła z kościoła dużo wcześniej niż nasza. Kiedy usadowiłam się w powozie, czekałam na nieuniknioną reprimendę.

Ale ciotka tylko się uśmiechnęła.

- Brawo, Klaro! Jaki sprytny sposób na zwrócenie uwagi dziedzica.

Dziedzica? To ten mrugający młodzieniec był dziedzicem?

A zatem Lizzie miała rację.

Następnego dnia w poczcie znajdowało się zaproszenie. Ciotka podała mi je.

*Pani Moffatt  
będzie zaszczycona, mogąc panią gościć  
we wtorek wieczór, 15 grudnia,  
o godzinie dziesiątej.  
1062 Fifth Avenue.  
Tańce*

- Zostałaś zaproszona na bal, Klaro! Brawo. Może nie do De Vriesów, ale przynajmniej do Moffattów. Wydaje się, że zrobiłaś wrażenie.

- Na bal? Ale tu nie ma słowa o balu.

- Mówią o tańcach. A zaproszenie na tańce w prywatnym domu oznacza prywatny bal. Szczytem prostactwa jest zaprosić kogoś na „bal” albo „bankiet”. Żadnej szanującej się gospodyni nie przyszłoby to nawet do głowy. Ale wspomnieć o tańcach... to oznacza bal.

- Nie umiem tańczyć.

- Jeśli bal odbędzie się u Moffattów, to można być pewnym, że dziedzic De Vriesów też tam będzie. To będzie twoja szansa, żeby zrobić pierwsze i niezapomniane wrażenie.

Najwyraźniej mnie nie usłyszała. Powtórzyłam swoje zastrzeżenie.

- Nie umiem tańczyć.



- Będzie oczywiście zimno i może padać śnieg. Ale uważam, że powinnaś włożyć suknię debutantki. Nadal. Tak wypada.

- Ale, ciociu, ja nie umiem tańczyć - tym razem powiedziałam to głośniej.

- J a k t o n i e u m i e s z t a ń c z y ć ?

- Nie umiem.

- Ale... przecież miałaś lekcje. - Ciotka wyprostowała się, ściągając brwi.

- Nie miałam.

- Nie miałaś?

- Nie. Nie umiem tańczyć.

- Nigdy, ani razu przez te swoje siedemnaście lat, nie chodziłaś do szkoły tańca? - Twarz ciotki powlekła się bladością.

Pokręciłam głową.

- Nigdy?

- N i e .

- Nie umiesz tańczyć! To czego nauczyła cię ta panna Miller?

- Nauczyła mnie śpiewać.

- Tak. Dobrze. Ale powinna była cię nauczyć *i* śpiewać, *i* tańczyć. - Policzki ciotki przybrały wściekły odcień czerwieni. - Kształcono cię połowicznie! Czemu nic nie powiedziałaś? Wcześniej?

Chciałam wrzucić ramionami, ale dałam spokój.

- Nie wiedziałaś, że powinnaś była mieć lekcje?

Nie potrafiłam skłamać. Nie pod piekącym spojrzeniem ciotki.

- Chyba... to znaczy... Lizzie opowiadała mi o swoich lekcjach tańca...

- I dlaczego nie zorientowałaś się, że ty też powinnaś je brać? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Powiedzieć? Wtedy też musiałabym brać lekcje!

- Myślałam... ja... sądziłam, że Opatrzność czuwa nade mną.

- To możesz teraz podziękować Opatrzności, że będziesz musiała się nauczyć w tydzień tego, czego powinnaś się uczyć od dwóch lat. Powinam była wyprowadzić się od tych Stuartów dawno temu!

Ciotka omówiła moją trudną sytuację z ojcem podczas kolacji i uzgodnili, że zatrudnią samego pana Drake'a, z Akademii Tańca Drake'a, żeby uczył mnie w domu, ponieważ, jak stwierdziła ciotka: „Nie możemy jej do niego posłać i przyznać się, że niczego nie umie. Nie w jej wieku”.

Podczas swojego przyjęcia musiałam tylko witać się i żegnać z przybyłymi. Na balu powinnam konwersować. I flirtować. I tańczyć. Ten prywatny bal mógł okazać się dla mnie katastrofą.

Dwa dni później, gdy ciotka siedziała w salonie, obserwując, jak tańczę z panem Drakiem, załamała ręce. - Nie wiem, jak ci się uda to osiągnąć.

Właśnie próbowałam zatańczyć z nauczycielem walca. Nie poszło mi dobrze.

- Z łatwością nauczyłaś się lansjera, schottische'a i polki. Co się z tobą dzieje? Walc jest wśród nich najłatwiejszym tańcem!

Lansjer miał ustalone figury. Tańczono go w kilka par, w kwadracie. Figury polegały na łączeniu i rozłączaniu rąk, podchodzeniu do środka, a potem cofaniu się, tańczeniu w kole i innych prostych układach.

Polka miała tylko kilka figur: krok dosuwany, zmiana kierunku i podskok. W zależności od rodzaju polki, wykony-

wano je w różnych układach. Musiałam tylko zapamiętać kolejność. Ponieważ uczyłam się wcześniej łaciny, włoskiego i matematyki, zapamiętanie układu kroków nie stanowiło trudności. A schottische zawierał wszystkie kroki polki, chociaż połączone w inny sposób i tańczone do innej muzyki. Jeśli potrafiłam zapamiętać układ - a uważałam, że mi się to udało - byłam w stanie zatańczyć go równie dobrze, jak ktokolwiek inny.

Lecz walc był inny. Walc nie miał określonych z góry figur. Z pewnością składał się z bardzo prostych kroków, ale nie można było przewidzieć, kiedy tancmistrz zrobi obrót lub zmieni kierunek tańca.

- Po prostu... nie mogę... on zawsze skręca w prawo, kiedy myślę, że powinien skręcić w lewo. - I zawsze wydawał się zmieniać długość kroku. Nie można było przewidzieć, co zrobi.

- To nie myśl! To nie do ciebie należy przewidywanie. To mężczyzna ma działać.

- Jeśli tylko panienka pozwoliłaby mi się poprowadzić, proszę pani... i jeśli tańczyłaby na palcach, to może...

- Klaro! Kiedy się tańczy, trzeba się poruszać lekko jak piórko. Nie jesteś przykuta do podłogi. Tańcz, jakbyś w każdej chwili mogła się unieść w górę na skrzydłach anioła. Jeśli twoje stopy dotykają ziemi, to tylko na moment. - Machnęła na mnie upierścienioną ręką, żebym podeszła bliżej.

Gdy się zbliżyłam, wyciągnęła rękę, bym pomogła jej wstać.

- Pokażę ci, co mam na myśli. Panie Drake, poproszę o walca.

Tancmistrz ujął dłoń ciotki, a ona położyła drugą rękę na jego ramieniu. Wolna ręka Drake'a spoczęła na jej plecach.

Gdy czekali na muzykę, ciotka obróciła głowę leciutko w lewo. Kiedy asystent tancerza zaczął grać na fortepianie,

a oni ruszyli w tany dookoła pokoju, nastąpił cud - ciotka odmłodziła i stała się tym pełnym wdzięku aniołem, o którym mówiła. A potem taniec się skończył, a ja pomogłam jej usiąść z powrotem na krześle.

- Proszę bardzo! Teraz zrób to samo, co ja.

Podeszłam do tancmistrza z pewnym niepokojem, ale podałam mu dłoń i spróbowałam raz jeszcze. A przynajmniej miałam taki zamiar. Jednakże wlałam mu na nogę przy pierwszej okazji.

Biedaczek. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy mi przyłożyć, czy wyjść z pokoju.

- Klaro! Jeśli nie potrafisz udawać z otwartymi oczami, to udawaj z zamkniętymi.

Z zamkniętymi? Jak mogłabym tańczyć, nie widząc, w którą stronę zmierzam?

- J u ż ! Zamknij *natychmiast*.

Zamknęłam. Po chwili poczułam, jak tancmistrz bierze moją dłoń w swoją. Zabrzmiała muzyka, a ja wpadłam w popłoch. Jak mogę zatańczyć, jeśli nic nie widzę? Nie odważyłam się jednak otworzyć oczu. Nie chciałam dostać bury. I tak mi się już wystarczająco oberwało. Ale nie chciałam też zdeptać stóp tancmistrza.

Nacisk na plecach skłonił mnie do skręcenia w prawo. Nieznaczny ruch ręki kazał mi skrócić w lewo. Lekkie uściśnięcie mojej dłoni podpowiedziało, że mam unieść rękę. Więc podniosłam. Okrążyliśmy pokój. I zanim skończyliśmy, miałam na twarzy uśmiech.

Ciotka też.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

- J e s z c z e r a z . Tylko tym razem stawiaj kroki od pięty.

## 12

Serce tłukło mi się w piersi, jak jakieś świecidełko w pudełku. Oto nadeszła ta chwila. Dziś wieczór, na inauguracji opery, oficjalnie rozpocznę swój towarzyski sezon. Bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, czy odniosę wielki sukces, czy wielką porażkę, tej nocy już nie cofnę; tej chwili już nie zmienię. Albo zakończę ten sezon zaręczona, albo... o drugiej możliwości strach było myśleć.

Muszę zakończyć ten sezon zaręczona.

A narzeczoną musi być dziedzic De Vriesów.

Im wcześniej się za to zabiorę, tym wcześniej osiągnę cel. Muszę odnieść sukces. Nie ma innego wyboru. Od tego zależał los mojej rodziny.

Nasz powóz utknął w kolejce innych pojazdów, czekających, by wysadzić swoich pasażerów przed budynkiem opery. W końcu pozwolono nam wysiąść przy portyku na Broadwayu. Ojciec pomógł wysiąść ciotce, a potem podał rękę mnie. Chwyciłam ją i weszłam z nimi do Metropolitan.

Od początku byłam przytłoczona tłumem ludzi kłębiących się w przestrzeni niedostosowanej do ich liczby. Wydawało się, że powinno być tam jakieś większe foyer czy okazałsze wejście. Jakiś znak wskazujący, że tutaj, tędy wiodła droga do holu opery.

Nie było jednak nic. Tylko niezliczone ściany w kolorze bordowym, podkreślone lustrami i złożonymi elementami wyposażenia.

Podążyłam za ojcem i ciotką w górę po schodach. Na pierwszym piętrze tłum był jeszcze bardziej wymyślnie ubrany i uczesany niż te rzesze na dole.

Ojciec przeprosił i odszedł. Ciotka zmarszczyła brwi na widok jego szybko oddalających się pleców, ale potem kiwnęła głową w kierunku kolejnych schodów.

Zanim zdążyłam zareagować, moją uwagę przykuł widok zbliżających się w naszym kierunku kobiet. Wszystkie miały na głowach diademy, których połyskujące klejnoty świeciły jak gwiazdy w obłokach ich włosów. Tuziny naszyjników okręcały ich szyje, a na rękach miały tyle bransoletek, że sięgały im prawie do łokcia. Jedna z kobiet kopała duży kamień. Zwisiał na końcu sznura pereł, który miała okręcony wokół talii.

Towarzyszące kobiety śmiały się z jej wygłupów. Zachowywały się tak głośno i krzykliwie, iż obawiałam się, że ciotka może pokusić się o zwrócenie im uwagi.

Ale ona tylko złapała mnie za ramię i odciągnęła z drogi. I bardzo dobrze! Kobieta była tak zajęta kopaniem kamienia, że zdawała się nie zauważać, gdzie idzie.

- Wariatki. Wszystkie! Góra pieniędzy i zero zdrowego rozsądku. To jest... strasznie... irytujące!

Przycisnęłyśmy się do ściany, gdy kobieta przeszła, potykając się, obok. To, co kopała, wyglądało na olbrzymi rubin. Jednak chociaż śmiała się i chociaż wyglądała na niezmiernie ubawioną, spojrzenie, jakie mi rzuciła, pełne było znudzenia.

Po drugiej stronie foyer stała inna kobieta. Poważna i onieśmielająca, wystrojona w tak wiele klejnotów, że błyszczała jak... no... jak diament. Wielki, człękoksztaltny diament. Ona również obserwowała kobietę kopiącą rubin.

Ciotka zauważyła, że przyglądam się tej drugiej kobiecie. Zabrała mnie spod ściany i poszliśmy dalej w kierunku schodów.

- To była pani Jakubowa Astor. Astorowie są właścicielami Nowego Jorku... a nawet więcej, właścicielami socjety. Możesz być pewna, że ona nie aprobeuje takich błazeństw! Nie w wykonaniu Vanderbilta.

Kiedy usadowiliśmy się w łoży na trzeciej kondygnacji, zobaczyłam, że Lizzie i jej rodzina siedzi w łoży naprzeciwko nas. Gdy na nią patrzyłam, Lizzie podniosła lornetkę teatralną i wycelowała ją we mnie.

Ja podniosłam swoją i wymierzyłam w nią.

Była ubrana na biało, tak jak ja, a wokół szyi miała obrożę z pereł. Jej włosy były upięte do góry i ozdobione białymi strusimi piórami. Siedząc tam w łoży, w sukni połyskującej w przyćmionym świetle, z lśniącymi blond włosami, wyglądała jak zadowolone kociątko. Podniosła rękę i pomachała. A potem opuściła lornetkę i zrobiła w moim kierunku zeza.

Wybuchnęłam głośnym śmiechem, zanim zdołałam się pohamować.

- Z czego się śmiejesz? Nic dobrego nie przyjdzie z ryczenia jak osioł. Opera to poważna sprawa! Dźwięk, który słyszysz wokół siebie, to dźwięk pieniędzy. Fortuny powstają z powodu jednego spojrzenia. A przyszłość zostaje zaprzeczona dlatego, że nie spodobała się suknia. Już nigdy w życiu nie doświadczysz czegoś tak najeżonego niebezpieczeństwami jak inauguracja sezonu operowego.

- Chyba że wyjdę za mąż za dziedzica De Vriesów.

- O co ci chodzi?

- Chyba że za niego wyjdę. Wtedy będę tego doświadczać co sezon.

Ciotka spojrzała na mnie, jakby podejrzewała jakiś nieostosowny żart. Ale ja się z nią nie drażniłam. Gdybym poślubiła pana De Vriesa, mogłabym wyobrazić sobie swoje życie jako niekończące się pasmo jednego sezonu towarzyskiego po drugim, jednej sukni po drugiej, do końca moich dni.

Moją przyjaciółkę ta myśl wprawiłaby w zachwyt, mnie przygnębiła.

- Spójrz tam: siedzimy w towarzystwie Schermerhornów, Goeletów i Astorów.

Spojrzałam. Łoże pod nami po przeciwnej stronie widowni połyskiwały klejnotami ich użytkowników. Wygięty rząd łóż sprawiał wrażenie, jakby sala była otoczona diamentową podkową.

- Wstań i pokaż się.

- Dopiero co usiadłam.

- T a k jak i Lizzie Barnes po przeciwnej stronie, a popatrz na nią teraz.

Cała widownia opery patrzyła na Lizzie. Wyciągnęła kwiaty ze swojego bukietu i rzucała je w tłum na dole.

- Zrób coś!

- Co takiego? Mam tylko lornetkę. I nie zamierzam jej rzucić. - To była lornetka mamy. Smukła i elegancka, pokryta macią perłową. Stanowczym ruchem wsunęłam się głębiej w fotel na wypadek, gdyby ciotka zdecydowała się nalegać.

Ciotka pomruczała przez kilka minut, a potem wrócił ojciec - pachniał cygarami i alkoholem. Był nieomal zbyt przystojny, zbyt układny, żeby być czyimś ojcem. Żeby być moim ojcem. Stalowosiwe włosy zaczesane do tyłu i dłuższe, niż nakazywała moda, opadały mu na kołnierz. Miał przyjemnie rumianą cerę, którą jeszcze podkreślała przystrzyżo-



na broda. Nie byłam pewna, dlaczego po śmierci mamy nie ożenił się powtórnie. Zakładałam, że tak jak ja był załamany. Ale widząc, jak przygląda się kobietom w innych łóżach, zaczęłam się zastanawiać.

Zwłaszcza kiedy zobaczyłam, że rzeczony kobiety odwzajemniają jego spojrzenia.

Przez gwar tłumu dały się słyszeć dźwięki orkiestry. Skrzypienie i piszczenie. Brzdąkanie i zawodzenie. Jakby wielka prastara bestia powoli, sennie budziła się do życia.

Chwilę później światła zaczęły przygasać i gwar przedził się w zduszony szept. Kiedy kurtyna się podniosła, ukazując pierwszą scenę *Romea i Julii*, wkrótce zapomniałam o wszystkich. Opuściłam swój świat dla świata Julii.

Kiedy słuchałam, jak pani Emma Eames śpiewa: *Je veux vivre...*, *Chcę żyć...jak we śnie*, nie mogłam powstrzymać się, by nie westchnąć. Julia jest na przyjęciu i właśnie zobaczyła Romea, jej Romea, i zakochała się od pierwszego wejrzenia. Kiedy Emma o tym śpiewała, jej głos unosił się w operze jak zakłęcie. Byłam urzeczona. Słowa tej żeńskiej wersji Byrona były hymnem zachwytu na cześć miłości. Śpiewała coraz szybciej i szybciej, w górę i w dół skali, dopóki nie wyraziła całej swej nowo odkrytej miłości.

To była dziewczyna taka jak ja, która miała właśnie rozpocząć romans życia.

*Chcę żyć jak we śnie.*

Och, ja też chciałam! Z szykownym, eleganckim mężczyzną przy moim boku.

Podczas przerwy ciotka lekko stuknęła mnie w ramię swoją lornetką.

- Wstawaj. Wychodzimy.

- Niczego nie potrzebuję. - Chciałam zostać na sali, w półmroku łoży, żeby przeżywać arie bez świadków.

- Jesteś my tu po to, żebyś została zauważona. Nie widziałam De Vriesów, czyli ich łoża musi znajdować się pod naszą. Jeśli się pospieszymy, uda nam się zejść na ich kondygnację, zanim dotrą do holu.

Może byśmy się i pospieszyły, gdybyśmy tylko my wpadły na ten pomysł, ale wszystkie użytkowniczkę łoży na naszej kondygnacji wyległy na schody w tym samym czasie. I wszystkie miały zamiar nimi zejść.

Ciotka złapała mnie za rękę, szturchnęła kobietę stojącą przed nami i przeciągnęła mnie przez niewielki otwór, jaki powstał, kiedy ta odwróciła się, by nas spiorunować wzrokiem.

- W tym tempie nigdy do niego nie dotrzemy.

Nie miałam wcale pewności, że w tym tempie będziemy w stanie trafić z powrotem do naszej łoży przed końcem przedstawienia. Powoli, straszliwie powoli, zeszliśmy po schodach.

- Widzisz pana De Vriesa? Widzisz pana De Vriesa? - pytania ciotki zaczęły brzmieć jak monotony zaśpiew.

Widziałam go przelotnie tylko w kościele, ale byłam pewna, że bym go poznała. Jego dziarski sposób bycia, eleganckie ubranie i puszczone oko wryły mi się w pamięć. Kiedy dotarliśmy na pierwsze piętro, chcąc dogodzić ciotce, stanęłam na palcach, żebym była w stanie coś zobaczyć ponad piórami i diademami tych wszystkich kobiet wokół nas. O... tam. W rogu...? Czy to nie była jego głowa? Z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu?

- Tak, widzę go.

- Gdzie?

- Tam... - Pamiętając o jej pouczeniach, żeby nie pokazywać palcem, starałam się wskazać kierunek przechyleniem głowy.

- Gdzie?

- Tam... - machnęłam torebką w kierunku wiadomego rogu, ale uderzyłam jakąś kobietę w łokieć.

- Pokaż palcem!

- T a m .

Ciotce udało się przepchnąć przez tłum, aż znalazłyśmy się blisko rogu. Przyciągnęła mnie wtedy do siebie i nachyliła się do mojego ucha.

- Cokolwiek się stanie, nie upuść mnie.

- Co...

W tym momencie ciotka osunęła się zemdłona. Musiałam użyć całej siły, jaką miałam, żeby nie upuścić jej na podłogę. Zwłaszcza że mając tak ciasno zasznurowany gorset, prawie nie mogłam się zginać, nie mówiąc już o oddychaniu.

Rozległy się stłumione okrzyki i wkrótce zrobiło się wokół nas miejsce.

- Ciociu?

Nie było reakcji.

- Ciociu?

Jej policzki jakby nagle straciły resztę koloru.

- Ciociu!

Nagle obok mnie odezwały się dwa głosy. Każdy z innej strony.

- Mogę pani pomóc? - Głos mężczyzny. Wydawał się znajomy, ale zanim zdążyłam się do niego odwrócić, moja uwagę zwrócił głos Lizzie.

- Klaro! Co się stało? Och, Klaro!

- Lizzie, znajdź ojca!

- Ale co... ale jak... Och, Klaro! - W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- Mogę pani pomóc?

Odwrociłam się w kierunku drugiego głosu, stwierdzając, że należy do pana De Vriesa. Tego mrugającego, szykowatego. Dziedzica.

Katastrofa!

Że też musiał mnie zastać w krępująco kłopotliwym położeniu. Znowu.

- Czy ona... czy ona... nie żyje? - Słyszając przypuszczenie Lizzie, otaczający nas tłum umilkł, a potem jakaś kobieta wrzasnęła. Potem następna i kolejna, aż nastąpiło ogólne pandemonium.

- Lizzie! - Jakże pragnęłam, żeby się uciszyła. Trudno było zebrać myśli, słysząc jej jęki i westchnienia.

- Klaro? - Policzki Lizzie lśniły od łez, a twarz zbladła jak płótno. Wyciągnawszy rękę, chwyciła mnie za łokieć.

W tym samym czasie ciepła, silna ręka chwyciła mnie za drugi łokieć.

- Czy nie mógłbym jakoś pomóc?

Odwrociłam się do niego i powiedziałam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

- Proszę, zostanie pan z Lizzie i ciocią, gdy ja pójdę poszukać ojca?

Pan De Vries przesunął się i stanął za moimi plecami, chwytając ciotkę, gdy ja rozluźniłam uścisk.

Gdy odwracałam się, by odejść, wydawało mi się, że coś powiedziała.

On też musiał to usłyszeć. Chciał położyć ciotkę na podłodze, ale w tym momencie drgnął i upuścił ją.

Uderzyła głową z głuchym łoskotem w wykafelkowaną podłogę. Jej powieki otworzyły się na moment, potem oczy uciekły jej w tył głowy, a powieki się zamknęły.

- Czy on... czy on... ją zabił? - zapytała Lizzie drżącym głosem.

- Nie, Lizzie! - odrzekłem. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Ale jeśli tak się stało, to może ożeni się ze mną, żeby mi to wynagrodzić i uratować mnie od koszmarnego losu.

W tym momencie ojciec przepchnął się przez tłum, podał panu De Vriesowi swoje cygaro, a potem uklęknął przy ciotce. Podniósł najpierw jedną powiekę, potem drugą. Wsunął dłoń do surduta i wyjął fiolkę. Przesunął pod nosem ciotki.

Prychnęła.

Zacharczała.

Otworzyła oczy. Jej spojrzenie omiotło krąg ludzi stojących wokół niej i spoczęło na mnie.

Ojciec podniósł wzrok na zgromadzony tłum.

- To tylko wstrząśnienie mózgu. Ona potrzebuje powietrza. I pozwolę sobie zauważyć, że przerwa prawie się skończyła.

Kobiety pospieszyły do schodów i hol wkrótce opustoszał.

Ojciec wziął ciotkę pod ramiona i postawił na nogi.

Pan De Vries podał ojcu cygaro.

- Dziękuję panu. - Ojciec zacisnął na nim zęby.

Pan De Vries się uklonił. A potem odwrócił się do Lizzie i podał jej ramię. Poczułam głębokie rozczarowanie. Żałowałam, że czegoś do niego nie powiedziałam. Czegoś zabawnego lub inteligentnego. Żałowałam, że nie zrobiłam na nim wrażenia innego, niż niezdarnej młodej dziewczyny, którą nieustannie trzeba ratować.

Ciotka złapała mnie za ramię, gdy zamierzałam pójść za nimi.

- Co ci przyszło do głowy? Zostawić Lizzie sam na sam z dziedzicem De Vriesów?

- Zemdlałaś.

- Nie zemdlałam. Nie słyszałaś, jak mówiłam: *Cokolwiek się stanie, nie upuść mnie.*

- I nie upuściłam. On to zrobił.

- A ty z chęcią zostawiłaś go sam na sam ze swoją rywalką! - Mruczała przez całą drogę, gdy szliśmy przez foyer i dalej z powrotem do łoży. - A teraz z włosów wypada mi ozdoba!

Podniosłam rękę i starałam się wepchnąć wstążki z powrotem na swoje miejsce.

- Przestań szturchać!

Przestałam. Ale wcześniej dźgnęłam jeszcze ostatni raz. Ozdoba została na swoim miejscu.

Reszta opery była tak straszna, tak tragiczna, że zanim przedstawienie się skończyło, łzy spływały mi po twarzy, tak że miałam mokrą szyję i ciekło mi z nosa. Gdy wyciągałam chusteczkę do nosa, spojrzałam przypadkiem na łożę Lizzie. I... nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam.

Podniosłam lornetkę do oczu i spojrzałam jeszcze raz.

Tak. To była prawda. Lizzie zasnęła! Z dłońmi złożonymi na balustradzie i policzkiem opartym na ręku nie tylko odpoczywała. Spała głębokim snem. Co prawda, pora była późna. Dużo późniejsza, niż byłam przyzwyczajona. Ale jak Lizzie mogła zasnąć podczas opery?

Jeśli oczekiwałam od socjetyjakięgoś ułaskawienia w nagrodę za pojawienie się w operze, to go nie dostałam. Następnego dnia wieczorem miałam pójść na swój pierwszy bal. Dzień zaczął się wczesnie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Jednak kiedy ciotka rozsunała zasłony, stwierdziłam, że słońce jest już dość wysoko na niebie.

- Wstawaj.

Jęknęłam.

- Jak ty możesz spać w ten sposób? - Podeszła do łóżka i wyszarpnęła poduszki z za moich pleców.

- Tylko tak *mogę* spać. Gorset...

- Dość spania. Jest wiele do zrobienia, żeby przygotować się do balu!

Pokojówka pomogła mi się ubrać w lizeskę i zeszłam na dół. Gdy jadłam śniadanie, ciotka poinformowała mnie o wszystkim, co było do zrobienia - pierwsza na liście była wizyta tancmistrza.

Poszłam więc szybko z powrotem na górę i włożyłam suknię poranną. Pokojówka szybko upięła mi włosy do góry i zapięła buciki, mimo to, gdy zeszłam na dół, tancmistrz już na mnie czekał. Byłam zbyt senna, by zbyttnio przejmować się tym, gdzie mnie prowadzi w tańcu. Co ogromnie ucieszyło ciotkę.

- Brawo, Klaro. Naprawdę świetnie. Wiedziałam, że dasz sobie z tym radę.

Zasłoniłam usta ręką, by ukryć ziewnięcie.

Potem pospiesznie przygotowała kąpiel i naperfumowała ją zapachem fiołków.

I wreszcie raj - uwolniła mnie z okowów mojego gorsetu. Móc znowu głęboko oddychać! Oglądać ciało tam, gdzie do tej pory widziałam tylko materiał! Zanurzyłam się w wodzie aż po szyję. I być może uległabym pokusie drzemki, ale pokojówka nie pozwoliła mi zostać w niej dłużej. Kiedy się wytarłam, wcisnęła mnie z powrotem w gorset i ubrała w narzutkę do czesania. Potem postawiła krzesło przed grzejnikiem, kazała mi usiąść i zaczęła rozczesywać moje włosy.

Na to weszła ciotka.

- Masz tu siedzieć, żeby włosy szybciej ci wyschły.
- Cały ranek?
- Tyle, ile będzie trzeba.

Zanim pokojówka wyszła, przekonałam ją, żeby przyniosła mi Byrona, i spędziłam kilka godzin przed tym grzejnikiem w stanie absolutnego i całkowitego szczęścia. Może jednak były jakieś dobre strony bycia debutantką!

Tuż przed lunchem pokojówka przysłała pomóc mi się z powrotem ubrać w suknię poranną. Po posiłku poszła od razu ze mną na górę, żeby pomóc mi się przebrać w suknię domową. Później tego samego popołudnia, kiedy już ciotka przepytowała mnie z etykiety, pokojówka wróciła, by ułożyć mi włosy. Kiedy skończyła, wszystkie moje włosy były tak mocno naciągnięte, że bałam się, iż mogą wyrwać się z korzeniami z mojej czaszki, by uniknąć dalszej męki.

Kiedy mnie ubierano, weszła ciotka i kazała pokojówce mocniej ściągnąć mi gorset.

Chociaż się tego spodziewałam, przyciągnięcie tych sznurówek groziło mi zgubą.

Kiedy odzyskałam równowagę i przystosowałam do ucisku, pokojówka wyciągnęła moje pantofelki. Były piękne. Wykonane z atłasu i ozdobione bukietami wstążek i je-



dwabnych kwiatków, stworzone były do tańca. Poza tym były zdecydowanie zbyt śliskie. Od razu spadły mi z nóg.

- Pokaż mi je.

Pokojówka podała je ciotce.

- Pokaż mi swoją stopę.

Podciągnęłam spódnice z jednej strony i wystawiłam odzianą w pończochę stopę, żeby mogła się jej przyjrzeć.

Ujęła ją w swoją chłodną rękę, a potem odwróciła się i warknęła na pokojówkę.

- Podaj mi wodę fiołkową.

Pokojówka szybko spełniła jej polecenie.

Ciotka wzięła od niej flakonik i pokropiła wodą podszwy moich stóp. - Spróbuj teraz.

Wsunęłam stopy w pantofelki. Wilgotna pończocha jakby przykleiła się do atłasu.

- Teraz nie powinny ci spaść.

- Nie, ale...

- To musi wystarczyć. Chodź. Czas jechać.

Kiedy dotarliśmy do rezydencji Moffattów, było już dość dużo ludzi.

Zobaczyłam Lizzie po przeciwnej stronie sali i podniosłam rękę, żeby do niej pomachać.

- Opuść rękę! Chcesz się wydawać wyższa, niż już jesteś?

- Ale Lizzie...

- Tego wieczoru nie ma tutaj dla ciebie żadnej przyjaciółki, tylko dziedzic De Vriesów. Cała twoja uwaga ma być skupiona na nim. Rozumiesz?

- T a k .

- Widzisz go?

- T a k .

Stal w środku pokoju z kilkoma mężczyznami. Chociaż sprawiali wrażenie, że z sobą rozmawiają, żaden nie patrzył na pozostałych. Wszyscy koncentrowali się na roztaczającej się przed ich oczami wielkiej paradzie sukien.

- Musisz zatem udawać, że go nie widzisz. Gdzie jest?

Miałam niejaki problem z wytłumaczeniem, gdzie stoi, nie patrząc na niego, lub w jego kierunku, ani w żaden sposób nie wykazując zainteresowania jego osobą.

Było coś w zarysie jego podbródka i precyzyjnym zaczesaniu do tyłu jego ciemnych włosów. Wyglądał zdecydowanie wytwornie. I dość onieśmielająco. Chociaż w kościele sprawiał wrażenie dżentelmena w każdym calu, nie mogłam nie pamiętać, że należy do rodziny, która zbrukała nazwisko Carterów.

Pociągnęłam ciotkę za ramię.

- Czy to musi być pan De Vries? Nie mogłabym poślubić kogoś innego?

- Oczywiście. Czemu nie? Czemu nie skazać się na życie takie jak moje? Zawsze na obrzeżach towarzystwa, nigdy nie dość dobra, by stać się jego częścią. Nie mówmy już o tym. I pokaż mi swój karnet.

Uniosłam nadgarstek, do którego był przyczepiony.

Ciotka wyjęła ołówek z torebki i wpisała się na dwa tańce. Kadryla i walca.

-Ale...

Opuściła karnet.

Kiedy tam stałyśmy, podeszło kilka znajomych ciotki w towarzystwie mężczyzn, prosząc o przedstawienie. Wkrótce wszystkie moje tańce zostały wypełnione. I żaden przez pana De Vriesa.

- Podaj mi jeszcze raz karnet.

Tym razem zdjęłam go z nadgarstka. Kiedy ciotka wzięła go ode mnie, wyjęła z torebki gumkę i wymazała te dwa tańce, które wypełniła wcześniej.

- Proszę.

Powiedziała to z cichą satysfakcją, zakładając mi z powrotem karnet.

Wtedy jeszcze jedna z jej znajomych zatrzymała się przed nami.

- Pani Stuart, chciałabym przedstawić pani pana Culpepera. Syna pana Charlesa Culpepera.

Ciotka pochyliła głowę na powitanie, a dżentelmen się uklonił.

- To jest moja bratanica, panna Carter. Niestety, jej karnet na ten wieczór jest już wypełniony.

Na twarzy młodzieńca nie odmalowało się ani rozczarowanie, ani ulga. Uklonił się tylko raz jeszcze i obydwójce odeszli.

Kiedy się pożegnali, ciotka złapała mnie za ramię.

- Idź za mną. I w żadnym wypadku się nie zatrzymuj.

Trzymałam się jej tak blisko, jak tylko byłam w stanie, nie depcząc jej po spódnicy. Kiedy się zatrzymała, zdałam sobie sprawę, że stoimy przed dziedzicem De Vriesów. I jego matką.

- Pani De Vries? Chciałabym przedstawić pani moją bratanicę, pannę Klarę Carter. Córkę doktora Cartera.

- O. Sądziłam, że będzie debiutować dopiero w przyszłym roku.

- Po cóż jej ojciec miałby chować taką piękność tylko dla siebie?

Zaryzykowałam spojrzenie w kierunku dziedzica i stwierdziłam, że na mnie patrzy. Spłonęłam rumieńcem, żałując, że nie mogę się powachlować.

Kiedy ciotka rozmawiała z panią De Vries, pan De Vries przybliżył się do mnie.

- Ma pani jeszcze jakieś wolne tańce?

Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Kiedy te tańce były nadal wolne dzięki oszustwu. Ale kiwnęłam głową.

- Mogę dostać jeden?

Znowu potaknęłam, podając mu dłoń, do której był przyczepiony karnet. Tym razem odważyłam się spojrzeć w górę.

Ujrzałam wyjątkowo niebieskie oczy, a potem on ukłonił się, wyprostował i odszedł, mówiąc na pożegnanie: „Przyjdę po panią później”. Obserwowałam, jak idzie wyprostowany jak struna, w elegancko dopasowanym ubraniu, z włosami zaczesanymi precyzyjnie do tyłu. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać dziedzic bajecznej fortuny.

Dźwięki *Je veux vivre...* przemknęły mi przez głowę. *Chcę żyć...jak we śnie.*

Może... o dziwo...już żyłam.

Gdy ciotka skończyła rozmowę, podniosłam karnet, by zobaczyć, który taniec wybrał.

Wybrał walca.

Kiedy zaczęły się tańce, wręczyłam mój karnet ciotce.

- Pamiętaj. Zamykaj oczy, jak będziesz tańczyć walca.

Moim pierwszym partnerem był niejaki pan Hamilton. Był niższy ode mnie, ale miał wąsy, które z nawiązką rekompensowały jego inne niedostatki. Kiedy podniósł moją rękę, sięgała mu do ucha. Ale zrobiłam, jak mi kazała ciotka, i zamknęłam oczy. Kiedy po skończonym tańcu je otworzyłam, byłam zdziwiona, że nadal znajduję się w czterech ścianach sali balowej. Wyobrażałam sobie, że jestem w świecie Julii i tańczę w delikatnych powiewach werońskiej nocy.

Następnym tańcem był lansjer i muszę powiedzieć, że za-tańczyłam go wspaniale.

Po nim był kadryl. Kolejnym tańcem był schottische i wkrótce zaczęła się pierwsza przerwa.

Pierwszym tańcem po przerwie był walc. Zamknęłam oczy, tak jak wcześniej. Taniec miał się już ku końcowi, kiedy pantofel spadł mi z nogi. W jednej chwili tam był, a w następnej zniknął. Otworzyłam oczy, żeby zobaczyć, gdzie go zostawiłam, ale o mało co się nie potknęłam, więc z powrotem zacisnęłam powieki.

Kiedy tylko taniec się skończył, ruszyłam jak szalona na poszukiwania. Jednak przy tych wszystkich suto marszczonych spódnicach i szalonym ścisku obawiałam się, że nigdy go nie znajdę. Właśnie wtedy zauważyłam, jak jakiś mężczyzna wyrzuca ręce w górę i znika w morzu spódnic.

Och nie! Może... potknął się na moim pantoflu?

Po chwili pojawił się ponownie. Ukłonił się stojącym wokół niego, a potem odsunął, żeby rozejrzeć się po sali.

Czyżby znalazł...?

Jednak nie. Mężczyzna wyswobodził się z tłumu i widziałam go całkiem wyraźnie. Nie miał w ręku pantofla.

Ale... chwileczkę! Klepał się po kieszeni na piersi, jakby było w niej coś ważnego. Coś, co dość mocno wystawało. Jego spojrzenie spoczęło na... mnie.

Uniósł brew.

Ja kiwnęłam głową.

Zaczął przedzierać się przez tłum, kilka razy zatrzymując się, żeby z kimś porozmawiać, aż zwątpiłam, że do mnie dotrze, zanim zacznie się następny taniec. Ale w końcu mu się to udało. I właśnie wtedy, kiedy wyszedł z cienia do światła, zorientowałam się, kim jest. Te gęste brwi, te niesforne włosy. Oczy, w których tliła się ciekawość. To był młodzieniec z ławki De Vriesów. Ten drugi młodzieniec. Młodszy syn.

- Chyba mam coś, co należy do pani.

- Mam taką nadzieję.

- Obserwowałam panią, zanim... no... - Wyciągnął pantofel. - Jestem zaskoczony, że potrafi pani tańczyć z zamkniętymi oczami.

Stłumiłam śmiech, przypominając sobie w samą porę, że to zachowanie prostackie i że moje usta są zbyt duże i powinnam je ukryć. - Bo nigdy pan nie widział, jak tańczę walca z otwartymi.

Kącik ust podniósł mu się w uśmiechu, który objął potem całą twarz.

- No tak. Rzeczywiście nie widziałem. - Pochylił się, jakby poprawiał kant na nogawce spodni i w tym samym czasie jakimś sposobem nałożył mi pantofel z powrotem na stopę.

- A powinienem?

- Powinien pan... co?

- Zobaczyć, jak pani tańczy. Z otwartymi oczami.

- Nie. Nie powinien pan. Jestem za bardzo niezdarna. Wolę wiedzieć, gdzie idę, niż podążać za nieznanym mi człowiekiem.

Wyprostował się.

- Wcale się pani nie dziwię. To brzmi najzupełniej rozsądnie. - Ukłonił się. - Było mi bardzo przyjemnie, że mogłem odzyskać pani pantofel. Ale, jak często powtarza moja matka, połowa jest lepsza niż całość.

Uśmiechnęłam się, zasłaniając usta ręką.

- Chociaż nie mam pojęcia, co przez to rozumie, a nawet po co to mówi.

Roześmiałam się wtedy na głos. Nie mogłam się powstrzymać.

Kiedy już się pożegnał, przyszła ciotka.

- Czy to nie był jeden z De Vriesów?

- Pomógł mi, gdy pantofel spadł mi ze stopy, kiedy tańczyłam. On go znalazł i oddał mi.

- Chyba nie pomagał ci go założyć?

Przygryzłam dolną wargę. Jaka była właściwa odpowiedź? Czy miałam przyznać, że potrzebowałam jego pomocy? Czy miałam... kłamać?

- Pomagał?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Przez resztę wieczoru, kiedy tańczyłam, rozglądałam się po sali, chcąc ponownie spotkać młodego De Vriesa. Chciałam mu należycie podziękować. Ale już go nie zobaczyłam.

Ostatni zestaw tańców rozpoczął się walcem i dziedzic przyszedł po mnie, takjak zapowiedział. Kładąc mi rękę na plecach, porwał mnie od ciotki, zanim ta zdążyła udzielić mi jakichś rad. Był wysoki. Wyższy ode mnie. I miał przedziwne oczy. Tak intensywnie niebieskie, że aż paliły.

Żeby o tym nie zapomnieć i nie zepsuć walca, zamknęłam oczy i poddałam się muzyce. Chociaż spodziewałam się obrotu albo przynajmniej zmiany kierunku, to się nie doczekałam. I zanim taniec się skończył, byłam całkiem znużona tańczeniem przez cały czas w tym samym tempie, w jednym kierunku. Kręciło mi się w głowie. Ale przebrnęłam przez ten pierwszy taniec z panem De Vriesem i nie skompromitowałam się.

Kiedy odprowadził mnie do ciotki, nie miałam ochoty puścić jego ramienia ze strachu, że upadnę na podłogę.

On zdawał się tego nie zauważać.

- Nie zostały pani dla mnie jakieś inne tańce?

- J a . . . - Wzięłam karnet, który podała mi ciotka, żałując, że nie mam już nic wolnego.

Wziął go ode mnie.

- Doskonale! Świetnie, że zostawiła pani jeden wolny. Wezmę go. - Ukłonił się. - A zatem przyjdę po panią.

Ciotka uśmiechnęła się do niego promiennie, gdy zostawił mnie pod jej opieką.

- J a k t a m ?

- Powiedział, że został mi jeden taniec.

- Bo został. Dopilnowałam tego. Dobra robota.

Spojrzałam na karnet. Kiedy przeczytałam nazwę tańca, poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Jeszcze bardziej zaczęło mi się kręcić w głowie.

- Ale on nazywa się kadryl walcowy. Nie wiem, jak się go tańczy.

Ciotka spojrzała na mnie z wyraźnym przestachem w oczach.

- Pokaż. - Wyciągnęła mi karnet z ręki i wyjęła lorgnon, żeby go przeczytać. - Kadryl walcowy? Co to jest?

Nie miałam pojęcia.

- Musimy się dowiedzieć. I to szybko! - Rozejrzała się z desperacją po sali. Potem westchnęła. - Jedyne, co można zrobić, to zapytać Lizzie Barnes i mieć nadzieję, że wasza długoletnia przyjaźń nie pozwoli jej powiedzieć o tym komukolwiek.

Lizzie? Pozwoli mi zobaczyć się z Lizzie?

- Pójdziemy natychmiast i zapytamy ją.

Rezygnując ze swej własnej rady, żeby nie chodzić nigdy prosto do celu, poszła ze mną od razu tam, gdzie stała Lizzie, rozmawiając z matką.

- Pani Barnes - dygnęłam.

Ciotka kiwnęła głową, potem wskazała nieznacznie na Lizzie.

Gdy podeszłam do mojej przyjaciółki, na sali było coraz głośniejsze. Biorąc ją pod ramię, szepnęłam jej do ucha:

- Mam tańczyć kadryla walcowego z dziedzicem De Vriesów, a nie wiem, jak się to robi.

Wybałuszyła oczy.

- Możesz mi powiedzieć, jak się to robi?

- Oczywiście. Ale...

- Szybko! - Gwar tłumów wydawał się teraz dochodzić z moich własnych uszu, a kolory sukien otaczających nas ko-



biet zrobiły się trochę zbyt jaskrawe. Zauważyłam, że mrużę oczy przed ich oślepiającym blaskiem.

Lizzie poklepała mnie po ręce, ale zwróciła się bezpośrednio do ciotki.

- Tak bardzo bym chciała spędzać więcej czasu z Klarą. Widuję ją tylko na balu lub w operze. Chyba szkoda, żebyśmy przeszły razem przez cały sezon, nie mając szansy z sobą porozmawiać. Byłoby wspaniale, gdybyśmy miały *pewność*, że będziemy mogły zamienić parę słów. Od czasu do czasu.

Wstrzymałam oddech, czekając na odpowiedź ciotki.

Trochę to trwało, ale w końcu skinęła głową.

Lizzie uśmiechnęła się. A potem wzięła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

Nie słyszałam już gwaru, ale nie słyszałam też Lizzie. Wiedziałam, że mówi, jej usta się poruszały, ale słowa... nie słyszałam ich.

- Słucham?

- Klaro? Dobrze się czujesz? - Nareszcie! Chociaż jej słowa były spowolnione, jakby dochodziły z dużej odległości, przynajmniej tym razem je słyszałam.

- Nie rozumiem.

- To jest układ kadryla, ale do kroków walca. Rozumiesz teraz?

- Nie! - Kadryl był układem pewnych z góry określonych figur. Jak mogłam zatańczyć je do walca? Nie rozumiałam. A miałam to wkrótce zrobić z panem De Vriesem!

Jakbym wezwała go z jakiejś innej krainy, pojawił się, prosząc o moją dłoń.

W tej nagłej chwili, mając zawroty głowy i wyjątkowo mocno ściągnięty gorset, czułam, jakbym nie mogła wziąć normalnego oddechu. Wyciągnęłam do niego rękę i zrobiłam dwa kroki, a potem świat rozsypał się na setki czarnych i białych kawałków i straciłam przytomność.

Następny ranek ciotka spędziła w łóżku, a ja w fotelu przy kominku ze swoimi książkami, dopóki mnie nie wezwała tuż przed lunchem. W jej sypialni nadal było ciemno, ponieważ zasłony nie przepuszczały światła i chłodu dnia. Miałam ochotę złączyć dłonie i pochuchać na palce. Nic dziwnego, że ciotka nadal leżała opatulona w łóżku.

Wyciągnęła w moim kierunku gazetę.

- Przeczytaj mi. Kronikę towarzyską. Na temat zeszłego wieczoru. Nie mam ochoty czytać tego sama.

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA**

**15 grudnia 1891 r.**

**Pierwsze wydarzenie tego sezonu zgromadziło wielu znamienitych gości, a synowie najlepszych rodzin w mieście starali się zdobyć serca najpiękniejszych dziewcząt. Jakie związki zostaną stworzone, jakie małżeństwa zostaną zawarte o tej porze w przyszłym roku? Któż może powiedzieć, w kogo Kupidyn wymierzy swój łuk? Jedna rzecz jest pewna - panna Elizabeth Barnes, która usnęła podczas drugiego aktu opery, byłaby atutem każdego mężczyzny.**

**Państwo Moffattowie w imponujący sposób rozpoczęli ten sezon prywatnych bali. Panna Klara Carter była niewątpliwie gwiazdą sali balowej. Urzekła także pana Franklina De Vriesa, tańcząc z zamkniętymi oczami, jakby wsłuchiwała się w jakąś niebiańską muzykę. Jakie nieziemskie melodie słyszy pani, panno Carter? Jak może reszta z nas, grzesznych śmiertelników,**

**przyłączyć się do ciebie? Jednak kiedy panna Carter zemdłała, przez resztę wieczoru niepodzielnie władała panna Barnes.**

- I ?

- To wszystko. - Spojrzałam na nią zza gazety.

- Nie ma nic więcej? O tobie?

- Nie ma.

- A więc Lizzie chwałą za zaśnięcie, a o tobie piszą, że zemdłałaś - podniosła głos, a jego ton stał się ostrzejszy.

Wzruszyłam ramionami. Napisali też o moim tańcu.

- Nie rób tak. To prostackie. Musisz udawać, że jesteś zbyt delikatna na takie pospolite gesty. Masz. - Podała mi inną gazetę. - Przeczytaj tę rubrykę. Z plotkami.

Gazeta nazywała się „The Tattler”\* i wychodziła wtedy, kiedy były do opowiedzenia jakieś nowinki. Zawierała wiadomości i żarty, których nie mógł znać nikt obcy. Bardzo rzadko autor rubryki podawał nazwiska osób, jeśli opisywane fakty były kompromitujące. Zazwyczaj jego słowa nic mi nie mówiły. To był ten rodzaj wiadomości, których nie dało się zrozumieć, jeśli nie było się świadkiem wydarzenia.

Początek rubryki przeczytałam szybko - oczywiście nie miała ze mną nic wspólnego, ale zatrzymałam się przy tych fragmentach, które moim zdaniem mogły zainteresować ciotkę.

**I gdy jedna z naszych pięknych debiutantek spała, inna oddawała się namiętnościom opery. Cokolwiek można by pomyśleć o szanownym ojcu dziewczyny, wydaje się, że jego córka ma bardziej subtelną naturę. Gdybyż wszystkie debiutantki słuchały z takim zapamiętaniem.**

**Czyj wspaniały syn podtrzymał tradycje swej sfery, tańcząc z najbardziej pożądanymi debiutantkami sezonu? Jak również z tymi, które już tak dobrą partią nie są? Uważaj, młodzieńcze,**

\* „The Tattler” (ang.) - „Plotkarz”.

**wśród naszych kwiatów są kolce. Niektóre śliczne kwiaty pochodzą ze skalanego rodu. Wybierz mądrze - wybierz dobrze.**

Czy to...? czy ta pierwsza część była o mnie? W operze nie mogłam opanować łez, ale myślałam, że nikt na mnie nie patrzy. Kim był ten Plotkarz, że wiedział, jak bardzo się wzruszyłam?

- Pokaż mi to. - Do czytania ciotka podniosła monokl do oczu. - „...słuchały z takim zapamiętaniem”. To załatuje prostactwem. Tylko osoba pospolita poddałaby się takim emocjom.

- Czy on... on nie mówił o mnie...?

- Oczywiście, że o tobie. Byłaś jedną z nielicznych osób, które naprawdę słuchały opery. Większość z nas była bardziej pochłonięta tym, kto był obecny i co miał na sobie. Bo że jedyny, można by pomyśleć, moja droga, że nigdy wcześniej nie byłaś w operze!

Nie byłam.

- Nie wolno ci się wzruszać! Nie aż tak, żeby osoby takie jak ta mogły to zauważyć. Jeśli już, to dużo lepiej przyjąć niedbałą postawę Lizzie. Mam nadzieję, że mówię to ostatni raz. - Oddała mi gazetę. - Jest tam coś jeszcze?

- N i e .

- Lizzie została przedstawiona w najlepszym świetle - skrzywiła się ciotka.

- Nie jest wymieniona z nazwiska.

- Tak, ale każdy, kto tam był, będzie wiedział, o kim mowa. Bez względu na to, jak bardzo cenisz Lizzie, ona jest twoją główną rywalką w walce o względy dziedzica. Rozumiesz to teraz?

Zrozumiałam, że nagły koniec mojego wieczoru pozostawiał trochę do życzenia. Nic dziwnego, że odnotowano to w gazecie.

- Lizzie to moja przyjaciółka.

- Przyjaciółka, która najwyraźniej pragnie tego samego, co ty. Wiesz, że to ona zatańczyła twojego kadryla walcowego?

Lepiej że ona niż ja.

- Każę jutro przyjść tancmistrzowi, żeby zaradził tej godnej pożałowania skazie na twojej edukacji. Gdybyś tylko była nie zemdłała. To przede wszystkim ludzie będą pamiętać z zeszłego wieczoru.

- Gdyby tylko mój gorset nie był tak ciasno zasznutowany. Nie mogłam oddychać! Nie wiem, jak w ogóle mogłam tańczyć.

- Gorset nie ma tu nic do rzeczy. Za bardzo podobna jesteś do swojej matki. Masz skłonność do kobiecej hysterii i nerwowości. Poproszę brata, żeby coś ci na to przepisał.

Niczego tak nie potrzebowałam, jak poluzowania sznurówek gorsetu.

Gdy wychodziłam, ciotka dodała.

- Dopóki nie zemdłałaś, radziłaś sobie zupełnie dobrze.

Wieczorem na koncercie, zanim zaczął się program, mogłam przywitać się z Lizzie. Rozmawiałyśmy przez chwilę pod niechętnym i czujnym okiem ciotki. Policzki Lizzie były nadal przyjemnie zaróżowione od lodowatego powiewu, który wpadł za nami do sali koncertowej, a jej blond loki uroczo rozwiane. Kiedy ujęła moją dłoń w swoją, poczułam chłód jej palców, mimo że obydwie miałyśmy rękawiczki. Jednak Lizzie najpierw zapytała o moje zdrowie.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze. - Byłam może nadal trochę zziębnięta, ale spodziewałam się, że nieuchronnie zbliżający się ścisk w holu wkrótce temu zaradzi.

- Tak się martwiłam! Nie zrobiłaś sobie krzywdy, kiedy zemdłałaś?

- Ucierpiała tylko moja duma. — Zaczerwieniłam się na samo wspomnienie.

- Debiutantki ciągle mdleją. - Uścisnęła mi rękę.

- Ale nie o wszystkich piszą w "Journalu".

- Pisali o tobie w "Journalu"?

- O tobie też.

- Naprawdę? - Przysunęła się bliżej. - Co powiedzieli?

- Powiedzieli, że byłaś królową wieczoru.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, białych zębów.

- T a k .

- Och, Klaro, tak mi przykro. - Ujęła moją dłoń obiema rękami.

- Ciotka mówiła, że ty z nim tańczyłaś.

- Tańczyłam... bardzo jesteś zmartwiona? Ktoś musiał.

- Cieszę się! Przynajmniej wiem, że nie został i nie był świadkiem mojego dalszego upokorzenia. - Lizzie była prawdziwą przyjaciółką.

- Nie został. Tańczyliśmy. Chociaż... - Podniosła na mnie wzrok.

- C o ?

- J e g obrat...

- T a k ?

- On tam był. Został tam. Z tobą. Kiedy byłaś... kiedy zemdłałaś.

Naprawdę? Jakoś to było jeszcze gorsze.

- Ale wtedy ktoś już znalazł lekarza.

Jedno upokorzenie po drugim. Ja miałam być odpowiedzialna za wyniesienie nazwiska Carterów do najwyższych sfer towarzyskich? Kiedy nawet nie potrafiłam uchronić się przed kompromitacją? Byłam niemądra, uważając, że pod-

czas debiutu mam szansę odnieść sukces. - Nie sądzę... nie chcę tego robić. W ogóle! - Po zaledwie trzech wydarzeniach, po zaledwie trzech dniach naszego debiutu przytłaczał mnie tłum ludzi i jaskrawość kolorowych sukni. Poczułam, że pot występuje mi na czoło i zamrugałam mocno powiekami. Chwyciłam Lizzie za rękę.

- Ale tańczyłaś pięknie. Każdy taniec!

- Nieprawda.

- Prawda! Chciałabym być taka wysoka i pełna wdzięku jak ty. A kiedy zamknęłaś oczy, wydawało się, jakbyś żyła w jakimś... śnie czy czymś takim.

*Chcę żyć we śnie.* We śnie, w którym wyglądam dokładnie tak, jak powinnam. I tańczę dokładnie tak, jak powinnam. We śnie, w którym zawsze wiem, co powiedzieć, i zawsze wiem, co zrobić. Żałowałam, że nie potrafię być taką osobą, jakiej oczekiwali ciotka i ojciec. Chociaż dlaczego chcieli mnie narzucić rodzinie, którą najwyraźniej pogardzali, nie potrafiłam odgadnąć.

- Nie cieszysz się z tego, co powiedziałam?

- Co powiedziałaś? - O czym ona mówiła?

- Kiedy twoja ciotka zapytała mnie o kadryla walcowego.

- O. Aha! Tak. I ona się zgodziła! A utrzymywała, że jesteś pierwszą wśród moich rywalek.

- Bo jestem. - Lizzie uniosła podbródek i poklepała loki zwisające jej na szyi. A potem się uśmiechnęła. - Ale jestem również pierwszą wśród twoich przyjaciół.

- Dziękuję. Ja nigdy nie ośmieliłabym się zapytać.

- Do zobaczenia u Postów. I lepiej już nie mdlej! Następnym razem, jak ktoś zasłabnie, to pewnie będę ja.

- To nie było wcale zabawne.

- Ale tak wiele osób się o ciebie niepokoiło. Byłaś w centrum zainteresowania!

Następnego dnia rano przy śniadaniu ciotka nie traciła czasu, by zwrócić uwagę ojca na moje braki.

- Klara nie ma orędownika w rubryce towarzyskiej.

Ojciec odłożył gazetę, kładąc ją obok talerza.

- Doprawdy? - Przyjrzał mi się, jakbym była jakimś osobliwym gatunkiem. Rodzajem stworzenia, z którym do tej pory nigdy się nie zetknął. - Jej matka trafiała na nagłówki wszystkich tych rubryk.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Co *mogę* zrobić? Będzie po prostu musiała stać się bardziej zauważalna. - Mrugnął do mnie.

Ciotka zacisnęła usta i zajęła się swoim jajkiem - silnym uderzeniem rozbiła skorupkę i zanurzyła łyżeczkę w płynnym żółtku.

- Wydaje mi się, że temu problemowi można by zaradzić, zwracając się do jakiegoś dziennikarza.

- Dziennikarza?

- Jednego z tych, którzy piszą takie rubryki. Oni dość często przychodzą na takie bale. Czy nie można by jakiegoś przekonać, żeby pisał bardziej dokładnie o naszej Klarze? Życzliwszym tonem?

- Być może. - Ojciec osuszył usta serwetką, a potem rzucał ją na stół. - Być może da się to zrobić.

Następnego dnia tanecmistrz wypróbował ze mną wszystkie kroki. Rzeczywiście, kadryl walcowy był taki, jak tłumaczyła mi Lizzie, chociaż zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy go zatańczyłam. Ciotka kazała mi go powtórzyć cztery razy,



żebym dobrze zapamiętała kroki. Potem kazała mi jeszcze zatańczyć polkę i schottische'a, by się upewnić, że ich nie zapomniałam.

Kiedy tancmistrz i jego asystent już sobie poszli, podeszłam do schodów, żeby pójść do swojego pokoju.

Ale ciotka mnie zatrzymała.

- Ojciec cię prosi.

Nieczęsto otrzymywałam takie wieści. Zmieniłam kurs i poszłam natychmiast do jego gabinetu.

Gdy weszłam, ojciec wstał zza biurka.

- A, jesteś. - Stał tam, jakby nie był całkiem pewien, czy podejść do mnie, czy się wycofać.

Wtedy zorientowałam się, że nie jest sam. Przy oknie stał jakiś mężczyzna, spoglądając na ogród na tyłach domu. Robiłam to samo rano, obserwując, jak prószy śnieg. Jednak o ile ja byłam szczęśliwa, patrząc na to lodowe piękno z wnętrza domu, ułożenie jego ramion kazało mi przypuszczać, że niczego bardziej nie pragnie jak tego, żeby go tu nie było.

Kiedy ja przyglądałam się nieznajomemu, ojciec usiadł z powrotem za biurkiem. - To jest pan Douglas.

Mężczyzna odwrócił się. Był młodszy, niż się spodziewałam. Z mocno zarysowanym podbródkiem i lekceważącą miną, która kontrastowała z ciekawością widoczną w jego brązowych oczach. Zgiął się w płynnym, eleganckim ukłonie.

- Panno Carter.

- Pan Douglas będzie ci towarzyszył podczas wszystkich okazji.

- Towarzyszył mi?

Mężczyzna skierował na mnie swój wzrok.

- Jestem felietonistą w „The New York Journal”.

- Prowadzi rubrykę towarzyską. - Ojciec powiedział te słowa z jakby wyjątkową satysfakcją.

- A także polityczną. - Podkreślił mężczyzna.

Ojciec wzruszył ramionami. A potem wstał raz jeszcze i podszedł do pana Douglasa.

- Pańskie zobowiązania są dla pana jasne?

- Tak. - Mężczyzna przeniósł wzrok ze mnie na ojca.

- Nie ma nic więcej do omówienia?

- N i e .

Ojciec kiwnął głową. A potem się uśmiechnął, rozluźniając ramiona.

- Jestem wdzięczny, że zechciał pan nam pomóc w tej sprawie.

Pan Douglas skinął głową. Potem, ukłoniwszy się lekko w moim kierunku, wyszedł.

- No i? - Ciotka wślizgnęła się do pokoju, gdy jego kroki dały się słyszeć na końcu holu.

Ojciec uśmiechnął się do mnie, odpowiadając siostrze.

- Zrobi to. Nasza Klara wkrótce będzie najsłynniejszą debiutantką sezonu.

W dniu balu u Postów znowu padał śnieg. Jakże pragnęłam, żeby dzięki niemu jazda powozem była odświętna i pełna blasku, tak jak to zawsze wyglądało w powieściach, ale śnieg, który padał w Nowym Jorku, był zawsze zanieczyszczony przez atmosferę, przez którą przechodził. Smogiem z dziesiątków tysięcy kominów, kłębamii dymu z naziemnych pociągów i wszechobecnym brudem, na którym ostatecznie osiadał. Zanim dojechaliśmy do Postów, śnieg zamienił się w pokryte lodem kałuże lub popielatą breję. Zdażyłam już całkiem zapomnieć o panu Douglasie i naszym wspólnym upodobaniu do płatków śniegu, gdy zobaczyłam go we frontowym holu.

Nie wiedziałam, co zrobić. Czy powinnam go zauważyć? Czy to byłoby niestosowne? Był jakby pracownikiem, prawie jak pracownikiem, chociaż... na takiego nie wyglądał. Miał na sobie taki sam czarny frak, czarną kamizelkę i białą muszkę, jak pozostali mężczyźni.

Ciotka zmarszczyła brwi. A potem, jakby czyniąc wielkie ustępstwo, skinęła głową. Raz.

Pan Douglas skłonił głowę w moim kierunku. A potem podszedł do nas.

- Będę mógł panią poprosić do tańca?

Ciotka otworzyła usta, ale on w ostantacyjny sposób zignorował ją i mówił do mnie dalej.

- Jeśli mam o pani pisać, chyba lepiej byłoby robić to w sposób wiarygodny.

Podsunięłam mu nadgarstek.

- Poproszę o polkę. Tym sposobem będzie pani mogła czarować kogoś innego podczas walców.

Nie wiedziałam, czy mnie krytykuje, czy komplementuje. I nie miałam szansy go zapytać, ponieważ kiedy tylko wpisałam się do karnetu, zniknęłam w tłumie. W zamian za to pojawiła się Lizzie.

Uśmiechnęła się do ciotki.

Ciotka zmarszczyła brwi.

Lizzie wzięła mnie pod ramię i przemówiła z zaślony swego wachlarza. - Uwielbiam dekoracje Postów.

Tylko Dickensowskiemu Scrooge'owi by się nie podobały. W każdym kącie sali balowej stała choinka obwieszona lametą i przystrojona świeczkami. A pod każdym drzewkiem ułożono prezenty owinięte kolorowym papierem i obwiązane kilometrami koronki lub wstążki. Były ich dziesiątki, wszystkie jednakowego kształtu i wielkości. Nietrudno było sobie wyobrazić, że zanim wieczór się skończy, będą rozdawane jako drobne upominki.

Lizzie zwróciła moją uwagę, szepcząc:

- Kim jest ten boski mężczyzna, z którym rozmawiałaś?

- Niejaki pan Douglas.

- Nie *ten* pan Douglas?

Zamachnęłam się, jakbym chciała ją trzepnąć wachlarzem po nosie.

- Nie mam pojęcia, który pan Douglas. W zeszłym tygodniu przyszedł do ojca z wizytą. - O mało co nie powiedziałam jej, że jest felietonistą "Journala", ale nie mogłam pozbyć się myśli, że nie powinnam. Że wynajęcie dziennikarza, by pisał o czyichś towarzyskich dokonaniach, jest nie całkiem... uczciwe. Więc nic nie powiedziałam.

- Jest jakiś pan Douglas, który pisze dla „The New York Journal”. Sądzisz, że to on?

Powinłam się domyślić, że Lizzie wie więcej na temat takich spraw i takich ludzi niż ja. Czyż pani Barnes nie była autorytetem w sprawach towarzyskich?

- Naprawdę? Nie wiedziałam. - Przynajmniej dopóki mi ojciec nie powiedział.

- Wygląda, jakby należał do towarzystwa.

Rozglądałam się wokół siebie, dopóki go nie zobaczyłam. Rzeczywiście, sprawiał wrażenie jednego z nich. Ta mina wystudiowanej obojętności, która zdawała się trapić najmodniejszych ludzi w mieście. Mina, którą według częstych sugestii ciotki powinłam była sobie przyswoić.

- A poza tym - wyszeptała Lizzie - nie zaszkodzi mieć przystojnego mężczyzny, który wszędzie za tobą chodzi!

- On nie chodzi...

- Chodzi, chodzi. Przynajmniej wzrokiem. Ależ to doskonale. Widziałaś, jak pan De Vries gniewnie na niego patrzy?

- Naprawdę?

- No pewnie. Chciałabym mieć takiego własnego pana Douglasa. Musisz z nim flirtować, Klaro, i wykorzystać dla własnej korzyści.

Wykorzystywałam go... w sposób, o którym Lizzie nie mogła się nigdy dowiedzieć.

Kiedy tak stałyśmy razem, do pani Barnes podszedł jakiś młody człowiek. Widziałam, że matka Lizzie starała się zwrócić na siebie jej uwagę. Dotknęłam wachlarzem dłoni przyjaciółki. - Konkurent czeka.

Spojrzała w kierunku swojej matki, a potem na mnie z kwaśnym uśmiechem na ustach.

- Wolę zostać tutaj z tobą. - Skrzywiła się. A potem uśmiechnęła. - Jak wyglądam? - zapytała przez zęby

- Ślicznie.

- A mówią, że nie suknia zdobi człowieka.

Miałam wielką ochotę roześmiać się na głos, ale w porę się pohamowałam. I dobrze zrobiłam, ponieważ kiedy odwróciłam się ponownie do ciotki, poprosiła o mój karnet. Dla nieszczęsnego pana Hoopera. Tego od nienawistnych oczu, który z takim upodobaniem się we mnie wpatrywał.

- Dałam mu taniec. Kadryla. Mógł zrobić scenę.

Może tańcząc kadryla, będzie tak zajęty pilnowaniem figur, że nie będzie się na mnie gapił. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Mój karnet wkrótce się zapełnił. I pan De Vries zarezerwował sobie w nim taniec. Tak samo młodszy syn. Podeszli do mnie razem i starszy przedstawił brata ciotce. Zobaczyłam młodszego brata po raz pierwszy od czasu, gdy znalazł mój pantofel. Wpisał się na lansjera. Dziedzic wziął walca.

Nie było na szczęście kadryli walcowych.

Odetchnęłam z głęboką ulgą.

Pierwszy w kolejności był taniec z młodszym De Vriesem.

Zaprowadził mnie na parkiet i ujął moją odzianą w rękawiczkę dłoń w swoją.

- Panuje pani nad obydwojema pantofelkami dziś wieczór, panno Carter?

- Tak. - Obląłam się rumieńcem.

- Przepraszam. Nie powinienem był nic mówić. Zawsze mówię właśnie to, czego nie powinienem.

I prawdopodobnie dlatego kazano jemu i bratu skrócić podróż po Europie. Chociaż nie wyglądał na rozpustnika. Nie żebym miała w tym względzie jakieś wielkie doświadczenie. Wyglądał dość... sympatycznie. Włosy miał trochę zbyt długie, jak na panującą modę, ale kręciły mu się ele-

gancko na karku za uszami. I o ile jego brat wydawał się wytworny i obyty w świecie, to młodszy pan De Vries wyglądał po prostu na autentycznego i dobrego człowieka.

- Może powinienem być zapisać się na walca, gdyż tylko o tym Franklin potrafił mówić wczoraj: że tańczył „z tą wspaniałą dziewczyną, która zamyka oczy”. Ale muszę się przyznać, że mnie się pani oczy podobają. Otwarte. O wiele lepiej je widzieć niż... nie widzieć.

Gdy zabrzmiała muzyka, on ukłonił się, a ja dygnęłam.

- Miał pan udaną podróż, panie De Vries?

Zrobiliśmy kilka kroków do środka i powitaliśmy ukłoniem parę naprzeciwko nas. Potem wycofaliśmy się.

- Udało się?

- Podróż. Po Europie?

Połączyłyśmy ręce z innymi dziewczętami w poprzek naszego kwadratu, a potem znowu zajęłam miejsce u boku pana De Vriesa.

- T a k . To znaczy dopóki... cóż... była krótsza niż się spodziewałem. Chętnie bym zobaczył Włochy.

Wiochy! Tam, gdzie mieszkał Byron. I umarł.

- Ja też chciałabym je zobaczyć.

Naszą rozmowę przerwała seria posuwistych kroków *chasse*, które poniosły nas w przeciwnych kierunkach.

- Naprawdę?

- T a k .

- Cóż... to już coś. Coś wspólnego.

W jaki dziwny sposób się wyrażał.

Podaliśmy sobie obie ręce, by zrobić obrót.

- Tak rzadko można spojrzeć komuś, dziewczynie, w oczy.

- Moja ciotka mówi, że jestem wysoka jak chłopiec. Nawet wyższa.

Rozłączyliśmy się, bym raz jeszcze dygnęła, a on ukłonił się, tym razem parom po bokach.

- Nie powiedziałbym. Chociaż... ja jestem chłopcem. A pani jest mojego wzrostu... chciałem tylko powiedzieć, że to zaskakujące, zważywszy, że na ogół spoglądam w dół na jakiś szpiczasty diadem albo łaskocze mnie pod nosem jakimś zbłąkane pióro.

Uśmiechnęłam się, słysząc jego uwagi, gdy znowu podawałam ręce innym dziewczętom.

- Och, doprawdy, może się pani śmiać, ale proszę sobie wyobrazić mnie w sali balowej w Wiedniu, broniącego się desperacko przed kichaniem, ponieważ córka jakiegoś barona ma pawie pióro, które uparcie powiewa mi pod nozdrzami.

Znowu byliśmy zmuszeni do zrobienia *chasse*.

- Lepsze pióro niż szpilka do kapelusza.

- O tak. Dużo lepsze. Szpilka do kapelusza może dźgnąć człowieka w oko. Nie ma pani pojęcia, jak pełne pułapek są sale balowe. Za każdym razem, gdy się w nich pojawiam, ryzykuję życie.

- Chciałabym, żeby wszyscy podzielali pana odczucia. Nie ma pan pojęcia, jakie to jest męczące, kiedy cały wieczór trzeba trzymać na głowie te wszystkie klejnoty i pióra.

Podaliśmy sobie ręce w poprzek kwadratu, a potem wróciliśmy do wyjściowej pozycji.

Obrzucił moją ozdobę we włosach szacującym spojrzeniem.

- Nie wygląda na zbyt duże obciążenie.

Czy ja się skarżyłam? Nie miałam takiego zamiaru. To było niegrzeczne.

- Bo nie jest!

Uniósł brew.

- Nie narzekam. Nigdy bym tego nie zrobiła.

- A ja tak. - Popatrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, a potem wybuchnęliśmy śmiechem.



Kiedy zabrzmiały ostatnie takty tańca, ukłoniliśmy się parom naprzeciwko nas i po naszych bokach, a potem pan De Vries odprowadził mnie do ciotki. Ukłonił się.

- Bardzo pani dziękuję, panno Carter.

- Dziękuję panu, panie De Vries.

Podszedł do mnie trochę bliżej.

- Nie sądzi pani, że skoro mówiliśmy o piórach i szpilkach do kapelusza... to mogłaby pani mówić do mnie Harry?

Kiwnęłam głową. A kiedy odszedł, zostawiając mnie u boku ciotki, nadal się uśmiechałam.

Następny taniec należał do jego brata. Franklin ukłonił się ciotce, a zwrócił do mnie.

- Panno Carter.

- Panie De Vries.

Zaprowadził mnie na parkiet.

Czekaliśmy na początkowe takty.

I czekaliśmy.

I czekaliśmy jeszcze trochę.

- Chciałem pani powiedzieć, panno Carter...

Orkiestra zaczęła grać. Zamknęłam oczy i pozwoliłam porwać się panu De Vriesowi i tańcowi.

Kiedy umilkła ostatnia nuta, otworzyłam oczy z nie-małym żalem. Wyobrażałam sobie, że jestem w słonecznej Italii. A potem na sali balowej w Wiedniu. Zacerwieniłam się, kiedy uświadomiłam sobie, jak daleko moje wyobrażenia przeniosły mnie z ramion pana De Vriesa.

- Dziękuję panu, panie De Vries.

Uśmiechnął się do mnie. Powolnym uśmiechem, który zaczął się w jednym kąciku ust i nie całkiem dotarł do drugiego.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Carter, to ja dziękuję pani. Za taniec, który był... wyjątkowy. Nigdy żadna inna dziewczyna nie oddała się w moje ręce tak jak pani. Nigdy mi tak całkowicie nie zaufała. Jak gdybym mógł zrobić z panią, cokolwiek bym chciał.

Na tę uwagę podniosłam gwałtownie wzrok do góry. Nie zobaczyłam jednak w jego oczach nic oprócz poważania.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego - powiedział.

- Dziękuję, panie De Vries.

Ujął mnie pod ramię i obrócił w kierunku ciotki, muskając podbródkiem moje ucho. Spojrzał mi w oczy.

- Mów mi Franklin.

Po raz drugi tego wieczoru oblałam się rumieńcem.

- Dziękuję, Franklinie.

# 16

Kiedy skończył się mój taniec z Franklinem, znalazła mnie Lizzie.

- Dobrze razem wyglądacie, Klaro. Obydwoje jesteście tacy wysocy.

- Nie lepiej niż wy. Ty jesteś taka jasnowłosa, a on taki ciemny.

- Co się dzieje? - Lizzie przysunęła się bliżej. Spojrzała mi w oczy.

Powinnam była wiedzieć, że nie potrafię ukryć przed nią swoich myśli.

- Źle wyglądasz.

- Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Nic nie mogę zrobić w tym gorsecie. Nie znoszę go. - Szczerze mówiąc, *nie znoszę* nie było wystarczająco mocnym słowem. Nienawidziłam go z całej duszy, jak więzień, który ze swojej celi dostrzega przebłąski wolności. Wolności, której codziennie mu się odmawia.

- Naprawdę? Ja nawet dosyć go... lubię.

- Lubisz?

Najwyraźniej miała ochotę wzruszyć ramionami, ale powstrzymała ten ruch.

- Dobrze się w nim czuję. Tak... przytulnie. I blisko ciała. Jakby... czuję, jakby dodawał mi siły. Jak gdybym, mając go na sobie, była gotowa na to wszystko. Pewnie myślisz, że jestem niemądra.

- Nie. - Żałowałam, że nie mogę powiedzieć tego samego. Najwyraźniej nawet moje uczucia nie były konwencjonalne.

Gdybym potrafiła myśleć tak jak Lizzie, tak jak ciotka, to może czułabym, że jestem na swoim miejscu.

- Nie widziałas, że kręciłam wachlarzem?

- Co? Gdzie?

- Klaro! Jesteś beznadziejna. *Kręciłam wachlarzem.*

Co oznaczało... coś. Wiedziałam, że to miało coś znaczyć.

- Nie zauważyłaś pana Portera?

Pana Portera?

- Czy to ten z obwisłym wąsem?

- Nie. To pan Hamilton. Pan Porter to ten z czerwonym nosem. Ten wysoki.

- Aha. Nie, nie widziałam. Co zrobił?

- Nie widziałas? - Trzepnęła mnie wachlarzem po ramieniu. - Wyglądało na to, że on widział tylko ciebie!

- Nie zauważyłam.

- Och, Klaro. Wachlarz. Nie zauważyłaś! Kiedy nim zakręcę, to oznacza, że ktoś cię obserwuje.

- Przykro mi. Nigdy nie mogę tego zapamiętać.

- Jak będziesz flirtować z wszystkimi swoimi zalotnikami, jeśli nawet nie wiesz, że ich masz? - westchnęła.

- Nie mam. Nie mam żadnych zalotników.

- Masz.

- Nie mam.

Jak mogłabym mieć, jeśli nie pamiętałam nawet najprostszyc rzeczy?

- Masz. Pokażę ci. Chodź ze mną. - Lizzie złapała mnie za rękę i zaprowadziła na przód sali balowej. - Idź. Stań tam. W środku. Tam, gdzie jest wolne miejsce.

- W środku? Pomiędzy wszystkimi?

Westchnęła. A potem chwyciła mnie za rękę. Razem podeszłyśmy na środek sali.

- Widzisz? Tam?

Uświadomiłam sobie, że pan Hamilton rzeczywiście patrzy w naszym kierunku.

- Masz na myśli pana Hamiltona?

- Tak! A obok niego stoi Lorillard. A tam dalej jest jeden z Rensselaerów. A o dwóch dalej jest Gould.

Kiedy obracała mnie, bym się mogła rozejrzeć po sali, podając nazwisko za nazwiskiem, wydawało się, że każdy z tych mężczyzn słyszy jej słowa. Ponieważ zawsze kiedy Lizzie powiedziała jakieś nazwisko, jego właściciel patrzył prosto w naszym kierunku.

- Patrzą na *ciebie*, Lizzie.

- Nieprawda. Wszyscy patrzą na ciebie. - Jej głos przycichł, tak że musiałam się nachylić, żeby ją słyszeć.

- A więc... co mam robić?

- Co masz robić? Uśmiechaj się i flirtuj, a w końcu daj wszystkim kosza i wyjdź za pana De Vriesa. To masz robić. Ja przynajmniej mam taki zamiar! - Uśmiechała się teraz. - A ja myślałam, że przynajmniej w tej sprawie się zgadzamy. Więc idź i flirtuj, Klaro. Baw się, dopóki możesz.

- Ale... to chyba... dlaczego nie możemy po prostu zająć się zdobywaniem pana De Vriesa?

- I zrezygnować z flirtowania? I tańców?

- Tak. Właśnie tak. Zrezygnować z tego wszystkiego.

Pokręciła głową.

- Doprawdy, Klaro, nie masz za grosz wyobraźni! Uganiecie się otwarcie za nim nic nie da. Ucieknie. Musimy go podchodzić tak, jakbyśmy go nie podchodziły. Czy widzisz go tam?

Spojrzałam w kierunku, który wskazała głową, i rzeczywiście go zobaczyłam. Pan De Vries stał przy wazie z ponczem, otoczony przez dziewczęta. I wyglądał na znudzonego tym wszystkim.

Przez chwilę udawałam, że jestem Lizzie. Flirtowałam przy pomocy wachlarza, rzucając wszelakiego rodzaju spojrzienia w kierunku mężczyzn, starając się przyciągnąć ich do siebie. I podziałało! Nagle miałam więcej zalotników, niż mogłam dać sobie z nimi rady.

Może... może Lizzie miała rację. Może byłam w stanie to zrobić. Może mi się uda. Ale... co będzie, jeśli tak się stanie? Jeśli odniosę sukces? Co będzie, jeśli zdobędę dziedzicę?

Chociaż pan Douglas należał do, jak się zjadliwie wyraziła ciotka, klasy pracującej, jego umiejętności taneczne były bez zarzutu. Każdy jego podskok, każdy obrót, każde *chasse* było wykonane w odpowiednim momencie. Nawet raz czy dwa mnie poprawił, mogłam się tego domyślić, czując pociągnięcie w jednym kierunku lub popchnięcie w innym.

Fakt, że był dziennikarzem, bardzo mnie fascynował. Z początku byłam trochę zdenerwowana, wiedząc, że może napisać o moich najmniejszych naruszeniach etykiety, ale potem przypomniałam sobie, że zawarł z ojcem umowę i wkrótce ciekawość wzięła górę nad niepokojem.

- Mogę zadać panu pytanie, panie Douglas?

- J a k najbardziej, panno Carter.

- Zna pan Riisa? Jacoba Riisa?

Oczy zwięziły mu się, gdy jego spojrzenie skrzyżowało się z moim.

- Dlaczego chce pani to wiedzieć?

- Ja tylko... to znaczy... Czy to prawda? Wszystko to, o czym pisze?

- W swojej książce?

Kiwnęłam głową.

- T a k .

Tak? To ludzie naprawdę sypiali na dachach? A małe dzieci naprawdę włóczyły się po ulicach?

- To dlaczego ktoś z tym czegoś nie robi?

- Czegoś nie robi? Pani powinna być chyba ostatnią osobą, która będzie orędowniczką *zrobienia czegoś*, panno Carter.

- Kiedy ludzie są traktowani jak zwierzęta? Ktoś musi!

- Ale ciż sami ubodzy zapewniają najznamienitszym obywatelom miasta warunki, do jakich przywykli. - Jego oczy zdawały się rzucać mi wyzwanie.

Postanowiłam je podjąć.

- Jest 1891 rok, panie Douglas. Z pewnością nikomu w Stanach Zjednoczonych Ameryki nie powinno brakować jedzenia. Czy dachu nad głową.

- Zgadzam się.

- Zgadza się pan?

- Zgadzam. Ale niedola imigrantów zaczyna się w slumsach tego miasta, a kończy w głębokich kieszeniach jego najznamienitszych obywateli. Jeśli ktoś naprawdę chciałby pomóc temu miastu, to powinien spalić Tammany Hall i wszystkich gnieźdzących się tam demokratów.

- Tammany Hall. - Słyszałam, jak panna Miller mówiła te słowa.

- Zgadza się. Tammany Hall. To jedyna organizacja, której zależy na imigrantach. Ale tylko dlatego, że chcą pozyskać ich głosy. Jedyna rzecz, co do której zgadzają się ci z Tammany Hall i ci na szczycie socjety: imigranci mają zostać dokładnie tam, gdzie są. To jedyny sposób, żeby nikt nie ucierpiał.

- Nikt oprócz tych pozbawionych środków do życia biedaków.

- Właśnie.

Przez kilka następnych chwil tańczyliśmy w milczeniu. Trudno byłoby mi powiedzieć, czy dobrze mu się tańczyło polkę, czy nie, ale pod koniec tańca pochylił się ku mnie.

- Dlaczego pani to robi?

- Co robię?

- Jest pani wystarczająco znakomitą tancerką. Czy dlatego zamyka pani oczy podczas walca? Bo nie musi się pani starać?

Poczułam, że się czerwienię.

- Wprost przeciwnie. Tak słabo tańczę, że jeśli nie zamknę oczu, ryzykuję, że podepczę partnerowi stopy. Nigdy nie miałam zamiaru się wywyższać. Chciałam tylko ukryć swoje własne niedoskonałości. Proszę mi wybaczyć, jeśli wprowadziłam pana w błąd.

Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzał na mnie prawie z zainteresowaniem.

- Naprawdę?

Przytaknęłam. I o mało co nie przygryzłam wargi. Czy tak właśnie ludzie o mnie myśleli?

- A zatem to była przyjemność, panno Carter. Dużo lepiej pani tańczy, niż się pani wydaje.

Kiedy zeszałam z parkietu, stwierdziłam, że pan Douglas śledzi mnie wzrokiem, dokądkolwiek poszłam. Oczywiście wiedziałam, że musi mnie obserwować, żeby pisać swoje artykuły, ale jednak było to trochę denerwujące. Więc podczas następnej przerwy, kiedy razem z ciotką stanęliśmy obok niego, zaczęłam z nim rozmowę. Oczywiście, dopiero kiedy ciotka zaczęła konwersować z kimś innym.

- Nie tańczy pan? Z nikim oprócz mnie?

- Nie ma sensu.



- Nie ma sensu?

Pochylił się, jakby powierzał mi sekret.

- Nie ma w tym tłumie zbyt wielu kobiet, które są tego warte. Bardziej je interesuje, jak złapać mężczyznę, niż jak go przy sobie zatrzymać.

- A co do tego potrzeba?

- Żeby go zatrzymać? - Jego uśmiech był nieco protekcyjny. - Bardziej interesować się jego charakterem niż portfelem. Facet to coś więcej niż jego majątek. Przynajmniej niektórzy z nas chcieliby tak myśleć. Powinien być na to lepszy sposób. Małżeństwa powinny być zawierane ze względu na coś więcej niż majątek i uroda.

- Ależ są. Są zawierane w oparciu o...

- T a k ?

- No cóż...

- Na przykład pani. Co ma pani do zaoferowania?

Na to pytanie podbródek sam uniósł mi się do góry.

- J a . . . cóż... umiem... grać...

- T a k ?

- Dość trudny taniec węgierski.

Ćwiczyłam prawie dwa miesiące, żeby go opanować.

- Bardzo imponujące.

- I potrafię śpiewać. Kilka arii Mozarta.

- Niesamowite. I zapewne zna też pani różnicę pomiędzy widelcem do cytryny a widelcem do sałaty.

Ton jego głosu sugerował, że osiągnięcie tej umiejętności jest szalenie łatwe.

- I co z tego, że znam?

- Co z tego? Jeśli tak, to brawo. - Zaczął klaskać. - Przy całej niesprawiedliwości, jaka jest w tym mieście, właśnie tego nam potrzeba: jeszcze jednej kruczowłosej debiutantki, która rozróżnia walca od polki.

- Nie musi pan być taki sarkastyczny!

- A pani nie powinna być taka naiwna. Proszę się obudzić. Przeczytać książkę. Doksztąpić się.

Zaczynał być dość niemiły.

- Je śli się to panu nie podoba, dlaczego pan po prostu nie przestanie? Przestanie tańczyć. Przestanie pisać. - No właśnie. A dlaczego ja też nie przestałam?

- Ponieważ nie mogę. Jak mi Bóg miły, chciałbym, ale nie mogę. - W jego słowach można było wyczuć desperację. Ale potem się uśmiechnął. - A poza tym, chcę widzieć, jak się to wszystko potoczy.

- Co wszystko?

- Wszystkie intrygi pani ojca. Na mój rozum, jeśli będę w pobliżu wystarczająco długo, będę miał coś naprawdę ważnego do opisania.

Intrygi? O czym on mówi?

- O co panu chodzi? Proszę o wyjaśnienie!

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby chciał wyrobić sobie o mnie zdanie.

- Czy nazwa Mulberry Street coś pani mówi?

Mulberry Street? Zaczęłam kręcić głową, ale potem dałam spokój. Bo, gdzieś, jakimś sposobem, słyszałam o niej.

- Przestań zadawać pytania i idź bawić się wachlarzem, dziewczynko. Tam na zewnątrz jest wielki niegodziwy świat, w którym nie chciałybyś się znaleźć.

## „THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA

22 grudnia 1891 r.

**Bal u Postów był świadkiem czegoś niewidzianego do tej pory w tym pięknym mieście. Podczas tego wydarzenia więcej niż połowa kawalerów w mieście oddała swe serca. Tej sa-**

mej dziewczynie. Oczywiście każdego roku mamy nową debiutantkę, która przyprawia wszystkich o przyspieszone bicie serca. Jednak tegoroczna debiutantka, panna Klara Carter, jest absolutnie niezwykła.

„THE TATTLER”

22 grudnia 1891 r.

...i tenże biedny reporter czuje się umęczony do łez tym pokoleniem debiutantek, które uważają się tylko za pionki w rękach swych matek lub ojców. Jeśliby którąś zapytać, powiedziała by to samo, co wszystkie: robią to, co robią, ponieważ im tak każą. Każdego roku ustawiają się i biorą udział w paradzie sezonu, ponieważ tego się od nich oczekuje. Lecz czy dziewczyna, która flirtuje do upadłego, może naprawdę być niewinna polowania na fortuny najbogatszych obywateli miasta? Czy naiwność idzie w parze z głupotą?

Następnego dnia po południu schowałam się w swoim pokoju i kazałam służącemu napalić w kominku, by ochronić się przed zimowym chłodem. Kiedy ustawił mi krzesło przy ogniu, wzięłam do ręki swój haft i wbiłam igłę w tekturę. Przeciągałam nitkę tam i z powrotem. Wbijałam i wyciągałam igłę.

Wbić. Wyciągnąć.

Wbić. Wyciągnąć.

Wbić. Wyciągnąć.

Monotonia powtarzanych czynności nie pomogła usunąć z mojej głowy słów przeczytanych w gazetach. Czy naiwność idzie w parze z głupotą? A jeśli tak, to co ja miałam z tym zrobić?

„The Tattler” dawał do zrozumienia, że debiutantka miała coś do powiedzenia na temat swojej przyszłości. Że ja, że my wszystkie, mogłyśmy podjąć decyzję inną niż ta, którą pod-

jęto za nas. W naszym imieniu. Przez naszych ojców. Przez nasze matki.

W tym względzie wiedziałam, że ten, kto napisał tę rubrykę, był w błędzie. Panna Miller pomogła mi zrozumieć, że nasza przyszłość została postanowiona. Dawno temu. Chociaż niektóre z nas miały nadzieję, że tak nie będzie, wszystkie od samego początku wiedziałyśmy, jak się to skończy. Od dnia, kiedy doktor wypowiedział słowa: „Nie. To dziewczynka”.

Mogłyśmy więc zrobić przynajmniej tę jedną rzecz - mogłyśmy dążyć do osiągnięcia społecznych wyżyn, wyższych niż te, które osiągnęli nasi rodzice. Wyższych niż te, które osiągnęła ciotka.

Wbić. Wyciągnąć.

Wbić. Wyciągnąć.

Tak, nie miałyśmy wyboru.

„The Tattler” nie miał racji.

Spotkałam się z Lizzie następnego dnia popołudniu, w krzewach, jak miałyśmy w zwyczaju. Powitała mnie, wymachując w moim kierunku dwoma pakunkami. - Mam dla ciebie bożonarodzeniowe prezenty!

- Prezenty? - W liczbie mnogiej? A ja miałam dla niej tylko jeden.

- Po kolei. Najpierw mój. - Podała mi prezent, który trzymała w prawej ręce. Rozerwałam pozłacany papier i odkryłam w środku parę haftowanych pantofli.

- Są wspaniałe! Z bratkami!

- Twoje ulubione.

Rzeczywiście, to były moje ulubione kwiatki. Fakt, że Lizzie o tym pamiętała, wzruszył mnie do łez.

- A ten jest od panny Miller. - Wręczyła mi prezent, który trzymała w lewej ręce. Kiedy go od niej wzięłam, schowała dłonie w mufce.

- Ale... jakim sposobem...?

- Wysłała go do mnie i poprosiła, żebym ci go przekazała.

Schowałam prezent w fałdach peleryny. I wyciągnęłam stamtąd podarunek dla Lizzie.

Prawie wyrwała mi go z ręki i rozerwała papier. Zapiszczała, kiedy zobaczyła, co skrywa. - Przyjaźń Miłość i Prawda.

- Wiem, że lubisz takie dewizy.

- Uwielbiam je!

- A zatem Wesołych Świąt.

Lizzie wyciągnęła ręce i wzięła mnie w objęcia.

- Wesołych Świąt! - Puściła moją szyję i wyprostowała kapelusz na głowie. - Muszę iść. Wkrótce będą piekli prosię. A paluszki serowe pewnie już są wyjęte z pieca.

My na Boże Narodzenie zawsze jedliśmy gęś, natomiast Barnesowie pieczone prosię. Całe. Obracane na różnie w ogrodzie.

- Co jeszcze będziecie robić? Dziś wieczór?

- O północy wszyscy zjemy jabłko. Jak zawsze. - Jej uśmiech na moment przygasł. - W tym roku, jak wiesz, zjem tylko maleńki kawałeczek.

O tak, dobrze o tym wiedziałam. Bardzo wątpiłam, czy zjem jeszcze kiedyś jabłko, jeśli będę nosić gorset... co wydawało się nieskończenie długo... przez resztę życia. Jabłka przyprawiały mnie o najgorszą niestrawność.

- Będziecie rozpalać ognisko? - Jeszcze jedno dziwactwo Barnesów; jeśli wiatr wiał w nieodpowiednim kierunku, w powietrzu pełno było dymu.

- Oczywiście!

Jednym z potajemnych pragnień mojego dzieciństwa było spędzenie Wigilii w domu Barnesów zamiast w swoim własnym. Zazwyczaj spędzałam kilka minut wigilijnego wieczoru z nosem przyklejonym do szyby okna wychodzącego na tyły domu, starając się dosięgnąć wzrokiem, poprzez ogród nasz i sąsiadów, ogrodu Barnesów. Próbując dostrzec wesołe płomienie i tańczące iskry, które wystrzeliwały z tego piekła jak petardy.

- A wy co będziecie robić?

Wzruszyłam ramionami.

- To co zawsze.

Zjemy kolację. Zagram na fortepianie. Ojciec będzie czytał. Potem wszyscy pójdziemy do łóżka. I pewnie o jakiejś porze w nocy ojciec zostanie wezwany do kogoś, kto prze-

holował w jedzeniu lub piciu. Tak samo jak prawie każdej innej nocy w roku.

Następnego dnia rano obudził mnie nieznamy dźwięk. Dźwięk ciszy. Na ulicy pod moimi oknami nic się nie działo. Żadnego wołania przechodniów. Gdy tak leżałam, podparta poduszkami, usłyszałam turkot jednego powozu, a nie kilkunastu jak zazwyczaj.

Bez pomocy pokojówki założyłam lizeskę i przemknęłam po schodach na dół do salonu. W ciągu nocy pojawiła się tam choinka, jak zawsze w magiczny sposób. W przeszłości nasze choinki były ozdobione łańcuchami z papieru i popcornu, papierowymi ozdobami i świeczkami przypiętymi do gałęzi. W przeszłości nasze choinki były świadkami śpiewania kolęd i chowania prezentów. Widziały całusy, które ojciec kradł mamie, kiedy przyłapał ją pod jemiołą. Tegoroczne drzewko było dużo bardziej eleganckie i zdecydowanie zbyt wytworne na jakiegokolwiek niemądre zabawy. Udekorowane lametą i obwieszone ozdobami z posrebrzanego szkła nie miało w sobie nic z mojego dzieciństwa, za to jego gałęzie były przejawem wszystkich gorących życzeń ciotki dotyczących przyszłości.

Dawniej Boże Narodzenie było moim ulubionym świętem. Każdego roku w grudniu wpadałyśmy, mama i ja, w wir pracy. Pozwalano mi przebywać w kuchni i obserwować, jak kucharka robi puddingi i bożonarodzeniowe ciasta, a także pomagać przy ich dekorowaniu. A kiedy nawet nie było mnie w kuchni, wydobywające się z niej zapachy wszędzie mi towarzyszyły. Cynamon i imbir, skórka pomarańczowa i cytryna. Takimi zapachami były przesycone moje bożonarodzeniowe wspomnienia.

W grudniu tego roku dom pachniał pieczeniem i rzepą. Czyli tak jak zwykle. Prawdę mówiąc, dopóki dziś rano nie pojawiła się choinka, nie było w ogóle żadnego śladu nadchodzących świąt.

W końcu ojciec wynurzył się ze swego gabinetu, a ciotka zeszła na dół. Po śniadaniu, na które składały się gotowane jajka i szynka, wymieniliśmy prezenty.

Ojciec wręczył mi szkatułkę z biżuterią mamy.

Podniosłam wieczko i spjrzałam na klejnoty, które tak dobrze znałam. W wyściełanych przegródkach leżały komplety granatów, rubinów i szmaragdów. I najpiękniejsze z nich - ametysty.

- Najpiękniejszej debiutantce sezonu nie może zabraknąć biżuterii.

- Dziękuję. - Łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugałam powiekami. Potem spjrzałam na ojca i próbowałam się uśmiechnąć. - Są śliczne.

- Jeśli się nie mylę, będziesz nawet bardziej wychwalana niż twoja matka.

Bardziej niż mama? Bardzo w to wątpiałam. Zanim mogłam się jeszcze nacieszyć tym niespodziewanym prezentem, ciotka wręczyła mi swój. Wachlarz z frędzlami osadzonymi na stelażu z masy perłowej.

Ja dałam ojcu nowy przycisk do papieru do gabinetu, a ciotce torebkę wieczorową, którą wysyłam koralikami.

Ojciec spjrzał na swój zegarek kieszonkowy, zmarszczył brwi, a potem wsadził go z powrotem do kieszonki. Ciotka zajęła się głaskaniem swoich psów. Po chwili ojciec wyszedł.

Ciotka przeprosiła i też wyszła.

A ja poszłam z powrotem na górę, niosąc z sobą szkatułkę i wachlarz.



Trochę później zeszliśmy się znowu, by udać się do kościoła. Ciszę poranka zagłuszył turkot powozów, najwyraźniej wezwanych przez bicie kościelnych dzwonów w całym mieście.

Jak zawsze cały kościół, od przedsionka po prezbiterium, był udekorowany na święta. Małe choinki zdobiły podwyższenie, a na ołtarzu ustawiono kalie i liście kolokazji. Na ławkach były upięte girlandy z ostrokrzewu i wawrzynu.

De Vriesowie weszli do kościoła tuż przed nami. Za panią De Vries, wyglądającą olśniewająco w rdzawoczerwonej kreacji, podążała córka i nieznany mi mężczyzna. Za mężczyznę szedł Franklin, a za nim jego brat. Mężczyźni ciemnowłosi, kobiety blond - wyglądali jak rodzina z bajki.

Pastor, głosząc kazanie, przeszedł samego siebie. Podobnie chór, śpiewając *Te Deum, Sanctus*, a potem *Adeste fideles* na ofiarowanie. Jednakże najpiękniejszy śpiew podczas nabożeństwa dochodził nie ze strony chóru, ale z przeciwnej strony nawy. Z ławki De Vriesów.

Po kościele wróciliśmy do domu i o trzeciej zasiedliśmy do obiadu, na który składała się pieczona gęś z nadzieniem z kasztanów, sałatka z selera i gorące kulki serowe, a na deser legumina ze śliwkami polana masą z masła, cukru i brandy.

Wieczorem otworzyłam prezent, na który najbardziej się cieszyłam. Podarunek od panny Miller. Rozpakowałam pakunek i znalazłam cienki tomik poezji. I chociaż żałowałam, że nie mogę tego robić, mając chrupiące zielone jabłko w ręce, pochłaniałam te wiersze, zapominając na kilka rozkosznych godzin, że mam na sobie gorset.

Następnego dnia rano pierwsze co zrobiłam, to napisałam list do panny Miller.

*Droga panno Miller,*

*Bardzo dziękuję za ten śliczny tomik poezji. Skąd pani wie-  
działa, że znam już prawie na pamięć całego mojego Byrona?  
Uważam, że wiersze Emily Dickinson są wspaniałe, choć trochę  
dziwne. Nie słyszałam o niej wcześniej.*

*Jeśli zrobi mi pani tę przyjemność i będzie ze mną korespondo-  
wać w przyszłości, proszę do mnie pisać na adres...*

Kogo? Chociaż ciotka zgodziła się, żebym rozmawiała z Lizzie na balach i podczas innych wydarzeń, w których brałyśmy udział, gdyby dowiedziała się o naszych spotkaniach przy żywoptocie, miałam wątpliwości, czy by je pochwaliła. Może lepiej nie polegać na Lizzie w roli posłańca. Ale jeśli nie Lizzie...?

Może... Harry? Chociaż nie znałam go zbyt dobrze i chociaż prawdopodobnie było to absolutnie niestosowne, żeby prosić dżentelmena o taką przysługę, postanowiłam, że go zapytam. Sądziłam, miałam taką nadzieję, że się zgodzi. Jednak na wypadek gdybym się myliła, postanowiłam nie wysyłać listu, dopóki nie zapytam.

*...pana Harolda De Vriesa, Nowy Jork.*

*Pani przyjaciółka*

*Klara Carter*

Tego samego dnia wieczorem byłam na prywatnym balu u Hamiltonów. I z pewną ulgą zobaczyłam, że bracia De Vries też są obecni. Na szczęście podczas pierwszej przerwy Harry zaproponował mi szklaneczkę ponczu. Nie omieszkałam skorzystać z okazji, żeby zwrócić się do niego ze swoją prośbą.

- Przykro mi, ale jestem zmuszona prosić o przysługę.
- Ależ proszę bardzo, panno Carter.

Jego wielkoduszność dodała mi odwagi, więc ciągnęłam dalej.

- Chciałam wysłać list do przyjaciółki. Ale jej odpowiedź, jeśli taka będzie, nie może przyjść do mojego domu.

- Do przyjaciółki? To jest list do *kobiety*?

- Tak. Do mojej guwernantki. Przynajmniej była nią dopóki... nie dowiedziałam się, że mam debiutować.

- Tęsknisz za nią. - Pochylił się lekko w moją stronę. Jego głos był łagodny. I pełen zrozumienia.

- Tak. Bardzo.

- Jak zatem mogę pomóc?

- Chciałabym ją poprosić, żeby wysłała odpowiedź na wasz adres.

- Ją to znaczy kogo?

- Pannę Julię Miller. Z Cortland.

- Panna Julia Miller. Z Cortland. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie do mnie od niej jakaś wiadomość, chętnie ją dostarczę.

Uśmiechnęłam się w podziękowaniu. Harry odwzajemnił uśmiech. Zrobiło się trochę niezręcznie.

Więc takie niebezpieczeństwo leżało w intymnej rozmowie, zanim miało się do niej prawo. Nigdy nie powinnam była go o to prosić. *Co on sobie musi o mnie myśleć!*

Harry przerwał milczenie.

- Widziałem cię w niedzielę w kościele. To znaczy... co niedzielę widzę cię w kościele. Ale pomyślałem sobie, że w zeszłym tygodniu kazanie pastora było wyjątkowo głębokie.

- Naprawdę? Często myślałam, że muszę być jedyną osobą, która naprawdę słuca. Lizzie spędza czas nabożeństwa, obserwując, co ludzie mają na sobie... albo nie mają.

- Ale ty nie dlatego w nim uczestniczysz? - To było pytanie sformułowane jak odpowiedź.

- Uczestniczę, bo... - Dlaczego uczestniczyłam? - Czyż nie muszę? Czy wszyscy nie musimy?

- Moglibyśmy odmówić. - Wzruszył ramionami.

- Wtedy wszyscy by widzieli, że nas nie ma.

- Kogo to obchodzi, że inni by widzieli? Bóg by widział. I czy to nie byłoby o wiele gorsze?

- Naprawdę myślisz, że widziałaby? Kiedy ma tyle ważniejszych rzeczy na głowie?

Jeśli Bogu na kimś zależało, to na ludziach pokroju pana Jacoba Riisa. Ludziach, którzy dokonywali ważnych rzeczy. Ludziach, którzy mieli znaczenie.

- On cię stworzył, nieprawdaż? Inną niż ktokolwiek, kto był przed tobą czy przyjdzie po tobie?

Pewnie tak. Żałowałam jednak, że nie był na tyle przewidujący, żeby stworzyć mnie obfitszą w biuście i węższą w pasie. Nie musiałabym tak bardzo się starać, żeby naprawić Jego błędy.

- Zdecydowanie twierdzą, że znaczysz dla Niego dużo więcej, niż ci się wydaje.

Była w jego słowach żarliwość, która odbiła się we mnie głośnym echem. Gdybyż tylko mówił prawdę. Chciałabym wierzyć, że Bogu na mnie zależy. Że może mnie kochać bez względu na to, co myślą inni. Ponieważ myśl ta była tak zdumiewająca i ponieważ żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy, wprawiłam wachlarz w ruch, machając nim przed swoją twarzą, dopóki nie zdecydowałam się odpowiedzieć.

- Jeśli i chodzę do kościoła, to dlatego że muszę.

- A nie wolałabyś chodzić dlatego, że chcesz?

- Oczywiście. A ty nie wolałabyś stać teraz we włoskiej katedrze zamiast tutaj? W tej sali balowej?

Roześmiał się, ja się uśmiechnęłam, a potem zwróciliśmy wzrok na tłumy.

Jak miło byłoby żyć, mając przekonania Harry'ego. Być tak pewnym, że Bóg o nas myśli. I tak szybko odrzucać opinie innych. Jednak jego poglądy, chociaż godne podziwu, zawierały błędy. Harry nie rozumiał, jak funkcjonuje towarzystwo. Jakżeby mógł? Nie musiał się martwić o fason swoich kapeluszy czy krój swoich ubrań. Nie musiał modelować sylwetki gorsetem. I nie musiał wciskać dłoni w rękawiczki o dwa rozmiary za małe. Był mężczyzną.

W poniedziałek wieczór Lizzie była na operze. Kiedy mnie zobaczyła, przybiegła, żeby się przywitać.

- J a kabsolutnie... doskonale! Jesteś! I możesz mi pomóc.

Ja? Pomóc jej? Jeśli ktokolwiek potrzebował pomocy, to byłam nim ja.

- Nigdy nie odniesiemy sukcesu w tym sezonie, Klaro, jeśli nie zajmiemy się innymi dziewczętami.

- J a k i m i dziewczętami?

- Innymi debutantkami. Musimy się ich pozbyć.

Chwilę to trwało, zanim odpowiedziałam, tak byłam zdziwiona jej słowami.

- Nie myślisz... co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że musimy trzymać je z dala od Franklina.

Franklina? Musiał więc ją też poprosić, żeby mówiła mu po imieniu. A ja uważałam to za wielki honor, zarezerwowany tylko dla mnie.

Lizzie mówiła dalej.

- Bóg widzi, że *on* nie będzie się trzymał od nich z daleka!

To było pewne. Najwyraźniej cieszyło go zainteresowanie, jakim obdarzały go panny debiutujące w tym sezonie... i debiutujące w zeszłym roku. I tych kilka niezamężnych, które zostały sprzed dwóch lat.

- J a k d l a naszych celów, w tym mieście jest zdecydowanie zbyt wiele odpowiednich dziewcząt.

- Co miałas zatem na myśli?

Wróciłam do naszej łożyjak ogłuszona. Całe dwa pierwsze *akty Aidy* minęły, a ja ich nawet nie zauważyłam. Podczas antraktu z ciężkim sercem poszłam za ciotką do holu.

Mój wzrok poraziły jaskrawe czerwienie i błękity sukien, podkreślone przez plamy czystej, lśniącej bieli. Suknie innych debutantek tego sezonu. Jedną z nich była Lizzie. Po dotarciu do niej miałam zamiar jej powiedzieć, że nie mogę tego zrobić.

Tylko że ona znalazła mnie pierwsza. Obrzuciła mnie pewnym swojej racji spojrzeniem, wobec którego mój hart ducha osłabł.

- Chyba nie potrafię tego zrobić, Lizzie. Naprawdę.

Wzięła mnie pod ramię.

- Oczywiście, że potrafisz. Musisz tylko otworzyć usta i powiedzieć te słowa.

Tylko Lizzie przysłoby do głowy, żeby potraktować moją wypowiedź dosłownie.

- Ale to nie jest prawda. Prosisz mnie, żebym skłamała.

- Prawdą jest to, że jeśli nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby pozbyć się rywalek, to ktoś inny sprzątnie nam Franklina przed nosa. Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Ale wtedy nie musiałybyśmy go poślubić. A on nie musiałby między nami wybierać.

- Lepiej niech to będzie jedna z nas niż jedna z nich.

Lizzie chyba miała rację.

- Dobrze.

- Gotowa?

Zawahałam się, ale w końcu skinęłam głową.

- To zadziała tylko wtedy, gdy powiemy, że to opinia twojego ojca. Pamiętaj, że od ciebie muszą się tylko dowiedzieć panny Vandermere i Addy Remstell.

- Ty też zrobisz swoje? - Wcale mi się to nie podobało. Ale Lizzie miała rację: musiałyśmy coś zrobić z innymi debiutantkami.

- Ja powiem wszystkim pozostałym. - Położyła drugą rękę na moim ramieniu i uściśnęła mnie. - Wiesz przecież, że sam w końcu stwierdzi, iż jesteśmy dwiema najlepszymi debiutantkami w mieście. My tylko ułatwimy mu dojście do tego wniosku.

- Ale czy musimy *to* powiedzieć?

- Tak. Ponieważ to zniechęci wszystkie panny do wyjścia za niego za męża. Po co miałyby którakolwiek chcieć go poślubić, jeśli jego majątek jest pisany jego bratu?

- Ale...

- Sza! Nie ma czasu do stracenia.

- Ale...

- To mama kazała mi to powiedzieć.

- Wciągnęłaś swoją matkę w...!

- To mama zasugerowała mi ten plan. - W słowach Lizzie brzmiała nieomal duma. - Nie martw się. Nikomu nie stanie się krzywda.

- Chyba... to znaczy, jeśli twoja matka sądzi, że...

- Tak sądzi.

Nie było szans na powstrzymanie Lizzie. Nie wtedy, kiedy wbiła sobie coś do głowy.

Kiedy szłam z powrotem przez hol, z rozmysłem unikałam ciotki. Przechodząc obok kuzynek Vandermere, trochę zwolniłam.

- Mój ojciec wspomniał o czymś, co chyba powinnyście wiedzieć.



- Tak? - Starsza, Emma, zwróciła w moją stronę swój zadarty nos.

- T a k . Pan Franklin De Vries jest... - Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć.

- C o ?

- On jest... podobno... bezpłodny.

Brwi podjechały jej do góry.

- Czyżby!

Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej, zatrzymując się przy Addy Remstell, żeby powiedzieć jej to samo.

- Jesteś pewna?

- Mój ojciec najwyraźniej tak sądzi.

Kłamstwa! Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Gdy wychodziłam z holu, miałam świadomość, że zostawiam za sobą ciągnącą się, mętną smugę oszustwa. Nie mogłam nawet skoncentrować się na następnym akcie opery, chociaż zauważyłam, jakie to było romantyczne, kiedy główny bohater porzucił objęcia królowny, by znaleźć prawdziwą miłość u boku outsiderki. Niewolnicy.

Kiedy opera dobiegła końca, dostrzegłam Lizzie w foyer. Przechyliła wachlarz w lewo.

Znowu jakiś znak? Ale co oznaczał? Czy ktoś mnie obserwował? Przyjrzałam się otaczającym mnie tłumom ludzi. Raczej nie. Nie wyglądało na to, że ktoś patrzy w moim kierunku.

Z wyjątkiem Lizzie. Znowu przechyliła wachlarz. A potem głowę w tę samą stronę. Dwa razy.

Dlaczego nie mogła porozumiewać się ze mną za pomocą równań? Albo po włosku? Wtedy wiedziałabym dokładnie, o co jej chodzi.

Gwałtownym ruchem jeszcze raz wymownie przechyliła głowę w lewo.

Czyżby chodziło jej o...?

W końcu wyciągnęła rękę i pokazała palcem. Gdy podążyłam za nim wzrokiem, starły się we mnie dreszcz tryumfu i poczucie winy. Po raz pierwszy podczas tego sezonu Franklin De Vries stał zupełnie sam, za to jego brat Harry był otoczony wianuszkami debiutantek.

Miałam tak stargane nerwy i wyrzuty sumienia z powodu kłamstwa, że przez następny tydzień prawie nie spałam w nocy. Więc kiedy usłyszałam krzyk, nieomal uznałam go za wytwór mojej wyobraźni. Ale krzyk rozległ się znowu. Dobiegał z salonu.

Zbiegłam na dół po schodach tak szybko, jak tylko pozwolił mi gorset.

Kiedy dotarłam do frontowego holu, służący już zaczęli wychodzić z sutereny i pojawiać się na kuchennych schodach. Gdy mnie zobaczyli, zrobili przejście, zostawiając wolne wejście do salonu.

Podkradłam się bliżej, nie będąc całkiem pewna, że chcę wiedzieć, co się dzieje w środku. Gdy weszłam do salonu, zobaczyłam, że ciotka prawie leży na kanapie i macha jedną ręką przed swą twarzą, w drugiej trzymając jakiś list. Zobaczywszy mnie, nie odezwała się ani słowem, tylko drżącą ręką wyciągnęła do mnie list.

- Co to?

- Przeczytaj. - Jej twarz, do tej pory blada, gwałtownie poczerwieniała.

- To zaproszenie.

Kiwnęła głową.

- Na jakiś... Bal Patriarchów?

- Bal *Patriarchów*.

Oddałam jej list.

- Idziesz na Bal Patriarchów!

- T a k .

Jeszcze jeden bal.

- Że też dożyłam tego dnia. Bal Patriarchów! - mówiła, jakbym właśnie przemieniła się ze śmiertelniczki w boginię. Podniosła się i odwróciła, by na mnie spojrzeć. - Na liście zaproszonych jest tylko czterysta osób. Tylko czterysta osób godnych tego, żeby wziąć udział w tym balu. A my nigdy nie byliśmy wśród nich. Jeśli zapewniłaś sobie miejsce wśród tych czterystu, to odniosłaś sukces. De Vriesowie musieli kogoś przekonać, żeby dodał cię do listy.

- Ale... skąd wiesz, że to oni?

Dlaczego mieliby to zrobić?

- A któż by inny?

Gdybym wiedziała, ile pracy wymaga przygotowanie się na ten bal, przechwyciłabym i zniszczyła zaproszenie, zanim ciotka zdołałaby je przeczytać. Trzeba było pójść do krawcowej. Zmienić ozdoby do włosów i zamówić nowe pantofelki. I co najgorsze, wytrzymać kolejne lekcje tańca. Najwyraźniej patriarchowie domagali się na swoich balach nowości. I trzeba było nauczyć się wcześniej nowego kotyliona.

Moim jedynym pocieszeniem była myśl, że Lizzie również cierpiała takie męki. Nie miała wyboru, jeśli też była zaproszona na Bal Patriarchów. Chciałam zapewnić ją o swoim współczuciu, kiedy podczas czwartkowego spotkania wspomniałam o swoich morderczych lekcjach tańca.

- Po prostu chyba nie potrafię zapamiętać kolejności tych wszystkich figur.

- Jakich figur?

- Na bal.

- J a k i bal?

- Bal Patriarchów.

- Zostałaś zaproszona na Bal Patriarchów? - Spojrzenie, jakim mnie obdarzyła, przypominało spojrzenie ciotki.

- A ty nie?

- N i e .

Gdybym mogła cofnąć swoje słowa, z pewnością bym to zrobiła.

Jednak Lizzie już poweselała.

- Bal Patriarchów! Będziesz mi musiała wszystko opowiedzieć. Chyba nie możesz się doczekać?

Mogłam. Mogłam czekać przez tysiąc lat. A nawet więcej.

Dni poprzedzające bal spędziłam w stanie prawie nieustającego strachu. Co będzie, jeśli się potknę, wysiadając z powozu? Co będzie, jeśli zapomnę układ kotyliona? Co będzie, jeśli podczas kolacji nie będę wiedziała, co powiedzieć? Co będzie, jeśli w pewnym momencie zemdleję?

I co gorsza, przed balem trzeba było wysiedzieć na całej operze.

Kiedy w końcu nadeszła środa, kiedy godziny zamieniły się w minuty i zegar wybił czwartą, mój niepokój nie znał granic. Mój oddech stał się zbyt szybki, a serce biło jak szalone, zamknęłam więc oczy, zostawiając świat na zewnątrz, i starałam się napełnić płuca powietrzem.

Uczesano mnie, nałożono suknię, wsunięto na nogi buciuki i wyszczotkowano. A potem odziano w pelerynę i powieziono do opery. A stamtąd do restauracji Delmonica, gdzie miał odbyć się bal.

Kolorem wieczoru był różowy, a w salach unosił się przede wszystkim zapach pieniędzy. Czuło się je w woni różowych

róż, które zwieszały się z każdego żyrandola i zdobiły każdą ścianę. Widać je było w pierzastych liściach palm i paproci, które maskowały kąty sali. A nade wszystko w blasku klejnotów, które dziewczęta prezentowały za każdym poruszeniem wachlarza.

Przez godzinę trwały tańce nieformalne. Dostrzegłam Harry'ego i Franklina - ten pierwszy życzliwy i przyjazny, ten drugi tak pewny siebie, że budził postrach - ale nie miałam okazji z nimi zatańczyć. O wpół do dwunastej okazało się, że przy kolacji mamy siedzieć przy jednym stole z De Vriesami.

Ciotka rzuciła mi wyniosłe spojrzenie. A potem nachyliła się ku mnie.

- Podziękujemy pani De Vries za zaproszenie.

Teraz? Kiedy będziemy wszyscy siedzieć razem? Kiedy obydwaj - Franklin i Harry - będą mogli usłyszeć najprawdopodobniej zbyt wylewne wyrazy wdzięczności ciotki? Nie chciałam, żeby wiedzieli, że nie jestem jedną z nich.

- Czy to nie jest jedna z tych... przysług... za które lepiej nie dziękować?

- Nie podziękować? Nie podziękować osobie, która zapewniła ci zaproszenie do najbardziej elitarnej grupy towarzystwa? Która sprawiła, że znalazłaś się wśród legendarnych Czteryestu? Która postanowiła ułatwić ci drogę? - Ciotka uniosła brew.

Zapewne nie.

- Takiego zaproszenia nie można kupić. Próbowaliśmy. Musi być podarowane. A my musimy jej za ten podarunek podziękować.

Martwiłam się na zapas, gdyż zanim lawirując wśród grup ludzi, dotarliśmy do stołu, Franklina i Harry'ego nie było nigdzie widać. Z wielką ulgą dołączyłam się do podziękowań ciotki.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Pani De Vries pochyliła się do przodu i rozejrzała wokół, jakby przekazywała jakiś sekret. - Syn nie dawał mi spokoju, dopóki nie załatwiłam jej zaproszenia.

Ciotka uśmiechnęła się.

- Doprawdy, uważamy to za spłatę długu. Za usługi świadczone przez doktora Cartera - dodała.

Poczułam, jak ręka ciotki tężeje na moim ramieniu.

- Naprawdę.

Uśmiech pani De Vries przez chwilę jakby zastygł.

- Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić.

Później, po kolacji, kiedy już udało mi się rozpiąć guziki przy rękawiczkach, żeby uwolnić dłonie, kiedy już zrobiłam wszystko, żeby nie nakarmić swojego spiętego żołądka, przesuwając kaczkę i puree z cebuli po talerzu i układając je w różne kupki, zaczęły się oficjalne tańce. Wiedząc, że sam Franklin nalegał, by mnie zaproszono, nie omieszkałam mu za to podziękować.

Jednak on podniósł rękę, żeby powstrzymać moje słowa, i zażyczył sobie dwóch kieliszków szampana. Potem zaprowadził mnie do spokojniejszej części sali. Wyciągnął cygaro z kieszeni fraka.

- Nie masz nic przeciwko?

Potrząsnęłam głową.

Zapalił. Zaciągnął się.

- No więc co mówiłaś?

- Chciałam ci podziękować.

- Za co? - zapytał z leniwym uśmiechem.

- Za załatwienie mi zaproszenia.

Wyjął cygaro z ust. Wydmuchał dym za moimi plecami.

- Podziękuj Harry'emu. To on prosił, nakłaniał i przypochlebiał się matce, żeby wcisnęła twoje nazwisko na listę. Jeśli o to chodzi, możesz mu sama podziękować. Idzie tu.

Odwrociłam się w stronę, którą Franklin wskazał cygarem, i rzeczywiście Harry szedł w naszym kierunku.

Przywitałam go uśmiechem.

- Muszę ci podziękować. Za wciągnięcie mnie na listę.

Uśmiechnął się i uklonił.

- Zrobiłem to z jak najbardziej egoistycznych pobudek, zapewniam. - Wyprostował się i zmarszczył na brata. - Nie powinieneś tutaj palić. Nie w obecności dam!

- Dam? Jakich dam?

Poczerwieniałam na taką sugestię.

Lecz Franklin mrugnął do mnie, a potem wydmuchnął kłąb dymu w kierunku Harry'ego.

- Tylko cię cytuję, braciszku. Dokładnie te same słowa, których użyłeś, gdy wyciągałeś mnie z Moulin Rouge w Paryżu. - Zwrócił się do mnie. - „Damy? Jakie damy?” Tak powiedział. Prosto w oczy hrabiny de Valois.

- Nie wiedziałem, że to hrabina. Nie zachowywała się jak takowa.

- Nie martw się. Uznała to za całkiem zabawne. - Strzepał popiół na lśniąca marmurową podłogę. - Szkoda, że nie mogliśmy zostać w Paryżu... żeby zobaczyć, jak to się skończy.

- Międzynarodowym incydentem.

Franklin zaśmiał się. Przez moment.

- Jesteś irytująco przywiązany do przyzwoitości, bracie. Założę się, że Klara nie jest, prawda Klaro? Masz na to za dużo wyobraźni.

Harry odpowiedział, zanim zdążyłam otworzyć usta.

- Co to za pytanie?! Jak ona ma odpowiedzieć?

- To był komplement. Sądzę, że pod tą królewską postawą i łagodnym wejrzeniem kryje się więcej, niż mogłoby się wydawać. Ale ty pewnie myślisz, że ją obraziłem.

- Ktoś musi bronić jej honoru.
- Ze mną go nie straci. Chyba że będzie chciała. A wtedy z przyjemnością usłużę.

Harry tylko pokręcił głową, kiedy Franklin niespiesznie się oddalił.

- Wydaje mu się, że jest wyrafinowany, a nie zdaje sobie sprawy, jaki jest arogancki. Naprawdę nie jest taki zły, za jakiego chciałby uchodzić. Chociaż... cóż... przykro mi.

Próbowałam się uśmiechnąć. Franklin mnie nie obraził. Nie tak naprawdę. Niezupełnie. Zastanawiałam się jednak, jak dwaj bracia mogą mieć tak kompletnie różne charaktery.

Tego wieczoru korzystano z dwóch oddzielnych sal, obsługiwanych przez dwie oddzielne orkiestry. Zatańczyłam przepięknego kotyliona, chociaż z upływem godzin z trudem ukrywałam ziewanie. O wpół do czwartej skończył się ostatni taniec. Kiedy wróciliśmy do domu, pokojówka ciotki pomogła mi się rozebrać i założyć koszulę nocną. Ponieważ nie jadłam podczas kolacji, umierałam z głodu. Owinęłam się lizeską i przemknęłam po schodach dla służby do kuchni.

Miałam ochotę pożreć resztkę ciasta, która stała na kredensie, znalazłam jednak bułkę i zjadłam ją bez niczego. Popijając filiżanką śmietanki. Zbyt późno przypomniałam sobie, że śmietana przyprawia mnie w ostatnich czasach o niestrawność.

Czując lekkie mdłości, przeszłam przez kuchnię i wyszłam do frontowego holu. Tam usłyszałam głosy. Ojca i ciotki.

Tak późno w nocy?

Przysunęłam się pomalutku do drzwi gabinetu ojca.

Mówiła ciotka.



- Tak właśnie powiedziała: „Uważamy to za spłatę długu. Za usługi świadczone przez doktora Cartera”.

- Przynajmniej rozumieją, że mają dług do spłacenia.

- Ale uważają, że teraz ten dług został spłacony w całości!

- Najwyraźniej poczuła się dotknięta.

- Nie wyciągam z jej słów takich wniosków.

- Wyciągnąłbyś, gdybyś usłyszał, co powiedziała na odchodne.

- Czyli co? - Cierpliwość ojca najwyraźniej była na wyczerpaniu.

- „Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić”.

- To brzmi nieszkodliwie.

- Wcale to tak nie zabrzmiało. Powiedziała to tak, jakby najwyżej tyle mogli zrobić. Najwyżej tyle *chcieli* zrobić. A do końca sezonu pozostało mniej niż dwa miesiące. Będziesz musiał coś zrobić.

Powstrzymałam beknęcie. Niestrawność będzie gorsza, niż się obawiałam. Zostawiłam więc ojca i ciotkę i poszłam do siebie.

Jeśli miałam nadzieję, że tej nocy usnę, to się rozczarowałam. Pod wpływem śmietany skręcało mnie w żołądku, a prześladowające pytania towarzyszyły mi przez tych kilka godzin, jakie pozostały do świtu. Co De Vriesowie mogli być winni mojemu ojcu? I dlaczego jeszcze nie spłacili długu? Zdaniem ciotki byli właścicielami połowy miasta. Z pewnością stać ich było na uregulowanie zwykłego rachunku od lekarza.

# 19

Pomimo osobistej urazy do mnie pan Douglas najwyraźniej dotrzymywał zawartej z ojcem umowy. I chociaż „The Tattler” mówił coś innego, zdaniem pana Douglasa byłam najświetniejszą debiutantką sezonu. Oczywiście nie była to prawda. Przynajmniej na początku. Ale im więcej o tym pisał, tym bardziej ludzie zaczęli w to wierzyć. Ludzie, którzy powinni być mądrzejsi!

Pan Tiffany przesłał mi do obejrzenia wysadzaną klejnotami bransoletkę. Pan Constable z firmy Arnold, Constable i Spółka przesłał mi w prezencie pelerynę operową. A pewnej nocy, kiedy wchodziłam do rezydencji Astorów na prywatny bal, jakaś kobieta stojąca na chodniku pisnęła: „To panna Carter!”.

Wysłano dziennikarza z czasopisma „Town Topics”, żeby zrobił ze mną wywiad. Gorseciarka napisała do mnie z prośbą, żebym lansowała jej gorsety. A artyście z „Ladies' Home Journal” zlecono narysowanie mojego portretu do artykułu na temat życia debiutantek. Ostatnio mówiono o mnie nawet wtedy, gdy wychodziłam z moich własnych frontowych drzwi. Fala szeptów podążała za mną jak cień.

- Panna Carter!
- To ona!
- W co jest ubrana?
- Gdzie jedzie?

Stałam się głównym arbitrem i mistrzynią wszystkiego co modne. Lizzie uważała, że to przezabawne.

- J a kuważasz, Klaro? Orchidee czy róże?

- Do czego?

Spotkałyśmy się za krzakami i opowiadałam jej o Balu Patriarchów.

- Do dekoracji.

- Tak, ale kiedy? I do czego?

- Na przyjęcie. Do udekorowania stołów.

Dekoracja stołów? Czy to naprawdę miało jakiegokolwiek znaczenie?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Lizzie śmiała się ze mnie. Domyśliłam się po błysku w jej oczach. - Przecież mówią, że ty wiesz wszystko.

- Kto mówi?

- *Kronika towarzyska.*

To była rubryka pana Douglasa.

- Nieprawda. On... *oni* tylko piszą, gdzie byłam. - Miałam nadzieję, że Lizzie nie zauważy rumieńca, jakim oblały się moje policzki. Ciągle nie powiedziałam jej o panu Douglasie.

- Cóż... *oni* może nie. Ale wszyscy pozostali tak. Pojechaliśmy wczoraj z mamą do McCreery's po kapelusz i wiesz, co zrobiła sprzedawczyni?

- C o ?

- Wyjęła taki naprawdę okropny, ohydny kapelusz. Zrobiony z pomarańczowej bombazyny ze wstążkami w kolorze śliwkowym i olbrzymią masą niebieskich piór na samym czubku. Powiedziała, cytując: „W zeszły wtorek dostarczyłam identyczny kapelusz panie Klarze Carter”.

- Dostarczyła. A raczej dostarczyli.

- Naprawdę!

- Tak. Ale ciotka od razu go odesłała. Powiedziała, że żadna debiutantka absolutnie nie powinna pokazać się w pomarańcu ze śliwką!

- Jeśli przyjrzesz się dokładnie, gdy będziesz na mieście w tym tygodniu, załóżę się, że zobaczysz co najmniej kilkanaście dziewcząt w identycznych kapeluszach. - Lizzie zaczęła chichotać.

- N i e .

- T a k .

I Lizzie miała rację! Dałam początek modzie na kapelusz, którego bym nie założyła. I najwyraźniej ta moda się przyjęła.

Tygodnie upływały mi według nużącego, choć przewidywalnego porządku:

niedziela: kościół

poniedziałek: opera

wtorek: dzień przyjęć

środa: opera i prywatne przyjęcie lub bal

czwartek: koncert lub inny występ

piątek: prywatne przyjęcie lub bal

sobota: prywatne przyjęcie lub bal.

I znowu niedziela, i wszystko zaczynało się od nowa. A każdą chwilę pomiędzy wydarzeniami towarzyskimi spędzałam na haftowaniu poszewek na poduszki i wyszywaniu monogramów na serwetkach, których, jak zapewniała mnie ciotka, wkrótce będę potrzebować.

Przynajmniej teraz nie narzekałyśmy na brak gości we wtorki. Jakakolwiek była ta wojna, którą rozpoczęła ciotka, składając osobiście wizyty i przyjmując niezapowiedzianych gości, odniosła zwycięstwo. I teraz spędzałyśmy nasze dni przyjęć, nie czekając na gości, ale wybierając, kogo przyjmę, a kogo nie. Czasami we frontowym holu czekało naraz kilka osób. A bywały dni, kiedy ludzie składali nam wizytę, ryzykując, że nie będzie nas w domu.

Pewnego popołudnia, gdy dołączyłam do ciotki w salonie, wszedł kamerdyner ze srebrną tacą.

- Ci panowie czekają na przyjęcie przez pannę Carter.

Ciotka wzięła od niego tacę i wysypała jej zawartość na kolana.

- Pan Hooper. - Wrzuciła bilet wizytowy prosto do kosza. - Jeśli on uważa, że może przyjść tutaj i rozpamiętywać, to się grubo myli. Niech sobie idzie do kogoś innego.

Nie potrafiłam powstrzymać wzdrygnięcia.

Ciotka podniosła kolejne bilety.

- Pan Hobbs. Pan Harold De Vries.

- Harry!

- Słucham?

- To znaczy... pan De Vries. Młodszy.

- Tak. Brat dziedzica. - Ciotka przywołała kamerdynera machnięciem ręki. - Przyjmiemy tylko *tego* pana. Pozostających nie.

Kamerdyner uklonił się i zniknął. Po chwili w drzwiach pojawił się Harry.

Wstałyśmy.

Harry się uklonił.

- No cóż. - Ciotka uniosła brwi, jakby oczekiwała, że Harry coś powie.

Nie powiedział nic.

Ciotka nachyliła leciutko głowę w jego kierunku.

A zatem to ja miałam być odpowiedzialna za rozmowę.

- Wczorajsza opera była wspaniała.

- Och! Tak. Wspaniała. Zdecydowanie. - Harry zamrugał, jakby moje słowa go przestraszyły.

- Orkiestra była... wspaniała.

- Bardzo. Wspaniała. - Harry stał ze splecionymi dłońmi, kołysząc się w przód i w tył na palcach.

- Może pan usiąść. Jeśli ma pan ochotę.

- O! Oczywiście. Dziękuję. - Rozglądał się przez chwilę, a potem podszedł niepewnie do prostego, zwyczajnego krzesła, naszego jedyne go reliktu z czasów rewolucji. A potem na nim usiadł.

Nie ośmieliłam się spojrzeć na ciotkę. Nie miałam też odwagi popatrzeć na Harry'ego z obawy, że w każdej chwili krzesło może się pod nim załamać. Ale się nie załamało. A on się na nim oparł.

Krzesło zajęczało.

Musiałam coś zrobić, coś powiedzieć.

- Prawdę mówiąc, siedzi pan na relikcie historii, panie De Vries.

Pochylił się do przodu.

Byłam w stanie odetchnąć głębiej.

- Naprawdę?

- Tak. To jest krzesło, na którym siedział ojciec mojego dziadka, kiedy postanawiał wziąć udział w wojnie o niepodległość.

- Coś takiego. Moja matka też ma taką rzecz w salonie. Tylko że to podnózek. Też przetrwał wojnę. Przestrzelili mu nogę.

Uśmiechnęłam się.

- Kiedy byliśmy mali, nie wolno nam było na nim siadać. Żebyśmy go nie połamali.

- Tak przypuszczam.

Harry się uśmiechnął. Błądził wzrokiem po pokoju. Ale nagle spojrział gwałtownie na mnie.

- Och! Może... nie powinienem tutaj siedzieć, prawda?

- Zerwał się na równe nogi. - Może... może powinienem już pójść. Wpadłem tylko się przywitać. Miło było panie widzieć. - Ukłonił mi się. Odwrócił się do ciotki. - Dziękuję. Że mnie panie przyjęły. Życzę... zapewniam... wszystkiego dobrego. Żegnam.

Wstałyśmy.

Odwrócił się i wszedł prosto w postument, na którym stała waza.

Waza zachwiała się, a ja rzuciłam się, by ją przytrzymać.

- Och...ja tylko... Odwrócił się od postumentu i usiłował go obejść, ale drogę zablokował mu marmurowy stół. - Ja nie... - Cofnął się i wszedł na mnie. Chwyciłam go za rękaw, żeby nie upaść, a on wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać.

- Tak mi przykro!

- Harry.

- Słucham? - W jego oczach wyczytałam desperację. I udrękę.

- Po twojej prawej jest postument, a po lewej stół.

- Postument po prawej i stół po lewej.

Kiwnęłam głową. Puściłam rękaw.

Harry opuścił rękę.

- Musisz zrobić krok do tyłu, a potem możesz się odwrócić.

- Odwrócić.

- Nie! - chwyciłam go za kłapy. - Krok do tyłu.

- Tak. Prosto do tyłu.

- T a k .

Stał tam, patrząc na mnie przez dłuższą chwilę, gdy ja wstrzymywałam oddech na myśl, jaka katastrofa może się jeszcze wydarzyć.

- Gdybyś mogła...? - Wzrok miał skierowany w dół.

Podążyłam za jego wzrokiem i zauważyłam, że nadal trzymam go za kłapy.

- Och! Oczywiście. - Puściłam go.

Ostrożnie zrobił krok do tyłu. Potem drugi.

- Zobaczę cię dzisiaj? Na balu u Vandermere'ów?

- T a k .

Odwrócił się i wszedł prosto w futrynę drzwi.

- Harry!

Podniósł rękę, żeby mnie powstrzymać, potem wyszedł przez drzwi do frontowego holu.

- Co za dziwny młody człowiek! - Ciotka zmarszczyła brwi i poszła przyjrzeć się krzesłu. - Nie mam pojęcia, czego uczą młodzież w dzisiejszych czasach. Może powinniśmy znaleźć inne miejsce na to krzesło.

Tego wieczoru tańczyłam polkę z panem Hamiltonem. Chichotałam z Lizzie, podśmiewając się z pana Portera, który nie odstępował jej na krok. Potem znalazł mnie Harry. Do lansjera.

- A propos tego popołudnia...

- Nic ci się nie stało? - Podniosłam rękę, żeby dotknąć jego policzka w miejscu, w którym uderzył się o drzwi. Pod delikatnym zarostem bokobrodów widać było jakby lekkie zasinienie. Złapał jednak moją dłoń w swoją, zanim zdołałam popełnić taką nieostrożność. Zabrzmiała muzyka i Harry pociągnął mnie w kierunku pary ustawionej naprzeciw nas.

- Nic mi nie jest. Chciałem tylko powiedzieć, że... Nic nie przychodzi mi do głowy, kiedy mam coś powiedzieć. Kiedy składam wizytę. Gdy siedzimy naprzeciwko siebie jak dwie... marionetki! I jedyne rzeczy, o jakich mam mówić, to pogoda i opera.

- Wiem.

- Czuję, jakbym miał za mały kołnierzyk i za ciasny krawat, nie mogę oddychać i zanim się zorientuję, robię z siebie idiotę. Znowu.

- To nie ma znaczenia. Nie dla mnie. - O mało co się nie uśmiechnęłam.

Zrobiliśmy *chasse* w przeciwnych kierunkach, a potem znowu się połączyliśmy.



- Nie ma?
- Nie. Rozumiem to. Sama czuję się dokładnie tak samo.
- Naprawdę?
- Tak! - Jak dobrze było porozmawiać z kimś, kto rozumiał! - Wyobraź sobie, że tygodniami siedzę w salonie, czekając, aż przyjdą goście i będę mogła porozmawiać o niczym z ludźmi, których nawet nie znam.
- Co za żałosna egzystencja.
- A najgorsze jest to, że w tym roku robię to z ciotką w ramach treningu. Żebym, kiedy wyjdę za mąż, mogła robić to przez resztę życia sama.
- Absolutnie okropne! - skrzywił się.
- Tak. Ale potrafię to robić. Ćwiczyłam. Pewnego razu ćwiczyłam, mówiąc do psa ciotki przez całą godzinę. O...
- Absolutnie niczym? - Lewa brew uniosła mu się do góry.
- Absolutnie niczym.
- Więc co jest w tym dobrego?
- Bo... Jak to powiedziała ciotka? Dlatego że to miasto zbudowane jest na znajomościach. Im więcej się ich ma, tym większe ma się znaczenie.
- A te znajomości to przede wszystkim kobiety, które spędzają niezliczone godziny w salonach, goszcząc inne kobiety, których prawie nie znają i którym nie mówią nic interesującego?
- Jakie to wszystko wydawało się nudne. Jak ponura wydała się nagle moja przyszłość.
- Ukłoniliśmy się najpierw parze z jednej strony, a potem parze z drugiej strony.
- Jestem pewien, że świetnie sobie z tym poradzisz.
- Dziękuję. - Nie potrafiłam zdobyć się na wystarczający entuzjazm, żeby do swoich słów dodać uśmiech.

Po tym tańcu była przerwa. Nie miałam nic przeciwko temu, że Harry pozostał u mego boku. Podał mi ramię.

- Chodź! Chcę ci kogoś przedstawić. - Kiedy odeszliśmy na bok, ze swojego miejsca podniosła się jakaś kobieta. Kobieta, którą widziałam w ławce De Vriesów. Gdy do niej podeszliśmy, Harry dokonał prezentacji.

- Panno Carter, to jest moja siostra, Katherine. Zazwyczaj mieszka za granicą, w Niemczech, ale postanowiła zaszczyścić nas swoją obecnością w tym sezonie.

- Bardzo mi miło panią poznać.

To nie do wiary, ale wyglądało na to, że rzeczywiście tak było. Harry miał włosy ciemne, a ona była jasnowłosa. Anioł z oczami koloru letniego nieba.

U boku Katherine rozległo się kaszlnięcie.

Harry odwrócił się w tę stronę.

- A to jest jej mąż, baron von Bergholz.

Mężczyzna zgiął się w głębokim ukłonie, aż siwiejące włosy opadły mu na czoło. A potem ujął moją dłoń i ją pocałował.

- Bardzo przyjemnie.

Naprawdę? Ale... dlaczego? Mówił z wyraźnym akcentem. Może nie rozumiał, co mówi. Przeniosłam wzrok z Katherine na Harry'ego.

Harry uniósł leciutko brew, potem wziął siostrę za rękę.

- Muszę opowiedzieć ci o pannie Carter, Katherine. Posiada ona zdumiewającą umiejętność tańczenia wokół sali balowej z zamkniętymi oczami!

- Ale ja... to nie tak... - zwróciłam się do siostry Harry'ego. - To nie jest tak, jak on to przedstawia.

Jej oczy aż rozjaśniły się śmiechem.

- Więc proszę mi powiedzieć... jak to jest?

Po raz pierwszy od mojego debiutu następnego dnia rano obudziłam się, niczego nie żałując, nie rozpamiętując głupstw, jakie powiedziałam, lub ważnych rzeczy, jakich zapomniałam zrobić, ale czując kompletne i całkowite zadowolenie. Potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć dlaczego, ale kiedy mi się to udało, oparłam się o poduszki z uśmiechem na twarzy.

Poznałam Katherine.

Znalazłam przyjaciółkę.

Nie znaczy to, że Lizzie nie była moją przyjaciółką. Była i to bardzo dobrą! Ale Katherine już przeszła przez swój debiut. I co więcej, przeżyła. Miałam kogoś, na kogo mogłam liczyć, kiedy rozpacz brała górę nad nadzieją. Kiedy jedyne życie, jakie mogłam sobie wyobrazić, wypełnione było nudną rozmową i niezliczonymi przyjęciami i tańcami, na których wszyscy mówili setki razy to samo.

Katherine rozwiązała moje obawy dotyczące wejścia do rodziny De Vriesów. Może i zbrukali honor rodziny Carterów, ale z pewnością nie zrobili tego celowo. Nic nie wskazywało na to, że cechuje ich złośliwość lub chciwość. Jeżeli by tak było, to jakim sposobem mogliby wydać na świat kogoś takiego jak Harry i Katherine? Jeśli świat, który był mi pisany, zamieszkiwały osoby takie jak Katherine, to może ten świat nie będzie takim jałowym, podłym miejscem, jak się obawiałam.

## 20

Nazajutrz po południu, kiedy rozstrzygałyśmy z ciotką, w których z prywatnych bali wziąć udział w następnym tygodniu, usłyszałam dzwonek do drzwi. Wkrótce pojawił się kamerdyner i podał ciotce tacę.

Ciotka chwyciła bilet wizytowy. Wydała stłumiony okrzyk.

- Franklin De Vries!

Dotknęłam nerwowo rękami głowy, żeby sprawdzić fryzurę. A potem wygładziłam przód sukni. Dlaczego przyszedł? To nie był nasz dzień przyjęć. I o czym miałam z nim rozmawiać?

Ciotka kiwnęła głową w kierunku kamerdynera. Strzepnęła lekko spódnice. - Klaro? - Wskazała na policzki, co miało oznaczać, że powinnam uszczypnąć swoje.

Franklin wszedł zamaszystym krokiem, a my z ciotką wstałyśmy.

Zatrzymał się na środku pokoju. Ukłonił. Gdy się wyprostował, w niezgłębionym błękanie jego oczu dojrzałam swoje odbicie.

Ciotka zaszczyciła go skinieniem głowy. I uśmiechem.

- J a k miło, że pan nas odwiedził, panie De Vries.

Franklin uśmiechnął się.

- Z przyjemnością popatrzę na urodę pani siostrzenicy w spokojnym świetle dnia zamiast w tym nieznośnym tłoku w operze. Czy na balu.

- To prawda. Chociaż ten sezon jest dość ekscytujący, prawda, Klaro?

Teraz była moja kolej, Boże dopomóż.

- Tak, wyjątkowo! Nie sądzi pan, panie De Vries?

Uśmiechnął się znowu, ze wzrokiem utkwionym we mnie.

- Nadzwyczajnie ekscytujący. - Odwrócił się i rozejrzał po pokoju. Podszedł do krzesła z czasów rewolucji i położył rękę na oparciu. - Czy to na tym krześle usiadł Harry?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Ciotka mnie wyręczyła.

- T a k .

- Harry to dobry chłopak, ale niezbyt biegły w salonowych manierach. Trudno sobie wyobrazić, ile się musiałem za niego tłumaczyć po całej Europie. To było całkiem zabawne. Nie potrafił zapamiętać najprostszych zasad.

Zatem Harry nie miał najlepszych manier. Dlaczego Franklin musiał się na ten temat rozwodzić?

Spodnie zmarszczyły mu się na udach, gdy usiadł na krześle naprzeciwko naszej kanapy.

- To okropne! I nadzwyczaj krępujące. Kiedyś stłukł kielich, który należał do Karola Wielkiego! Mogą sobie panie wyobrazić? Ponad tysięcletni!

Wyrwało mi się, zanim zdołałam się powstrzymać.

- Czytałam kiedyś, że jest tak wiele przedmiotów przypisywanych Karolowi Wielkiemu, że można by nimi wypełnić połowę muzeów świata.

- To znaczy?

Uśmiechnęłam się. I starałam się, żeby moje słowa zabrzmiały miło.

- Kielich? Z czasów Karola Wielkiego? Tysięcletni? Panie De Vries, chyba tylko rodzina pazerna i rozpacziwie potrzebująca zaszczytów uwierzyłaby w pochodzenie czegoś takiego.

Ciotka zmrużyła oczy i spiorunowała mnie wzrokiem.

Franklin uśmiechnął się. Ale tylko przez moment.

- Rzeczywiście, był dość krzykliwy...

Ciotka mu przerwała.

- J a k i e muzea musiał pan widzieć podczas podróży! Proszę mi powiedzieć, udało się panu zwiedzić Luwr?

Opowiedział nam o *Nike z Samotraki* i *Monie Lisie*.

- Po francusku nazywają ją *La Joconde*. - Powiedział to tak, jakbym w żadnym razie nie mogła o tym wiedzieć.

- Tak, a po włosku *La Gioconda*.

Franklin mówił dalej, dopóki zegar nie wybił godziny. Wtedy wstał. Jeszcze raz się uklonił.

- Bardzo mi było miło.

- Dziękujemy za wizytę. - Ciotka nie przestawała się uśmiechać, dopóki Franklin nie wyszedł z pokoju. Wtedy odwróciła się do mnie z oburzeniem w oczach. - Doprawdy, Klaro! Pazerna? Rozpaczliwie potrzebująca zaszczytów? Obraziłaś naszego gościa, stwierdzając coś, czego nie miałaś prawa wiedzieć.

- Ale on krytykował Harry'ego. Za jego plecami!

- Jego brat, młodszy pan De Vries, jest bardzo niekonwencjonalnym młodzieńcem. A poza tym, to Franklin jest dziedzicem. Jakie to ma znaczenie, że oczernia brata w naszym salonie? Twoim obowiązkiem jest sterować rozmową. I wyrażać się *grzecznie*.

Grzecznie? Byłam dużo bardziej grzeczna niż on.

Dopiero kiedy usłyszałyśmy, jak kamerdyner odprowadza Franklina do drzwi, ciotka zaczęła przeglądać rubryki towarzyskie gazet. Kiedy skończyła, podała je mnie.

15 stycznia 1892 r.

Zeszłej nocy u Vandermere'ów panna Carter wyglądała olśniewająco w doskonałej kreacji z koronki i atłasu w kolorze połyskującego złota. Zapytana, czy ma zamiar zdobyć serca wszystkich mężczyzn w naszym pięknym mieście, śliczna panna Carter zaprzeczyła. Czy są na niebie gwiazdy, które świecą jaśniej? Czy są w Central Parku motyle, które lżej tańczą? Mieście się na bacności aniołowie w niebie, wśród nas śmiertelnych mieszka ktoś piękniejszy od was.

„THE TATTLER”

15 stycznia 1892 r.

...a na balu u Vandermere'ów szykowały się inne intrygi. Niech obserwator ma się na bacności. Jeśli losy dawnych debutantek tego pięknego miasta są jakąś wskazówką, to, co jest oczekiwane czy przewidywane, nie zawsze się zdarza. A niejednemu niby wiernemu sercu zdarzało się zbłądzić.

Oczywiście byłam na balu u Vandermere'ów, ale nie zauważyłam żadnych takich intryg. Postanowiłam zapytać Lizzie. Jeśli jakieś flirtowanie miało miejsce, a ona nie brała w nim udziału, będzie wiedziała, kto brał.

Wierne serce - zbłądzić? O kogo chodziło?

Nie udało mi się rozwiązać tej zagadki do czasu balu noworocznego, który odbył się w hali Madison Square Garden. A ponieważ listę gości rozszerzono do tysiąca, Lizzie też miała tam być. Tak jak Harry. I Franklin.

Tego wieczoru chłopiec ubrany w liberię pomógł mi wysiąść z powozu. Na szczęście arkada przed halą była zabudowana, tak że nikt z zebranego tłumu nie był w stanie mnie dostrzec. Mimo to, gdy wchodziłam do budynku, usłyszałam kilka szeptów „Panna Carter!”.

Kiedy weszłam, otoczyła mnie dżungla. Nie czuło się tutaj mroźnego uścisku zimy. Wejście okalały palmy i inne egzotyczne rośliny. A u góry spleciono gałęzie cyprysu. Główną salę balową udekorowano mnóstwem różowych kwiatów i jasnozielonych ozdób, tworząc doskonały obraz przedwiośnia. A światła owinięto różową gazą, aby przyćmić ich elektryczny, jaskrawy blask.

Tłumy były tak wielkie, że trudno było się poruszać. Gdy usiłowałam wepchnąć się do wnętrza budynku, wpadłam na pana Hoopera. Skoro tylko zobaczyłam, że otwiera usta, odwróciłam się w drugą stronę, modląc się, żeby nie zechciał wpisać mi się do karnetu. Nie chciał. Ale Harry wpisał się na lansjera i polkę, a Franklin na dwa walce.

Podczas pierwszej przerwy Harry zaprowadził mnie do swojej siostry, która obserwowała tańce z łoży. Po drodze zauważyłam pana Douglasa, czającego się w cieniu. Skinęłam głową w jego stronę, a on odwzajemnił powitanie, zanim Harry wciągnął mnie do łoży.

- Przyprowdziłeś do mnie Klarę! - Katherine wyciągnęła rękę i pociągnęła mnie, żebym usiadła na krześle obok niej.

- To była wymówka, żeby uniknąć tych wszystkich trzepoczących debutantek. Nie wiem, czego one ode mnie chcą, skoro Franklin jest dziedzicem.

Ja wiedziałam. I wspomnienie mojego oszustwa nadal stanowiło wyrzut sumienia.

Zostaliśmy w łoży, rozmawiając o podróżach Harry'ego i życiu Katherine w Niemczech, dopóki członkowie orkie-



stry znowu nie zajęli swoich miejsc. Jednak kiedy zaczęli grać lansjera, Harry nie ruszył się, żeby zabrać mnie na parkiet. Co było w gruncie rzeczy bardzo miłe. Dobrze mi się słuchoła muzyki, gdy nie musiałam do niej tańczyć.

Kiedy zaczęli grać polkę, rozmawialiśmy dalej z Katherine. W rzeczywistości siedziałam tam, rozmawiając z Harry'm, dopóki jego tańce się nie skończyły. Obydwa. A on to sobie uświadomił, kiedy skończył się drugi taniec.

- Ale ja z tobą jeszcze nie tańczyłem!

- Wiem. Zarezerwowałeś na karnecie dwa tańce i nie raczyłeś nawet zaprowadzić mnie na parkiet!

- No nie, Harry. Jak mogłeś? - Jego siostra wyglądała na tylko trochę zasmuconą.

- Ale ja muszę mieć chociaż jeden taniec.

- Miałeś dwa tańce.

- I nie zatańczyłem żadnego z nich! Daj mi swój karnet.

Katherine śmiała się z niego. - Nie rób tego, Klaro. Ktoś musi nauczyć go dobrych manier.

- Nie mogę, Harry. Wszystkie tańce są już zajęte.

Poczułam klepnięcie w ramię i, odwróciwszy się, zobaczyłam jednego z Lorillardów. - Proszę wybaczyć, że tak nagle zabieram panią z tej łoży, panno Carter. Zaczynają grać naszą polkę, a pani tak dobrze się tutaj ukryła... trudno było panią znaleźć!

- Ale... - Protest Harry'ego był głośny, ale nieskuteczny.

- Przykro mi. - Opuściłam łożę, mając w uszach dźwięczny śmiech Katherine.

Potem przyszedł Franklin, żeby poprosić mnie do pierwszego ze swych dwóch tańców. Kiedy taniec się skończył, zakręcił mną prosto w ramiona Harry'ego.

- Ale...

Franklin ukłonił się.

- Zostawiam cię lepszemu ode mnie. - Zniknął w tłumie.

Harry puścił moje ręce i cofnął się krok do tyłu.

- Nie jesteś rozczarowana?

- Nie. - Rzeczywiście nie byłam. Czułam ulgę. To było bardzo męczące, żeby nadażyć za Franklinem w walcu, uśmiechać się i wymyślić jakiś temat do rozmowy, tak na wszelki wypadek... cały czas tańcząc z zamkniętymi oczami. Potrzebowałam wytchnienia. A Harry był odpowiednią osobą, żeby mi je zapewnić.

- Kiedy tańczyłaś z Lorillardem, przekonałem Franklina, że ma ochotę zapalić cygaro.

Cygaro? Powinam się zdenerwować, ale nie potrafiłam. Nie wtedy, kiedy Harry mnie uratował.

- Popatrz, jaką stworzyłaś manię.

- Jaką manię?

- Tańczenia z zamkniętymi oczami.

- Nieprawda.

- Prawda. Przyjrzyj się. Nie zamykaj przez chwilę oczu, kiedy zaczniemy tańczyć.

Tak też zrobiłam. Harry miał rację. Dookoła mnie dziewczęta zamykały oczy i unosiły podbródki, poddając się muzyce, jakby ona mogła unieść je daleko od wszystkich przeciwności losu. Kiedy obracaliśmy się to w tę, to w tamtą stronę, spódnice sukien zlały się w jedną bajeczną paletę kolorów. To było cudowne. Wspaniałe!

- Przypomina mi to zawsze Holandię wiosną. - Harry objął mnie ręką w pasie.

- Co takiego?

- Sala balowa. I te wszystkie kolorowe suknie. Wyglądają jak pola tulipanów w Lisse.

- Byłeś w Holandii?

- Tak. - Przerwał, by spojrzeć na mnie. - I co więcej: chcę pojechać ponownie.

To była jedna z korzyści płynących z bogactwa.

- Zawsze pragnęłam wybrać się w podróż. Do Włoch.

- Tam jeszcze nie byłem.

- Dlaczego?

- Wezwano nas w powrotem. Rok wcześniej. Wiesz, zdecydowano, że Franklin musi się ożenić.

O tak, wiedziałam.

- Ale skoro zawsze pragnęłaś podróżować, to dlaczego tego nie robisz?

O mało co nie wzruszyłam ramionami, zanim przypomniałam sobie, że nie powinnam.

- Nie mogę.

- Czemu nie?

- Bo... bo... tak się nie robi. Jak niby miałabym to zrobić?

Co powiedzieć?

- *Bon voyage! Jadę do Europy.* U mnie to zadziało. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ale ty jesteś mężczyzną.

- Tak. Nie da się ukryć.

- Możesz robić, co tylko chcesz. A ja jestem dziewczyną...

- Tak, w rzeczy samej!

Zmarszczyłam brwi. Droczył się ze mną.

- Wybacz. Jak mówiłaś?

- Nie mogę po prostu pojechać, gdzie chcę i kiedy chcę.

Musi mi ktoś towarzyszyć. A kto by pojechał ze mną za granicę?

- Ja bym pojechał.

Roześmiałam się.

- Naprawdę! - W jego proteście też słychać było śmiech.

- Nie możesz.

- Czemu nie?

- Bo nie jesteśmy... - Miałam powiedzieć małżeństwem, ale to by było bezczelne. - Bo nie możesz. To nie byłoby właściwe.

- Nie bardzo znam się na tym, co jest grzeczne, a co niewłaściwe, ale wydaje mi się, że właśnie po raz pierwszy właściwie zatańczyłaś walca. Z otwartymi oczami.

Naprawdę? Tak! Udało się! Zatańczyłam całego walca z szeroko otwartymi oczami.

Gdy później w nocy jechaliśmy powozem do domu, wydawało mi się, że uciekają przed nami jakieś cienie. Zamrugałam mocno powiekami kilka razy, pewna że mam po prostu przemęczone oczy. Ale potem, przy następnej przecznicy, cienie zaczęły przybierać konkretne kształty. Kształty dzieci.

- Co one robią?

- Kto? - Ciotka podniosła głowę i wyjrzała przez okno.

- Te... czy to są dzieci? - Dzieci, o których pisał Jacob Riis? Sieroty, które spędzały noce na ulicy?

Ciotka wpatrywała się przez chwilę w ciemność, potem znowu opadła na oparcie siedzenia.

- To ulicznicy. Uciekają, zanim ich ktoś złapie.

- Złapie na czym?

- Spaniu pod werandami. Albo na kratkach wentylacyjnych. - Powiedziała to tak, jakby nie było w tym nic niedorzecznego.

- Gdyby tylko mieli gdzie pójść, w jakieś ciepłe miejsce. I mieli coś do jedzenia.

- Cóż, nie mają. A my nie możemy pozwolić na to, żeby ludzie spali na ulicach, kiedy im się spodoba.

- Ale czy nie powinno...

- Zapomnij o nich.

Nie potrafiłam. One wskrzesiły obrazy z książki Riisa.

Weszliśmy do domu, gdy zegar wybił czwartą. Kiedy tylko znalazłyśmy się w środku, ciotka zaczęła mnie besztuć.

- Dziś wieczór było zdecydowanie za dużo śmiechu i rozmawiania.

- Z Franklinem? - Prawie nie rozmawiałam z Franklinem, nie mówiąc o śmiechu. W większości tylko... tańczyliśmy.

- Z młodszym synem. On *jest* De Vriesem... taki związek nie byłby najgorszy. Ale nie trzeba, żeby dziedzic odniósł niewłaściwe wrażenie.

- To znaczy jakie wrażenie? - Wydarzenia tej nocy musiały mnie ośmielić.

- Nie trzeba, żeby pomyślał, że wolisz jego brata.

Może i nie... nawet jeśli tak było.

- Po prostu... uważaj.

Na Harry'ego? Moim zdaniem nie było nikogo, kto byłby mniej niebezpieczny.

- Dlaczego to musi być Franklin?

- Posłuchaj mnie. Byłam kiedyś w takiej sytuacji jak ty. Więc nie myśl, że nie rozumiem. Rozumiem. Tylko wtedy to ojciec Franklina zalecał się do mnie.

Pan De Vries?

- Nie bądź taka zdumiona. Kiedyś byłam piękna. Najpiękniejsza w całym mieście. Tylko że nie miałam majątku. Wszystko, co posiadałam, to była moja piękna cera, lśniąca włosy i uśmiech.

Nie byłam w stanie spojrzeć na ciotkę, kiedy to, co widziałam, było tak różne od odmalowanego właśnie przez nią obrazu. Nie mogłam tego pogodzić z tym, co mi mówiła.

- Moja matka mówiła, że to wystarczy. Ale tak nie było. Mówiła, że jestem tak dobra, jak każdy z De Vriesów. Ale nie byłam. O tak, tańczył ze mną i całował w świetle księżyca, ale kiedy skończył się sezon, to z Edith Wentworth się ożenił, nie ze mną.

- Może to nie chodziło o ciebie, ciotciu. Może to pani De Vries była wybranką jego serca. - Próbowałam uwolnić ją od ciężaru przeszłości, ale moje słowa nie zabrzmiały tak, jak zamierzałam. I kiedy tylko ucichły, złudzenie młodości, które pojawiło się na twarzy ciotki, również rozpułyło się w powietrzu.

Westchnęła.

- Ale przecież wyszłaś za męża.

- Tak, to prawda. Wszłam do jednej ze starych rodzin. Jednej ze starych, sławnych, *biednych* rodzin. Wyszłam za młodszego syna - syna, który posiadał wszystkie odpowiednie koneksje, ale który nie miał przy tym majątku. A kiedy zmarli moi rodzice, musiałam zaopiekować się bratem. Nie wielkie pieniądze, jakie miałam, zdeponowałam dla niego na koncie w banku De Vriesów. Jednak kiedy wybuchła panika w 1873 roku, okazało się, że są bez wartości. Cały majątek przepadł w jednej chwili. - Zaśmiała się, ale był to śmiech gorzki i pełen urazy.

- O tak, mieliśmy przodków, artefakty i relikty przeszłości. Ale w tych czasach, w tym Połączonym Wieku, rodzina nic nie znaczy. Pieniądze znaczą wszystko. Twój ojciec zamierzał się bogato ożenić, ale cóż można było począć? Nie miał już nic do zaoferowania. Kiedy szukał pociechy w Newport, spotkał twoją matkę. Najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział. Najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widziano w Nowym Jorku. Postanowił wtedy, że pewnego dnia to miasto będzie należało do niego. Że pewnego dnia cały majątek, który zaprzepaścili De Vriesowie,

do niego wróci. I nie miej wątpliwości. Z tobą ta obietnica zostanie dotrzymana.

- A l e co, jeśli...

- Pieniądze znaczą wszystko, a my chcemy, żebyś miała ich jak najwięcej. Musisz nas uratować. I zrobisz to, wychodząc za mąż za dziedzica.

Pochyliłam głowę na te słowa i zaczęłam wchodzić po schodach.

Ciotka zawołała za moimi plecami.

- Czy on wie o tym, czy nie, Franklin się z tobą ożeni. I w twoim najlepiej pojętym interesie jest uprzedzenie o tym Lizzie prędzej niż później. Nie uważasz?

- Ale jak... nie wiem, czy potrafię... jak mam skłonić Franklina, żeby się ze mną ożenił?

Jej spojrzenie jakby złagodniało.

- Jesteś czarująca, mimo że jesteś taka wysoka, masz szerokie usta i mały biust. Naprawdę jesteś uderzająco piękna. Nawet gdybyś nie miała nic więcej, masz swoją urodę.

- Przecież właśnie powiedziałaś...

- Uroda nieraz skusiła nawet najbardziej statecznych mężczyzn. Ale nie martw się. Franklin jest bystry. Będzie wiedział, jakiego dokonać wyboru.

- A co ze mną? Czyja nie mam wyboru? - Czyja też nie powinnam mieć wyboru?

Wyciągnęła rękę, żeby poklepać mnie po dłoni.

- Oczywiście. Możesz wybrać kwiaty pomarańczy albo róże do ślubu.

- A co, jeśli on mi się nie podoba?

- Nie podoba ci się?

- Nie wiem. - Naprawdę nie wiedziałam.

- Cóż, posłuchaj, czy ci się podoba, czy nie, pieniądze czynią życie dużo lepszym. I łatwiej jest żyć z bogatym mężczyzną niż z biednym.

- A jeśli ja nie pragnę pieniędzy?

- Nie pragniesz pieniędzy! - Ciotka zaśmiała się krótko. I spojrzała na mnie nieomal z litością. - Och, moja droga, nie wiesz, czego chcesz, a jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czego potrzebujesz.

- Ale czy nie powinnam przynajmniej być szczęśliwa?

- Módl się o szczęście i bądź dobrej myśli. Szczęście nigdy nie było wystarczającym powodem do małżeństwa.

- Jeśli małżeństwo jest takie ważne, to czemu nigdy nie wyszłaś ponownie za mąż?

Uśmiech jakby zastygł jej na twarzy. A potem zniknął.

- Zasłużyłam sobie na prawo do noszenia wdowiego czepka. Zapłaciłam za niego latami zgryzoty i wieloma... łzami. I nie oddam tego żadnemu mężczyźnie! - Przerwała, a kiedy znowu zaczęła, mówiła cichszym, bardziej opanowanym głosem. - Teraz tego nie jesteś w stanie zrozumieć, ale najlepszym spadkiem, jaki zostawił mi pan Stuart, było jego nazwisko. I prawo do umieszczenia przed nim słowa *wdowa*. Kiedy podejdzie pan De Vries, masz się uśmiechać i być czarująca. A może pewnego dnia też zostaniesz wdową. Z całym ogromnym majątkiem De Vriesów do dyspozycji. Wtedy będziesz mogła zatroszczyć się o szczęście.



# 21

W czwartek Lizzie powitała mnie przy żywopłocie z błyszczącymi oczami.

- Będę miała przyjęcie!

- Przyjęcie?

- Tak! A ty masz być na nie zaproszona.

- Ciotka nigdy nie pozwoli mi przyjść. - A to była wielka szkoda, bo bardzo chciałam pójść.

- Na pewno ci pozwoli.

- Nie pozwoli. Nie chce, żebym miała z tobą cokolwiek do czynienia.

- Ależ musisz przyjść. Zmusiłam już mamę, żeby wysłała ci zaproszenie.

- Zmusiłaś ją?

- Ona mówi, że jesteś moją jedyną rywalką. A szanse każdej z nas na zdobycie dziedzica są wyrównane.

Pani Barnes mnie nie lubi? Nie chce zaprosić? Była najbliższą przyjaciółką mamy!

- Ale powiedziałam, że jeśli tego nie zrobi, rozchoruję się z płaczu i przez tydzień nie będę brała w niczym udziału.

- Nie mów!

- Naprawdę!

- Nigdy byś tego nie zrobiła.

- Mama najwyraźniej uznała, że mogę to zrobić. - Na twarzy Lizzie pojawił się chytry uśmiešek.

- Lizzie, jesteś niepoprawna!

- Wiem. Dlatego musisz przyjść.

Gdybym mogła, tobym przysłała.

- Kiedy wysłałaś zaproszenia?

- Dzisiaj rano. Przez posłańca.

A zatem ciotka mogła je już otrzymać.

- Powiedz ciotce, że zamierzam podstępem zmusić Franklina do małżeństwa. Że słyszałaś, jak to mówiłam. I mówiłam. Właśnie teraz.

- To i tak kłamstwo, Lizzie.

- To po części prawda. I w słusznej sprawie. Proszę.

- Domyśli się.

- Nie domyśli. Za bardzo zaślepia ją ambicja. Myśl, że Franklin będzie sam ze mną, ogromnie ją zdenerwuje. Sama zobaczysz! - Lizzie zniknęła nagle za murem.

Po południu zostałam wezwana do pokoju ciotki.

- Dostałam zaproszenie. Dla ciebie. Do *Lizzie Barnes*. Na przyjęcie. Dobrze byłoby, żebyś się dowiedziała, kogo zaprosiła.

- Na przyjęcie? Chyba...

- T a k ?

- Pamiętam, że słyszałam, jak Lizzie mówiła... - Jak ona to dokładnie sformułowała?

- T a k ?

- Słyszałam, jak mówiła, że zamierza podstępem zmusić Franklina do małżeństwa.

- Tak powiedziała?

- T a k .

Ciotka podniosła swoje lorgnon do oczu i przestudiowała zaproszenie. Obejrzała dokładnie z każdej strony. Położyła na kolanach, a potem znowu podniosła. W końcu wyciągnęła rękę i zaczęła nim drapać jednego z psów po brzuchu.

- Nie mam więc wyboru, tylko muszę cię posłać. Pójdiesz w towarzystwie ojca. - Rzuciła zaproszenie w moim kierunku. - Tandetne. Tandetna tektura. Nawet bez tłoczenia. Oni nie są poważaną rodziną. Nie teraz. Choć przed wojną być może byli. Zanim ożenił się z tą dziewczyną z Południa.

Nie zwracając uwagi na oszczerstwa ciotki, podniosłam zaproszenie. Było śliczne. W różowym kolorze i wydrukowane ozdobną, filigranową czcionką. Przypominało zupełnie Lizzie.

- Możesz pójść, ale masz tam być nie wcześniej niż wpół do dziewiątej.

- Ale na zaproszeniu jest napisane: godzina ósma.

- A zatem przyjęcie nie będzie mogło się zacząć, dopóki się nie pojawisz, prawda? Weź papier i pióro. Zobaczmy, czego nauczyła cię panna Miller.

Zrobiłam, o co prosiła ciotka.

- Napisz: „Droga pani Barnes, panna Carter i jej ojciec z wielką przyjemnością wezmą udział w przyjęciu. Uprzejmie dziękujemy za zaproszenie. Z poważaniem...” - Ciotka dała znak, żebym podała jej pióro i list, a potem go podpisała.

- Włóż go teraz do koperty, ale nie wysyłaj do poniedziałku.

- Ale...

- Nie wiemy, jakie zaproszenia będą na ciebie czekać w przyszłym tygodniu. Przyjęcie Lizzie może być najmniej ważne.

- Czy Barnesowie nie będą chcieli wiedzieć, czy przyjdę? Żeby mogli zaplanować...

- Oczywiście, że będą. Ale nie zawsze dostajemy to, co chcemy, nieprawdaż? Nie zaszkodzi potrzymać ich w niepewności. A ty nie bądź taka podekscytowana. Wciąż nie jestem przekonana, czy pozwolić ci pójść.

Nie zareagowałam, chociaż ciotka rzuciła mi ostre spojrzenie zza swojego lorgnon.

- To wszystko.

Zamknęłam drzwi i odetchnęłam z ulgą.

W następnym tygodniu poczta przyniosła jeszcze więcej zaproszeń na przyjęcia i bale. Ciotka, siedząc przy biurku, zabrała się za nie z zaciekłością.

- Jeszcze jedno dla ciebie. - Wzięła kopertę ze sterty i rozcięła ją. Wyjęła bilecik. Uśmiechnęła się. - Delmonico! Schemerhornowie wydają przyjęcie. Muszę się dowiedzieć, kto jest na liście gości.

- Delmonico?

- Tam, gdzie był Bal Patriarchów. Ale to ma być przyjęcie. Więc przyjdzie tylko absolutna śmietanka towarzystwa. I będą jeść ostrygi.

- Ostrygi. - Nie potrafiłam się nie skrzywić.

- Ostrygi. Jeśli idziesz do Delmonico, to musisz jeść ostrygi. - Ciotka spojrzała na mnie.

- Nie lubię ostryg.

- Jeśli idziesz do Delmonica, to musisz jeść ostrygi. - Zaciśnęła usta.

- Ostrygi powodują u mnie odruch wymiotny.

- Będziemy zatem musiały poćwiczyć jedzenie ich, nieprawdaż?

Ćwiczenia zaczęły się tego samego dnia. Ostrygi na obiad. Duszone. I na kolację schłodzone z cytryną. - To chyba ten ich zapach. I wygląd. - Duszone czy schłodzone, i tak żołądek podchodził mi do gardła.

- Nie możesz zamykać oczu, kiedy jejesz.

Nie przyszło mi to do głowy. Ale gdybym w jakiś sposób mogła na nie nie patrzeć... może wtedy byłabym w stanie

zjeść choć jedną. Bo do tej pory mi się to nie udało. Naprawdę zbierało mi się przez nie na wymioty. Dlatego mama nigdy ich nie podawała.

- Czemu muszą być takie... śliskie?

- Nie są. Duszone nie są.

- Wtedy się ciągną. - I nie byłam w stanie rozstrzygnąć, co było gorsze.

Ciotka obserwowała mnie, gdy wzięłam jedną ostrygę i wycisnęłam na nią odrobinę soku z cytryny.

- Bardzo dobrze.

Nabiłam ją na widelec do ostryg i podniosłam do ust. Byłam zdecydowana ją zjeść, więc otworzyłam buzię i - upuściłam ją.

- Gdybyś chociaż spróbowała, może byś je polubiła!

- Nie mogę. I nie będę.

- Ależ nie możesz *nie* jeść ostryg u Delmonica. Tak się nie robi.

- No cóż, może wylansuję nową modę. Ostatecznie jestem panną Carter, arbitrem i mistrzynią wszystkiego, co modne. A ostrygi nie są. - Podniosłam się, kładąc serwetkę na stole obok talerza, i wyszłam z pokoju.

Na drugi dzień było przyjęcie Lizzie. Ciotka przysłała swoją pokojówkę, żeby mnie uczesała.

- Niezbyt ozdobnie. To tylko przyjęcie. Wydane przez Barnesów.

Przez jej dezaprobatę miałam przynajmniej fryzurę, w której nic mnie nie kłuło i nie ciągnęło. Spodziewałam się, że założę moją nową suknię wieczorową - suknię, którą przesała mi jedna z krawcowych z miasta. Jednak ciotka poprosiła o starą.

- Ale...

Spojrzała na mnie.

- Dziedzic De Vriesów tam będzie.

Westchnęła. Zaciśnęła usta.

- Rzeczywiście. Nie - machnęła ręką - podaj nową.

Była to prosta suknia z żółtego, ażurowego materiału, marszczona u dołu, z bukietkami bratków wyhaftowanymi na spódnicy i wokół brzegu kołnierza. Była jednocześnie elegancka i urocza, jedna z najpiękniejszych sukien, jakie kiedykolwiek widziałam.

Wieczorem chciałam pójść do domu Lizzie pieszo, ale ciotka uparła się przy powozie. Zasiadliśmy więc w nim z ojcem na całe dwadzieścia sekund, bo tyle jechaliśmy.

Po przybyciu zostaliśmy powitani przez kamerdynera, oddaliśmy peleryny lokajowi i zostaliśmy wprowadzeni dalej, do przedpokoju, w którym stała Lizzie, witając gości.

- Nareszcie! Zapewniałam mamę, że przyjdiesz, ale chyba mi nie wierzyła.

- Przepraszam. Ciotka. - Te dwa słowa wystarczyły, by z oczu Lizzie zniknęła przygana, a pojawiło się współczucie. Wzięła mnie pod rękę i razem poszliśmy w kierunku salonu.

Zauważyłam Harry'ego i kilku innych gości, a także matkę i ojca Lizzie. Ale...

- Gdzie jest Franklin?

- Tam w kącie.

Kiedy weszłam do salonu, spostrzegłam, że pozostałymi gośćmi byli również kawalerowie. - Tylu mężczyzn!

- Franklin nie może pomyśleć, że jest jedynym kandydatem do mojego serca.

- Oczywiście, że nie.

- O tobie też nie może tak pomyśleć. - Uśmiechnęła się promiennie i zakręciła wachlarzem.

Odpowiedziałam uśmiechem i też zakręciłam wachlarzem. I zauważyłam, że wpatrzonych w nas obydwie było niemało par oczu.

Lizzie zostawiła mnie i poszła porozmawiać nie z Franklinem, nie z Harrym, ale z panem Porterem i panem Lorillardem, którzy stali razem przed kominkiem. Pani Barnes poprosiła nas do stołu wkrótce potem. I nie mogę powiedzieć, że byłam rozczarowana. Stół był wspaniale zastawiony srebrem i ozdobiony orchideami. Łyżek, widelców i noży było w bród.

Posadzono mnie pomiędzy ojcem a Harrym.

Gdy Harry zajął miejsce, spojrzał na mnie.

- Dobry wieczór, panno Carter.

- Dobry wieczór, panie De Vries. Ojczy, znasz pana De Vriesa?

Ojciec spojrzał ponad moją głowę na Harry'ego.

- Nie spotkaliśmy się.

- Rzeczywiście. - Harry uśmiechał się miło.

- J e d n a k w przeszłości zajmowałem się pana rodziną.

- Ojciec jest lekarzem.

Harry kiwnął głową.

- Ostatnio widziałem się chyba z pańską siostrą.

- To raczej nie mogło być ostatnio. Siostra mieszka za granicą od...

- Ośmiu lat, o ile dobrze pamiętam.

Dobrze? Bystre spojrzenie i precyzyjny sposób mówienia ojca nie pozostawiał wątpliwości co do wiarygodności jego pamięci.

- Tak. - Harry wydawał się teraz bardziej uważny. - Tak, to prawda. Osiem lat.

- Mam nadzieję, że czuje się dobrze.  
- Zupełnie. - Harry powiedział to jedno słowo stanowczo, jak na zakończenie rozmowy.

- To dobrze. - Ojciec zrobił to samo.

Harry jadł kolejne dania z wyćwiczoną swobodą. Zupę z homarów i łososia z ogórkiem. Pieczeń jagnięcą podaną z galaretką miętową. Widać było, że nie ma problemu z zapamiętaniem, którą łyżkę ma wziąć lub którego noża ma użyć... dopóki nie podano wołowej kości szpikowej z trójkątnymi tostami i sałatką z cytryn.

Zabrał się za kość zwykłym nożem i łyżką.

Dopóki nie trąciłam go łokciem.

- Łopatka do szpiku.

Przy jej pomocy powinno się było dotrzeć do dna kości i wyjąć szpik.

- Racja. Ciągłe zapominam! - Harry sięgnął po tenże sztuciec.

Nie zapominałby, gdyby ciotka była jego nauczycielką.

- J a k myślisz, dlaczego nie możemy po prostu użyć noża?

Stłumiłam śmiech, kiedy przypomniałam sobie, że zadałam ciotce to samo pytanie.

- Nie wiem.

- Ja też nie. Ten stół to pułapka. Tużin różnych widelców, noży i łyżek. Cztery różne kielichy. I wszystkie tylko czekają na to, żeby je przewrócić, niewłaściwie użyć lub źle wykorzystać.

- Całkiem dobrze ci idzie.

- Franklin dużo lepiej sobie z tym wszystkim radzi niż ja.

- Ale ty dużo lepiej radzisz sobie z rozmową.

- I rozśmieszaniem cię? Czy w tym jestem lepszy?

- Tak. Tak mi się wydaje. - Uśmiechnęłam się.

- Dobrze. Bo to przynajmniej jest coś warte.



Po kolacji pani Barnes grała na fortepianie, a Lizzie śpiewała. Wykonała *Deh vieni, non tardar* z *Wesela Figara*.

*Ach, nadejść, nie zwlekaj.*

Miałam nadzieję, że Franklin słucha. Jeśli poślubiłby Lizzie, nie musiałby żenić się ze mną. A ja byłabym wolna... żeby wyjść za kogoś innego.

Potem Lizzie zaśpiewała ulubiony utwór swojej matki. *Arię z klejnotami* z „Fausta”. A potem *Funiculi, funicula* oraz *Oh, promise me*.

Właśnie wtedy, kiedy śpiewała trzecią pieśń, poczułam coś dziwnego w najgłębszych rejonach żołądka. Narastający ucisk, który w przeciwieństwie do gorsetu napierał od wewnątrz. Poruszyłam się na krześle, starając się go złagodzić.

Harry, siedzący obok, spojrzał na mnie.

Uśmiechnęłam się. Dużo radośniej, miałam nadzieję, niż się czułam. Gdy tak siedziałam, słuchając nuty za nutą, utworu za utworem, ucisk w moim wnętrzu urósł do poziomu niemal nie do zniesienia. Po zakończeniu ostatniej pieśni jako pierwsza wstałam z krzesła i zaczęłam bić brawo. W pozycji stojącej ucisk zdawał się zmniejszać.

Gdy Lizzie i jej matka odeszły od fortepianu i przeszły na drugi koniec salonu, goście podążyli za nimi. Harry spojrzał na mnie.

- Miałabyś ochotę zagrać na cztery ręce?

I ryzykować, że znowu usiądę?

- Nie! Nie. Nie, dziękuję.

- Rozumiem. - Jego uśmiech przygasł.

Zrozumiał... co? Że... O nie! Zrozumiał, że nie miałam ochoty usiąść obok niego.

- Nie. Może nie mam ochoty na duet, ale... czy nie wolałbyś raczej... - Co? Co mogłam zaproponować w zamian?

- Kiedy gra się na fortepianie, tak trudno się rozmawia. Nie uważasz?

Kiwnął głową.

- To może byśmy... po prostu porozmawiajmy. Moglibyśmy porozmawiać tutaj. Z dala od pozostałych. Gdzie możemy się nawzajem widzieć. I słyszeć. Nie wolałbyś? I mogłabym ci pokazać... - Znałam salon Barnesów jak swój własny. Ale co mogłoby zainteresować Harry'ego? Podróżnika po wielu krajach, który widział wszystko, co Europa miała do zaoferowania? - Mogłabym ci pokazać kolekcję szkieletów liści wykonaną przez Lizzie!

- Szkieletów liści? Jak najbardziej, prowadź.

Podeszłam i wskazałam na półkę nad fortepianem. Rękodzieło Lizzie było wyeksponowane pod szklaną kopułą. To konkretne dzieło było widmowym bukietem ułożonym wyłącznie ze szkieletów liści w wazie z rżniętego szkła.

- Lizzie jest w tym bardzo dobra. - Ja nie potrafiłam tego robić; to było zbyt żmudne. Ale Lizzie uwielbiała gotować liście, a potem oddzielać miąższ, żeby wydobyć szkielet struktur znajdujących się pod spodem.

- Naprawdę? - uniósł kącik ust.

- Jest genialna, jeśli chodzi o liście. A one ukazują piękno w śmierci. - Przynajmniej tak twierdziła Lizzie. Chociaż ucisk w moim wnętrzu zmniejszył się, zaczęło mi się kręcić w głowie. I spociłam się za uszami.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Doskonale. Musisz zobaczyć ten okaz tutaj. - Podprowadziłam go do małego marmurowego postumentu,

na którym stała jeszcze jedna kolekcja liści uwięziona pod szklaną kopułą.

- Ach tak. Bardzo piękny okaz... rękodzieła.

- T a k .

Staliśmy tam obydwójce, patrząc na osiągnięcia Lizzie.

- Do czego to służy? - Harry pochylił się ku mnie.

- No cóż, to... po prostu... szczerze mówiąc, nie wiem. -  
Po co komu szkielet liścia? - Ale jej matka jest z tego bardzo dumna.

- Matki są dumne z różnego rodzaju bezsensownych rzeczy. Na przykład, weźmy Franklina. Moja matka jest dumna z tego, że po śmierci ojca Franklin będzie kierował jednym z największych imperiów bankowych w kraju.

Spojrzałam na niego. Nie byłam pewna, co mam powiedzieć. Czyż matki nie powinny być dumne z tego rodzaju rzeczy?

- Chociaż, gdybyś go zapytała o różnicę pomiędzy zbyciem a nabyciem, nie potrafiłyby się jednoznacznie wypowiedzieć.

- A jaka jest różnica?

- Nie mam pojęcia, ale jakaś musi być. Nie sądzisz? -  
Zadał mi to pytanie w taki sam sposób, w jaki mogłaby to zrobić panna Miller.

- Musi być.

- No to się zgadzamy. Jakaś musi być. My nie wiemy jaka, ale nie sądzisz, że Franklin powinien to wiedzieć? Jeśli będzie się tym zajmował?

- Chyba tak...

- Oczywiście, że tak.

Staliśmy tam przynajmniej przez minutę, wpatrując się w bukiety Lizzie. Absurdalność jej prac i niezmierny trud, jaki wkładaliśmy w ich podziwianie, o mało co nie doprowadziła mnie do paroksyzmów śmiechu. Więc żeby ukryć

rozbawienie, odwróciłam się do potworka tyłem i zadałam Harry'emu pytanie.

- Jeśli firma ojca przejdzie na Franklina, to co ty chciałbyś robić?

Wzruszył ramionami.

- Nic cię nie interesuje?

- Niektóre rzeczy, owszem.

- Takie jak?

- Takie jak... sztuka. - Powiedział to słowo tak, jakby czynił wyznanie.

- Sztuka?

- Tak. Mógłbym spędzić cały dzień, patrząc na obraz.

- Entuzjazm rozświetlił go od wewnątrz. - Dobrze namalowany.

- Jak... Rembrandt? Czy Rubens?

- Tak... ale są nowi malarze. Gauguin. Bernard. Van Gogh. Już nie żyje, oczywiście, zmarł w nieszczęśliwych okolicznościach. Ale jest jeszcze jeden. Facet z Paryża. Nazywa się Signac. Maluje kropkami. - Harry zaczął pomagać sobie rękami. - Mnóstwem kropek w różnych kolorach. Zorganizowanych i zdyscyplinowanych. Ja nie potrafię tworzyć sztuki; jestem zbyt dosłowny. Ale sztuka sprawia mi przyjemność. Jeśli mógłbym coś robić, chciałbym się nią zajmować.

- Kupować?

- Tak... ale również ją wspierać. Pielęgnować. Mówiło się ostatnio o wysłaniu mnie z powrotem do Europy. W lecie.

- Dlaczego? - Miasto bez Harry'ego wydało mi się dużo mniej przyjazne.

- Żeby nabyć zakurzone stare antyki do rodzinnych kolekcji. - Puścił do mnie oko.

- Miałyś na to ochotę? - zaczerwieniłam się.

- Prawie najbardziej na świecie.

Prawie najbardziej? Miałam na końcu języka pytanie, czego pragnie najbardziej, kiedy zobaczyłam zbliżającego się ojca i uznałam, że roztropność nakazuje zainteresowanie się Franklinem.

- Mam zatem nadzieję, że cię wyślą.

- Naprawdę? - wyglądał, jakby moje słowa go zaskoczyły.

- Czyż nie tego pragniesz?

Ojciec podszedł do mnie i podał mi ramię.

Uśmiechnęłam się do Harry'ego.

- J a k uprzemie z pana strony, że spędził pan czas na rozmowie ze mną.

*Jak uprzemie...?* Brzmiałam jak ciotka.

Ojciec zabrał mnie od Harry'ego.

- Czy to nie ten drugi chłopiec jest dziedzicem?

- T a k .

- Ten, którego Lizzie nie odstępuje na krok przez cały wieczór?

- To nieprawda.

A poza tym, to było jej przyjęcie. A jeśli ona kurczowo się go trzymała, to ja nie musiałam z nim rozmawiać. Nie musiałam wymyślać tematów do rozmowy.

Ojciec spojrzał na mnie bystro. Wziął mnie za rękę i przyłożył palec do nadgarstka.

- Dobrze się czujesz?

- Nie... całkiem.

- Trochę ci duszno?

- T a k .

- Zawroty głowy?

- T a k .

- Niepokój?

Kiwnęłam głową.

- Początki kobiecej hysterii. Twoja matka miała do niej skłonność. Weź głęboki oddech.

Odetchnęłam tak głęboko, jak pozwolił mi gorset.

- Jeszczeraz.

Kiedy robiłam wdech, przesunął mi pod nosem flakonik. Jego zapach napełnił mi oczy łzami. Zakaszłałam.

- No. Twoje policzki zaczynają nabierać koloru. Znowu jesteś ładna jak z obrazka. - Nachylił się. - Przedstaw mnie temu chłopcu De Vriesów. - Ojciec poszedł w kierunku fortepianu, przy którym Franklin grał duet z Lizzie.

Nie miałam wyboru, musiałam pójść za nim.

Podeszliśmy do nich w chwili, kiedy kończyli pieśń.

Ojciec zaczął głośno klaskać.

- Cudownie. Nie wiedziałem, że jest pani taką znakomitą pianistką, panno Barnes. W tak młodym wieku.

Lizzie spojrzała na mnie pytająco.

Próbowałam wzruszyć ramionami bez wzruszenia ramionami. Z pewnością ojciec powinien wiedzieć, ile Lizzie ma lat. Czyż to nie on odbierał poród? Lizzie była prawie w tym samym wieku co ja.

Franklin wstał na dźwięk braw ojca. Wyciągnął rękę.

- Franklin De Vries, proszę pana.

- Doktor Carter. Czy to pan był uprzejmy pomóc mojej siostrze podczas inauguracji opery? Sądzę, że został pan już przedstawiony mojej córce?

Gdy Franklin odwrócił się ku mnie, Lizzie ześlizgnęła się z ławy do fortepianu i wymknęła, mówiąc bezgłośnie *dziękuję*.

Ojciec i Franklin rozmawiali obszernie o różnych klubach, do których obydwoj należeli. Zaczynałam się czuć wyłączone z rozmowy, kiedy został poruszony temat, który znałam.

- Książka Riisa? Pana Jacoba Riisa? - wyrwało mi się, zanim zorientowałam się, że mówię te słowa. Żałowałam, że nie śledziłam rozmowy wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jakim sposobem weszli na ten temat. Ale skoro tak się stało,

dłaczego nie miałabym brać w niej udziału? Zwróciłam się do Franklina. - Czytał ją pan, panie De Vries?

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi w taki sposób, że pożałowałam, iż się odezwałam.

- Czy ona nie dotyczy imigrantów? Pełna jest drastycznych szczegółów i sensacyjnych historii?

Ojciec mu odpowiedział.

- Rzeczywiście.

- A czy sam Riis nie jest imigrantem?

Odezwałam się, zanim zdołał uczynić to ojciec.

- Jest, ale...

- Nie sędzę zatem, żeby jakakolwiek logicznie myśląca osoba brała pod uwagę to, co on ma do powiedzenia - stwierdził stanowczo Franklin.

Ojciec kiwał głową, przytakując, ale ja nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie odezwać.

- To chyba nie widział pan fotografii!

- Fotografii? - Ojciec uniósł brew w taki sposób, że poczułam się, jakbym miała znowu sześć lat.

Franklin rzucił ojcu spojrzenie, a potem powoli odwrócił się do mnie.

- Może pani tego nie wie, panno Carter, ale fotografie można zainscenizować. Można je... zaaranżować. Wcześniej. A w takim przypadku są gorsze niż kłamstwo.

- Ale te nie były.

- A skąd ty możesz być tego pewna, moja droga, skoro cię tam nie było? - Ojciec, mówiąc to, poklepał mnie po ręce, ale wyraźnie chciał, żebym była cicho. Odwrócił się do mnie tyłem i skupił na Franklinie. - Ta książka to najwyraźniej robota demokratów i tych z Tammany Hall. Chyba tylko im zależy na imigrantach.

- I to im procentuje podczas wyborów.

Ale ojciec i Franklin nie mieli racji!

- Ta książka nie jest o polityce. Jest o ludziach!

Czemu nie potrafili tego zrozumieć? I dlaczego sami nie przeczytali książki, żeby wyrobić sobie własne zdanie?

- Proszę jej wybaczyć, panie De Vries. Kobietom nie powinno się pozwalać dyskutować o polityce. One nigdy nie będą w stanie jej zrozumieć. - Odwrócił się do mnie i mru-gnął. - Moja droga Klaro, polityka to ludzie. Nawet jeśli ci biedacy z East Side nadają się tylko do więzienia.

-Ale...

Franklin uśmiechnął się.

- Proszę się więcej o nich nie martwić, panno Carter. Co powiedział kiedyś nasz Pan? Ubogich zawsze będziemy mieć u siebie?

Tak, być może. Lecz czyż także nie powiedział: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”?

Lekarstwo ojca na moje zawroty głowy nie było do końca skuteczne. Zanim wieczór dobiegł końca, mój niepokój osiągnął nowy poziom. Rozpaczliwie pragnęłam ukryć się w jakimś ciemnym kącie, kucnąc i kołysać w przód i w tył, żeby zmniejszyć rosnący ból i ucisk w żołądku. Tylko że nie mogłam. A nawet gdybym mogła, gorset by mi na to nie pozwolił.

Uścisnęłam rękę Lizzie na pożegnanie.

Kiedy to robiłam, Lizzie odciągnęła mnie na bok i kazała mi przyjść pod żywopłot następnego dnia popołudniu. Kiwnęłam głową, a potem dołączyłam do ojca.

Ledwie weszliśmy do domu i zdjęliśmy peleryny, ciotka zaczęła nas wypytywać.

- Co podali?



Wyrecytowałam menu z pamięci.

- Zupę z homarów i łososia z ogórkiem. Pieczeń jagnięcą podaną z galaretką miętową. I kość szpikową z sałatką z cytryn. - Dlaczego jedzenie, które przedtem smakowało tak dobrze, we wspomnieniach jakby straciło urok? - A na początek przystawki.

- Przystawki! Nie przystawki, tylko *entrees*. Po francusku to znaczy... to znaczy...

Po francusku zapewne przystawki, te smakowite kąski podane przed kolacją.

- I prawie wszystkie rodzaje deserów, jakie można sobie wyobrazić. - Urok nowości wszystkich tych kremów, słodkich sosów i lodów z upływem godzin zbladł. To, co wcześniej zjadłam z lubością, w żołądku straciło swój smak.

Ciotka skrzywiła się.

- Na pewno będzie cię bolał brzuch.

Już mnie bolał.

- A w co była ubrana Lizzie?

- Suknię z tiulu w groszki.

- Niemożliwe! Musiała wyglądać jak jakieś wyrośnięte dziecko. W jakim kolorze?

- Różowym.

- Cóż. Przynajmniej twoja suknia była żółta. W świetle gazowym musiała lśnić.

- Barnesowie zmienili oświetlenie na elektryczne. Dwa miesiące temu.

- Elektryczne! Cera nie wygląda przy nim korzystnie. I zupełnie zmienia się kolor sukni. Wyjątkowe bezguście!

Zostawiłam pełną dezaprobaty ciotkę w holu i poszłam na górę do swojego pokoju.

Położyłam się do łóżka, ale nie zmniejszyło to moich dolegliwości. Pozycja siedząca też nie złagodziła bólu.

Wyjęłam wszystkie poduszki, ale okazało się, że gdy położę się na boku, zaczyna mi bulgotać w żołądku. Gdy przewróciłam się na drugi bok, zabulgotało z drugiej strony. A gdy położyłam się na plecach, całe to jedzenie uciskało mi kręgosłup. Leżenie na brzuchu w ogóle nie wchodziło w grę.

Zapałam w końcu w niespokojny sen. Śniłam na przemian o przyjęciu Lizzie, pieczeni jagnięcej, kałużach śmietanki i mojej własnej matce. Gonił mnie czerwony homar, a ja, próbując uciec, potknęłam się na zagięciu dywanu. Wyciągnęłam ręce w niekończącą się senną głębinę, wypuszczając bukiet szkieletowych liści. Wydało mi się, że jesteśmy w pokoju mamy. I że wiem, co się zaraz stanie.

Czekała na mnie, leżąc w łóżku. Przez swą chorobę nie była w stanie nic zrobić, tylko patrzyła, jak podchodzę.

Pamiętam, jak myślałam, że cokolwiek zrobię, nie wolno mi jej dotknąć. Nie wolno mi zrobić jej krzywdy. Więc kiedy potknęłam się na dywanie, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby na nią nie upaść. Wyrzuciłam ręce do przodu i jedną w ogóle mamy nie dotknęłam, natomiast druga znalazła się pomiędzy jej nogami. Odetchnęłam z ulgą, wiedząc, że natrafiła tylko na poduszkę.

Jednak kiedy gratulowałam sobie, że ją uratowałam, ona nagle niesamowicie zbladła. A potem straciła przytomność. I nawet we śnie, chociaż zdawałam sobie sprawę, że mi się to śni, wiedziałam, co będzie potem.

Szybko jej się pogorszyło.

Oczy zniknęły wśród rozległych sińców. Ziemista bladeść cery nabrała żółtego odcienia.

- Zabiłam cię, mamó.

- Nie.

- Ale zrobiłam ci krzywdę. Kiedy na ciebie upadłam.

- Sama zrobiłam sobie krzywdę dawno temu. Ty nie miałaś z tym nic wspólnego.

- Co ja pocznę? Kiedy już cię nie będzie?

Próbowała się uśmiechnąć. Widziałam to w jej oczach. A potem zaczęła śpiewać.

- *Tak, jaki jestem...*

- Nie pamiętam... nie mogę sobie jej przypomnieć! -  
Wieki całe upłynęły od czasu, kiedy śpiewałyśmy ją w kościele. - Zaśpiewaj mi ją. Żebym pamiętała.

Jednak mama, takjak to często robiła podczas tych ostatnich dni, zapadła w sen.

Obudziłam się, jęcząc. I nie tylko siebie obudziłam. Ciotka przyszła do mnie ze świeczką w ręce. Za jej plecami, w drzwiach, czaiła się pokojówka.

- Co się dzieje?

- Czuję się, jakbym... - Och, trudno było znaleźć na to słowa. Czułam, jakbym się dusiła. Jednak obawiałam się, że gdybym wzięła głębszy oddech, znowu dopadłyby mnie mdłości. Miałam wrażenie, jakby w głębi mojego ciała tkwiła jakaś nagła potrzeba, która każe mi wstać i iść. Ale ja ponad wszystko pragnęłam spać. - Czuję się... źle.

Ciotka wysunęła rękę ze szlafroka i położyła mi dłoń na czole.

- Pocisz się, ale nie masz gorączki.

Pocieszyły mnie nie tyle słowa, co sama jej obecność. Na palcach jednej ręki mogłam policzyć okazje, kiedy ciotka dotknęła mnie z życzliwością.

- J a . . . - Cokolwiek to było, co chciałam powiedzieć, wyleciało mi z pamięci przez pulsującą boleśnie głowę i żołądek, który podchodził do gardła.

- Wypij to.
- Co to jest?
- Coś, co wyleczy twoje dolegliwości.

Wzięłam naczynko z płynem z jej wyciągniętej ręki i wypiałam do dna.

Kiwnęła na pokojówkę, żeby do mnie podeszła.

Opadłam z powrotem na poduszki. Ale tylko na chwilę, bo w następnym momencie wszystko, co zjadłam poprzedniego wieczoru na przyjęciu, wyleciało mi przez gardło w jednym wielkim odruchu wymiotnym.

Pokojówka w samą porę podała mi srebrne wiaderko.

Potem ciotka usiadła na brzegu łóżka i poklepała mnie po ręce.

- No już. Czujesz się lepiej?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nadal próbowałam złapać oddech.

- Odwróć się.

Przekreśliłam się na bok, a ciotka poluzowała sznurówki mojego gorsetu.

- Dziękuję.

Znowu poklepała mnie po ręce. Poklepywanie, bliskość, przyczyniły się jakby do pewnego skrępowania pomiędzy nami. Chciałam, żeby sobie poszła do swej sypialni i psów.

- No już. Musisz bardziej uważać na to, co jesz. Gorset narzuca ograniczenia. Mniej mięsa, mniej sosów. Żadnego szampana. Gorset ich nie toleruje.

Gorset? Gorset tolerowałam je całkiem dobrze. To ja nie byłam w stanie ich strawić.

- Pamiętam, jak to było z moim własnym debiutem. Nie martw się, wszystkie przez to przechodziłyśmy. Nauczysz się, co możesz jeść, a czego nie powinnaś, i wkrótce nie będziesz już popełniać błędów.

## 23

Nazajutrz spotkałam się z Lizzie za żywopłotem. Nie był to nasz zwyczajowy czwartek, ale Lizzie poprosiła mnie na przyjęciu, żeby przenieść spotkanie na ten dzień. Pojawiła się wymizerowana i blada, jak jakaś zjawa czy duch. Co prawda zimne powietrze zaróżowiło lekko jej policzki, ale w oczach nie było widać werwy.

- Czyż nie było niezwykle? Moje przyjęcie?

- To prawda. - Oparłyśmy się o krzewy, chowając głębiej ręce w nasze muffki. Starałam się stać jak najbardziej nieruchomo i jak najwolniej poruszać, żeby głowa nie kręciła mi się jak bąk.

Lizzie przyłożyła na moment rękę do głowy. Zamknęła oczy, a potem z trudem uniosła powieki.

- Och, Klaro, okropnie pochorowałam się zeszłej nocy. - Jej dłoń zawisła na chwilę przed ustami. Zamknęła ponownie oczy.

- J a też.

- Mama powiedziała, że to przez jedzenie.

- To samo powiedziała moja ciotka.

W końcu spojrzała bystro.

- J u ż nigdy nie zjem nic więcej poza liściem sałaty! - Humor jakby się jej poprawił. - Widziałaś, jak Harry zaczął używać noża i łyżki zamiast łopatki do szpiku?

- Powiedział, że nigdy o niej nie pamięta.

- Naprawdę? Żałuję, że nie posadziliśmy go koło mnie. Z nim zawsze jest tak... swobodnie. Tak łatwo się rozmawia.

- Kopnęła w kawałek korzenia, który wystawał z ziemi. Potem obróciła twarz do mnie. - Dziękuję, że mnie uratowałaś. Wtedy przy fortepianie.

- Uratowałam?

- Nigdy za bardzo nie wiem, co do niego powiedzieć.

- Do Franklina?

- T a k .

*Ona* nie wiedziała, co powiedzieć?

- Nigdy bym się nie domyśliła.

- Jak myślisz, dlaczego zawsze proponuję granie w duecie, tańczenie lub śpiewanie?

- Zawsze wyglądasz, jakbyś przy nim była w dobrym nastroju.

- Naprawdę? - W jej głosie słyhać było zdziwienie.

Kiwnęłam głową.

- To dobrze. - Przez chwilę milczała. - Nie sądzisz chyba, że zawsze tak będzie, prawda?

- N i b y jak?

- To znaczy... jak wyjdiesz za mąż. Za kogoś. Myślisz, że tak będzie? Że zawsze trzeba będzie wymyślać coś do zrobienia... bo nie ma o czym mówić?

Czyżby?

- Nie wiem.

- Niemożliwe. Prawda? Z pewnością po ślubie jest mnóstwo tematów do rozmowy. - Powiedziała to tak, jakby próbowała przekonać samą siebie.

- Musi być.

- W przeciwnym razie... zabraknie mi duetów do grania! I tańców do zatańczenia. Z pewnością po ślubie musi być inaczej. W przeciwnym razie... trzeba by podróżować. I wydawać przyjęcia. I przeprowadzać się. I... i... chyba nie ma wystarczająco dużo rzeczy do zrobienia, prawda? Żeby uciec przed męczyczą? - Lizzie roześmiała się.

Pokręciłam głową. Nic na to nie wskazywało.

- No cóż... - Uniosła brodę i spojrzała w kierunku bramy.

- Franklin nie jest taki. Nie może być.

- Z twoją mamą i ojcem jest inaczej. Prawda?

- Nie widuję ich zbyt często. Razem. Muszą rozmawiać... czasami. Kiedy nie ma mnie w pobliżu. - Lizzie zacisnęła usta, oglądając pilnie liście krzewów.

- Na pewno. Jeśli nie będziesz sobie radzić z Franklinem, daj mi tylko znak. Wachlarzem. Wiesz, że przyjdę.

Uśmiechnęła się, pochyliła i radośnie pocałowała mnie w policzek.

- Jesteś kochana. Wiem, że przyjdiesz. I ja też zawsze przyjdę ci na odsiecz. - Wyjęła rękę z mufki i odepchnęła gałąź, szykując się, by dać za nią nura. - Uciekam. Mamy iść do sklepu McCreery's. Po jeszcze jeden kapelusz.

Zniknęła za żywopłotem i wkrótce usłyszałam, jak skrzypnęła otwierana furka, a potem zatrzasnęła się ze szczękiem. Poszła. Natomiast jej dobry humor został - rozsiała go za sobą jak szczyptę czarodziejskiego pyłu. Jednakże zostawiła także swe kłopoty. Wiedziałam bowiem, że nie zawsze będę mogła przyjść jej z pomocą. Wiedziałam również, że ona też nie zawsze będzie mogła pomóc mnie.

Nie wtedy, kiedy wyjdziemy za mąż.

I co się wtedy stanie?

Po mojej wyjątkowej niestrawności w nocy po przyjęciu u Lizzie pomiędzy mną a ciotką zapanowało w sprawie jej dzenia zawieszenie broni. - Jeśli uważasz, że nie poradzisz sobie z ostrygami, to nie próbuj - oświadczyła przed przyjęciem Schemerhornów u Delmonica.

- Nie dam rady. Więc nie będę próbować.

- Tylko pamiętaj, że do końca sezonu został zaledwie miesiąc. Jeśli się rozniesie, że nie jadasz ostryg, nie wiem, czy będzie wystarczająco dużo czasu, żeby naprawić szkodę. - Chociaż zmarszczyła brwi, nie powiedziała już nic więcej.

Kiedy moja stopa stanęła na chodniku, usłyszałam, jak przez tłum przebiega znajomy szept: „Panna Carter!”, „Tu-taj? Gdzie?”, „Co ma na sobie?”, „Gdzie idzie?”.

Podniosłam głowę i postanowiłam nie myśleć o nich, tych nieznanach bezimiennych masach, które zdawały się czekać na mnie, dokądkolwiek się wybiorę.

Kiedy weszliśmy do środka i odebrano od nas peleryny, poprowadzono nas do odosobnionej sali. Gdy przechodziłyśmy z holu do jadalni, ciotka uczepliła się mnie kurczowo.

- Ward McAllister. - Powiedziała to z nutą wielkiego lęku i respektu w głosie.

- Kto?

- Osobisty sekretarz pani Astor. Na miłość boską, spróbuj zjeść te ostrygi! Jeśli mu się nie spodobaś z jakiegokolwiek powodu, jesteś skończona! Równie dobrze możesz pożegnać się z sezonem.

Kiedy zajęłyśmy miejsca przy stole, zauważyłam, że wśród gości znajduje się też pan Hooper. Na szczęście posadzono go dużo dalej ode mnie, po tej samej stronie stołu. Jego złowrogie spojrzenia będą skierowane na kogoś innego. Natomiast pan McAllister siedział bezpośrednio po mojej lewej stronie. A po mojej prawej ciotka o mało nie zemdlała.

Na pierwsze danie były ostrygi. W lodzie. Nie z lodem, tylko w lodzie. Każdy z gości dostał talerz z małym kawałkiem lodu położonym na serwetce i przybranym pietruszką i cytryną. Wśród sztucców zauważyłam widelec do ostryg, ale szpikulca do lodu nie było. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziłam, że w lodzie wydłubano otwór i umieszczono w nim ostrygi.



Obok mnie pan McAllister wziął widelec do ostryg i wyjął jedną z kawałka lodu, zręcznie wycisnął na nią trochę soku z cytryny, a potem połknął ją w całości. Odwrócił się do mnie, gdy zastanawiałam się, co zrobić z moimi własnymi ostrygami. Być może, gdybym je wyciągnęła, jedną po drugiej, mogłabym je ukryć pomiędzy gałązkami pietruszki.

- Podziwiam z daleka pani urodę w tym sezonie, panno Carter.

- Bardzo pan uprzejmy.

- Mówię szczerą prawdę.

Pochyliłam się ku niemu. Szczególnie zależało mi na tym, żeby ciotka nie była w stanie usłyszeć tego, co zamierzałam powiedzieć.

- Zatem nie miałby pan za złe dziewczynie, że też będzie szczerą?

Przez chwilę gładził wąsy.

- Absolutnie nie, chociaż muszę powiedzieć, że bardzo trudno mi uwierzyć, żeby ktokolwiek w tym gronie mówił szczerą prawdę.

Spoglądając dookoła stołu na kobiety ubrane w suknie o jaskrawych kolorach i obwieszone klejnotami, uśmiechnęłam się.

- Szczerą prawdą, panie McAllister, jest taka, że nie potrafiłabym zjeść ostrygi, nawet gdyby zależało od tego moje życie.

- A zależy?

- Co zależy?

- Zależy od tego pani życie?

- Niektórym tak się wydaje. Zwłaszcza że siedzę tutaj, obok pana, u Delmonica, gdzie najważniejszą sprawą, jedynym celem nawet, jest pokazanie się przyjeźdźcom ostryg.

Wetknął widelec do swojego kawałka lodu, nabił ostrygę i podniósł do ust.

Zamknęłam na jedną krótką chwilę oczy. Kiedy je otworzyłam, ostryga zniknęła.

- Tak. Ma pani rację. Zasadniczym celem u Delmonica jest jedzenie ostryg. A przecież są lepsze rzeczy do jedzenia niż ostrygi.

- Lepsze *rzeczy*?

- Tak. Czyż nie to zamierzała pani powiedzieć?

Przytaknęłam. Cóż innego mogłam zrobić?

- A ja się z taką opinią całkowicie zgadzam. - Odchylił się na krześle i kiwnął palcem na jednego z kelnerów.

Kelner natychmiast stanął u boku pana McAllistera.

Tenże znamienity dżentelmen wyszeptał coś do ucha kelnera, kiwnął głową i z powrotem zwrócił się do mnie.

- Tak, moja droga, całkowicie się zgadzam. Jak wspomniałem, że znalazłem pokrewną duszę w mieście tak pozbawionym prawdziwie towarzyskich osób. Po co jeść ostrygi, kiedy można spożywać kawior?

## „THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA

2 lutego 1892 r.

Nasza panna Carter znowu to zrobiła - zapoczątkowała nową modę wśród młodego, modnego towarzystwa. I była na tyle sprytna, że dokonała tego pod życzliwym, pełnym aprobaty okiem pana Warda McAllistera. Ostrygi u Delmonica? Jakież to niemodne - teraz je się kawior!

Od samego czytania o tym znowu robiło mi się niedobrze. Przynajmniej pan McAllister był teraz moim zdeklarowanym wielbicielem. To, zdaniem ciotki, było coś. Widziałam, jak pan Douglas czaił się w holu w chwili, gdy kelner

przynosił do stołu półmisek z kawiozem. I jeśli się nie mylę, puścił w moim kierunku oko.

Kawior!

Równie dobrze mogłam jeść ostrygi.

„THE TATTLER”

2 lutego 1892 r.

...a kto próbuje wkraść się w łaski pewnego osobistego sekretarza? Oto rada dla wszystkich, którzy mają ochotę pójść w ślady tej pijawki - pozna swój swego.

Wieczorem następnego dnia Harry znalazł mnie na koncercie. Uniósł brwi, patrząc w moim kierunku, gdy tylko zajęłyśmy z ciotką miejsca. A potem, podczas przerwy, podszedł, pod rękę z Lizzie, żeby ze mną porozmawiać.

- Słyszałem, że na kolację jadasz kawior.

Lizzie zachichotała.

Poczułam, że się czerwienię. Nie wiedziałam, że Harry czytuje kronikę towarzyską.

- Prawda wygląda tak, że nie przepadam za ostrygami. Gdy tylko je poczuję, zbiera mi się na wymioty. Pan McAlister źle zrozumiał, co do niego mówiłam, i uznał, że wolałabym zjeść coś innego.

- Kawior?

- T a k .

Harry też zaczął się śmiać. A tu nie było nic do śmiechu! Im więcej o tym myślałam, tym bardziej było mi niedobrze.

- Nie mów o tym nikomu ani słowa - poprosiłam.

- Nie powiem.

Lizzie utkwiała we mnie swe błyszczące oczy.

- Obiecujemy.

Harry położył rękę na dłoni Lizzie, która spoczywała na jego ramieniu.

- Nie powiemy. Ja też ich nie znoszę. Jem je tylko dlatego, ponieważ mama mi mówiła, że muszę. Potrawka z ostryg to najgorsza część świąt Bożego Narodzenia. Ale taka jest tradycja. Oczywiście Franklin je uwielbia, więc zawsze zjadał dużą część mojej porcji.

Mogłam sobie wyobrazić stół u De Vriesów, przy którym siedzi wiele osób i często słychać śmiech.

- Co jeszcze robicie? W czasie świąt?

- Podczas świąt? Śpiewamy. Śpiewamy, aż nam o mały co płuca nie pękna. Matka zawsze była jak ptaszek. Ale Franklin, Katherine i ja od czasu do czasu się buntujemy. Matka nauczyła nas śpiewać w tercjach, ale co jakiś czas udajemy, że nie mamy słuchu, i próbujemy śpiewać w sekundach.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

- To jest naprawdę okropne. Ale także bardzo trudne. Próbowалаś kiedyś śpiewać fałszywie?

Pokręciłam głową.

- Spróbuj. - Zaczął nucić melodię, którą natychmiast rozpoznałam: *Bo kocham ją nadal, pomimo jej wad\**. Znałam ją tylko dzięki pannie Miller, zresztą jak każdą inną popularną melodię.

*I choćby szyderstwo zgotował mi świat,  
jej miłość jedynie pragnieniem jest mym,  
choć nic nie zostało mi po niej prócz strat.  
Do innych jej serce miłością dziś drży  
— lecz życzę jej szczęścia, by los nie był złym.  
Zostanie mi drogą jej twarz po wsze dni,  
bo kocham ją nadal, pomimo jej wad.*

\* *With All Her Faults I Love Her Still*, piosenka z tego okresu, słowa i muzyka Monroe H. Rosenfeld.

Zamierzałam śpiewać, nie zważając na niego, ale jakimś sposobem moja wola mnie opuściła i zgodnie ze słowami Harry'ego skończyliśmy, śpiewając na głosy. Usiłowaliśmy utrzymać powagę podczas śpiewu.

- Przestańcie! - Lizzie starała się zachowywać właściwie, ale widziałam, że marzy o tym, żeby się roześmiać.

- Widzisz? To *jest* trudne. A ty mi nie wierzyłaś, prawda? Nie wierzyłam.

- J a k d ł u g o wytrzymałaś? W dzieciństwie?

- W dzieciństwie? Nadal to robimy! W tym roku wygrała Katherine. Oczywiście ona zawsze wygrywa; ma żelazną wolę.

- Daj mi jeszcze raz spróbować.

Harry zaczął nucić melodię innej piosenki i chociaż tym razem miałam większe szczęście, przestałam śpiewać, zanim piosenka się skończyła, i pozwoliłam mu dokończyć ją samemu. Właśnie wtedy podszedł Franklin, niosąc w każdej ręce kieliszek szampana. Zaoferował mi jeden z nich.

- Och, nie! Nie, dziękuję. Chyba nie... nie dziś wieczór. - Nie miałam ochoty spędzić nocy, zwijając się na łóżku z bólu.

Wobec tego podał kieliszek Lizzie.

Ona najwyraźniej pobladła na jego widok.

- E... nie, dziękuję... ja jestem... nie całkiem... nie teraz. Dziękuję.

Na czole Franklina pojawiła się zmarszczka, ale potem wzruszył ramionami.

- Harry?

Harry wziął od niego kieliszek i obydwaj wzniesli toast.

Po koncercie przeszliśmy z ciotką pod arkadami Music Hallu i znalazłyśmy się na zlodowaciałej warstwie nowo

spadłego śniegu. W tym świetle wyglądał czysty i lśniący, wiedziałam jednak, że za dnia padnie ofiarą miejskiego błota i brudu, tak jak wszystko inne. Gdy nasz powóz terkotał przez ciemne ulice, ciotka rozwiąła mój pogląd, że śpiewanie z Harrym było niewinną rozrywką.

- Doniesiono mi, że śpiewałaś dziś wieczór. Na dodatek całkiem głośno. I źle.

- Śpiewanie fałszywie wymaga wielkiego wysiłku.

- Więc po co to robiłaś?

- Ponieważ... - Gorączkowo myślałam, co powiedzieć ciotce: Ponieważ mnie to rozśmieszyło. I... to była dobra zabawa. - Ponieważ to była niezła zabawa.

- Zabawa. Gdy jest się debiutantką, nie ma nic bardziej niestosownego od zabawy. To, czego się podejmujesz, to poważna sprawa, która może zmienić twoje życie.

- Owszem. Ale jeśli teraz nie można się bawić, to kiedy *będzie* można?

Ciotka obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem.

- Bawić? Od czasu do czasu może się to zdarzyć, nagle i niespodziewanie, ale w życiu nie chodzi o zabawę. I nie chodzi o ciebie. Chodzi o to, za kogo wyjdiesz za mąż. A potem o twoich teściów. I twoje dzieci. Nie będzie mowy o *zabawie*. Chociaż widziałam, że Lizzie Barnes była w towarzystwie młodszego De Vriesa. Może to zapowiada twój tryumf.

- Tryumf?

- Może obniżyła swoje oczekiwania?

- To znaczy...?

- To znaczy, że może nie jest już twoją rywalką.

Harry? I Lizzie?

Następnego dnia, zamiast zabrać się do naszych zwyczajowych, wyszukanych przygotowań do wyjścia na operę, ciotka wpadła na inny pomysł.

- Dziś po południu wybierzemy się na miasto. Włóż strój podróżny.

- Na dworze musi być poniżej zera!

- Przebierz się.

Poszła, a ja zostałam w holu, obserwowana przez jej psy. Jeden z nich zaszczekał, więc przyspieszyłam kroku. Kiedy dotarłam do swojego pokoju, pokojówka pomogła mi zdjąć suknię domową i ubrać się w strój podróżny, uczesała mi na nowo włosy, a potem nałożyła pelerynę.

Peleryna była uszyta z szarego atłasu, a brzegi miała wykończone futerkiem z kuny. Od szyi poprzez ramiona i w dół pleców biegły marszczenia. Peleryna była piękna, ale ważyła prawie siedem kilogramów. Musiałam zebrać się w sobie, gdy pokojówka układała mi ją na ramionach.

- Kapelusz, panienko?

- Włoży ten szary, filcowy. - Ciotka weszła do pokoju i przyglądała się mojemu strojowi. Kiwnęła głową, gdy pokojówka włożyła mi kapelusz na głowę. - Tak. Tak będzie całkiem dobrze.

Powinno być. Kapelusz doskonale pasował do peleryny. Denko było ozdobione opaską z takiego samego futra, ułożoną w falujący deseń, a z tyłu wystawały końce strusich piór. Pokojówka wyciągnęła spod piór szeroką wstążkę i zawią-

zała ją w olbrzymią kokardę pomiędzy moim podbródkiem a uchem.

Ciężar atłasu przygniatał mi ramiona, a śliskie futro groziło spadnięciem kapelusza z głowy, obawiałam się więc, że nie będę w stanie odbyć przejażdżki w taki sposób, jakiego oczekiwała ciotka. - Nie mogę się poruszyć.

- Nie trzeba się ruszać; trzeba być widzianym.

Buda powozu została opuszczona i umocowana; nie miałyśmy być osłonięte przed wiatrem. Stangret pomógł wsiąść do wiktorii najpierw ciotce, a potem usadził mnie obok niej. Wkrótce sunęliśmy w kierunku centrum miasta.

- Najpierw pojedziemy przez Ladies' Mile\*. A potem wrócimy do Central Parku.

- Tak jest, proszę pani.

Przemknęliśmy obok miejsc, które odkryłam dopiero w tym roku. Miasto było tak wielkie, tak rozległe! Kiedy przejechaliśmy całą Piątą Aleję, przy której mieściły się najmodniejsze sklepy, stangret chciał zawrócić konie.

Jednakże ulicą nadjechał przechylający się na boki wóz, który uniemożliwił skręt i spłoszył konie.

Ciotka wydała stłumiony okrzyk.

Konie, nie mogąc skrócić, popędziły dalej wzdłuż ulicy. Porwawszy się na nogi, stangret zaczął ciągnąć lejce i zdołał skierować powóz na wschód. Jednak nie tak łatwo było uspokoić konie i skoro tylko pozbierały się po skręcie, znowu ruszyły galopem. Dopiero widok przeszklonego karawanu, który blokował przed nami drogę, skłonił je do zmiany kursu.

\* The Ladies' Mile - dzielnica w Nowym Jorku na Manhattanie, w XIX wieku znajdowały się tam najsztywniejsze domy towarowe.



Poczułam, że kapelusz zjeżdża mi z głowy i zaczyna podskakiwać na karku.

Jechaliśmy w kierunku południowym, a potem, kiedy ruch uliczny zablokował skrzyżowanie, konie skręciły znowu na wschód, ciągnąc za sobą nasz powóz przechylony niebezpiecznie na jedną stronę.

- Zawracaj!

- J a ktylko będę mógł, proszę pani.

Jechaliśmy jednak dalej, mijając kolejne kwartały, aż w końcu znaleźliśmy się na środku uliczki, która była ślepa i na tyle wąska, że nie dało się zawrócić.

Konie zatrzymały się gwałtownie.

Cisza, która zapadła po uprzednim dzikim tętnie końskich kopyt i huku pędzącego powozu, wydawała się nienaturalna. A scena, która roztaczała się przed nami, nierzeczywista. Ulica zasłana była kolorową mieszaniną śmieci i brudu. Przed nami leżał martwy koń z niewyobrażalnie rozdętym brzuchem. Po drugiej stronie uliczki, koło drewnianej beczki, z której wysypywał się popiół, jakiś mężczyzna pchał wózek wypełniony szmatami. A tuż przed nim, z drzwi hotelu otwartych na ulicę dobiegało brzękanie pianina.

I chociaż nigdy nie poznałam tej części miasta, stwierdziłam, że znam to miejsce. Znałam je z kart książki Riisa. Tak właśnie żyła ta druga połowa. Mieszkali w tym miejscu, które śmierdziało przejrzałym jedzeniem i niemytymi ciałami.

Stangret zeskoczył z kozła i poszedł uspokoić konie. Drżały z wyczerpania, a z ich grzbietów unosiła się para. Przez rzadną i rozpraszającą się mgłę ich skroplonych ciężkich oddechów zauważyłam, że wokół zbierają się ludzie. Ludzie o podejrzanym wyglądzie. Mężczyźni w poplamionych melonikach. Chłopczy w wytłuszczonych czapkach. Za nimi kobiety w szalach naciągniętych na głowę. A dalej, na chodniku

w pobliżu hotelu grupa kobiet ubranych zbyt ładnie, jak na tę okolicę, i zbyt lekko, jak na panującą pogodę.

Ciotka też musiała widzieć gromadzący się tłum, gdyż chwyciła się kurczowo ręką mojego przedramienia.

- Mogę w czymś pomóc?

Podskoczyłam na te słowa, a ciotka rzuciła się na mnie.

Jednakże, gdy para przerzedziła się i opadła, poznałam, że to pan Douglas wynurzył się z tłumu.

- Pan Douglas!

- Niech pan pomoże stangretowi zawrócić powóz. Natychmiast! - Ciotka podniosła się i usiłowała przejść obok mnie.

- Może nie powinniśmy wysiadać, ciociu. - Coraz więcej ludzi tłoczyło się wokół powozu, gapiąc się na nas. Mali chłopcy sadzali sobie kolegów na ramiona, żeby ci mogli zajrzeć do środka.

Pan Douglas, obserwując tłum, podszedł do nas. Wyciągnął rękę w kierunku jednego z koni.

Parsknął na niego, wydychając wielkie kłęby pary.

- Tak, proszę nie wstawać. - Spojrzał na otaczających go ludzi. - Przesuńcie się. Trzeba zawrócić powóz pań.

Dało się słyszeć zbiorowe mamrotanie, ale nikt się nie ruszył.

- Wynocha! - Pan Douglas podniósł do góry laskę.

Do tej pory nie wiedziałam, że na mieście może być niebezpiecznie, jednak widząc nacisk ludzi, którzy nie chcą się cofnąć, i tępą beznamiętność w ciemnych oczach, które patrzyły na mnie, przyszło mi do głowy, że mogę już nigdy nie wrócić do domu.

Ciotka chyba też tak pomyślała, bo wsunęła swą dłoń w moją.

Uścisnęłam ją.

Wtedy usłyszałam odgłos zbliżających się kroków i tłum zaczął rzednąć. Odrobinę. Ku mojemu całkowitemu i absolutnemu zaskoczeniu Harry przepchnął się do przodu. Podszedł do powozu z kapeluszem w dłoni.

- Widziałem, co się stało na Piątej Alei. Kazałem jechać za waszym powozem. Mogę panie podwieźć?

Ciotka znowu wstała, tym razem ciągnąc mnie za rękę, i ruszyła, jakby wokół nie było tłumy, a płoszenie się koni było na porządku dziennym.

- Dziękujemy, panie De Vries. Z wielką przyjemnością.

Wyciągnęła rękę do Harryego, ale on nie mógł się cofnąć, żeby zrobić jej miejsce, by zeszła z powozu.

Przez jedną pełną napięcia chwilę nikt nie chciał ustąpić, ale potem powoli zrobiło się przejście. Usłyszałyśmy kilka chrząknięć, ktoś tam zakaszłał, ktoś inny kichnął, ale nikt nas nie zaczepił, nikt się do nas nie odezwał i wkrótce Harry zabrał nas z naszego powozu i posadził w swoim.

Zdjęłam kapelusz z szyi i umieściłam go z powrotem na głowie.

Gdy ruszaliśmy, obejrzałam się do tyłu. Stangret i pan Douglas próbowali nakłonić konie, by się cofnęły i by można było powoli zawrócić powóz.

- Powinniśmy coś dla niego zrobić.

- Kogo?

- Pana Douglasa.

- Już to robimy - prychnęła ciotka.

Może bym się zastanawiała nad jej enigmatyczną odpowiedzią, ale Harry zaczął rozmowę i dalsze rozważania na temat wypadku wyleciały mi z głowy.

„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA

5 lutego 1892 r.

...a wczoraj wieczorem w operze, na przedstawieniu *Lakme*, byli, między innymi, pan Franklin De Vries, pan Harold De Vries, panna Emma Vandermere, panna Elizabeth Barnes oraz śliczna panna Klara Carter...

„THE TATTLER”

5 lutego 1892 r.

Która ze ślicznych debiutantek w naszym mieście zboczyła pewnego zimowego popołudnia daleko z Piątej Alei, kiedy spłoszone konie zaciągnęły jej powóz do The Bowery\*? Dzięki przymilaniu się do tamtejszego elementu oraz pomocy pewnego dżentelmena wszystko skończyło się dobrze. Jednakże nie jest to pierwszy raz, kiedy osoba o jej nazwisku zapuszcza się we wnętrze naszego pięknego miasta.

Toż to było o mnie. Znowu! Skąd „The Tattler” o tym wiedział? Czy wieści rozchodzą się tak szybko? I o co chodziło w tym ostatnim zdaniu?

Nawet Lizzie to przeczytała. Zapytała mnie o to podczas naszego następnego spotkania.

- Jak myślisz, o kogo chodzi?

- O mnie.

- Naprawdę? O ciebie! Ale skąd „The Tattler” wiedział? Pokręciłam głową.

- I jak tam było?

Zamknęłam oczy na wspomnienie tej strasznej jazdy, ale zaraz otworzyłam je, starając się zapomnieć o tym, co widziałam w The Bowery. Wystarczyło jednak tylko pójść na

\* Bowery, powszechnie zwana „The Bowery” - ulica i dzielnica pod koniec XIX wieku ciesząca się złą sławą, położona w południowej części Manhattanu.

górze do mojej sypialni i otworzyć książkę Riisa, żeby zobaczyć to na nowo.

- To było przerażające. Powóz przechylał się to na tą, to na tamtą stronę. Cieszę się, że się nie przewrócił!

- Nie o to mi chodzi. Mówiłam o The Bowery. Jak tam było?

- Było... - Jak było? Dokładnie? - Nie chciałam się tam więcej znaleźć. Nigdy.

- Mówią, że pełno tam... - spojrzała na mnie wyczekująco.

Ja spojrzałam na nią, jakbym, taką miałam nadzieję, nie wiedziała, o co chodzi.

- Mówią, że są tam  *prostytutki*.

Prostytutki! Czy wśród tych nieszczęsnych ludzi były prostytutki? Lizzie mówiła szeptem, więc ja też wyszeptalam.

- Skąd miałabym wiedzieć?

- Nie widziałaś ich?

- Może i tak.

- Naprawdę? - Oczy Lizzie zrobiły się okrągłe.

Wzruszyłam ramionami, starając się wyglądać nonszalancko.

- Tak naprawdę to nie wiem, czy widziałam, czy nie. Jak one wyglądają?

- Nie całkiem... przyzwoicie.

To niewykluczone, że były. Ale większość tych ludzi nie wyglądała przyzwoicie. Wyglądali groźnie. I... wrogo.

- Przynajmniej Harry przyszedł nam z pomocą.

- Harry was uratował?

Skinęłam głową.

- On był tym dżentelmenem? Naprawdę?

- Tak. Błyskawicznie przetransportował nas z naszego powozu do swojego i zawiózł na Piątą Aleję.

- Tak po prostu?

- W gruncie rzeczy tak. - Cała zamiana nie trwała dłużej niż minutę.

- Jak romantycznie!

- Harry? Romantyczny?

- Zawsze tak uważałam.

Naprawdę?

- Franklin nie raczyłby sobie nawet pobrudzić rękawiczek. I co powiedział?

- Harry?

Lizzie kiwnęła głową.

- Powiedział... niech sobie przypomnę. Powiedział: „Mogę panie podwieźć?”.

- „Mogę panie podwieźć...” - Lizzie westchnęła.

- Lizzie! Nie bądź głuptasem.

- Nic na to nie poradzę. Jedyna rzecz, o jakiej rozmawia ze mną Franklin, to polowanie. Albo konie. A ja potem patrzę, jak ty rozmawiasz z Harry'm i myślę sobie: Wygląda na to, że Klara się śmieje, ponieważ on rzeczywiście powiedział coś naprawdę śmiesznego. I wtedy znowu żałuję, że nie jestem tobą.

Żałuje, że nie jest mną? To nie mogła być prawda. Dlaczego starannie wykształcona, zachwycająca Lizzie Barnes chciała być mną? I dlaczego Franklin rozmawiał z nią o koniach? Przy mnie nigdy o nich nie wspominał.

- Chyba jednak w końcu odkryłam sekret. - Lizzie zaczęła chichotać. - Jeśli zapytam go o coś na temat jego samego, to chętnie gada i gada bez żadnej pomocy z mojej strony. Szkoda, że Harry nie jest dziedzicem. Pewnie bym z tobą o niego walczyła.

- A l e on nie jest...

CMoknęła mnie w policzek i odeszła, szeleszcząc spodnicami.

- On nie jest mój.

Chyba mnie nie usłyszała.

Po odejściu Lizzie weszłam do domu przez kuchnię. Otoczyło mnie przytulne ciepło. Chwyciłam jedną z bułeczek, które właśnie wyjmowano z pieca, i wychodząc, ujęłam w obie dłonie. Jej ciepło rozgrzało moje zmarznięte palce.

Ojciec był w domu. Mijając jego gabinet, usłyszałam, jak mówi.

- Powiedział, że dadzą nam młodszego syna.

Zatrzymałam się, przekładając bułeczkę z jednej ręki do drugiej.

- Młodszego? - To był głos ciotki.

- Tak właśnie De Vries powiedział.

De Vries? Młodszy? To oznaczało... Harry'ego? To oznaczało Harry'ego. Harry! Dadzą nam... dadzą mnie... Harry'ego. Na ustach pojawił mi się uśmiech, a serce wypełniła radość. Poczułam, jak gorąco ogarnia mi szyję, a potem policzki.

Harry.

Ostatecznie nie każą mi wyjść za Franklina!

Miałam właśnie wpaść do gabinetu ojca i mu podziękować, kiedy przypomniałam sobie, że rozmowa miała odbywać się bez świadków.

- Nie. Nie! Nie chcemy młodszego. Chcemy starszego! Mam nadzieję, że odmówiłeś.

- Odmówiłem.

- I co powiedział?

- Zapytał, czy nie zrobili wystarczająco dużo, załatwiając zaproszenia na Bal Patriarchów? Nie zrobili wystarczająco

dużo, udając, że powitali debiut Klary z zadowoleniem? Zastanawiał się, dlaczego upatrzyliśmy sobie Franklina, kiedy Klara bez wątpienia mogłaby mieć każdego, kogo by chciała.

- Oprócz ich najstarszego syna?

Wycofałam się spod drzwi, ponieważ nie chciałam więcej słyszeć.

Odmówił? Ojciec odmówił.

Właśnie wtedy, kiedy oddaliłam się chyłkiem spod drzwi i ukryłam w garderobie, kiedy przyjrzałam się swoim najgłębszym myślom i najszybszym uczuciom, zdałam sobie sprawę, że nie chcę wyjść za mąż za Franklina. I kiedy uświadomiłam sobie, jaka jest prawda, odkryłam, że wpadłam w zastawioną pułapkę. Poczułam wtedy wielką tęsknotę za wolnością.

Następnego dnia nie byłam całkiem sobą. Tańczenie i flirtowanie, kiedy rezultat mojego debiutu został już postanowiony, wydało mi się nieszczerze i fałszywe. Miałam poślubić Franklina. Ani moje czyny, ani czyjeś słowa nie powstrzymają ojca i ciotki przed zdobyciem go dla mnie.

Nie bałam się już, że połączą mnie z którymś z tych niepożądanych. Takie towarzystwo mogło być tylko tymczasowe. Ja byłam przeznaczona do większych rzeczy.

Pan Hamilton pragnął ze mną zatańczyć?

Nie broniłam mu.

Pan Porter pragnął ze mną porozmawiać?

Po cóż miałabym go unikać?

Pan Hooper chciał się we mnie wpatrywać?

Jakie to miało znaczenie? Nie miałam na tyle hartu ducha, żeby unikać jego spojrzenia, tak jak to czyniłam zazwyczaj.



Tylko że... on najwyraźniej potraktował moje zachowanie jako zachętę. Gdy ruszył przez salę w moim kierunku, zaczęłam, zbyt późno, żałować swojej obojętności. Ledwo się uklonił, gdy zaczął mówić.

- Panno Carter? Nie będę dłużej milczał. To zaproszenie, jakie wyczytałem w pani spojrzeniu... Muszę z panią pomówić o mojej drogiej nieżyjącej siostrze.

- Och, nie! Proszę nie mówić.

- Muszę. Muszę przemówić w imieniu Minnie.

- Z pewnością... nie... Doprawdy, panie Hooper, czy to jest czas i miejsce na takie wspomnienia? Przyznam, że ani razu się z nią nie spotkałam.

- Ale pani ojciec tak. Była taka dobra. Taka wesoła. Czekała z niecierpliwością na swój debiut.

Żadna odpowiedź nie przysłała mi do głowy.

- Sam podjąłem studia medyczne w nadziei na znalezienie prawdziwego lekarstwa na chorobę, która prześladowała moją siostrę. - W jego oczach mieszały się dozgonna lojalność i bolesny smutek. Biedak. Nie był szalony; tęsknił po prostu za siostrą.

- Bardzo się to panu chwali, panie Hooper.

- Ale ja nie będę milczał. Trzeba powstrzymać ludzi pokroju pani ojca!

- Mojego... Ale... mojego ojca?

- Tych, którzy pod płaszczykiem medycyny uprawiają szarlatanerię.

Szarlatanerię? Ojciec miał rację - żal pomieszał mu umysł. Jednakże szaleństwo nie wykluczało taktu.

- Oświadczam panu, że mój ojciec jest najlepszym lekarzem w tym mieście!

- Żaden lekarz godny swej licencji nie przepisałby strychniny w takiej dawce, jak on.

- Nie znam się na medycynie, panie Hooper.

- Pani ojciec też nie.

- Nie zamierzam wysłuchiwać pana zniewag. - Chociaż w gruncie rzeczy nie miałam innego wyjścia. Ciotka poszła do wazy z ponczem. Dopóki nie pojawił się ktoś, kogo znałam, nie miałam innej możliwości ucieczki.

- J a k to jest, że pani może debiutować, a moja siostra nie? Czy to sprawiedliwe?

Skurczyłam się w sobie wobec jego oskarżenia. Gdyby w tym momencie pojawiła się jego siostra, w formie cielesnej czyjako zjawa, z chęcią oddałabym jej mój debiut.

Ludzie zaczęli odwracać się w naszą stronę i patrzeć z ciekawością. Nie chciałam dawać im powodu do plotek. Wzięłam pana Hoopera pod ramię, jakby to on sam mi je dzielnie podał. - Niewymownie mi przykro, panie Hooper, że pańska siostra nie żyje.

- Przykro? Przykro...!

- Nie rozumiem jednak, w jaki sposób mogłabym panu pomóc. - Przechyliłam głowę w stronę jego głowy, usiłując skłonić go do ściszenia głosu.

- Pomóc? Brzydzę się panią! Panią i pani ojcem. Żeby paradował z panią po najświetniejszych salach balowych Nowego Jorku, kiedy rozprowadza takie... takie..! - Twarz mu poczerwieniała, a na szyi pulsowała żyła. - To niesprawiedliwość, którą mam nadzieję w jakiś sposób naprawić.

- Sądzę, szanowny panie, że nasza znajomość właśnie się skończyła. - Wyciągnęłam rękę spod jego ramienia.

Pokręcił głową, a potem zaczął się uśmiechać w wyjątkowo złowrogi sposób.

- Nasza znajomość nigdy się nie skończy. Dopóki nie rzeknie się pani debiutu, który należał się Minnie.

Zrzec się debiutu? Być może przypisałabym to niedorzeczne żądanie jego rozpaczy, ale pan Hooper wydawał się w tym momencie całkiem zdrowy na umyśle. Jego oczy były

całkiem przytomne. Czy nikt mi nie pomoże? Rozejrzałam się rozpaczliwie po sali w poszukiwaniu ciotki, ale tym razem nigdzie jej nie było.

Pan Hooper położył rękę na moim przedramieniu.

Cofnęłam się, czując jego dotyk.

- Chodźmy, panno Carter, chciałbym...

- Tu pani jest!

Z wielką ulgą i miękkimi kolanami zauważyłam, że słowa te wypowiedział Harry. W samą porę.

- Pan De Vries!

- Czy to nie jest...? Wydawało mi się, że następny taniec jest mój.

- Tak jest. Ma pan rację. Proszę nam wybaczyć, panie Hooper. - Odwróciłam się od niego i natychmiast uczepiłam się ramienia Harry'ego.

Zakreślił mną i poprowadził przez salę.

- Nie miałem zamiaru przeszkadzać, jeśli nie powinienem był tego robić. Czy... wydawało mi się...?

Spojrzałam na Harry'ego, a potem wbiłam wzrok w podłogę. Że też Harry, ze wszystkich ludzi dookoła, musiał być moim wybawicielem. Znowu.

- On chyba nie jest przy zdrowych zmysłach. Powiedział, że go zachęcałam. Spojrzeniami, jakimi go obdarzyłam.

- Spojrzenia! Tylko głupiec polega na zachęcie wyczytanej ze spojrzenia.

Uśmiechnęłam się, widząc jego oburzenie.

- A ty byś na czym polegał?

- Na zwykłej prośbie. Gdybym, na przykład, pragnął pocałunku, powiedziałbym: „Panno Carter, czy może mnie pani uszczęśliwić pocałunkiem?”. A ty byś odpowiedziała...?

Gdyby tylko wiedział, co chcę powiedzieć. Ale nie. Nie mogłam.

- Panna Carter zdecydowanie by odmówiła.

Jego oczy przygasły.

Nie mogłam pozwolić na to, żeby pomyślał, że nic dla mnie nie znaczy.

- Ale *Klara* może dałaby się przekonać.

Jeden kącik ust podniósł mu się do góry.

- Doprawdy. No cóż. Muszę o tym pamiętać.

Na tę aluzję oblałam się pasem. Być może ulga, jaką odczułam po uratowaniu, wzięta górę nad moją dyskrecją. Na szczęście Harry nie wykorzystał mojego braku roztropności. Odprowadził mnie do ciotki.

Gdy to uczynił, przyszedł po mnie Franklin. Ukłonił się ciotce, a potem obrzucił nas z Harrym spojrzeniem.

- Nie skompromitował się chyba, prawda? W swoim czasie zdeptał niemało stóp. Pamiętasz córkę hrabiego, Harry? We Francji?

Harry uśmiechnął się, ale bez przyjemności.

- Praktycznie trzeba ją było znieść z parkietu. Nigdy nie zapomnę przekleństw, jakimi cię obrzuciła. Nauczyłem się kilku, których nie znałem! - Franklin roześmiał się, jakby oczekiwał, że się z Harrym do niego przyłączymy.

Harry przeprosił i odszedł.

Franklin ujął moją dłoń.

- To nie było miłe.

- Nic mu nie będzie. Nie jest zbyt wyrobiony towarzyszko. Można by powiedzieć: najlepsze chęci, ale najgorsze wykonanie.

- Sprawieś mu przykrość.

- Przejdzie mu. Tak naprawdę już mu przeszło. Popatrz.

Spojrzałam w stronę, w którą obrócił nas Franklin, i rzeczywiście Harry stał oparty o kolumnadę i rozmawiał z Lizzie. Gdy tak na nich patrzyliśmy, Lizzie uśmiechnęła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

Harry przykrył ją swoją dłonią.

- Doprawdy, Franklinie, jak na dżentelmena jesteś całkiem niegrzeczny!

Zrobił obrót w przeciwnym kierunku niż stali Harry i Lizzie, a potem odsunął mnie o krok od siebie i spojrzał mi w twarz.

- To naprawdę cię zmartwiło?

- Tak. - Nie byłam tylko pewna, co zmartwiło mnie bardziej: pogardliwy stosunek Franklina do brata czy fakt, że Harry i Lizzie mogą być... w dobrych stosunkach. Dlaczego Franklin zawsze musiał coś insynuować?

- W takim razie przepraszam. Wybaczysz? - Rzucił mi uśmiech, w którym było tyle skruchy, ile ma kot trzymający w zębach mysz.

Ale skoro to był bal i skoro miałam wyjść za niego za mąż, po prostu odwzajemniłam uśmiech.

- Oczywiście. - Jedną kszówką Lizzie nie przestawały mnie prześladować. *Szkoda, że Harry nie jest dziedzicem. Pewnie bym z tobą o niego walczyła.*

W nagrodę palce Franklina zacisnęły się na moich plecach, przysuwając mnie bliżej do jego piersi.

- Wiesz, jesteś absolutnie fascynująca. Nigdy nie wiem, co zrobisz albo co powiesz.

Problem polegał na tym, że ja też nie wiedziałam.

- Każde spotkanie jest przygodą. Każdy taniec pełen jest możliwości. - Kiedy mówił o tych możliwościach, w jego oczach pojawił się błysk.

Pod tym spojrzeniem spuściłam wzrok.

Franklin roześmiał się, a potem tańczył ze mną w przód i w tył z taką siłą, że znowu oparłam się o jego pierś. Przez krótką chwilę przycisnął mnie do siebie.

- Takie intrygujące możliwości.

Podczas jazdy do domu ciotka skorzystała z okazji, żeby udzielić mi reprimendy w związku z wydarzeniami tego wieczoru.

- ...i musisz przestać hasać z drugim synem.

- Z kim?

- Z bratem Franklina. Można by pomyśleć, że wolisz go od dziedzica. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Przy następnej okazji masz go zignorować.

Zignorować!

- Ale... zrobić afront rodzonemu bratu Franklina?

- On wie, że musi ustąpić pierwszeństwa dziedzicowi, ale wygląda na to, że potrzebuje przypomnienia.

- Proszę, nie każ mi...

- Zrobisz, jak cię prosiłam.

Prosiła? Rozkazała mi!

Spojrzała na mnie z łagodniejszym wyrazem twarzy.

- Poza tym tak byłoby dla niego lepiej. Nie możesz kusić jednego mężczyzny, kiedy starasz się zdobyć drugiego.

- Nikogo nie *kuszę*.

- Naprawdę?

Kusiłam?

- Oczywiście, że nie.

Oczywiście, że nie kusiłam.

- Dobrze. W takim razie łatwiej ci będzie zrobić to, co musisz.

Dwa dni później z niepokojem dostrzegłam Harry'ego, jak idzie wzdłuż Ladies' Mile. Chodziłyśmy z ciotką od sklepu do sklepu, a ja wybłagałam, żebym mogła wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy ona regulowała nasze rachunki.

Harry zbliżył się i uniósł kapelusz.

- Panno Carter.

Bardzo chciałam się zatrzymać i porozmawiać z nim, ale wiedziałam, że nie mogę. Nie wolno mi. Minęłam go więc ze wzrokiem wbitym w trotuar.

- Panno Carter?

Szłam dalej. Z pewnością zrozumie.

Nie rozumiał.

- Klaro?

Powiedział to tak głośno, że bałam się, iż zaczniemy zwracać na siebie uwagę. Zatrzymałam się zatem.

Zdjął kapelusz.

- Co... dlaczego...?

Stojąc nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w chodniku, pochyliłam się lekko w jego stronę i powiedziałam szeptem.

- Próbuję cię zignorować.

- Zignorować?

Kiwnęłam głową i chciałam iść dalej.

- Ale... poczekaj... co to znaczy?

- Próbuję zrobić ci afront.

- Och! Rozumiem.

Było jednak całkiem jasne, że nie rozumie.

- Nie wolno ci już ze mną rozmawiać.

- Dlaczego?

Podniosłam głowę i odwróciłam się do niego.

- Ponieważ właśnie cię odtrąciłam. Udawałam, że cię nie zauważam. Doprawdy, Harry, powinieneś być całkowicie upokorzony! I zrobiłam to tu na chodniku, na oczach wszystkich.

- Po co miałyby to robić?

- Przestań do mnie mówić! - Proszę bardzo. Może teraz zrozumie.

- Jeśli nalegasz. Ale... jak długo ma trwać taki afront? Brzmi dość nieprzyjemnie.

Zaczynaliśmy zwracać na siebie uwagę. Ciotka miała rację. Lepiej skończyć to tu i teraz. I tak nie będę mogła go mieć.

- Trwa na zawsze. Musisz pamiętać, że byłam wobec ciebie okropnie niegrzeczna.

- Ach! Tak. Okropnie niegrzeczna. Zaczynam rozumieć. W każdym razie...

- Naprawdę musisz przestać mówić. - Nie wiadomo czemu mój głos zaczynał być słyszany nie tylko przez dwie pary naszych uszu.

- Chcesz powiedzieć, że na zawsze? Nie możemy nawet...

- Natychmiast. Musisz zaraz przestać mówić.

- Nie chciałybyś wiedzieć, gdyby, powiedzmy, jakiś mały owad zaplątał ci się we włosy?

- Czemu pytasz? Zaplątał się? - Podniosłam rękę, żeby sprawdzić.

- Nie. Ale w takim przypadku *chciałybyś*, żebym mówił.

- Oczywiście, żebym chciała. Zaplątał się?

- Nie.

- Naprawdę, Harry, powiedz mi!

- Proszę mnie, żebym do ciebie nie mówił, a potem każeś mi mówić? Przyznam, że nie pojmuję tego całego towarzyskiego nonsensu.

Śmiał się ze mnie. Widziałam chochliki w jego oczach.

Przez dłuższą chwilę piorunowałam go wzrokiem, a potem... też wybuchnęłam śmiechem.

Harry zaczął śmiać się razem ze mną. A kiedy w końcu byliśmy w stanie mówić, włożył kapelusz na głowę i uchylił go przede mną.

- Do widzenia, panno Carter.

- Do widzenia, panie De Vries. - Skinęłam głową.



Ciotka wyszła ze sklepu w momencie, gdy Harry się ze mną zegnał.

- Chyba kazałam ci zignorować tego chłopca!

- Zignorowałam.

- Więc chyba nie zrobiłaś tego jak należy.

- Nie przyjął tego do wiadomości. - Skrywając uśmiech, odwróciłam się od niej i poszłam dalej.

- Czego nie przyjął? - Ciotka pospieszyła za mną.

- Nie przyjął do wiadomości afrontu. - Starłam się powiedzieć te słowa tak, jakby nie było nic więcej do dodania.

- Jak on mógł? Wybór nie należał do niego, tylko do ciebie!

- J a k mam zrobić afront komuś, kto nie chce się obrazić?

- Ale... co zrobiłaś? Co powiedziałaś?

Zatrzymałam się i obróciłam, by stawić jej czoło twarzą w twarz.

- Zrobiłam wszystko, co trzeba. Nie spojrzałam na niego. Nie odezwałam się. Zabroniłam mu do siebie mówić. Ale on tego nie zrozumiał, a kiedy afront trzeba wyjaśniać...? Nie udało się.

Kiwnęłam głową odźwiernemu w kolejnym sklepie. Gdy otworzył nam drzwi, poszłam przodem, zostawiając za sobą mruczącą z niezadowoleniem ciotkę.

## 26

Podczas prywatnego balu wieczorem Harry i Katherine znaleźli mnie po kolacji. Harry podszedł blisko i zaczął rozmowę.

- Czuję, że powinienem przeprosić za mojego brata.
- Za co?
- Ty mi to powiedz. Na pewno coś zrobił.

Roześmiałam się, zanim przypomniałam sobie, że mam tego nie robić.

- Często to robiłeś w Europie? Przepraszałeś za niego?
- I od czasu do czasu płaciłem też ludziom za milczenie. Katherine położyła mu rękę na ramieniu.
- Harry!
- Tak było.

Podszedł do nas mąż Katherine i podał jej ramię. Odeszli razem, zostawiając nas samych.

- Kiedy przeczytałam w gazecie, że bracia De Vries zgorzyszyli Anglię, sterroryzowali Francję i zbulwersowali Niemcy, uznałam, że pewnie piszą o tobie.

- O mnie? Dlaczego?
- Czyż to nie młodszy bracia są nieodpowiedzialni?
- Tylko wtedy, jeśli mają *odpowiedzialnego* starszego brata.

Dlaczego zawsze musieli wzajemnie się obrażać? Czy tego właśnie muszę się spodziewać? Bronić jednego wobec drugiego przez resztę życia?

- Franklin nie jest nieodpowiedzialny. On jest... uroczy. - To była prawda. Był uroczy... i nic poza tym.

- Potrafi być. Kiedy nie jest przebiegły i bezwzględny.  
- Chyba nie jest taki zły.  
- Ach. Ale ty nigdy z nim nie mieszkałaś, prawda?  
- Jesteś chyba zazdrosny.  
- Zazdrosny? Nie. Kiedyś byłem. Kiedyś żałowałem, że nie urodziłem się pierwszy. Ale potem uświadomiłem sobie, że bezowocnie tracę czas, myśląc o tym, kim i czym nie jestem.

Czyli tak jak ja, zawsze żałuję, że nie jestem niższa. Albo szczuplejsza. Albo... lepsza.

- Poza tym, po co mi wszystkie utrapienia związane z bankiem i brzemię spłodzenia dziedzica? Po cóż o to miałbym być zazdrosny?

- Ponieważ prawdopodobnie byłbyś w tym o wiele lepszy.  
- Zaczerwieniłam się, uświadomiwszy sobie, że wypowiedziałam swą myśl na głos.

- To jesteś jedyna, która tak myśli. A poza tym, to nie jest życie dla mnie.

Tak. To prawda. Gdyby został skazany na spędzenie całego życia w salach balowych i operach, byłby stłamszony, ogłupiony.

Harry położył dłoń na moim ramieniu.

- Nie miej wątpliwości. Urodziłem się w jakimś celu. I ty też.

W jakimś celu. Jakbym miała jakieś doniosłe zadanie do wypełnienia albo wielką zmianę do dokonania.

- Nie wierzysz w to? - Jego oczy były takie poważne, gdy starały się zgłębić moje.

- Urodzona w jakimś celu? Niektórzy ludzie może są. Ale cóż ja potrafię robić? Oprócz zatańczenia walca albo zagrania na fortepianie? I nawet wtedy...

- Co wtedy?

- Nawet wtedy nie jestem wystarczająco dobra.

- Wystarczająco dobra dla kogo?  
- Dla nich. - Wskazałam gestem na ludzi, którzy zapełniali parkiet.

- Ale oni się nie liczą.

O mało się z niego nie roześmiałam.

- Nie rozumiesz? Jesteś dokładnie taką osobą, jaką zamyslił Bóg. - Harry złapał moje ręce.

- Zamyślił? - Tak jakby On poświęcał czas na myślenie o mnie. - Niemożliwe, żeby Bóg o mnie myślał.

- A zatem byłaś pomyłką? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Chciałam?

- Bóg nie popełnia błędów. - Gdy spojrział na mnie, uśmiech rozjaśnił mu rysy. - Tak się cieszę, Klaro, że...

Położyłam mu rękę na ramieniu, żeby go powstrzymać.

Nakrył ją swoją własną. Tak jak zrobił z ręką Lizzie. Nie był to skutek, którego oczekiwałam. Chciałam powstrzymać jego słowa. Jego spojrzenie ostrzegło mnie - był niebezpiecznie blisko wyrażenia uczucia, którego nie miałam nadziei odwzajemnić.

Podniósł wzrok znad naszych dłoni z wyrazem żalu w oczach.

- Czy on jest tego wart?

- Kto?

- Franklin.

O co on pytał? I co mogłam mu odpowiedzieć?

- To nie jest kwestia wartości. - Gdyby tak było, to Harry byłby obiektem wszystkich moich starań.

- A zatem to kwestia pieniędzy? - W jego oczach tliło się coś bardzo bliskiego rozczarowaniu.

- Nie.

- Nie?

Pokręciłam głową.

- To kwestia oczekiwań. Oczekuje się ode mnie, że zrobię to, o co proszą ojciec i ciotka. Nie mam wyboru. Jestem jak cieplarniany kwiat wyhodowany tylko w jednym celu: żeby zakwitnąć wystarczająco pięknie, by ktoś mnie zerwał i wziął do domu dla ozdoby.

- A nie mogłabyś po prostu...

- Co? Odmówić im? Jaka dobrze wychowana dziewczyna zrobiłaby coś podobnego? - Dlaczego nie potrafił tego zrozumieć? Czemu musiał nalegać! Dlaczego tak trudno było mu zrozumieć, jak to wszystko działa?

- Musi być jakieś inne wyjście.

- Oczywiście. Mogłabym się usamodzielnic. Tylko z czego bym się utrzymała? Nic nie potrafię. W każdym razie nic pożytecznego. Potrafię śpiewać i grać na fortepianie, ale nie jestem solistką. Potrafię rozmawiać z kimś przez prawie godzinę, nawet jeśli on się w ogóle nie odzywa, ale kto by chciał mnie zatrudnić z tego powodu? Mogłabym uczyć, ale nigdy nie miałam sposobności, żeby pójść do kolegium nauczycielskiego. Kto by mnie zatrudnił? Jaki mam wybór, Harry? - Naprawdę nie miałam żadnego. Nawet jeśli wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, teraz już to wiedziałam.

- Mogłabyś poślubić kogoś innego. Mogłabyś wyjść za mąż z miłości. - Jego dłoń zacisnęła się na mojej.

- Tak. Mogłabym z kimś uciec. I na zawsze stracić reputację. Ten, którego bym poślubiła, nie podziękowałby mi za takie splamione wiano. Jego też by to zrujnowało. - Jak on śmie mówić mi o miłości!

- Ale... gdyby nie było żadnych przeszkód?

Popatrzyłam mu w oczy. Gdy to robiłam, mój gniew ustąpił miejsca wielkiemu smutkowi.

- Gdybyś *mogła* wybierać...

- Ach! Pan De Vries.

Harry oderwał wzrok od moich oczu. Puścił moją dłoń i odwrócił się ku ciotce.

Gdybym mogła wybierać? Gdybym mogła wybierać... Ale jakiego innego wyboru mogłam dokonać oprócz tego, którego już za mnie dokonano?

Jakiż wielki smutek.

Kiedy już zatańczyłam z Franklinem, z jednym z Lorillardów i z Vandermere'em, przerwę postanowiłam spędzić z ciotką, w salonie przy fortepianie. Bolała mnie głowa i potrzebowałam względnej ciszy, jaką oferował ten pokój.

Tam właśnie znalazł mnie Harry. Znowu. I nie mogę powiedzieć, żeby serce mi mocniej nie zabiło.

- Umiesz grać a vista? - Wskazał na fortepian.

- Tak. - Oczywiście, że umiałam. Przez te wszystkie lata spędziłam wiele godzin, dni... tygodni... przy fortepianie, ćwicząc to, co nauczyciel przede mną położył.

- Zagrałabyś zatem ze mną na cztery ręce? - Wyciągnął jakiś utwór z kieszeni surduta. - Nowa kompozycja. Z Włoch.

Przecież wcześniej wyraziłam się chyba jasno? Nie mógł nie zrozumieć, jak się sprawy mają. A jednak spojrzałam na niego uważnie, zanim się zgodziłam. A potem zebrałam fałdy spódnicy w jedną rękę i przesunęłam się na ławie, robiąc mu miejsce obok siebie.

Usiadł. A potem wychylił się, by położyć nuty na pulpicie nad klawiaturą.

Z jego ubrania emanowało ciepło. Ciepło przesycone zapachem cedru i drzewa sandałowego... i czegoś ostrego, co łaskotało mnie w nos. Limonki?

Położył ręce na klawiaturze, ja też. Nasze ramiona stykały się, wełna jego surduta drapała moją obnażoną skórę.

- Gotowa?

Kiwnęłam głową.

- Raz... dwa...

Trzymałam tempo jego odliczania, poruszając palcami; on robił to samo. Na trzy zaczęliśmy grać.

Zgodnie z zamysłem kompozytora ja grałam śliczną, śpiewną melodię, a Harry prostą, choć mało oryginalną, harmonię. Ale potem, w niewytłumaczalny sposób, utwór zaczął się zmieniać. I wkrótce ja grałam w niskich oktavach po jego stronie klawiatury, a on w wysokich po mojej.

On odchylił się trochę do tyłu, a ja pochyliłam do przodu.

Nasze palce flirtowały, najpierw moszcząc się pomiędzy sobą, a potem rozbiegając w przeciwne strony. Misterność, czysta... poufałość... tego wszystkiego wytrąciła mnie trochę z równowagi. Jednak wkrótce zaczęłam wyczekiwać tych fragmentów muzyki, dzięki którym znajdziemy się blisko siebie. Tych momentów, kiedy oddech Harry'ego będzie pieścił loki dyndające mi na karku, a ja musnę, przez chwilę, grzbiety jego dłoni, przeskakując ponad nimi do następnej części utworu.

Jednak kiedy zaczęłam się już przyzwyczajać do naszego muzycznego objęcia, melodia i harmonia rozeszły się, a ja musiałam wrócić do swoich własnych oktav, tak jak dyktowała mi muzyka zapisana w nutach. A potem, na ostatniej śpiewnej frazie, pieśń skończyła się, pozostawiając nas oboje bez tchu.

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA**

**9 lutego 1892 r.**

...na balu zjawiło się wielu gości. W szczególny sposób uświetniła go obecność uroczej panny Carter, która miała na sobie uderzająco piękną suknię od pani Connolly. Uszyta była z błękitnych wstążek i białej tafty, a z ramion opadały kaskady śnieżnobiałej koronki. Wydekoltowany stanik zdobiły koronkowe falbany.

**„THE TATTLER”**

**9 lutego 1892 r.**

Któraż to debiutantka wydaje się najbardziej biegła w sztuce flirtowania podczas gry na cztery ręce? Wczoraj wieczorem widziano ją splecioną w uścisku na klawiaturze, gdy grała z jednym z najznamienitszych kawalerów naszego miasta.

- Splecioną w uścisku! - Nie potrafiłam powstrzymać się przed podniesieniem głosu.

- Wiedziałam, że będziesz chciała to zobaczyć. - Lizzie uścisnęła moje ramię. Dlatego wysłałam ci wiadomość, żebyś się ze mną spotkała.

A ciotka o mało co jej nie przechwyciła.

Lizzie przesunęła gazetę tak, żeby padało na nią światło sącące się przez gałęzie żywopłotu.

- „Splecioną w uścisku”. Tak tu jest napisane. - Na zmarszczonym czole Lizzie wyraźnie malował się niepokój.

- Splecioną w uścisku!

- Nie myślę się. A ty lepiej ścisz głos. Chociaż trochę.

- Wiem, że się nie mylisz, ale... nie byliśmy spleceni w uścisku! Nasze palce może trochę się mieszały... no i może musiałam się nachylić w jego stronę... a on w moją...

- Grałiscie na cztery ręce. Czego się spodziewałaś?



- Że zagram z nim w duecie. A nie, że zostanę przedstawiona jak jakaś...jakaś... kobieta upadła!

- Ale na cztery ręce gra się właśnie po to, żeby poflirtować. - Lizzie zaczęła się śmiać.

- Powiedział, że to nowy utwór. Z Włoch.

- Och, z *Italii!* - *Zaczęła* śmiać się jeszcze bardziej. - No nie, Klaro. Nie wiedziałaś? - Uciszyła się na chwilę, żeby na mnie spojrzeć. A potem, z osobliwym wyrazem litości w oczach, pochyliła się i poklepała mnie po ręce. - Nie wiedziałaś.

- Ale... ale my ciągle tak gramy. A raczej... grałyśmy.

- W ramach ćwiczeń.

- I ty ciągle grasz w duecie z Franklinem.

- Jak można inaczej zostać sam na sam z konkurentem przez pięć minut? Usiąść obok siebie, oddychać tym samym powietrzem? Duety zostały stworzone do zalotów.

- A teraz ciotka będzie miała jeszcze jeden powód, żeby mnie besztać. Przyłapano mnie na zalecaniu się do niewłaściwego mężczyzny. - Zamknęłam z jękiem oczy.

- Tak. Przyłapano cię *splecioną* z nim na klawiaturze! - Nie potrafiła powstrzymać chichotu.

- Przypuszczam, że... było tam bardzo dużo... przemieszczania się. I więcej niż raz wymieniliśmy się oktawami.

- Skandal! - Lizzie śmiała się tak bardzo, że aż jej twarz poczerwieniała.

- A jeśli Franklin to zobaczy? Jeśli Franklin pomyśli... to znaczy... Harry jest jego własnym bratem!

Na te słowa Lizzie przestała się śmiać.

- Franklin może to i zobaczy, ale tego nie przeczyta. Franklin w ogóle niewiele czyta. Nie zauważyłaś?

Nie zauważyłam. Ale kiedy się nad tym zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że Lizzie ma rację. Franklin był taką niespokojną, porywczą duszą, iż nie potrafiłam sobie wy-

obrazić, że siedzi w jednym miejscu wystarczająco długo, żeby wziąć do ręki gazetę, a co dopiero ją przeczytać.

- Poza tym, artykuł nie wymienił cię z nazwiska.

Było to niewielkie pocieszenie. Każdy, kto tam był, zorientuje się, że chodzi o mnie. Westchnęłam ponownie. Poprzyśięgam sobie, że już nigdy nie usiądę obok Harry'ego przy fortepianie. Nawet jeśli oboje wiemy, że to nic nie znaczy.

Należało powstrzymać Tattlera. Deptał mi po piętach przez cały sezon i przedstawiał w jak najgorszym świetle. Przynajmniej wiedziałam teraz, kto to jest. Czyż pan Hooper nie zasygnalizował swoich zamiarów zaraz na początku sezonu? Podczas mojego pierwszego dnia przyjęć? Któż inny mógłby to być oprócz niego? Mogłam zrozumieć jego głęboką żalobę, ale obrażanie mnie nie było w stanie przywrócić życia jego siostrze. Zniszczenie mi sezonu nie spowoduje, że ona odniesie tryumf.

Ona nie żyła!

Z pewnością da się przemówić mu do rozumu. Postanowiłam pomówić z nim jeszcze tego samego wieczoru.

- Z kim? - Policzki ciotki powlekła bladość.

- Z panem Hooperem. Mężczyzną, który zawsze się we mnie wpatruje. - Zdecydowałam się pozyskać pomoc ciotki, żeby moja rozmowa z panem Hooperem doszła do skutku szybko. I dyskretnie. Ale do tej pory nie zauważyłam go wśród uczestników balu.

- O mój Boże! Proszę, nie mów o tym. O nim.

- Ale on był niesłychanie niegrzeczny wobec mnie, musisz się z tym zgodzić, i uważam, że należy mi się wyjaśnienie.

- Nie wolno ci o nim dzisiaj wspominać. Ani kiedykolwiek indziej. Popełniłabyś wtedy okropne *fau pas*.

- Ale ja koniecznie muszę porozmawiać z nim dziś wieczór.

Ciotka nachyliła się.

- On nie żyje.

- Nie żyje! - *To* było nieoczekiwane.

- Popełnił samobójstwo - wyszeptała zjadliwie do mojego ucha. - I nie wolno o tym mówić, nigdy nie będzie się o tym mówić w kulturalnym towarzystwie.

Moje pierwotne uczucie odrazy ustąpiło miejsca karygodnemu uczuciu ulgi. Jeśli Hooper nie żył, to Tattler nie ma już nic do powiedzenia. Jeśli nie żył, nie będę już musiała z nim rozmawiać. Żałowałam tylko, że poczułam taką satysfakcję.

Pan Hooper umarł.

Niech Bóg zlituje się nad jego nieszczęśliwą, udręczoną duszą.

Chodziłam tam i z powrotem przed oknem, próbując zebrać myśli. Ciągłe komentarze Lizzie na temat osławionej, wszechobecnej panny Klary Carter trochę mnie zdenerwowały. Jeśli stanęłam na palcach, byłam w stanie wyjrzeć przez koronkowe firanki na chodnik. A tam stała grupka pięciu czy sześciu dziewcząt, które, na mój gust, nie robiły absolutnie nic, tylko szwendały się.

- Czy one nie mają nic lepszego do roboty?

- Kto?

- Wszystkie te dziewczyny tam na chodniku.

Ciotka spojrzała na mnie znad stery zaproszeń, marszcząc brwi. - Niech sobie patrzą. Niech czekają. To tylko sprawi, że twoja ręka będzie bardziej cenna.

- Nie jestem towarem. Jestem osobą.

- Której pisane jest wspańiałe małżeństwo. Dlaczegoż nie miałyby patrzeć na ciebie z podziwem? Wkrótce będziesz wiodła życie, o którym marzy każda dziewczyna. Istną bajkę.

O mało co nie roześmiałam się na głos. Bajkę? Nie. W nich zawsze była prawdziwa miłość. A na to nie miałam żadnej szansy. Odwróciłam się od okna.

- Nikt mi nie powiedział, że tak będzie. - Że będę wracała przed świtem, potykając się, do domu, spała prawie do południa tylko po to, żeby wstać i powtórzyć od nowa całe to przedstawienie. Przed coraz większym gronem wielbicieli. Które wszystkie nosiły kapelusze z pomarańczowej bombazy ozdobione wstążkami w kolorze śliwkowym.

- Poradziłaś sobie dużo lepiej, niż się spodziewaliśmy.

- T a k . A teraz nie mogę nigdzie pójść bez pana Douglasa. Nie mogę w nic się ubrać, żeby nie rozprawiano o tym i nie analizowano w gazetach. - Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że wiem cokolwiek na temat... tego wszystkiego? Jak mogli mnie nazywać ekspertem w sprawach towarzyskich? - Ma- ma nigdy mi nie mówiła... kiedy wspominała debiuty, za- wsze mówiła o tańcach. O wirowaniu dookoła sali balowej w ramionach przystojnego mężczyzny. Nie mówiła mi, jaka to ciężka praca.

- T w o j a matka nic o tym nie wiedziała. Ona nie debiuto- wała. Była dziewczyną z Newport.

Gdy dorosłam, uświadomiłam sobie, że niewiele wiem o swojej matce. Kiedy zmarła, miałam zaledwie dziesięć lat - zbyt mało, żeby zastanawiać się, jakie życie wiodła, zanim stała się matką, którą znałam.

- Nie pochodziła z rodziny, która *jeździła* do Newport. *Pochodziła* z Newport. Była dziewczyną z miasta.

- O !

- T a k . *O!* To samo powiedziałam, kiedy brat oznajmił mi, że ją poznał. W tym roku w Newport byli Postowie. I Li- vingstonowie. Sheldonowie. May Vandermere tam była, za- raz po debiucie, w rozkwicie młodości, ze wszystkimi ko- neksjami swojej rodziny.

- Ojciec miał nadzieję dobrze się ożenić?

- Ja miałam nadzieję, że dobrze się ożeni. Pomimo strat, jakie ponieśliśmy podczas paniki. Nawet panna Warren by- łaby dobra. Każda oprócz dziewczyny z Newport.

- Ale...?

- Nie słuchał. Nie chciał słuchać. Nie słuchał absolutnie niczego oprócz śpiewu twjej matki w kościele. Wiesz, była solistką. W chórze.

Nie wiedziałam.

- Lato wypełnione miłością. Spacerzy po plaży, kolacje w hotelach. Po sezonie przez całą jesień i zimę krótkie wizyty na wybrzeżu. Nie dał sobie tego wyperswadować. A na wiosnę wzięli ślub.

- Mama była piękna.

- O, bez wątplenia! I to było jego argumentem. „Będzie najpiękniejszą dziewczyną w mieście, zobaczysz. Razem odzyskamy wszystko, co straciłem”. A ponieważ nic innego nie dało się zrobić, wzięłam ją pod swoje skrzydła. Wyszkoliłam ją co do obyczajów towarzystwa, żeby nie ośmieszyła brata. Zabrałam ją do gorseciarki i do krawcowej. Na bale i do opery. Wyobraź sobie, że ona nigdy nie widziała opery!

- Ale zachorowała.

- Nigdy nie czuła się całkiem dobrze. Odkąd brat zabrał ją znad morza.

Tęskniła za domem. Byłam tego pewna, tak jakby mama mówiła mi to do ucha.

- Nie była przyzwyczajona do wielkiego miasta. Ajak irytowały ją gorsety! Zupełnie jak młodą dziewczynę. - Ciotka skrzywiła się. - Tak jak ciebie. Ale z czasem zaakceptowała je. I użyła na swoją korzyść. Z czasem i przy mojej pomocy stała się obiektem zazdrości każdej kobiety w mieście - udało jej się osiągnąć szesnaście cali w pasie.

Szesnaście cali! Czyli o dwa mniej niż ja.

- Kiedy już przygotowaliśmy ją do nowego życia, przez jakiś czas przynosiła bratu wyłącznie szczęście. Miała bardzo prosty sposób bycia. Całkiem rozbijający. I uroczy.

- Nigdy już nie wróciła w rodzinne strony? - Bo wspólnie nigdy tam nie pojechaliśmy. Ani razu nie byłam w Newport.

- Nie miała do czego wracać. Jej matka nie żyła, a ojciec był już stary. Urodziła się, gdy on już przestał uczyć w Cambridge. Zmarł wkrótce po jej ślubie.

- Ale na pewno pojechała na pogrzeb.  
- Nie. Brat nie mógł opuścić swojej praktyki.  
- Nie mógł? Ale... nawet w lecie? Kiedy wszyscy jadą do Newport?

- Nie wszyscy jadą do Newport. Nie w ciągu tygodnia. Mężczyźni zostają w mieście. I właśnie tam musiał być też twój ojciec.

Biedna mama. Dziecko oceanu, dziecko lata, bez jednej fali w zasięgu wzroku, w dusznym mieście prawie bez powiewu wiatru. Jednak... musiała być szczęśliwa. Czyż ciągle nie śpiewała? Przynajmniej dopóty, dopóki... nie przestała?

Franklin przyszedł z wizytą później tego samego popołudnia. Z niewiadomych powodów ciotka wstała i wyszła z pokoju, zostawiając mnie z nim samą. Ale potem do salonu przydreptał pies.

Spojrzałam na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła ciotka. Jeśli psy się tutaj kręciły, to i ciotka musiała być w pobliżu. Starałam się go zignorować, ale pies nie odpłacił mi tym samym. Podeszedł prosto do Franklina i zaczął szczekać.

- Dobry piesek. - Franklin wyciągnął do niego rękę.

Bestia wyszczerzyła zęby w uśmiechu. A potem, wbrew wszystkiemu temu, co o nim wiedziałam, pies usiadł na zadzie, wyciągnął szyję i zaskomlał, skrobiąc łapą rękę Franklina.

- H m . . .

- To psy mojej ciotki.

- Psy? Jest ich więcej?

- Są trzy.

Jakby w odpowiedzi na jakiś niewidzialny sygnał, pies nagle odwrócił się i popędził w kierunku holu.

- No proszę.

Uśmiechnęłam się do niego.

- No cóż. - O czym to Lizzie z nim rozmawiała? Było to coś, o czym przy mnie nie mówił. A ja przechowywałam to w pamięci na wypadek właśnie takiej chwili jak ta. Chwili, w której nie będę wiedziała, co powiedzieć. Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć, co to było!

- Miałabyś ochotę pójść na spacer?

- Ja... - Poszłabym z największą przyjemnością, ale nie mogłam. Nie powinnam. - Nie mogę. To mój dzień przyjęć.

- O! - Przez chwilę wyglądał na rozczarowanego, ale potem się uśmiechnął. - To może zaproszę Lizzie.

Zegar wybił godzinę.

Wstałam.

On też wstał.

- Bardzo mi było przyjemnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję za wizytę. A potem wyszedł i udał się do Lizzie.

Nie minęła sekunda, a pojawiła się ciotka.

- No i?

- Zaprosił mnie na spacer.

- I ?

- Powiedziałam, że nie mogę. Jest wtorek. - Cóż innego mogłam zrobić?

- Zaprosił cię na spacer, a ty odmówiłaś? - Jej głos podnosił się z każdym słowem.

- Wtorek to mój dzień przyjęć.

- Zależy, jak się na to spojrzy. Nie oczekiwałam, żebyś była w domu, kiedy dziedzic zaprasza cię na spacer.

- Ale wtedy... goście nie zastaną mnie w domu. - A czy nie o gości właśnie chodziło podczas dnia przyjęć?

- Musisz być taka dosłowna? Czy nie mogłabyś zawiązać go z powrotem?

Prawdopodobnie.



- Jest w drodze do Lizzie.

- Do Lizzie? Posłałaś go w objęcia rywalki?

Przyłożyłam rękę do głowy, która pulsowała coraz gwałtowniej. - Za dużo tych zasad. A ja żadnej nie rozumiem!

- W i ę c pozwól mi to wyjaśnić. Jest tylko jedna prawdziwa zasada: złapać dziedzica De Vriesów za każdą cenę. Kosztem jakiegokolwiek zasady. Każdej zasady. Rozumiesz teraz?

Miałam trochę czasu pomiędzy porą przyjęć a kolacją, wróciłam więc do swojego pokoju i wyjęłam z pudełka album z wycinkami. Wycinałam artykuły z „The New York Journal” i „The Tattler” oraz fragmenty z „Ladies’ Home Journal”. Zachowałam także karty dań ze wszystkich moich bali i przyjęć. Zaczęłam więc klejać je do albumu obok kolorowych wycinków, które mama i Lizzie dały mi w ciągu tych lat.

Kiedy klejałam te artykuły, przeczytałam je jeszcze raz.

Zatrzymałam się, kiedy doszłam do artykułu z „Tattlera”, upamiętniającego szaloną ucieczkę naszego powozu do The Bowery. Pan Hooper najwyraźniej baczniej obserwował moje poczynania, niż mi się wydawało. I zdawał się uważać, że mój ojciec prowadził w tej części miasta jakieś interesy. Choć cierpiał na urojenia, jego siostra była pacjentką ojca.

Kiedy się zastanawiałam nad tym faktem, nad moją rozmową z ojcem, odkryłam w sobie wielkie pragnienie dowiedzenia się, jakież to interesy, zdaniem pana Hoopera, prowadził ojciec w The Bowery.

Nie mogłam tak po prostu poprosić stangreta, żeby zawiózł mnie tam, dokąd poniosły nas konie. Nie chciałam pytać ojca; nie mogłam też ciągnąć Harry’ego, brata mężczyny, którego miałam poślubić, do tak podejrzanego miej-

sca. Postanowiłam więc poprosić jedyną osobę, która moim zdaniem miała coś wspólnego z tym wydarzeniem.

- Co pani chce zrobić? - Pan Douglas nachylił się, żeby mnie usłyszeć pomimo grającej orkiestry, a gdy wyjaśniłam mu swój plan, oczy zrobiły mu się wielkie jak talerze. Ale teraz wpatrywał się we mnie spod przymrużonych powiek.

- Chcę pojechać znowu do tej części miasta, w której mógł pan mojej ciotki i mnie. Wtedy kiedy poniosły nasze konie.

- Po co?

- Ponieważ „The Tattler” sugerował, że mój ojciec prowadzi tam jakieś interesy.

- Wiem.

- Wie pan?

Zamrugnął powiekami. Wyprostował się.

- Oczywiście. Jestem na bieżąco ze wszystkimi rubrykami. Zainteresowanie zawodowe.

Zastanawiałam się, czy znał pana Hoopera.

- Zabierze mnie pan?

- Do The Bowery? Wolałbym raczej zawieźć panią do piekła.

- Więc będę musiała pojechać tam sama. Wielkie dzięki za troskę.

- Posłuchaj tylko. - Pan Douglas wziął mnie za ramię i pociągnął w stronę przeciwną niż sala balowa.

- Niech mnie pan puści.

- Nie. To ty przestań. Natychmiast. I nie myśl już o tym. Nigdy.

- Przecież panu powiedziałam, że jeśli mi pan nie pomoże, pojedę sama. - W moim głosie słychać było więcej pew-

ności siebie, niż w rzeczywistości czułam. Pojechać sama? Debiutantka w Nowym Jorku? Jediną nienaruszalną zasadą w moim życiu, oprócz *Zdobądź Franklina za każdą cenę*, było to, że nigdzie nie wolno mi chodzić samej. Zawsze musi mi ktoś towarzyszyć.

- Zdajesz sobie sprawę, co to są za ludzie?
- Oczywiście, że tak! Czytałam książkę.
- Książkę.
- Książkę Riisa. Czytałam o nich. I... - I współczułam

im.

Takie samo współczucie zobaczyłam w oczach pana Douglasa, gdy na mnie spojrzął. Jednak tym razem było ono zabarwione jakby... sympatią.

- To daje do myślenia, prawda?

Przytaknęłam.

- Posłuchaj. - Tym razem powiedział to łagodniejszym tonem. - W The Bowery nie znajdzie się nic dobrego, a całkiem dużo złego. Najlepiej, jeśli będziesz trzymać się z daleka.

- Ale...

- Jest tam wiele do zrobienia, ale ty nie jesteś w stanie tego dokonać.

- Jak pan może tak mówić?

- I co zrobisz? Pomaszcerujesz tam ze swoimi dobrymi intencjami i obsypiesz ich pieniędzmi? Poderżną ci gardło, zanim skończysz. I nikt nie będzie miał im tego za złe. - Wziął mnie pod ramię i zacisnął swoją dłoń na mojej z taką siłą, że kiedy odwrócił się i poszedł z powrotem w kierunku sali balowej, musiałam pójść za nim.

- To dlaczego mój ojciec tam chodzi?

- Kto mówi, że chodzi?

- „The Tattler”.

- No cóż, „The Tattler” nie wie... za wiele! - Zacisnął usta w wąską, prostą linię.

- Ale dlaczego on sądzi, że mój ojciec...  
- O pewnych rzeczach nie musisz wiedzieć - prawie krzyczał.

-Ale...

- I są rzeczy, o których ci nie powiem. Po prostu trzymaj się od tego z daleka.

- Ale dlaczego on tam chodzi?

- Nie wiem. - Było jednak całkiem jasne, że w rzeczywistości wiedział.

- Jest pan dziennikarzem. Powinien więc pan wiedzieć wszystko!

- Powiedz to mojemu redaktorowi naczelnemu.

Nie miał zamiaru dać się przekonać. Może gdybym była Lizzie, zatrzepotałabym rzęsami i uśmiechnęła się kokieteryjnie. Ale byłam tylko Klarą. Ze zbyt szerokimi ustami i za dużymi dłońmi. Nigdy się niczego nie dowiem. Po policzku spłynęła mi łza.

- O, przestań... nie możesz... nie płacz!

- Chodzi o to, że „The Tattler”... za każdym razem, kiedy pan napisał o mnie coś miłego, kiedy komplementował mnie pan w *Kronice towarzyskiej*, on pisał coś... okropnego. Nie tylko niegrzecznego, ale jadowitego. On naprawdę mnie nienawidził. - A teraz pan Douglas też mnie nie znosił. Czyż dopiero co na mnie nie krzyczał?

- Nie sądzę.

- Jestem o tym przekonana. I jestem po prostu tak... zmęczona... - Otarłam dłonią łzę. - A teraz pan nie chce mi pomóc...

Złapał mnie za ramiona.

- Bo nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Proszę... - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i podał mi. - Proszę, dajmy już temu spokój.

-Ale...

- Nie wyjdzie z tego nic dobrego.
- Czym *jest* The Bowery, panie Douglas?
- To miejsce, gdzie... - Sprawiał wrażenie, jakby chciał być daleko stąd. - Gdzie... kobiety, które nie są... przyzwoite... spotykają się z mężczyznami, którzy nie są... w porządku.
- Na miłość boską, niech mi pan powie prawdę!
- Prawdę? To dzielnica prostytutek, szantażystów i aborcjonistów. Gdzie kobiety umierają zbyt młodo, a mężczyźni żyją zbyt długo! Teraz rozumiesz?

Dzielnica prostytutek, szantażystów i aborcjonistów? To dlaczego mój ojciec tam chodził? Jeśli rzeczywiście tak było. I co ważniejsze, dlaczego wtedy pan Douglas też tam był?

Pan Vandermere poprosił mnie do tańca, a potem pan Hamilton. Harry nie wpisał mi się do karnetu, chociaż tańczył walca z Lizzie. Dobrze razem wyglądali. Uzupełniali się. Ona niska blondynka, on wysoki brunet. Może... czy ciotka miała rację? Jeśli chodzi o nich jako parę?

Gdy spacerowałam z ciotką podczas przerwy, poprosiłam ją, żeby zaprowadziła mnie do Katherine. Stała sama. Jedna z korzyści, jakie daje małżeństwo. Kiedy dziewczyna była już na stałe związana z mężczyzną, mogła chodzić sama, gdzie się jej podobało. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzyła na męża. Pił w kącik. Też sam.

- Czy baron... dobrze się czuje?

Spojrzała na mnie.

- Nic mu nie jest. Nie podoba mu się tutaj w mieście. Wydawało mi się, że mi tego brakuje. Więc przyjechał. Ze względu na mnie. Zawdzięczam mu... wszystko.

Z pewnością zauważyła sceptycyzm malujący się na mojej twarzy.

- Naprawdę. Wiem, że może to tak nie wygląda, ale jest dla mnie bardzo dobry. Zwłaszcza w Niemczech, bo nie znam języka.

- Nie mówisz po niemiecku?

- Mój syn mówi. Ale ja nigdy się nie nauczyłam. Próbuję. Mam korepetytora. Jednak nauka języków zawsze szła mi tak opornie. - Wyowiedziała te słowa z niemałym żalem.

- To jak z nim rozmawiasz? Jak go poznałaś?

- Nie mogłam... tu zostać. W Nowym Jorku. Zdecydowano więc, że pojedę do Europy.

- I tam go poznałaś?

- T a k .

To jedno słowo zdawało się wykluczać wszelkie inne pytania. Nie byłoby w dobrym tonie domagać się dalszych informacji, kiedy i tak powiedziała mi tak wiele, więc nie odezwałam się już więcej.

Ona jednak jeszcze nie skończyła.

- Okazało się, że mam coś, czego baron potrzebuje. I to nie jest złe małżeństwo. Tak naprawdę więzy te uwierają dopiero wtedy, kiedy wracam do domu. Kiedy widzę to, co straciłam. - Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie patrzy na mnie. Rozmawiając ze mną, patrzyła ponad moim ramieniem na drugi koniec pokoju.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, co zwróciło jej uwagę.

Był to pan Douglas.

W tym momencie pojawiła się Lizzie w towarzystwie Franklina. Franklin zostawił ją z nami, a sam poszedł po napoje. Lizzie przywitała się z Katherine, a potem nachyliła się ku mnie.

- Byłam na wspaniałym spacerze z Franklinem.

- Wczoraj?

- Tak, wczoraj. Ale... skąd wiedziałaś?

- Poszedł do ciebie ode mnie. Wtorek to mój dzień przyjeść.

- Nie znoszę tego obowiązku bycia w domu. - Lizzie skrzywiła się ze współczuciem.

- Dokąd poszliście?

- Z Franklinem? Do Central Parku. Z mamą. Kupił mi jadalne kasztany. I obiecał zabrać mnie na łyżwy w piątek!

- Naprawdę? - Cieszyłam się, że to nie mnie zaprosił. Nie umiałam jeździć na łyżwach.

- Tak! Czekaając na to, nie będę mogła spać. Mam absolutnie olśniewający strój do jazdy na łyżwach. Różowy, obszuty futerkiem. Z przeuroczym kapelusikiem. Wiesz, jak ja uwielbiam kapelusze!

- Umiesz jeździć na łyżwach?

- Oczywiście. To znaczy... daję sobie radę, ale nie na tyle dobrze, żebym od czasu do czasu nie musiała się przytrzymać jego ramienia.

Wyglądało, jakby... mrugnęła?

Następnego dnia rano pod naszymi drzwiami pojawił się posłaniec. Kamerdyner przyniósł nam dostarczoną przez niego wiadomość. Ciotka wyciągnęła zaproszenie w stronę światła i przeczytała.

Pan Harold De Vries byłby zaszczycony, mogąc towarzyszyć pani Klarze Carter na ślizgawce w Central Parku w piątek po południu, **12** lutego, o godzinie trzeciej.

Posłaniec zaczeka na odpowiedź.

- To jutro. Cóż za brak ogłady, żeby zakładać, że nie poczyniłaś już innych planów. Zwłaszcza w trakcie sezonu! Nie. Absolutnie nie.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Powiedziała te słowa tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ale właśnie wtedy Lizzie ma iść na łyżwy z Fr... starszym panem De Vrieselem.

- Doprawdy? A ty skąd o tym wiesz?

- Słyszałam, jak powiedziała... komuś. Innemu. Komuś innemu.

Ciotka spojrzała na kamerdynera. Popatrzyła na mnie. Zaciśnęła usta w wąską, budzącą postrach linię.

- Dobrze. Możesz iść. Napisz odpowiedź.

Podeszłam do biurka i znalazłam bilet. Wzięłam do ręki pióro.

Panna Carter z wielką przyjemnością przyjmuje uprzejme zaproszenie pana De Vriesa na ślizgawkę w piątek po południu, **12** lutego, o godzinie trzeciej.

Ciotka stała za moimi plecami, gdy to pisałam, i gdy tylko zakleiłam kopertę, podała ją kamerdynerowi.



Dopiero wtedy odważyłam się powiedzieć o jednym drobnym zastrzeżeniu dotyczącym tego wydarzenia.

- Nie umiem jeździć na łyżwach.

- Ślizg. Odbicie. Ślizg.

Starałam się.

- Ślizg! Odbicie! Ślizg! - Łatwo było ciotce mówić, ale mnie dużo gorzej wykonać.

Odepchnęłam się trochę zbyt energicznie. Moja druga stopa zachwiała się i nagle znalazłam się w pozycji siedzącej napodłodze.

Najmłodsza z pokojówek, widząc moje niepowodzenie, zachichotała. Nie miałam jej tego ani trochę za złe.

Lokaj wyciągnął rękę i chwycił moją, gdy ostrożnie gramoliłam się z powrotem na nogi.

- Jeszcze raz.

- Czy nie byłoby lepiej uczyć się na lodowisku? Z instruktorem?

- I jednocześnie przyznać się do takiego braku w twoim wykształceniu?

Najwyraźniej nie. Westchnęłam. Zebrałam się na odwagę. I ponownie odepchnęłam się na nadmiernie wywoskowanej podłodze salonu.

Ślizgać się potrafiłam nie najgorzej. To z odbiciem najwyraźniej miałam problem. No i trudno mi było utrzymać się na nogach, mając ostrza łyżew owinięte szmatami. Chociaż pewnie nie trudniej, niż gdyby były nieowinięte. Gdybym była naprawdę na lodzie.

- Odbicie.

Starałam się, ale noga znowu mi odjechała.

- Odbij się!

Ponownie zwałam się na podłogę. Tym razem przez mój upadek zachybił się wazon.

Lokaj wyciągnął rękę, żeby go przytrzymać.

Drzwi do gabinetu ojca otworzyły się gwałtownie.

- Nie mogę myśleć przy tym całym huku i łoskocie.

- Uważaj! - zawołałyśmy z ciotką jednym głosem.

Jednak ojciec wszedł już do salonu i nogi mu się rozjechały. Gdy upadł na podłogę, wazon zachwiało się i dołączył do niego, rozbijając się na kawałeczki.

Och!

Odepchnęłam się do przodu i uratowałam kwiaty ze szczątków wazonu.

Potrzeba było aż dwóch mężczyzn, żeby postawić ojca na nogi.

- Co to wszystko ma znaczyć?

- Klara została zaproszona na ślizgawkę.

- I ?

- Nie umiem jeździć na łyżwach. - Zacerwieniłam się.

- No i?

- Lokaj próbuje mnie nauczyć.

- No cóż, nie wygląda, żeby mu się to udawało! - Masując głowę, odwrócił się i wszedł z powrotem do gabinetu, zatraskując za sobą drzwi.

Ciotka pokręciła głową.

- Doprawdy, Klaro. Musisz się skoncentrować. To nie takie trudne.

- To nie takie trudne.

Spojrzałam na Harry'ego wzrokiem, w którym zapewne wyczytał podejrzliwość.

- Naprawdę. Popatrz tylko na Lizzie.

Już patrzyłam. I żałowałam, że swojego podziwu dla niej nie zachował dla siebie. Moje siedzenie nadal piekło po tych wszystkich upadkach podczas ćwiczeń. I bez wiedzy ciotki przytwardziłam do niego, pod krynoliną, małą poduszkę.

- Daj mi rękę. - Harry wyciągnął do mnie swoją.

Nie byłam całkiem pewna, czy powinnam ją ująć. Czyż to nie ja miałam prosić o pomoc? Albo może... czyż ja, jako kobieta, nie powinnam poczekać, aż pomoc zostanie mi zaproponowana? Odważyłam się postawić jedną, uzbrojoną w łyżwę, stopę na lodzie i decyzja została podjęta za mnie. Chwyciłam kurczowo rękę Harry'ego, gdy moje nogi rozjechały się w dwóch różnych kierunkach. W dwóch całkowicie różnych kierunkach. Zaczęłam się chwiać jak młode drzewko, wolną ręką szukając dodatkowego oparcia.

Wtedy ręka Harry'ego objęła mnie delikatnie w pasie, a gdy poddałam się jego sile, popchnął nas do przodu. W ślizg.

A ja potrafiłam się ślizgać.

I udało się!

Ale potem znowu się odbił.

- Przestań tak bardzo się starać. Pozwól, że ja będę nas popychał. - Puścił moją rękę i ujął drugą. - Widzisz? Wygląda, jakbyśmy tańczyli.

Powinien był powiedzieć, że wygląda, jakbym wiedziała, co robię. Jeżdżenie dookoła stawu, gdy czułam na policzku miętowy oddech Harry'ego, nie było wcale takie najgorsze.

Okrążyliśmy zewnętrzny obwód stawu raz. Dwa razy. Trzy razy.

Wtedy moje kostki zaczynały już odczuwać zmęczenie. Spojrzałam w kierunku brzegu i zobaczyłam, że kobieta siedząca obok ciotki macha w naszym kierunku.

- Ktoś tam...

- To Katherine! Podjedźmy do niej.

Gdy podjechaliśmy bliżej, zauważyłam, że Katherine ktoś towarzyszył. Ktoś dużo niższy niż ona.

- Jest z nią Fritz. Nie poznałaś go jeszcze, prawda? To ich jedyne dziecko. Katherine strasznie go rozpieszcza; baron też go uwielbia. W końcu to dziedzic. Dopóki baron nie spotkał Katherine, sądzono, że nie może mieć dzieci.

- Jaki szczęśliwy traf. Musiał być zachwycony.

Dotarliśmy do Katherine i ciotki. Harry podał mi silną dłoń, pomagając zejść z lodu i podejść do ławki. Gdy zbliżyliśmy się, chłopiec spojrzał na mnie brązowymi oczami. Jego spojrzenie było spokojne, szacujące.

Harry nachylił się do mojego ucha.

- Nie mówi za wiele po angielsku.

- Nieprawda! Mówię wiele.

Stłumiłam śmiech, a matka zmierzwiła mu włosy.

Harry kucnął przed nim.

- Chcesz powiedzieć, że mówisz dużo?

- Tak. Wiele. Świetnie.

Harry wyglądał, jakby miał się roześmiać, ale się powstrzymał. Zwrócił się do chłopca.

- Pewnie masz już dość Nowego Jorku.

- Chcę do domu.

- Tak sobie pomyślałem, że następnym razem, kiedy wybiorę się do Europy, możesz mnie zabrać do Tiergarten.

- Zoo. Ze... zwierzętami!

- Tak. Do zoo.

- Niedźwiedzie.

- I lwy. Jak by ci się to podobało?

- Świetnie.

- T a k . Myślę, że byłoby świetnie. Ale to jest jeszcze świetniejsze. - Harry ściągnął chłopca z ławki, posadził go sobie na ramionach i zeskoczył z powrotem na lód. Zaczął zataczać szalone koła, wirując z Fritzem dookoła.

- Harry, przestań! Przestań natychmiast! - Katherine podbiegła do brzegu ślizgawki, żeby ich zawołać. - Harry. Wystarczy!

Wrócili obydwaj ze śmiechem, zdyszani, z zarumienionymi policzkami. Potem Harry znów wyciągnął do mnie rękę.

- Nie. Chyba nie...

- Jeszcze tylko raz.

- Nie mogę...

- Zgódź się. Proszę.

- Idź Klaro. Może podjedziecie do Lizzie? - Kiedy nawet ciotka poparła Harry'ego, jak mogłam odmówić?

Lizzie i Franklin jeździli po drugiej stronie stawu, kręcąc pełne gracji figury na lodzie.

- Nie powinniśmy pojechać prosto do nich? Przez środek stawu?

- Nie. - Harry pociągnął mnie w kierunku brzegu. - Lód zaczyna mięknąć. Mówiłem Franklinowi, że jest już za późno na taką wyprawę, ale powiedział, że nie dba o to. Chciał pójść na łyżwy. Miał plany.

Zauważyłam to już wcześniej, że jak Harry coś stwierdził lub wyraził wobec czegoś przemyślane zastrzeżenie, Franklin albo to ignorował, albo stawiał na swoim. Tak jak teraz. Zabrał Lizzie na sam środek lodu.

Harry zatrzymał się łagodnie i staliśmy przez chwilę, obserwując ich. Było coś urzekającego w sposobie, w jaki poruszali się po lodzie - Lizzie taka pewna siebie i pełna wdzięku, Franklin taki opanowany i układny.

Przez chwilę żałowałam, że nie mogę zamienić się miejscami z Lizzie. Ze nie mogę być taka elegancka i pewna siebie.

Jednak kiedy tak patrzyłam, stopa Lizzie jakby o coś zahaczyła. Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia, a potem padła jak kłoda.

Harry zostawił mnie i popędził na środek stawu do brata. Zanim wrócili, Franklin niosąc Lizzie na rękach, ja dotarłam z powrotem do ławki, a ciotka wezwała nasz powóz. Lecz wiktoria miała tylko dwa miejsca. Ciotka ustaliła, że zajmę miejsce Lizzie w powozie De Vriesów, a potem wsiadła do naszego powozu obok Lizzie, żeby zawieźć ją prosto do ojca.

- Zawieźcie Klarę prosto do domu!

Franklin ukłonił się w odpowiedzi.

Gdy powóz ruszał w drogę, Katherine przygotowywała Fritza do powrotu. A Harry zaczął robić wyrzuty bratu.

- Wiedziałem, że jest już zbyt późno na łyżwy! Mówiłem ci, że lód na środku zaczyna robić się miękki. Nie słyszałeś, jak cię ostrzegałem?

- Nikt cię nie widzi, jak się jeździ tylko wzdłuż brzegu.

- Czemu...

- Cicho! - Katherine odezwała się do braci, jakby byli dziećmi. - Wezwiecie powóz, czy ja mam to zrobić?

Harry poszedł po powóz, a Franklin wygrzebał spod ławki kosz piknikowy i zaczął zaganiać grupę dość egzotycznie wyglądających ludzi, którzy zgromadzili się pod drzewem.

Kiedy to robił, wrócił Harry i przyłączył się do mnie - siedziałam, zdejmując łyżwy.

- Franklin kazał przygotować kosz z tostami i kawiozem. I wynajął Rosjankę, żeby nalewała herbatę z samowaru, a innego Rosjanina, żeby przyszedł z tańczącym niedźwiedziem. - Wskazał głową na wóz, przy którym rzeczywiście zobaczyłam niedźwiedzia na smyczy, chodzącego powoli tam i z powrotem. I matronę z zarostem na podbródku, która pochylała się nad tłącym się ogniskiem.

Słychać było, jak Franklin na nich krzyczy.

Harry tylko pokręcił głową i pomógł nam wsiąść do powozu De Vriesów.

Franklin wkrótce do nas dołączył. - Przepadł mój rosyjski podwieczorek!

- Miejmy nadzieję, że kostka Lizzie nie jest złamana.

- Harry rzucił bratu twarde spojrzenie. - Przez twoją głupotę.

- Zaśpiewajmy coś, dobrze? - Chociaż Katherine się uśmiechała, spojrzenie jej niebieskich oczu mogłoby zamrozić wodę. - Klaro? Masz jakąś ulubioną piosenkę?

- J a . . . cóż... może *Gdzieś ty wyszukał ten kapelusz?*\*

Wyglądało na to, że przyda się odrobina żartobliwości.

*Jak dostał mi się ten kapelusz? To losu jest wyjątek.*

*Gdy dziadek zmarł, zostawił mi pieniądze i majątek.*

*Testament wszak okazał się stanowczym w jednym względzie:*

*Chcesz mieć pieniądze dziadka? Noś jego kapelusz wszędzie!*

*„Gdzieś ty wyszukał ten kapelusz? Takie nakrycie głowy!*

*Czyż nie jest modny i szykowny, i wygląd ma szatawy?*

*Jak byśmy także chcieli mieć dokładnie taki sam!*

*Gdzieś ty wyszukał ten kapelusz? Prosimy, powiedz nam!”*

Zanim powóz zatrzymał się przed moim domem, trójka De Vriesów śpiewała piosenkę na głosy, jakby wypadek Lizzie nigdy się nie wydarzył.

Wieczorem mogłam zobaczyć się z Lizzie, ponieważ ojciec wybrał się do niej na kontrolę.

Leżała w łóżku blada jak zjawa.

\* *Where Did You Get That Hat?* - piosenka skomponowana i po raz pierwszy wykonana przez Josepha J. Sullivana w nowojorskim Miner's Eighth Avenue Theatre w 1888 roku. Zyskała olbrzymią popularność i jest śpiewana w USA do tej pory. W XX w. wykonywało ją wielu znanych artystów, m.in. Gene Kelly.

- Zepsułam wszystkim zabawę. Wiedziałaś o podwieczorku?

- Tym z Rosjanami? I tańczącym niedźwiedziem?

- I z kozackimi tancerzami. Tak. - Lizzie powiedziała to tonem zbesztanego małego dziecka.

O Kozakach nie wiedziałam.

- Ale przecież nie zrobiłaś tego celowo. To o *tobie* powinien był pomyśleć Franklin. Nie o sobie.

- Chciał mnie tylko zabawić.

- Jeśli ten pomysł tak bardzo mu się podoba, to może go powtórzyć. W późniejszym terminie. Kiedy będziesz zdrowa.

Twarz jej się rozpromieniła na te słowa.

- Chętnie bym to zobaczyła.

- Wiesz, że Franklin na pewno martwi się tylko o ciebie.

- Tak myślisz?

- Jestem pewna. - Przynajmniej... taką miałam nadzieję. Bo jak by to świadczyło o jego charakterze, gdyby się nie martwił? Pochyliłam się, żeby ucałować ją w policzek.

- Masz rację. A ty idziesz dziś wieczór na bal u Hamiltonów. Żałuję, że mnie tam nie będzie.

- Ale... ty... - Wtedy właśnie wypełni pojęłam konsekwencje jej kontuzji. Lizzie nie weźmie udziału w tym balu. Ani w żadnym innym. Przez bardzo długi czas.

- Ale co ja pocznę? Bez ciebie?

- Masz chodzić na te wszystkie bale i być niewiarygodnie piękna. Oszałamiająco urocza. I masz zdobyć serce dziedzica De Vriesów.

- Nie - pokręciłam głową.

- Tak. Jeśli nie może oświadczyć się mnie, musi oświadczyć się tobie. - Ujęła w dłonie moją twarz.

- Ale... to tylko skръcenie. Tak powiedział ojciec. Staniesz na nogi za... bardzo szybko! A może nawet szybciej, jeśli



każesz nałożyć dwa razy tyle gipsu i weźmiesz podwójne dawki toniku!

Lizzie pokręciła załośnie głową.

- Ale z pewnością będziesz w stanie... chodzić na przyjęcia! I do opery?

- Nie. - Ujęła w swoje ręce moją dłoń.

- Ale bez ciebie sobie nie poradzę!

Uścisnęła ją.

- Musisz. A potem musisz postarać się ze mną spotkać, tak jak zawsze. I opowiedzieć mi wszystko, co robiłaś. - Opa-  
dła z powrotem na poduszkę. Jej oczy straciły blask.

- Tak mi przykro, Lizzie. Tak bardzo mi przykro.

- Mnie też.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w czoło na do widzenia.

Wróciłam z ojcem do domu. Kiedy już odebrano od nas peleryny i kiedy przebraliśmy się do kolacji, spotkaliśmy się ponownie z ciotką w jadalni.

Tego wieczoru ciotka jadła z wielkim zapałem.

- Jaki niewiarygodnie szczęśliwy traf. Ze dziewczyna Barnesów wypadła z rywalizacji!

Szczęśliwy traf? Biedna Lizzie. Miałam ochotę zepchnąć ciotkę ze schodów, żeby spróbowała tego „niewiarygodnie szczęśliwego trafu”.

- Tak. Powiedziałem im, że miną przynajmniej dwa tygodnie, zanim będzie mogła obciążyć kostkę. I przynajmniej kilka następnych, zanim będzie mogła tańczyć.

Dwa tygodnie bez Lizzie. Przynajmniej. Przynębiająca i beznadziejnie smutna perspektywa. Wyobraziłam sobie jeden bal po drugim, jedno przyjęcie po drugim, bez nikogo, z kim można by o tym porozmawiać, i bez nikogo, kto by

zapewnił chwilę wytchnienia od Franklina. Żałowałam, że to nie ja skręciłam kostkę zamiast niej. Kiedy otrząsnęłam się z zadumy, stwierdziłam, że ojciec i ciotka wpatrują się we mnie.

- Klaro, to jest twoja szansa. Nie ma na co czekać. Nie ma co się wahać. - Ciotka odłożyła widelec, żeby do mnie przemówić.

Ojciec wypił łyk wina i też się do mnie zwrócił.

- Masz dwa tygodnie, żeby zdobyć dziedzica. Może trochę więcej, jeśli uda mi się namówić Barnesów, żeby nie pozwalali Lizzie wstawać.

Będą próbowali zatrzymać ją w łóżku? Dla mojego dobra? Czyż oni tego nie rozumieją? Bez niej nie byłam w stanie sobie poradzić, w ogóle!

- Musisz działać szybko. A kiedy nadejdzie odpowiednia pora... - Ciotka spojrzała w kierunku ojca.

Kiwnął głową.

- Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, my przystąpimy do działania.

Następnego dnia, kiedy tylko wymyśliłam, jak to zrobić, wymknęłam się z domu do Lizzie. Chociaż ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła, potem opadła na poduszkę nadąsana.

- Z chorobą ci do twarzy. Szkoda, że Franklin nie może cię teraz zobaczyć.

Lizzie zmarszczyła brwi.

- Naprawdę. Zwłaszcza że wkrótce walentynki.

Wyglądała dość tragicznie z rozczochranymi złotymi lokami i pobladłymi policzkami.

- Żałuję, że nie przystoi mi spać cały dzień. Nie pozwalają mi wstawać z łóżka.

Nachyliłam się. Bardzo blisko.

- Naprawdę powinnaś poprosić o konsultację innego lekarza.

- Ale po co? Twój ojciec opatrzył mnie zaraz po wypadku. - Lizzie spojrzała na mnie zdeorientowana.

- Wiem. Ale... tylko że... proszę. Poproś o wizytę innego lekarza. Wrzeszcz i krzycz. Dostań napadu szału. Zrób, co tylko będziesz musiała, tylko proszę... - proszę nie zostawiaj mnie samej! - ...nie poddawaj się bez walki.

- Uważasz... naprawdę uważasz, że mogłabym wrócić? Zanim skończy się sezon?

Przytaknęłam. Dość energicznie.

- To tak zrobię.

Następnego dnia wieczorem, zanim wyszliśmy do czekającego powozu, ciotka ujęła moją dłoń i wręczyła mi bukiet czerwonych róż.

- Na walentynki. Powodzenia.

Najwyraźniej matki wszystkich pozostałych debiutantek wpadły na ten sam pomysł. Wszystkie stałyśmy dookoła sali z czerwonymi różami w dłoniach. Dopóki nie zaczęły się tańce. Wtedy wepchnęliśmy bukiety w ręce naszych przyzwoitek.

Franklin przyszedł dobrze przygotowany do wieczoru. Chodził po sali z czerwoną różą w klapie, pozłacanym łukiem i strzałą w rękach. Gdy mierzył do różnych pańien, te piszczały i udawały, że uciekają, by się ukryć.

W końcu dotarł do mnie, tam gdzie stałam, rozmawiając z Katherine i Harrym.

Franklin przymrużył oko, przykucnął i wymierzył strzałę w Harry'ego.

Harry tylko zmarszczył brwi i odepchnął brata.

Franklin wyprostował się.

- Nie. Działa tylko wtedy, kiedy Kupidyn ma do czynienia z rokującym nadzieję materiałem. I tak nie da się z tego strzelać. - Rzucił łuk na stół i wziął do ręki kieliszek szampana. Upił łyk, rozglądając się po parkiecie. Twarz mu się rozpromieniła. Dotknął mojego ramienia.

- Poczekaj tutaj. Tylko chwilkę.

A gdzie miałabym pójść? Sama? Bez osoby towarzyszącej?

Zgodnie z obietnicą wrócił minutę później. A potem z ukłonem i teatralnym gestem wyciągnął kartkę z kieszeni surduta.

Kartkę walentynkową. Zbyt dużą, lśniącą od klejnotów i kapiącą od pereł. Nie miałam wyjścia, tylko musiałam trzymać ją przed sobą, jak odznakę honorową albo zdobycz wojenną.

Śmiał się, gdy ja rozpływałam się nad nią w zachwytach. Nad obfitością klejnotów i ilością pereł. Potem zabrał mi ją i dał na przechowanie Katherine, proponując mi wyjście na zewnątrz. Żeby zaczerpnąć powietrza.

My dwoje? Sami? Tracono reputację za mniejsze przewinienia. Odmówiłam, zostając z Katherine na sali.

- Więc dał ci ją. - Katherine oglądnęła kartkę. - Wiesz, wydał na nie ponad sto dolarów.

- Na nie?

- Na każdą z nich. Zamówił jedną także dla Lizzie.

Domyśliłam się po tonie jej głosu, że uważa to za marnotrawstwo. Ja też tak uważałam.

- N i e mogę jej przyjąć.

Jej oczy złagodniały, gdy spojrzała na mnie znad kartki.

- A czemuż by nie? Jakie to w gruncie rzeczy ma znaczenie, oprócz tego, że jakiś niemądry rozrzutnik zapłacił za pretensjonalny przejaw swoich uczuć więcej, niż powinien?

- Ale sto dolarów!

- Wybacz mi, nie powinnam nic mówić.

Bez Lizzie wieczory wydawały się takie długie, gdy musiałam radzić sobie z Franklinem sama. Bogu dzięki, że przypomniałam sobie jej radę. Kiedy wszystko inne zawodziło, pytałam go o niego samego. Zdawał się mieć na wszystko gotowe odpowiedzi. Gadał i gadał, i gadał.

- Słynna i fetowana panna Carter. - Zakręcił mną w walcu. - Dobrze ze mną wyglądasz. Dodajesz mi pewnej elegancji. I wdzięku.

Może jednak czytywał gazety.

Tańczyłam jeszcze z panem Lorillardem, panem Hamiltonem i panem Vandermere.

I z Harrym.

Gdy pojawił się, by poprosić mnie do swego tańca, wyciągnął z kieszeni mały bukietik bratków. Płatki były zgniecione, a łodyżki połamane, ale były urocze w swej prostocie.

- Francuzi nazywają je *pensées*. Czyli myśli.
- A zatem dziękuję ci, że o mnie myślałeś. To moje ulubione kwiatki.

Policzki zarumieniły mu się z niewiadomego powodu.

- Te n fioletowawoniebieski... jest prawie taki sam jak kolor twoich oczu.

Teraz ja się zaczerwieniłam.

Pomimo gwaru słychać było wyraźnie, że orkiestra stroi instrumenty. Ten taniec miał być punktem kulminacyjnym wieczoru. Kotylion, do którego wszyscy się wcześniej przygotowywali. Harry podał mi rękę.

Ujęłam ją i bukiet znalazł się pomiędzy naszymi dłońmi.

Po skończonym tańcu uczestnikom wręczono drobne upominki. Błyszczące serce z kryształu dziewczętom. I lśniąca srebrną piersiówkę mężczyznom.

Po kotylionie było już tylko kilka tańców. Pod koniec balu, gdy wszyscy rzucili się do szatni, zapomniałam odebrać kartkę od Katherine. Ona jednak dogoniła mnie w tłumie i oddała mi ją. Tego wieczoru wyszłam więc, trzymając w dłoniach studolarową kartkę, kryształowe serce i więdnący bukiet kwiatków.

Kiedy zaszyłam się w swoim pokoju, włożyłam kartkę do szuflady w biurku. Byłam wyczerpana. Franklin, Franklin i jeszcze raz Franklin. Ciotka była uszczęśliwiona, ojciec zadowolony. Ja byłam nieszczęśliwa. A kiedy pomyślałam o przyszłych latach całkowitego, nieustannego obcowania z Franklinem, miałam ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Rzuciłam kryształowe serce na komodę, a potem wzięłam przywędnięty bukiet bratków i włożyłam kwiatki między strony mojego Byrona.

W poniedziałek rano przy śniadaniu ojciec był pochłonięty lekturą gazety. Nie odzywał się, dopóki nie wychynał zza gazetowej płachty czerwony na twarzy. - On postanowił stanąć do walki z Tammany Hall!

Ciotka drgnęła, upuszczając swoją grzanekę.

- Kto? Co?

- Ten wielbny głupiec z Madison Square Presbyterian. Wygłosił całe kazanie na temat korupcji i polityki. A jakiś reporter musiał tam pojechać i wszystko to spisać. Jakby nikt w ogóle nie wiedział, jak funkcjonuje to miasto! Dajesz niewiele, żeby dostać... całkiem dużo.

- Proszę, bracie. Nie przy stole.

- Nie przy stole? To się skończy w naszym własnym salonie, jak tak dalej pójdzie. On zniszczy zupełnie dobry system.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie odezwać. Kiedy tyle rozmawiałam z panem Douglasem na temat Tammany Hall.

- Ale jeśli jest oparty na korupcji...? Czyż nie przed tym chronią nas politycy?

Ojciec upuścił gazetę na podłogę, a potem oparł ręce na stole i pochylił się do przodu. Kiedy przemówił, sprawiał wrażenie, jakby mówił do małego dziecka.

- Oto jak to działa. Wszystko w tym mieście załatwia się za pośrednictwem Tammany Hall. Chcesz zbudować fabrykę? Albo pociągnąć linię gazową? Możesz czekać w kolejce na zezwolenie z ratusza albo po prostu pójść do Tammany Hall, pogadać z paroma ludźmi i sprawa jest załatwiona, zanim ci to zezwolenie wydadzą.

Brzmiało to nieszkodliwie... gdybym nie znała faktów.

- *Pogadać* z paroma ludźmi?

- I wyłożyć trochę pieniędzy. Ale w ostatecznym rozrachunku czyż nie warto?

- Warto zapłacić za zezwolenie, które i tak by się od miasta dostało?

- A, ale na tym polega sztuka. Możesz tego pozwolenia nie dostać. Jeśli najpierw nie dotrzesz do Tammany Hall - uśmiechnął się ojciec.

- A więc... trzeba płacić? Za coś, co miasto i tak powinno zrobić?

- Politykę zawsze uprawiano w ten sposób.

To chyba nie było w porządku. Nie znałam się zbyt dobrze na polityce i nie wyglądało na to, żebym miała kiedyś za czymś głosować, ale jednak wydało mi się to dość dalekie od sposobu rozumienia demokracji, który głosiła panna Miller.

- A gdzie twoim zdaniem zdobyłem pracowników do produkcji toniku?

- Do fabryki?

- Poszedłem do Tammany Hall i powiedziałem im, ilu robotników potrzebuję. Następnego dnia pojawili się pod drzwiami. Razem z brygadziwą.

- Ale... skąd pochodzili?

- Czy to ma znaczenie? To imigranci.

Nie miało znaczenia? Gdybym to ja zarządzała fabryką, chciałabym wiedzieć, kogo zatrudniam. Chociaż... widziałam fabrykę ojca tylko raz. Panna Miller wskazała mi ją pewnego dnia, gdy przejeżdżałyśmy obok. Nie wyglądała na rozlewnię, chociaż w gruncie rzeczy nie wiedziałam, jak taka rozlewnia powinna wyglądać. Chyba musiała być bardziej higieniczna w środku niż na zewnątrz.

- Może i zapłaciłem za ten przywilej, ale płacę robotnikom mniej, niż bym płacił w przeciwnym przypadku. Wszyscy zyskują.

Wszyscy oprócz biednych imigrantów.



- Nie jesteś jeszcze gotowa? - Wieczorem następnego dnia ciotka przyszła do mojego pokoju, żeby zabrać mnie do opery, a potem na prywatne przyjęcie u Astorów.

- Prawie.

- Co się dzieje? Wyglądasz nie najlepiej.

- N i c .

Ciotka podeszła do mnie. Wzięła moją rękę w swoje dłonie. Ich chłód zdawał się sączyć lód w moje żyły.

- O co chodzi? Możesz mi powiedzieć.

Popatrzyłam jej długo i głęboko w oczy i stwierdziłam, że być może naprawdę mogę.

- Nie wiem, czy będę w stanie znieść Franklina przez resztę życia. Jest absolutnie... nie do wytrzymania. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak uda mi się z nim poradzić. - Nie miałam zamiaru płakać, ale łzy nieproszone przesłoniły mi wzrok.

- O mój Boże! Małżeństwo w niczym nie przypomina sezonu. W małżeństwie będziesz miała całe mnóstwo obowiązków, które odwrócą od niego twoją uwagę. Tylko o nich pomyśl. Będziesz miała swoje dni przyjęć, składanie wizyt i bywanie w klubach. Będziesz musiała odnowić pokoje i kupić meble. Zamówić suknie i zaplanować przyjęcia. Pojechać do Newport latem i do Europy jesienią.

Europa. Może nawet Włochy.

Jednak Europa wydała mi się zbyt małą nagrodą za małżeństwo z Franklinem. Nie chodziło o to, że był niedobrym człowiekiem. Albo nawet naprawdę wrednym typem. Był tylko tak... nie taki jak... Harry.

Ciotka położyła chłodną dłoń na moim policzku.

- Za dużo myślisz. Za bardzo się martwisz. Małżeństwo nie ma być rajem. To instytucja. Która jest ci pisana. Nie

poddawaj się takim posępnym myślom. Nie teraz, kiedy sezon jeszcze trwa. Teraz jest najlepszy czas. Pracę i rozpamiętywanie zostaw sobie na później.

## 30

Harry zapisał się na dwa tańce. Najpierw był walc. Tańiec z Harrym był dla mnie upragnionym wytchnieniem. Nie musiałam się starać interpretować czy przewidywać jego kroków. Po prostu wydawało się, jakby tańczył w odpowiednim kierunku w odpowiednim czasie, a ja ochoczo podążałam za nim.

- Wydajesz się trochę bledsza niż zazwyczaj.  
- Martwię się o Lizzie.  
- Nic jej nie będzie. To ona powinna martwić się o ciebie.

- Dlaczego?  
- Ja bym się chyba martwił, gdybyś była zdecydowana odbić mi konkurenta.

Westchnęłam. Przynajmniej Harry najwyraźniej zaakceptował już sytuację.

- Żałuję, że jej tu nie ma.  
- Wiesz, że nie będziecie mogły wiecznie się nim dzielić. Nie było potrzeby wyjaśniać, o jakim „nim” mówi Harry.  
- Wiem.  
- Co zrobisz, kiedy będzie musiał dokonać wyboru?  
- Chciałabym...  
- Co? Czego pragniesz?

Uśmiechnęłam się.

- J u ż nic. - Zamierzałam powiedzieć, że chciałabym, żeby Franklin był bardziej podobny do Harry'ego, ale to byłoby głupie. - Jestem dziewczyną, Harry. Nie mam wielkiego wy-

boru. Debiutowałam w tym roku. Muszę wyjść za mąż. Jeśli nie wyjdę, będę jak... kapelusz z zeszłego sezonu.

- A gdybyś nie była dziewczyną? Gdybyś... gdybyś była mną? - Harry szybko zmienił kierunek tańca i poprowadził nas w przeciwną stronę.

- Jeśli ja jestem... tobą... to kim ty jesteś? - Miałam problem z nadążeniem. Zarówno za zmianą kierunku tańca, jak i tematu rozmowy.

- Jestem tobą.

- No to... - To było proste. - Ożeniłabym się ze mną!

- Ożeniłabyś się... ożeniłabyś się ze mną?

- Oczywiście. Nazywałabym cię moją ukochaną. Moją ukochaną Klarą.

Harry zakręcił mną.

- A ja ciebie drogim Harrym. Nie. Nie. Nazywałbym cię *najdroższym* Harrym.

- I moglibyśmy rozmawiać do woli, nawet bez końca, i nie martwić się o składanie wizyt, czy chodzenie na bale, do opery czy na przyjęcia.

Harry prowadził mnie lekko po parkiecie.

- I moglibyśmy pojechać do Europy. Moglibyśmy tam zamieszkać.

- Gdzie?

Harry uniósł brew.

- W Anglii?

Skrzywiłam się.

- We Włoszech?

Kiwnęłam głową.

- A ja... ja kochałbym cię na zawsze, najdroższy Harry.

- Ja ciebie też, moja ukochana Klaro.

Popatrzyliśmy sobie w oczy przez długą chwilę, a potem ja zaczęłam chichotać, on uśmiechać się pod nosem i wkrótce śmialiśmy się obydwój.

Kiedy taniec się skończył i Harry odprowadził mnie z powrotem do ciotki, nadal się śmialiśmy. Tak serdecznie, że miałam problemy z oddychaniem. I to nie z powodu gorsetu. Uratował mnie widok Franklina. Stał oparty o ścianę, gapiąc się na nas. A wyraz jego oczu zdusił całą radość, jaką wcześniej czułam.

Poszłyśmy z ciotką po szklaneczki ponczu. Gdy go piłyśmy, cały ten kłębiący się, trajkoczący tłum zdawał się napierać na mnie, a jego jaskrawa wesołość była nie do zniesienia.

- Myślę, że... - Podałam ciotce swoją szklaneczkę.

- Klaro?

- Potrzebuję tylko trochę... - Odrzucając konwenanse, wyszłam z sali balowej i poszłam w kierunku salonu w poszukiwaniu odrobiny samotności, na kilka krótkich chwil, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Zauważyłam, jak przede mną Harry daje nura w jakąś niszę. Zdjęta ciekawością, podeszłam cichutko, żeby dowiedzieć się, co on takiego robi.

- Jesteś innego zdania? - Wgłosie Franklina słysząc było zaskoczenie. Zdumienie.

- Tak. - Głos Harry'ego był beznamiętny. Poważny.

- Naprawdę?

- Naprawdę. W sumie muszę powiedzieć, że wolę Lizzie Barnes od Klary Carter.

Słowa Harry'ego uderzyły mnie jak cios w żołądek. Stałam tam przez długą chwilę, a potem zaczęłam biec.

Biegłam tak szybko, jak tylko pozwalały mi moje atłasowe pantofelki, dopóki starczyło miejsca. Wylądowałam w końcu w kuchni. Chowając twarz, przepchnęłam się przez zaskoczoną służbę i wyszłam tylnymi drzwiami.

Harry wołał Lizzie ode mnie? Naprawdę?

*Naprawdę. Tak właśnie powiedział. Naprawdę, w sumie.*

Ale...jak Harry mógł... woleć ją ode mnie?

Po drugiej stronie trawnika, przy ogrodowym murze, dał się słyszeć chropawy koci wrzask, który równie dobrze mógłby się wydobywać z głębi mojej własnej duszy. Dołączył do niego kolejny. Raz jeden, raz drugi, w górę i w dół skali, dwa koty wrzeszczały i prychały, aż w końcu ich koncert zakończył się pojedynczym wrzaśnięciem i syczeniem.

Usiadłam na ganku i tkwiłam tam wyczerpana.

Harry wołał Lizzie.

Cóż można było jeszcze powiedzieć?

Jeśli Harry wołał Lizzie ode mnie, to... dobrze. Świetnie! O wiele łatwiej będzie mi wydać się za Franklina. Po co przejmowałam się tak uczuciami Harry'ego? Chociaż chyba mu ich nie brakowało, najwyraźniej żadnym nie darzył mnie.

Dobrze.

Świetnie!

Wrócę do tej sali balowej i będę tańczyła z Franklinem, i jak Bóg da, w przyszłym tygodniu albo w następnym on mi się oświadczy. A ja powiem tak!

*Tak, Franklinie.*

*Tak, Franklinie, oczywiście, że za ciebie wyjdę.*

*Tak, Franklinie, z rozkoszą za ciebie wyjdę.*

*Tak, Franklinie, poślubienie cię było zawsze pragnieniem mojego serca.*

Lecz jeśli takie zawsze było pragnienie mojego serca, to dlaczego płaczę, jakby świat się zawalił?

Jeden z kotów przemknął wzdłuż muru, a drugi wdrapał się na drzewo.

Zdjęłam rękawiczkę, wywinęłam ją na lewą stronę i wytarłam nią łyzy. Była dużo bardziej miękka, dużo przyjemniejsza niż moja niepraktyczna koronkowa chusteczka do nosa. Wzięłam urywany oddech. Potem drugi. Wywróciłam rękawiczkę z powrotem na prawą stronę i podniosłam się na nogi.

Sprawdziłam przód sukni i otrzepałam tył. Upewniłam się, że biust jest na swoim miejscu. A potem weszłam po schodach z powrotem do domu.

Wyjęłam ołówek z torebki i wykreśliłam nazwisko Harry'ego z mojego karnetu.

Wracając do ciotki, znalazłam pana Lorillarda i klepnęłam go w ramię.

- Wygląda na to, że mój partner do pierwszego tańca po przerwie nie będzie mi towarzyszył. Chciałby pan zająć jego miejsce?

- Oczywiście. - Ukłonił się.

Podałam mu karnet. - Tutaj. Chodzi o lansjera.

- Dziękuję.

Gdy zaczęła grać muzyka, postarałam się, znaleźć u boku pana Lorillarda. Wziął mnie za rękę, żeby rozpocząć taniec.

Harry nas powstrzymał.

- To jest mój taniec.

- Panna Carter powiedziała...

- Przepraszam, Harry. Myślałam, że już poszedłeś.

- Poszedłem? Ależ byłem tutaj cały wieczór.

- Pomyliłam się. Przykro mi. - Pociągnęłam pana Lorillarda za rękę, odwróciłam się do Harry'ego tyłem i nie spojrzałam na niego przez resztę wieczoru.

Kiedy Franklin przyszedł po mnie do ostatniego walca, nie omieszkałam zamknąć oczu i nachylić się ku jego piersi, tak jak lubił. Tylko że tego wieczoru nachyliłam się szczególnie blisko.

I poczułam, jak jego ręka przesuwana się niepostrzeżenie w górę po moim boku.

Gdy taniec się skończył, pochylił się blisko, by wyszeptać mi coś do ucha. Jego oddech mnie łaskotał.

- Jesteś kochana!

Tej nocy, gdy leżałam w łóżku, myśli nie dawały mi spokoju. A pamięć nie kłamała. Powtarzała, z najdrobniejszymi szczegółami, podsłuchaną rozmowę.

Czy Harry po prostu... udawał? Udawał, że coś do mnie czuje? A jeśli tak, to po co? Żeby mógł być w bliskim kontakcie z Lizzie? Gdyż tam, gdzie byłam ja, ona też zawsze była w pobliżu. Jednak z pewnością wiedział, że jej rodzice nigdy nie pozwolą mu jej poślubić. Tak jak na pewno wiedział, że mój ojciec nie pozwoliłby mu ożenić się ze mną.

Szczerze mówiąc, cóż on mógł widzieć w Lizzie?

Włosy, które lśniły jak złoto?

Śmiech, który dźwięczał jak dzwoneczek?

Oczy, które błyszczały jak szafiry?

Dlaczegoż by nie miał się zakochać w Lizzie? Czyż ktokolwiek mógłby nie zakochać się w Lizzie?



Następnego dnia wieczorem było przedstawienie w teatrze rewiowym. Podczas antraktu Katherine wyłuskała mnie z tłumu. Jej niebieskie oczy były poszarzałe z niepokoju.

- Czy coś poszło nie tak?

- Z czym?

- Z tobą? I Harrym?

Starałam się, żeby mój głos zabrzmiał beznamiętnie.

- Nie mam pojęcia.

- J e s t taki przybity. Jakby stracił chęć do życia.

Oczywiście, że tak.

- Tęskni za Lizzie.

Katherine potrząsnęła głową tak gwałtownie, że ozdobie w jej włosach groziło wypadnięcie.

- Harry jest moim ulubionym bratem i nie chcę widzieć go tak przygnębionego. Powiedz mi, pokłóciliście się o coś?

- Nic między nami nie zaszło.

- Nic? Jesteś pewna? Bo chciałabym, żebyś za niego wyszła. Franklin tylko się tobą pobawi, jak jakaś lśniąca nową zabawką, a potem, kiedy przeminie urok nowości, poszuka sobie kogoś innego. Nie jest wart tych pieniędzy.

Otworzyłam buzię ze zdumienia.

- Zszokowana?

- J a . . .

- Natomiast Harry jest nieoceniony. Tylko że nie ma majątku. W porównaniu do Franklina, chociaż tato dopilnuje, żeby mu nigdy niczego nie brakowało.

Jej słowa zabrzmiały tak, jakbym była jakąś łowczynią fortun. Ale czyż nią nie byłam? Czyż nie obrałam sobie za cel tylko najlepszego i najbogatszego z kawalerów? Czyż nie kazano mi go zdobyć? Za wszelką cenę?

- Niezbyt długo obracasz się w naszych kręgach. I może najlepiej by było, gdybyś tu za długo nie zabawiła. Ci, którzy tańczą zbyt blisko ognia, zawsze się poparzą. - W jej słowach zabrzmiał wielki smutek.

- Ty chyba przeżyłaś bez poparzeń. - Spróbowałam się uśmiechnąć, żeby dodać jej otuchy.

- Pozory mylą.

- Ale wyszłaś za męża. Za barona.

- T a k .

Spojrzałyśmy w jego kierunku. Podniósł kieliszek szampana do ust i wychylił jednym haustem.

- Nie jesteś szczęśliwa.

- Za szczęście trzeba by było zapłacić zbyt wielką cenę.

Gdy tak patrzyłyśmy, pan Douglas podszedł do barona i zaczął z nim rozmawiać. Niemiec musiał zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Nie powinnam tu wracać.

- Cieszę się, że wróciłaś. - Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jej ramienia.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się naprawdę ciepło.

- Dziękuję. To najmiłszy komplement, jaki dziś wieczór usłyszałam. - Przerwała i położyła swoją odzianą w rękawiczkę dłoń na mojej. - Pamiętaj, Klaro. Nie wszystkie wybory są tak straszne, jak sobie wyobrażamy. Kiedy musisz wybierać, idź za głosem serca.

- Moje pragnienia się nie liczą.

- Może powinny. - Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. A potem poszła do męża, chociaż dopiero wtedy, kiedy pana Douglasa już tam nie było.

Prywatny bal następnego wieczoru przyniósł niespodziankę - powrót Lizzie na łono towarzystwa.

Jak ja jeszcze kilka dni wcześniej pragnęłam z nią porozmawiać - powiedzieć jej o Harrym, zobaczyć, czy potrafi wymyślić jakiś sposób, żebyśmy byli razem. Ale teraz... teraz Harry ujawnił swoje prawdziwe uczucia. Czy powinnam jej o nich mówić? Ale jak mogłam to zrobić, nie ujawniając przy tym swoich własnych? I czy kiedyś nie powiedziała, że jeśli to Harry'go chciałabyśmy obydwie zdobyć, toby ze mną o niego walczyła? Może odwzajemniała jego uczucia. Może... może już o nich wiedziała.

Jaka byłam głupia. Oczywiście, że wiedziała.

I oczywiście odwzajemniała jego uczucie.

Jakże by nie?

Czyż ciotka nie zauważyła ich związku kilka tygodni temu? A Harry nie zaniedbywał wpisania się do mojego karnetu, chociaż zawsze wpisywał się do karnetu Lizzie? Tak byłam na nią zła, że mi coś zabrała - co tak naprawdę nigdy nie było moje - że odebrało mi mowę, gdy podeszła do mnie od tyłu i wzięła pod ramię. Odwróciłam się i chociaż czułam straszną zazdrość szalejącą w moim sercu, dostrzegłam w jej oczach, że przeżywa katusze.

- Lizzie?

Spojrzała na mnie szklistym wzrokiem, a potem oparła się tak mocno na moim ramieniu, że się prawie zatoczyłam.

- Co się dzieje?

Kropłe potu lśniły na jej górnej wardze.

- Moja kostka. - Uniosła jedną ręką spódnice. Tylko tyle, żebym zobaczyła jej stopę owiniętą bandażem prawie na cztery cale. - Mama powiedziała, że nie mogę dłużej zwlekać. Kazała mi dzisiaj przyjść. A ja mam Franklina wpisać

nego na polkę. Wiesz, jaki on jest pełen energii. Chyba nie dam rady!

Oczywiście, że by nie dała. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, czułam pogardę dla pani Barnes z jej ambicjami za to, że kazała przyjść Lizzie na bal, kiedy ona ewidentnie nie mogła tańczyć.

- Pokaż mi swój karnet.

Machnęła nim w moim kierunku.

Znalazłam imię Franklina, wyjęłam gumkę z torebki i wymazałam je. Zamiast niego wpisałam imię Harry'ego.

A potem poszukałam tego samego tańca na swoim karnecie... Harry - doskonale! Wymazałam imię Harry'ego i wpisałam w to miejsce Franklina.

- Proszę. - Oddałam jej karnet z powrotem. - Zatańcz polkę z Harrym. A ja zatańczę ją z Franklinem.

- Och, dziękuję. - Zmarszczka międzyjej brwiami trochę się wygładziła.

Kiedy przyszedł czas na polkę, Franklin i Harry pojawili się razem. Jednak kiedy Franklin zaczął podawać rękę Lizzie, stanęłam przed nią. I zaczęłam się zachowywać jak ona. I każda inna debiutantka na balu.

Wydełam wargi. Postukałam go wachlarzem w pierś. - Cóż to, zapomniałeś? Obiecałeś polkę mnie!

Przez jedną chwilę na jego twarzy pojawił się nietypowy dla niego wyraz konsternacji. Ale zaraz się z niej otrząsnął. - Zawsze tańczę polkę z Lizzie. I zawsze tańczę z tobą walca. - Uśmiechnął się.

- I właśnie dlatego kazałam ci obiecać, że zostawisz jedną polkę dla mnie. Dziś wieczór. - Zdjęłam karnet z nadgarstka i podsunęłam mu, żeby zobaczyć.

- Polka. Pan Franklin De Vries.

- Mój błąd. - Ukłonił się. Podał mi ramię.

Gdy prowadził mnie na parkiet, obejrzałam się i zobaczyłam, że Harry stoi obok Lizzie, patrząc na mnie z bez-

granicznym zdumieniem. Jednak wkrótce zabrał Lizzie i podążył za nami.

Nie domyśliłabym się, że jej kostka jest obandażowana, gdybym nie widziała na własne oczy. Podskakiwała i galopowała po parkiecie bezjednego potknięcia. I chyba tylko ja widziałam, jak straciła przytomność.

Na twarzy Harry'ego przez chwilę odmalowało się zdziwienie, ale potem chwycił ją mocno i błyskawicznie zabrał do jakiegoś niszy. Zrobił to tak szybko, że wyglądało, jakby nadal tańczyli.

Wysunęłam się z ramion Franklina, żeby do nich dołączyć.

- Co...?

- Lizzie zemdłała!

- Nic teraz na to nie poradzimy, więc skończmy taniec.

Widziałam, jak Lizzie wraca po kilku minutach, opierając się mocno na ramieniu Harry'ego. On patrzył na nią z uwielbieniem. Zauważyłam, że wyciągnął rękę, by poklepać ją po dłoni. I cały czas patrzył jej w oczy.

Tak. Nie było wątpliwości. Naprawdę wolał Lizzie Barnes ode mnie.

Taniec zakończył się cwałem obok stołu z napojami. Franklin wyciągnął rękę i złapał wysoki kieliszek.

- Szampana?

- T a k . Poproszę. - Bąbelki szczypały mnie w gardło i wiedziałam, że wkrótce pożałuję, iż je wypiałam, ale nie potrafiłam zmusić się, by się tym przejąć.

Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje.

Harry kochał Lizzie. I tak nie miałam szans, by wyjść za niego za mąż. Więc jakie to miało znaczenie?

Wbiegłam do góry po schodach, zdecydowana znaleźć schronienie w swoim pokoju. Jednak kiedy dotarłam do drzwi, nie miałam ochoty tam wejść. Chciałam czegoś innego, czegoś więcej niż myśli, które kłębiły mi się w głowie.

Poszłam dalej korytarzem i pchnięciem otworzyłam drzwi do dawnej sypialni mamy. Zawiasy nawet nie skrzypnęły.

Nadal pachniałajaśminem i lawendą. Wślizgnęłam się do środka i zamknęłam mocno za sobą drzwi. Podeszłam na środek pokoju i... zatrzymałam się.

Po co tu przyszłam?

Co miałam nadzieję znaleźć?

Nie zostało tu nic z tych ostatnich ponurych, posępnych dni. Nie było stęchłego zapachu potu. Ani słodkawego odoru krwi. Nie było jęków i westchnień. No i przede wszystkim nie było wychudzonego ciała schowanego pod pościelą.

Podeszłam na palcach do łóżka i usiadłam na nim. Położyłam głowę na poduszce mamy i zamknęłam oczy. Przypomniał mi się wiersz, jego słowa przypłynęły do mnie szeptane delikatnym głosem mamy. Szeptaliśmy te słowa wraz z nią.

*Lecz gdzież dzień taki, godzina, w której  
Rozkoszy gorycz nie zmaça?  
Każdy szmat świetnej królów purpury  
Żółć zbryzgać musi gryząca\*.*

Powtarzała te wersety wielokrotnie jak refren podczas swych ostatnich godzin. Jednak słuchanie tych powtarzanych w kółko słów nie było tak straszne, jak patrzenie na nią, gdy szarpie za gorset, nalegając, by ją z niego uwolniono. W końcu ojciec podał jej laudanum. Wtedy przestała,

\* **Fragment wiersza George'a Gordona Byrona** „*Wszystko jest marnością*” *mówi kaznodzieja* (*All is vanity, saith the preacher*), **przełożył Adam M-ski (Zofia Trzeszczkowska)** [w: *Byron, Wybór dzieł*, PIW 1986].

choć pod paznokciami miała strzępy koronki i wstążek, które próbowała zedrzeć. Po zaaplikowaniu leku jej rozpaczliwe, gorączkowe ruchy ustały i uspokoiła się. Złożyła ręce na piersi i zaczęła śpiewać.

*Usłyszałem głos Jezusa.  
Rzekł: „Przyjdź do Mnie i odpocznij;  
złóż swą głowę, utrudzony,  
złóż swą głowę na Mejej piersi”.  
Więc przyszedłem —jaki byłem —  
smutny, nędzny i znużony.  
W Nim znalazłem odpoczynek,  
w Nim raduje się ma dusza\*.*

Śpiewała tę pieśń do samego końca. Dopóki mogła śpiewać. Dopóki nie zaśpiewała jej, wydając ostatnie tchnienie.

*Więc przyszedłem - jaki byłem - smutny, nędzny i znużony.*

A gdybym to ja przyszła do Niego, taka jaka jestem? Co by powiedział? I co by powiedziała do mnie mama, gdyby nadal żyła? Czy wiedziałaby, co zrobić ze zdruzgotanym sercem?

*Mamo, jesteś mi potrzebna.*

Otworzyłam oczy i podniosłam się z łóżka. Obeszłam pokój dookoła, zatrzymując wzrok na jej buteleczkach z perfumami, szcótce do włosów i grzebieniu. Przynęłam do twarzy jej lusterko.

Zobaczyłam tylko swoje własne odbicie.

Otwierając szafę, wciągnęłam głęboko zapach lawendy, który nadal się w niej unosił. Wsunęłam się pomiędzy suknie mamy i udrapowałam sobie na ramionach ich rękawy,

\* *I heard the voice* - pieśń z 1846 r. autorstwa szkockiego pastora Horatiusa Bonara.

wtulając się w te wymaginowane objęcia. Wtedy jednak mój but zahaczył o coś twardego, przywracając mnie do rzeczywistości. Wyszłam z szafy, uklękłam przed nią i wsadziłam rękę do środka, żeby sprawdzić, w co uderzyłam.

Jakieś pudło.

Wyciągnęłam je i postawiłam na podłodze.

Wypełniały je różne dziwne... urządzenia. Gumowe pierścienie i miseczki w różnych rozmiarach, każda przytwierdzona do stalowego pręta lub sprężyny. Urządzenia o kształcie maski z zaczepem pośrodku, przymocowane do pręta zakończonego śrubą.

Rozpłatałam je, wyciągając z pudła, i rozłożyłam przed sobą na podłodze. Sięgałam po ostatnie z nich, kiedy usłyszałam, jak za moimi plecami zamykają się drzwi.

Odwróciłam się, gotowa bronić swojego wtargnięcia.

Do pokoju wszedł ojciec i usiadł na łóżku mamy.

- Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy pierwszy raz ją usłyszałem. Śpiewała w kościele. Od razu wiedziałem, że jeśli zechce, może mieć u swoich stóp całe miasto. - Rysy jego przystojnej twarzy zdawały się być czymś poruszone. Smutkiem? Żalem?

- Czy ona tego chciała?

- Przez kilka lat była jedyną osobą, o której pisały gazety. Gościliśmy u Lorillardów i Hamiltonów. Nawet u De Vriesów. Właśnie wtedy oni wszyscy zostali moimi pacjentami. Zdobyłem ich dzięki urokowi i wdzięku twojej matki.

- Co ci się w niej najbardziej podobało?

Odwrócił wzrok od swoich wspomnień i spojrział na mnie z uśmiechem na ustach.

- Sposób, w jaki na mnie patrzyła, kiedy się poznaliśmy, jakbym był jedyną osobą na świecie.

Na mnie też patrzyła w ten sposób. Aż do dnia, kiedy umarła.



- Patrzyła na mnie w ten sposób przed ślubem. Zanim przywiozłem ją do miasta. - Utkwił wzrok w jakimś punkcie ponad moim ramieniem. Zastanawiałam się, kiedy przestała patrzeć w ten sposób. I dlaczego.

- Cierpiała na kobiecą histerię. I wypadanie macicy. - Zakaszłał. Odchrząknął. - Jak my to nazywamy, *prolapsus uteri*. W końcu nie było pessarium, które byłoby w stanie wepchnąć ją z powrotem do środka.

Wypadanie macicy?

Znałam te słowa. Znałam każde z nich osobno. Nie rozumiałam jednak, co znaczyły zestawione razem. Wypadanie macicy.

- Co masz na myśli?

- Nie potrafiłem utrzymać jej w środku.

- Utrzymać...?

- Oczywiście mama współpracowała z gorseciarką... Zapewniłem jej najlepsze usługi, jakie można było kupić za pieniądze.

Gorseciarką?

- Ta kobieta mówiła, że może jej zrobić swego rodzaju konstrukcję. Żeby powstrzymała wypadanie.

Powstrzymała?

- Jednak im ciaśniej mama sznurowała gorset, tym bardziej jej stan się pogarszał. Powinienem być wiedzieć... powinienem był się domyślić... ale... próbowała ich wszystkich. - Wpatrywał się w stertę urządzeń rozłożonych na podłodze.

Zebrałam je i wepchnęłam z powrotem do pudła.

- Każde z nich działało przez jakiś czas. Ale żadne na stałe. A potem rozwinęła się infekcja.

- Mama zmarła na gorączkę.

- Tak. Spowodowaną całkowitym wypadnięciem macicy, która potem została zainfekowana.

- Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc *wypadnięcie*...

- Nie była w stanie utrzymać macicy w środku.
  - Macicy? - Jak macica mogła nie być...? - Ale czy macica nie ma być w środku?
  - M a .
  - Więc kiedy mówisz, że nie była w środku...?
  - Wypadła. Na zewnątrz.
- Macica mamy wypadła na zewnątrz.

Z jej... jej... ciała?

- Tak. Bardzo cierpiała.
- Nie mogłeś jej jakoś pomóc?
- Próbowałem. Próbowałem. - Gestem wskazał pudło.

Pudło z urządzeniami. Z pierścieniami, miseczkami, krążkami w różnych rozmiarach. Od małego do dużego. I nagle zrozumiałam.

- Zamawiałem wszelakiego rodzaju urządzenia podtrzymujące, wszystkie pessaria... próbowałem wszystkiego, co znałem. Mimo to jej wątroba uległa atrofii... a potem, kiedy wywiązała się infekcja...

Zrozumiałam teraz, dlaczego zawsze krzywiła się, kiedy siadałam na skraju łóżka. Zrozumiałam, dlaczego prawie zemdląca w dniu, kiedy potknęłam się, podchodząc, i podparłam na ręce, żeby nie upaść. Teraz zrozumiałam dokładnie, do czego używano tych urządzeń. Żółć podeszła mi do gardła.

- Kazałeś gorseciarce ją leczyć? - Nie potrafiłam już opanować głosu. Wykrzyczałam te słowa histerycznie.
- To wydawało się najlepsze.
- Szarpała gorset. Chciała, żeby ją z niego uwolnić.
- Robiłem, co wiedziałem.

Co wiedział? Nic nie wiedział!

- Nie rozumiesz? To ty ją zabiłeś! Powiedziałeś jej, że musi to robić. Żeby była piękna. Dla ciebie! Nie rozumiesz?

Stał tam, patrząc na pessaria, usta poruszały mu się, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Nie miał nic do powiedzenia.

- Nie widziałeś? Dlaczego nie potrafiłeś tego dostrzec? Mama była piękna. Była doskonała.

- To prawda. Uczyniliśmy z niej najpiękniejszą kobietę w mieście.

- Ale ona już przedtem była piękna. To ty ją zniszczyłeś.

- Nic takiego nie...

Podniosłam się z podłogi na kolana. Chciałam wstać, ale przydeptałam sobie suknię. Potknęłam się. Wyciągając ręce, by odzyskać równowagę, wsadziłam je prosto do pudła z pessariami.

Pamiętam, że otworzyłam usta do krzyku. Pamiętam, że poczułam, jak moje palce zaczepiają o stalowe sprężyny i gumowe krążki, a potem pudło zaczęło wirować, miseczki i krążki zlały się w jedno i przed oczami zrobiło mi się ciemno.

Budziłam się powoli, mając wrażenie, jakby moje kończy-ny obciążało coś rozkosznie ciepłego i puszystego. Czułam, jakbym unosiła się w powietrzu owinięta w duży, ciężki koc. Poruszenie czy nawet otworzenie oczu wydawało mi się zbyt wielkim problemem. Leżałam więc sobie, niepewna, gdzie jestem, ale nie zależało mi na tym, żeby się dowiedzieć.

- Podaj jej następną dawkę za trzy godziny.

Gdziekolwiek byłam, nie byłam sama. Głos należał do mojego ojca.

Poczułam dotyk ręki na policzku. Ciepłej ręki. Przesunęła się ku mojej skroni. - I może... może powinnaś pomyśleć o większym gorsecie.

- Większym? - Ten głos należał do ciotki. - Ależ jej talia jest gigantyczna. Nikt jej takiej nie zechce. Takiej, jaka jest teraz. A już z pewnością nie dziedzic De Vriesów. Kiedy ma do wyboru Lizzie Barnes. Zbyt wiele zależy od tego debiutu. A zostało już mniej niż dwa tygodnie w tym sezonie.

Usłyszałam westchnienie ojca. Dłoń cofnęła się, a mnie żal się zrobiło, że nie czuję już jej ciepła. - To przynajmniej nie sznurujcie jej już mocniej. W pewnym momencie nie będę już w stanie jej pomóc. Tak jak jej matce... kiedy jej się pogorszyło... a jeśli tak się stanie, będzie do niczego dla kogokolwiek.

Usłyszałam oddalające się kroki ojca. Otwieranie drzwi. Potem zamknięcie.

Prawie już odpłynęłam do miejsca doskonałego spokoju i zadowolenia, kiedy usłyszałam westchnienie i uświadomiłam sobie, że dobiega skądś obok mnie. Próbowałam odwrócić głowę, ale nie mogłam. Nie zmartwiłam się tym ani nie zaniepokoiłam, tylko zanurzyłam z powrotem w przyjemne opary zapomnienia.

Przespałam resztę nocy. Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, moje kończyny były niespokojne, a ciało tęskniło za jakąś pożyteczną aktywnością. Ciotka pomogła mi usiąść. A potem wstać. Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale potem powoli zawroty uspokoiły się, jak wirujące jesienne liście.

Ciotka kiwnęła na pokojówkę.

Podeszła do mnie gotowa przyciągnąć sznurówki.

- To gorset zabił mamę.

- Tak. - Ciotka spojrzała mi w oczy. - Ale z początku o tym nie wiedzieliśmy. A potem było już za późno.

- T a k i s a m g o r s e t , j a k i k a z a ła ś m i n o s i ć .

- T a k i s a m g o r s e t , j a k i n o s i k a ż d a d o b r z e w y c h o w a n a p a n n a .

- O n m n i e z a b i j a .

- O n c i ę f o r m u j e . W k a ż d y m r a z i e n i e ś c i ą g a m y g o t a k m o c n o , j a k t w o j a m a t k a . A k i e d y z d o b ę d z i e s z d z i e d z i c a , z a m ó w i m y n o w e , w i ę k s z e g o r s e t y .

Kiedy zdobędę dziedzica.

Pokojówka ściągnęła sznurówki. Na chwilę straciłam oddech. Potem, powoli, moje płuca przystosowały się i znowu mogłam oddychać.

Za każdym razem, kiedy chciałam wrócić do tego, co zdarzyło się w pokoju mamy, myśli wyślizgiwały mi się jak węże.

Nie mogłam pogodzić faktów związanych ze śmiercią mamy z przekonaniem wyniesionym z dzieciństwa. Nie potrafiłam się zmusić, żeby zdać sobie sprawę z okropnej, bolesnej choroby, na którą cierpiała. Czy też z faktu, że zawiódł ją mój ojciec, lekarz, człowiek, który powinien być jej pierwszym obrońcą. I że w ten sam sposób postanowił poświęcić też moje własne dobro.

*Lecz gdzież dzień taki, godzina, w której  
Rozkoszy gorycz nie zmqca?  
Każdy szmat świetnej królów purpury  
Żółć zbryzgać musi gryząca.*

Zrozumiałam teraz te słowa. I gdybym jeszcze potrafiła płakać, wiedza ta przyprawiłaby mnie o łzy. Lecz we mnie wezbrała wściekłość na ojca. Jeśli miał udział w śmierci mamy, to co jeszcze uczynił? Kogo jeszcze skrzywdził?

I co robił w The Bowery?

Zapukałam do drzwi gabinetu ojca.

- Proszę.

Przekręciłam gałkę i pchnięciem otworzyłam drzwi.

- Moja droga. Lepiej się czujesz?

Kiwnęłam głową i próbowałam się uśmiechnąć.

- Usiądź. - Wskazał mi krzesło.

Usiadłam.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Nie byłam pewna. I teraz, kiedy byłam w jego gabinecie, siedząc naprzeciwko niego przy biurku, nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam go zapytać prosto z mostu. A może mogłam?

Bębnił palcami po wypolerowanym drewnie biurka.

- Jest taka rubryka towarzyska.
- Tak?
- „The Tattler”.
- Znam ją. - Kiwnął głową. Raz.
- Był tam taki artykuł... tak naprawdę nie artykuł, ale wspomniano tam, że dobrze znasz The Bowery.
- The Bowery.
- Wydaje mi się, że pisano o „wnętrzościach The Bowery”.
- Wiedziałam, że tak napisali.
- Czemu cię to interesuje?
- Ponieważ wydaje się, że ta rubryka zwykle... się nie myli. A The Bowery jest...
- Podejrzane.

Kiwnęłam głową.

Zacisnął wargi, patrząc na mnie.

- Czy ty... chciałam powiedzieć, ty tam nie chodzisz...?

Pozałowałam tych słów w momencie, w którym je wypowiedziałam. Patrząc na wystudiowaną urodę ojca i szacowne półki wypełnione różnymi tekstami, nie mogłam pojąć, dlaczego w ogóle przyszło mi do głowy, że bywa w takim miejscu.

- Co cię to obchodzi, Klaro? Robię, co mogę, co tylko potrafię wymyślić, żeby zapewnić ci miejsce w towarzystwie. Zagwarantować, że nigdy nie padniesz ofiarą niespodziewanego ubóstwa, które ja musiałem znosić. Czy chcesz powiedzieć, że nie jesteś mi wdzięczna za moje starania?
- Nie! Oczywiście, że nie.
- To dlaczego obchodzą cię moje metody?
- Jeśli to... może... Czy chodzisz do The Bowery, żeby leczyć pacjentów?

Roześmiał się. W jego śmiechu nie było jednak wcale wesołości.

- Mam wystarczająco dużo pacjentów w lepszych dzielnicach. Płacą mi całkiem nieźle i rzadko narzekają. Moja praca nie jest trudna. Połowie moich pacjentów aplikuję laudanum, drugiej połowie alkohol.

- Alkohol?

- To wszystko pijacy. Albo kokainiści.

Kokainiści?

- Jak i m sposobem...?

- Jak myślisz, co jest w moim słynnym toniku?

- Lekarstwo.

Uśmiechnął się do mnie, jakbym była ograniczona na umyśle.

- Tak. Lekarstwo na nerwy. Zrobione na bazie alkoholu. Trzydzieści procent. Każdemu uspokoiłoby nerwy. Miałem szczęście, że natknąłem się na ten przepis. - Spojrzał na sejf w kącie pokoju z wyrazem jakby dumy w oczach. - I trzymam go pod kluczem, żeby go nikt nie skopiował. Chyba że ja na to pozwolę.

- Ale...

- Oni nie są chorzy. Przynajmniej większość z nich. Jeśli tyłk „Toniku dr. Cartera” od czasu do czasu pozwala im się uspokoić i stawić czoło kolejnemu dniu harówki, to czemu mam im żałować?

- Bo to niemoralne!

- Tak. Przypuszczam, że tak. Tragiczne. Ale oni ciągle proszą mnie o więcej. A więcej dla nich znaczy więcej pieniędzy dla mnie.

Wydawał się całkiem niewzruszony.

- Czy o to w tym wszystkim chodzi? O pieniądze?

Roześmiał się.

- Oczywiście, że tak. Zawsze chodzi o pieniądze. We wszystkim chodzi o pieniądze. I nie patrz na mnie tak, jakbyś była tym przerażona. Tylko dzięki mnie i mojej trzeźwo-



ści umysłu otrzymałaś takie wychowanie, jakie otrzymałaś. Panika w siedemdziesiątym trzecim roku na spółkę z De Vriesami pozbawiła mnie rodzinnego majątku. Wszystko, co posiadamy, zawdzięczamy tonikowi... i pacjentom, którzy go piją.

- Zawsze chodzi o pieniądze. - W końcu zaczynałam go rozumieć.

- Tak. I jeśli mam nadzieję je zdobyć, to muszę chodzić tam, gdzie są. The Bowery jest jednym z takich miejsc.

The Bowery. Dzielnica prostytutek, aborcjonistów i szantażystów.

- Ach! Widzę, że cię zszokowałem. Ale każda dobrze wychowana kobieta wie, że najlepiej po prostu się z tym pogodzić i ignorować.

- Pogodzić się i ignorować. - Mój głos brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka.

- Pogodzić się, że wszyscy mężczyźni mają swoje grzeszki, i nauczyć się je ignorować.

- Wszyscy mężczyźni?

- Większość mężczyzn. Musi być jakieś miejsce, gdzie będą mogli porozmawiać o romansach pana Hamiltona, perwersjach pana Vandermere i niestosownych związkach pani Remstell. - Wzruszył ramionami.

- Nie powinnam absolutnie rozmawiać o tak nieprzyjemnych sprawach.

- Oczywiście, że nie.

- Tak mnie uczyła ciocia.

- Zawsze słuchaj tego, co ona mówi. - Skinał głową z aprobatą.

- Ale... jeśli ty... chciałam powiedzieć, że nie wiem, jak rozmawiać o takich sprawach!

- I nie powinnaś wiedzieć. Tak to już jest. Kobiety zgadzają się nie mówić o tym, o czym się nie mówi, a mężczyźni

zgadzą się udawać, że nigdy takich grzechów nie popełniają. Tak to działa w kulturalnym towarzystwie. - Spojrzał na mnie, mrużąc oczy. - Rozczarowałem cię. Siebie też rozczarowałem. Ale jeśli takie jest życie, bierzmy z niego, to co najlepsze. - Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech pozbawiony życia. - To właśnie staram ci się zapewnić. Wszystko, co najlepsze. Jeśli nie ma nic poza tym, to przynajmniej ty będziesz miała to wszystko.

Gdy poznałam prawdę o śmierci mamy i życiu ojca, towarzystwo wydało mi się oszukaństwem. Wirującą, kręcącą się, błyszczącą fasadą. Bez żadnej wartości. Nie całkiem rzeczywistą. Z wyjątkiem Katherine. Ona, moim zdaniem, była prawdziwa. A ja dostrzegałam w niej głęboki smutek, kiedy patrzyła na pana Douglasa. A to zdarzało się często. Jednak, o ile mi było wiadomo, ani razu z sobą nie rozmawiali. Postanowiłam temu zaradzić.

Wieczorem, kiedy Lizzie uwolniła mnie od Franklina, podeszłam do Katherine.

- Musisz koniecznie kogoś poznać. Bardzo mi pomaga w tym sezonie.

Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

- Oczywiście. Będzie mi bardzo miło. Zawsze dobrze jest mieć wybawcę.

Jak tylko zobaczyła, do kogo ją zabieram, szarpnęła mnie za rękaw.

-Ale...

Było już jednak za późno. Zdażyłam zwrócić uwagę pana Douglasa.

Odwrócił się. Widząc moją towarzyszkę, ukłonił się szybko.

Katherine zrobiła krok do przodu, w moją stronę. Jednak jej ruchy pozbawione były szybkości i wdzięku.

- Panie Douglas, chciałam pana przedstawić baronowej von Bergholz. Pochodzi z tego miasta.

- Baronowo. - Pochylił głowę.

- Panie Douglas. - Skóra Katherine zrobiła się przezroczysta, a usta sine. - Panna Carter twierdzi, że jest pan jej wielkim przyjacielem w tym sezonie.

- Nie przyjacielem. Tylko obserwatorem. Wszystko, co napisałem, to prawda.

Złapała mnie za rękę, jakby szukała jakiegoś pewnego oparcia.

- Pani? Mogę usłużyć? - Baron wtrącił się do naszej rozmowy, rzucając szybkie spojrzenia to na Katherine, to na pana Douglasa.

- Och, Gerhardt! - Po raz pierwszy, o ile mnie pamięć nie myliła, wypowiedziała jego imię z ulgą i wdzięcznością. Puściła moją rękę i ujęła jego dłoń. - Nie czuję się dobrze.

Baron spojrział na pana Douglasa z niepokojem, a jego niebieskie oczy się zachmurzyły. Potem podał ramię żonie, przykrywając jej dłoń swoją. Odeszli, nie przepraszając.

Pan Douglas obrzucił mnie chłodnym, taksującym spojrzeniem, a potem odwrócił się i odmaszerował, zostawiając mnie całkiem samą. Z poczuciem, że zrobiłam coś strasznie złego.

Później tego samego wieczoru, kiedy, idąc do toalety, przechodziłam obok biblioteki, usłyszałam przypadkiem rozmowę Katherine z panem Douglasem. Zauważyłam ich kątem oka, mijając drzwi. Jednak to gwałtowny ton ich słów kazał mi zwolnić kroku. Stali po drugiej stronie pokoju, przy oknie, w którego szybach odbijał się ogień kominka. On wyciągnął do niej rękę. Ona się przed nią cofnęła.

- Przestań, Charlie.

- Ale...

- Proszę. Przestań. - Cofnęła się o krok. - Dobrze pamiętam, że przez twoją *życzliwość* straciłam wszystko.

Nadal wyciągał rękę, jakby starał się przywabić dzikie zwierzę.

- Nie chciałem...

- Ja też nie. Ale prawda jest taka, że się stało.

Zbliżył się do niej i wziął ją za rękę.

- Gdybyś tylko pozwoliła mi się z sobą spotkać.

- W jakim celu?

- Kate. - W jego głosie słychać było wyrzut. Jego ręka dotknęła jej policzka.

Wzdrygnęła się, a potem zamknęła oczy, wtulając się w jego dłoń.

- Jestem Katherine, baronowa von Bergholz. Przez ciebie się nią stałam. Nie prosz mnie, żebym była dla ciebie kimkolwiek innym. - Ostatnie słowa wypowiedziała ze szlochem, odwracając się do niego tyłem.

Pobiegłam korytarzem, zanim zdołali mnie dostrzec.

Rzeczywiście zrobiłam coś strasznego.

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA  
19 lutego 1892 r.**

**Spośród tych wszystkich kolorowych kwiatów, które zdobiły ten sezon towarzyski, najbardziej załować będziemy panny Klary Carter. Mając na uwadze nadchodzący okres Wielkiego Postu, strach pomyśleć, że będziemy pozbawieni uroków jej wdzięku i elegancji. Możemy mieć tylko nadzieję, że jej plany na przyszłość obejmą pobyt w Newport w sezonie letnim.**

Gdy sezon zbliża się do końca, możemy tylko powiedzieć „krzyżyk na drogę” tym debiutantkom, które sięgają po przysłowiową gwiazdkę z nieba, które flirtują i tańczą na balach, udając, że ich przeciwniczki są przyjaciółkami od serca. Któraż to debiutantka była pewna, że pozbyła się rywalki na resztę sezonu? Ta sama panna, której sny o bogactwie legły w gruzach, kiedy wspomniana rywalka nieoczekiwanie powróciła.

Czytając ten tekst, poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Myślałam, że Tattler zakończył działalność. Myślałam, że nie żyje. Lecz pan Hooper leżał już w grobie, kiedy Lizzie wyzdrowiała po wypadku. Jeśli to nie on był Tattlerem, to kto nim był?

Po śniadaniu wróciłam do swojego pokoju i odszukałam album z wycinkami. Przeczytałam wszystkie artykuły „Tattlera” i próbowałam sobie przypomnieć, kto uczestniczył wraz ze mną w poszczególnych wydarzeniach. Pierwsze, na którym odnotowano moją obecność, była opera. Wszyscy tam byli, więc każda osoba, poczynając od pani Astor, a na ciotce kończąc, była podejrzana. To nic nie pomogło.

Przewróciłam stronę.

Bal u Postów.

Tattler wyraził ogólne niezadowolenie z debiutantek.

Przeczytałam jeszcze raz te słowa.

**Jeśliby którąś zapytać, powiedziałaaby to samo, co wszystkie: robią to, co robią, ponieważ im tak każą. Każdego roku ustawiają się i biorą udział w paradzie sezonu, ponieważ tego się od nich oczekuje. Lecz czy dziewczyna, która flirtuje do upadłego, może naprawdę być niewinna polowania na fortuny najbogatszych obywateli miasta? Czy naiwność idzie w parze z głupotą?**

Chociaż słowa te odnosiły się też do mnie, nie byłam przekonana, że były wymierzone konkretnie we mnie.

Przeszłam do następnego wydarzenia. Bal u Vanderme-reow.

...a na balu u Vandermere'ów szykowały się inne intrygi. Niech obserwator ma się na baczności. Jeśli losy dawnych debiutantek tego pięknego miasta są jakąś wskazówką, to, co jest oczekiwane czy przewidywane, nie zawsze się zdarza. A niejednemu niby wiernemu sercu zdarzało się zbłądzić.

Ach - kobieta o niewiernym sercu. Kolejny szczegół, który mnie nie dotyczył. Więc może... może miałam po prostu skłonność do hysterii, dostrzegając szpiega za każdą palmą i złośliwość w każdym artykule Tattlera. Przeczytałam go dla pewności jeszcze raz. Nie. Nic.

Przewróciłam kolejną kartkę.

Kolacja u Delmonica.

Ach! Tutaj grono było dużo bardziej ograniczone. Prywatne przyjęcie. Franklin i Harry. Lizzie. Pan Porter. Pan Hamilton. I tuzin innych starszych gości.

Przewróciłam stronę.

Wypadek z powozem. Artykuł, w którym „The Tattler” wspomniał o moim ojcu. Uczestników tego wydarzenia było jeszcze mniej niż tych, którzy brali udział w kolacji u Delmonica. Był tam pan Douglas. I Harry.

Która ze ślicznych debiutantek w naszym mieście zboczyła pewnego zimowego popołudnia daleko z Piątej Alei, kiedy spłoszone konie zaciągnęły jej powóz do The Bowery? Dzięki przymilaniu się do tamtejszego elementu oraz pomocy pewnego dżentelmena wszystko skończyło się dobrze. Jednakże nie jest to pierwszy raz, kiedy osoba o jej nazwisku zapuszcza się we wnętrze naszego pięknego miasta.

Powoli, przeglądając kolejne wydarzenia, doszłam do wniosku, że ciągle pojawia się jedno imię. Jedna osoba, która w tym sezonie towarzyszyła mi prawie we wszystkim.

Harry.

Tej nocy poszłam spać w nieutulonym żalu. Harry był jedyną osobą, jaką mógł być Tattler. A to nie miało sensu. Po cóż rodzina De Vriesów stanowczo sprzeciwiałaby się mojemu związkowi z Franklinem, gdyby mogli go po prostu storpedować za pomocą insynuacji i błędnych interpretacji w rubryce „The Tattlera”? Mogli pozwolić, by gazeta załatwiła sprawę za nich. Więc w co oni grali? Ich słowa i działania kłóciły się z sobą. I dlaczego Harry miałby podjąć się takiego zadania? Myślałam... miałam nadzieję, że... mnie lubi.

Przynajmniej trochę.

Może jednak... błędnie wszystko zinterpretowałam? Czyż Lizzie zawsze mi nie wytykała, że to właśnie robię? Teraz było dla mnie całkiem jasne, że Harry mną gardził.



Z ciężkim sercem następnego dnia wieczorem poszłam na bał do Schemerhornów. Na szczęście Harry'ego nigdzie nie było widać.

- Jest przeziębiony i został w domu w łóżku. - Katherine uśmiechnęła się, kiedy mnie zobaczyła, i podczas przerwy podeszła, by mnie cmoknąć na odległość w policzek.

- Kto? - Nie miałam pojęcia, o kim mówi.

- Harry. Jest naprawdę w opłakanym stanie. A i tak prawie musieliśmy go zamknąć na klucz w pokoju, żeby utrzymać go w łóżku.

- O! - Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Przynajmniej tego wieczoru nie będzie miał kto o mnie plotkować.

Pan Hamilton zatańczył ze mną dwa tańce. I dwa z Lizzie. Pan Lorillard flirtował ze mną podczas przerwy. W trakcie tego wszystkiego, pomiędzy koszmarną nudą tańców a monotonią obserwowania tak ekstrawaganckich przejawów bogactwa, postanowiłam napić się szampana.

Czemuż by nie?

Komu by to mogło szkodzić?

A poza tym, cóż więcej można by o mnie powiedzieć ponad to, co już zostało napisane w „The Tattler”?

Opróżniłam kieliszek i oddałam go przechodzącemu kelnerowi. Strasznie zaczęły mnie swędzieć usta. Oczywiście nie mogłam się podrapać, przynajmniej nie dłonią odzianą w rękawiczkę. Ale mogłam posłużyć się wachlarzem. Odwróciwszy się częściowo do ściany, próbowałam podrapać się

otwartym wachlarzem, muskając nim usta, ale nie udało się. Zdołałam jedynie go załamać.

Wygładziłam wachlarz. Odwróciłam się tyłem do tłumów. Przymknęłam wachlarz i spróbowałam jeszcze raz.

Ach, co za ulga!

Zrobiło mi się tak przyjemnie, tak wspaniale, że nawet uśmiechnęłam się wtedy do pana Portera. Tego od wysokiego wzrostu i czerwonego nosa. Zatańczyłam jeszcze kilka tańców, a potem, podczas następnej przerwy, postanowiłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Ledwie zdążyłam oddalić się od ciotki i zanurzyć w chłód nocy, kiedy ktoś mnie zaczepił.

- Kochane stworzenie! - To był pan Porter. Który objął mnie ramionami.

- Proszę... niech pan tego nie robi. Proszę przestać.

- Wszystkie moje modlitwy zostały wysłuchane, kiedy zobaczyłem, jak dała mi pani znak wachlarzem.

- Ja... wachlarzem? Panu?

- Pozwól, że cię pocałuję, kochana moja.

- Nie!

- Nie bądź taka wstydliva. - Wziął mnie za rękę i uśmiechnął się kokieteryjnie.

- Doprawdy, panie Porter! - Próbowałam odepchnąć go drugą ręką.

- O, panna Carter, tutaj pani jest!

Pan Porter przestał nalegać, słysząc głos pana Douglasa. Skorzystałam z okazji, żeby wysunąć się z jego objęć.

- Musiałam zachować się bezmyślnie, używając wachlarza. Przepraszam za nieporozumienie. - Odeszłam, zanim zdołał powiedzieć coś więcej.

Pan Douglas nadal stał w drzwiach, jego sylwetka odciła się na tle świateł sali balowej.

- Dziękuję - wyszeptałam, przechodząc obok niego.

- Mogę prosić o taniec?

- Może ich pan dostać tyle, ile zechce. O ile będzie pan umiał to jakoś wytłumaczyć. - Podałam mu karnet.

Przebiegł go wzrokiem.

- Co za szczęśliwy traf. Widzę, że właśnie zwolnił się taniec. Nie sądzę, żeby pan Porter zgłosił się po swój.

Później wieczorem, o wyznaczonej porze, pan Douglas poprowadził mnie na parkiet.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Pan Porter to głupiec. Nie powinna go była pani zachęcać.

- Nie zachęcałam! - Jak on mógł w ogóle pomyśleć, że tak było?

- Musiała mu pani dać jakiś powód, że miał nadzieję.

- Nie dałam mu żadnego. Podrapałam się tylko po war-dze końcem wachlarza. No i może uśmiechnęłam się potem do niego.

- Nic więcej?

- Nic. - Powiedziałam to z przekonaniem.

- Z pewnością musi pani wiedzieć, jakie znaczenie ma takie zachowanie.

- Ale ja nie okazywałam żadnego uczucia. Ja tylko wy-jawiłam głębokie i gwałtowne pragnienie podrapania się w swędzące miejsce.

- W oparciu o mniejsze pragnienia zbudowano całe dy-nastie. I zaaranżowano małżeństwa. - Uniósł brew.

**„THE TATTLER”**

**21 lutego 1892 r.**

**Któraż to debiutantka podczas balu u Schemerhornów wybrała się, by zaczerpnąć wieczornego powietrza? I z jakim**

**młodym potomkiem miała miłosne interludium? Uważaj, go-  
łąbeczko, bo może się okazać, że twoja reputacja jest nieodwo-  
łalnie zniszczona!**

Co ten Tattler insynuował? Że ja... że ja...byłam jakąś nik-  
czemną kobietą? Ze wszystkich ataków ten był najbardziej  
osobisty. I najbardziej podły. Żeby Harry o czymś takim po-  
myślał, a co dopiero napisał! Mogłabym go już nigdy więcej  
nie zobaczyć. Miałam ochotę zrobić mu afront następnym  
razem, kiedy go zobaczę. I z pewnością będę musiała ostrzec  
przed nim Lizzie.

Rozważałam, jakie bardziej upokarzające, bardziej ohyd-  
ne rzeczy mogę mu zrobić, kiedy przypomniałam sobie, że  
tego wieczoru Harry'ego nie było u Schemerhornów. Ale je-  
śli Tattler nie był Harrym, to...?

W tym momencie do mojego pokoju wpadła ciotka.

- Stało się nieszczęście! - Osunęła się na futrynę drzwi,  
jakby miała zemdleć. - Brat dostał apopleksji. Jest nieprzy-  
tomny.

- Apopleksji?

Kiwnęła głową. Twarz jej pobladła, oczy miała szeroko  
otwarte.

- Gdzie on jest?

Próbowała odpowiedzieć, ale z ust nie wydobył się żaden  
dźwięk.

- Ojczy? - Przepchnęłam się obok ciotki i wybiegłam do  
holu. - Ojczy!

Usłyszałam za swoimi plecami kasznięcie i odwróciwszy  
się, zobaczyłam pokojówkę ciotki. Dygnęła.

- W gabinecie, panienko.

Znalazłam tam ojca osuniętego w fotelu. Z ust ciekła mu  
strużka śliny, znikając w brodzie. Uklękłabym obok niego,  
gdyby pozwolił mi na to gorset.

- Ojcze? - Przenosząc ciężar ciała na palce, byłam w stanie pochylić się wystarczająco nisko, by wziąć go za rękę.

Nie było reakcji, nie było uścisku w odpowiedzi.

Pociągnęłam go za rękę, a on upadł do przodu, pod moje nogi.

Uwięziona w gorsecie, nie mogłam ani powstrzymać go przed zsunięciem się z fotela, ani wepchnąć go na niego z powrotem. Nie mogłam zrobić nic, żeby nie pozwolić mu upaść na podłogę.

- Pomocy. Niech ktoś mi pomoże! - Trzymając ojca za rękę i starając się podciągnąć go na nogi, zauważyłam pokojówkę, czającą się w holu. - Wezwijcie lekarza. Szybko!

Jednak zanim mogła zrobić, co kazałam, pojawiła się ciotka.

- N i e !

Nie?

Błada, ale z powrotem w pełni władz umysłowych, weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Przejęła ode mnie dłoń ojca i opuściła go na podłogę.

- Nie. Nie będziemy nikogo wzywać. Jeśli inni lekarze w mieście dowiedzą się, że jest chory, z pewnością podkradną mu pacjentów.

- Ale... co się stanie, jeśli któryś z jego pacjentów zachoruje? Jeśli ma umówione wizyty? Ktoś inny będzie musiał się nimi zająć.

Grzeczność tego wymagała.

- Musimy wtedy powiedzieć, że wyjechał z miasta w nagłym przypadku.

- A ci pacjenci, którzy będą chcieli zrealizować recepty?

- Ma całą szafę „Toniku dr. Cartera”. Same je zrealizujemy.

-Ale...

- Powiedziałam nie! - Jej oczy pełne były paniki. - On nie chciałby, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Może jeszcze wróci do życia.

Następny dzień spędziłyśmy z ciotką w sypialni ojca, u jego boku. W tym czasie stało się jasne, że ojciec nie może się ruszać. Ani mówić. Nie mógł zrobić nic, tylko się ślinić. I zjadł trochę bulionu, gdy podano mu go ostrożnie łyżką do ust.

Nazajutrz ciotka gestem wywołała mnie z pokoju ojca. Kiedy do niej dołączyłam, rozejrzała się po holu. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos był ściszony.

- Będę szczerą.

Zamknęłam oczy, słysząc jej słowa. Zamierzała powiedzieć to, czemu ja desperacko starałam się zaprzeczyć.

- On już nie wyzdrowieje, prawda?

- Nie o tym mówię. Mój związek z rodziną Stuartów był w stanie tylko uchylić przed tobą drzwi towarzystwa. To rozległa wiedza twojego ojca sprawiła, że te drzwi otworzy się szeroko na twoje powitanie.

- Wiem, że ojciec jest szanowanym lekarzem...

- Nie chodzi o to, ile wiedział; chodzi o to, *kogo* znał. - Ciotka splotła ręce przed sobą i spojrzała na nie. - I jakie tajemnice chcieli zachować.

Tajemnice? Dlaczego mówiła mi o tajemnicach?

- Co masz na myśli?

Podniosła głowę. Spojrzała na mnie ze zniecierpliwieniem. - Nigdy nie zastanawiałaś się, jakim sposobem mój brat utrzymywał taki modny dom? Na Piątej Alei?

- Zbił majątek na toniku. - Oczywiście, że to wiedziałam.

- Tonik był jego najmniejszym atutem. Płacono mu, i to całkiem dobrze, za dochowywanie wszystkich sekretów Nowego Jorku.

- Nie rozumiem, co...

- Jesteś taka naiwna, Klaro? To ta wiedza, te sekrety, zapewniły ci miejsce w towarzystwie!

- Ale...

- To wiedza twojego ojca kupiłaby ci małżeństwo. - Spojrzała na mnie. Wzrokiem, który przeszył mnie na wylot.

- Kupiłaby? - spytałam z przerażeniem, gdyż to właśnie czułam.

- Wszystkie małżeństwa kupuje się w taki czy inny sposób. To nie wstyd.

- Ależ to jest wstyd! To wielki wstyd, gdy on stara się wykorzystać ludzkie... sekrety... dla własnej korzyści. - Jak on mógł!

- I w tym właśnie rzecz. Nie może nic wykorzystać. Już nie.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Jeśli chcesz wyjść dobrze za mąż, jeśli chcesz odzyskać honor rodziny...

- Honor? Ty mówisz o honorze? My go w ogóle nie mamy!

Jednak ciotka mówiła dalej, jakbym jej nie przerwała.

- ...to małżeństwo musi być zaaranżowane w ciągu tego tygodnia. Zanim wyjdzie na jaw, że twój ojciec nigdy nie będzie w stanie wyjawić żadnych tajemnic. Nikomu. Nigdy więcej.

Poczułam dziwne uczucie wolności, gdy opadły ze mnie okowy honoru rodziny. Nie było żadnego honoru; nie było czego bronić. Nie było czego odzyskiwać. Byłam wolna.

- A jeśli nie zechcę...?

- Jeśli nie zechcesz? Jeśli nie zechcesz, to kto, twoim zdaniem, się z tobą ożeni, jeśli wszyscy się dowiedzą? Dla córki sprzedawcy toniku nikt nie będzie miał czasu, nikt nie będzie jej zapraszał, nikt nie będzie z nią tańczył. Jeśli nie wyjdiesz za męża teraz, są duże szanse, że nie wyjdiesz nigdy. Oczywiście, to może nie być takie złe. Słyszałam, że zawsze znajdzie się stanowisko guwernantki czy damy do towarzystwa dla odpowiedniej osoby, która zadowolony się skromnym wynagrodzeniem za wiele trudów i pokojem, jakiego tak naprawdę nigdy nie będzie mogła nazwać własnym.

- Ojciec na pewno zadbał o jakieś zabezpieczenie...

- Tak. Ale zostało zadłużone w nadziei na twój sukces.

Mój sukces? Ale ja żadnego nie odniosłam. Na razie. I skąd wiadomo, czy odniosę?

- Nie wiem, czy Franklin będzie...

- *Musi*. Musi się oświadczyć. Nie masz innych kandydatów.

- Ale... a pan Hamilton? Albo pan Lorillard?

- Nie byli u nas od tygodni. Wszystkich odsyłałam. Ze względu na dziedzica De Vriesów. Bo tak to zaplanowaliśmy. De Vriesowie zaprzepaścili nasz majątek podczas paniki i mieli za to zapłacić. Zamierzaliśmy odzyskać nasz honor poprzez twoje małżeństwo. Teraz nadszedł czas. Nie wolno ci zawieść. - Chwyciła moją dłoń w swoje ręce. - Pan De Vries jest twoją jedyną nadzieją.

- Nie. On nie jest moją jedyną nadzieją. On jest waszą jedyną nadzieją.

- Nie bądź głupia! Bez mężczyzny, bez małżeństwa jesteś niczym. Nie masz majątku. Nie masz konkurentów. Nikogo oprócz niego.

- Ale... on nie... ja nie... - Nie lubiłam go. A jeśli on okazywał mi jakieś względy, to teraz wiedziałam, że były po-



wierzchowne. Bo został do tego zmuszony. Przez mojego własnego ojca.

- O mój Boże. Widzę, że ucierpiała twoja próżność. Ale wiedz jedno: nasza praca byłaby naprawdę trudna, gdybyś była jedną z tych dziewczyn Vandermere'ów z cofniętym podbródkiem lub Sturbridge'ów z kartoflowatym nosem. Twoja uroda dobrze ci się przysłużyła, dziedzicowi chyba naprawdę się podobaś. Ale to wiedza brata zagwarantowała ci... albo zagwarantowałyby ci oświadczyzny. Powinnas być zachwycona.

- Jestem zażenowana! Jak będę mogła spojrzeć mu w oczy, wiedząc, że cały ten sezon to była farsa?

- Z pewnością on zna cię już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nic o tym nie wiedziałas.

- Ale teraz wiem! - A to zmieniło wszystko.

- Jeśli już, to powinno ci ułatwić podbój.

- Ale to nie jest podbój, to zasadzka. Jeśli cokolwiek osiągnęłam, to przez podstęp, a nie dzięki cnocie. - Jak ona mogła oczekiwać ode mnie, że zrealizuję te plany?

- W tych kręgach nie ma nic innego. Uwierz mi - zawierano małżeństwa z dużo gorszych powodów.

- Ale jakiego rodzaju małżeństwa mogę się spodziewać? W tych okolicznościach? Na czym można je będzie oprzeć oprócz sekretów i wymuszenia?

- Przynajmniej będziesz miała coś, czym można zasachować głowę jego rodziny. Ja nie miałam nic. I zobacz, co mi to dało!

- Nie mogę tego zrobić. - Nie potrafiłam.

Jej ostatnie słowo było kategoryczne.

- Musisz.

*Najdroższa Julio,*

*Aranżuje się dla mnie małżeństwo przy pomocy tak podstępnych środków, że nie mogę o tym pisać. Zaczynanie tego świętego związku w tak podły sposób wydaje mi się sprzeczne z wszystkim tym, co dobre i uczciwe w małżeństwie. Ojciec*

Przerwałam, niepewna, co powiedzieć, niepewna, ile powinnam wyjawić. Co mi tylko pokazało, jak dobrze nauczyłam się lekcji. Żeby być tak nieszczerą wobec osoby, którą znałam tak dobrze!

*miał atak apopleksji. Nie może pracować. Nie może się poruszyć. Nie może mówić. Jak widzisz, tylko ja mogę go ocalić. Muszę odnieść sukces w tym, czego mam się podjąć. Nie mam wyboru. Nie wiem, po co do Ciebie piszę. Może tylko po to, żeby wyjaśnić samej sobie, dlaczego muszę zrobić to, co trzeba zrobić. Proszę, nie czuj się zobligowana do reagowania na moje osobiste niedole.*

*Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i jesteś szczęśliwa, a jeśli zdarzy ci się o mnie pomyśleć, mile wspominasz wspólnie spędzony czas.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami*

*Klara Carter*

Gdy pisałam ten list, doszłam do jednego wniosku - nie było innego sposobu. Nie dla mnie.

Kiedyś może walczyłabym o Harry'ego, ale teraz było jasne, że on wybrał Lizzie. Więc dlaczegoż nie miałyby się z nią ożenić? Jedyłą możliwością, jaką miałam, był Franklin. I jak powiedziała ciotka, zostało niewiele czasu. Jeśli nie będę potrafiła skłonić go do oświadczyń w ciągu kilku następnych dni, to wszystko naprawdę będzie stracone.

Udało mi się zapewnić sobie towarzystwo Franklina wieczorem podczas antraktu w teatrze rewiowym. Kilka minut później zobaczyłam, jak z boku zbliża się Lizzie. Normalnie zamieniłabym się teraz z nią miejscami. Jednak, mając w pamięci stan ojca i napomnienie ciotki, udałam, że nie zauważam mojej przyjaciółki.

- Przejdziemy się na drugi koniec holu, Franklinie? Tak tu głośno.

- Jeśli masz ochotę.

- Mam. - Szybko zakreśliłam nim i pociągnęłam w przeciwną stronę niż Lizzie.

Gdy zaczęliśmy iść, zobaczyłam, jak stoi na środku holu sama, z wyrazem urazy w oczach. Biedna Lizzie. Można było się bawić w wymienianie się kawalerami, ale w końcu ktoś musi zdobyć rękę Franklina.

I w końcu tym kimś muszę być ja.

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA  
23 lutego 1892 r.**

Szczególnie olśniewająca była panna Carter w kostiumie z białego wytłaczanego atłasu z ręcznie haftowanymi srebrnymi motylami. Gdy przechadzała się podczas antraktu z panem De Vriesem, dało się słyszeć westchnienie wszystkich serc.

Wydaje się, że szala zwycięstwa w bitwie o jednego z najznamienitszych dziedziców tego miasta przechyliła się zdecydowanie w stronę jednej z naszych młodych debiutantek. Porzuciwszy pozory serdeczności czy przyjaźni, młoda panna zdecydowanie pozbyła się wszelkiej konkurencji. Brawo, moja droga. Jednak trzeba by sobie zadać pytanie - czy wygrała najlepsza?

Zgniotłam po przeczytaniu tę stronę gazety i wrzuciłam ją do ognia.

Czy wygrała najlepsza?

Nie. Ponieważ to Lizzie była najlepsza. Jednak zaufanie, lojalność i przyjaźń nie utrzymywały się zbyt długo w tych kręgach. Jeśli czegoś chciałam, czyż nie musiałam po to sięgnąć? Franklin z pewnością nie sygnalizował, że podjął jakąś decyzję, tak samo Lizzie. Sezon prawie się skończył. Ktoś musiał podjąć decyzję; ktoś musiał coś zrobić.

Tym kimś musiałam być ja.

Nie było nikogo innego, kto mógłby mieć wpływ na moją przyszłość. Jeśli miała nam zaświtać jakaś nadzieja, każdemu z nas, to ja musiałam się o nią postarać.

Poza tym, Franklin przecież nie narzekał. Czyż nie nauczyłam się dawać sobie z nim radę, kiedy Lizzie leżała w łóżku? Kiedy mówił o sobie, co zdarzało się prawie zawsze, jego słowa wkrótce zlewały się wjednostajny szum, a ja mogłam sobie myśleć lub marzyć o czymkolwiek chciałam. Jakie to miało znaczenie, kto mówił? On był zadowolony, że mówi, ja byłam zadowolona, że nie słucham, i obydwójce byliśmy szczęśliwi.

Lub bardzo tego bliscy.

Czy źle się z tym czułam? Z tym, że zdradziłam?

Oczywiście, że tak! Złożyłam obietnicę przyjaciółce.

Ale to była pochojna obietnica, złożona przez naiwną, młodą dziewczynę. Jak można było oczekiwać, że taka obietnica zostanie dotrzymana? Jak Lizzie mogła się spodziewać, że taka obietnica zostanie dochowana? Jeśli miałyby choć trochę rozumu, dawno poderwałyby Franklina. W gruncie rzeczy... czy tego nie zrobiła? Czy to nie ją zaprosił na ślizgawkę? Czy to nie ona pierwsza nie dotrzymała naszego przyrzeczenia?

Podniosłam pudełko z robótkami ręcznymi, znalazłam swoją i zaczęłam wbijać w nią igłę. Wbijanie igły i przeciąganie nici przez płótno zazwyczaj pomagało mi uspokoić nerwy. Tak też stało się i tym razem.

Franklin. Lizzie. Ja.

Trójkąt wytracony z równowagi.

Jednakże Lizzie nie potrzebowała Franklina tak bardzo, jak ja. Był moim jedynym konkurentem. Czyż Lizzie nie miała tuzinów kawalerów, czekających w pogotowiu? Mających nadzieję na jedno słowo lub uśmiech? Jeśli ja zdobyłabym Franklina, Lizzie mogłaby wyjść za Harry'ego. Czyż nie tego właśnie chciała?

Czasami życie było nie fair. Czasami trzeba było brać, co można było dostać. A jeśli nie dotrzymałam obietnicy, czyż już nie zostałam ukarana? Czyż nie miałam spędzić reszty życia u boku Franklina?

Nie byłam w stanie wymyślić gorszej odpłaty.

Wkrótce nadszedł czwartek. Dzień był zimny, ponury, a niebo zwiastowało śnieg. Koło południa zaczęły padać pierwsze płatki. A o trzeciej cały świat był biały. Nie mia-

łam ochoty wychodzić na tę śnieżną burzę tylko po to, by porozmawiać z Lizzie. Gdy wyrzałam przez okno, przyszło mi do głowy, że ta perspektywa prawdopodobnie jej też nie napawa entuzjazmem. Doprawdy, po co miałyby narażać się na zmarznięcie podczas wyprawy przez ogród tylko po to, żeby ze mną porozmawiać?

Nie zrobiłaby tego. Byłam pewna, że nie zrobi.

Zegar wybił wpół do czwartej, a ja nadal siedziałam w fotelu, z robótką w rękę.

Za kwadrans czwarta podeszłam do okna i stałam tam przez chwilę, patrząc w kierunku żywopłotu. Wydawało mi się, że widzę błysk czegoś niebieskiego przy ścianie. Mru-gnęłam powiekami. Kiedy spojrzałam znowu, już go nie było.

Wieczorem miałyśmy pójść do opery, a potem na przyjęcie wydawane przez państwa De Vriesów. Po południu myślałam długo i intensywnie o małżeństwie z Franklinem. Jeśli bym za niego nie wyszła, to co innego mogłabym zrobić? Wyjść za innego młodzieńca? Jakiego? Ciotka pozbyła się wszystkich moich konkurentów. I teraz, pod koniec sezonu, zapewne zdecydowali się na inną pannę. Być może mogłabym stać się taką panną Miller dla jakiejś młodej podopiecznej. Dziewczynki w wieku dziesięciu lub dwunastu lat. Nie miałabym nic przeciwko temu. Ale kto dałby mi referencje? I jakie miałam prawo twierdzić, że potrafiłabym kogokolwiek czegoś nauczyć?

Nie, moja jedyna wartość brała się z mojej pozycji w towarzystwie i jeśli nie będę działać szybko, wszystko to stracę. Ponadto ciotka miała rację. Dawałam Franklinowi wszelkie powody, by sądził, że faworyzuję Harry'ego. Zostało mi tylko

kilka dni, żeby naprawić to wrażenie. Kilka dni, zanim wyjdzie na jaw choroba ojca.

W drodze do De Vriesów postanowiłam poprosić ciotkę o radę.

- Jak i jest najpewniejszy sposób, by skłonić mężczyznę do oświadczeń? Czekałam wystarczająco długo. Chcę się zaręczyć. Z Franklinem.

- Wcale ci się nie dziwię. No cóż. Są pewne rzeczy, których pragnie każdy mężczyzna. Oczywiście nie można mu na nie pozwolić. Nie przed ślubem. Jednak myśl, że je dostanie, mogłaby zdopingować go do oświadczeń. Rozumiesz, co mówię?

Czy rozumiałam? Nie byłam całkiem pewna...

- Tak. Rozumiem.

Byłam zdecydowana, żeby tego wieczoru nie myśleć o Harrym, nawet na niego nie patrzeć. Jeśli moje myśli zbaczały na chwilę z tego kursu, ból był zbyt palący, poczucie straty zbyt wielkie. Taki sam ból musiała nosić w swym sercu Katherine.

Przyjęcie u De Vriesów zaczynało się dopiero po operze. A jeszcze przed nim Vandermere'owie wydawali podwieczorek. Więc nie spodziewałam się, żeby podano kolację wcześniej niż o wpół do dwunastej. W głowie mi się kręciło i to nie z powodu zadania, jakie przed sobą postawiłam. Po prostu nic nie jadłam od śniadania. I kolacji też nie zamierzałam jeść. Nie chciałam ryzykować powtórki z tego, co wydarzyło się u Lizzie. Nie wtedy, kiedy miałam nadzieję się zaręczyć.

Franklin uśmiechnął się, gdy zobaczył, że wchodzę do sali balowej De Vriesów. Mrugnął do mnie, pochylając głowę w kierunku dalszego rogu pokoju.

- Franklin chce ze mną rozmawiać. - Położyłam ciotce rękę na ramieniu.

- To idź, jak najbardziej! Gdzie jest?

- Tam, koło palm. W rogu.

- W takim razie odprowadzę cię do stołu z napojami. Jeśli pójdziesz wtedy do niego wystarczająco szybko, twoja nieobecność nie zostanie zauważona.

Zrobiłyśmy, jak sugerowała ciotka, i wkrótce trzymałam Franklina za rękę, i byłam ciągnięta wzdłuż ciemnego, wąskiego korytarza dla służby. A potem w dół po jeszcze węższych schodach w całkowitej ciemności. Schody skończyły się wcześniej, niż się spodziewałam. Wpadłam na Franklina, a potem poleciałam do przodu, puszczając jego rękę.

- Franklinie?

- Tu jestem.

Odwrócił się do mnie. Zorientowałam się, kiedy chwycił mnie za obie dłonie. I pociągnął dalej do przodu.

- Ale... Franklinie? Tak tu ciemno. Gdzie jesteś?

Pociągnął mnie ostro w lewo, a potem puścił moje ręce. Usłyszałam trzask zapalanej zapałki i rozbłysnął płomień. W tym niewyraźnym świetle zarys jego twarzy na przemian nabierał ostrości i tracił ją.

- Zawsze przychodziłem tutaj, do pokoju mojego służącego, kiedy nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, co robię. Lub zrobiłem.

Migocący płomyk świeczki oświetlił najpierw łóżko i proste krzesło. A potem, w następnym momencie, twarz Franklina. Płomień zabarwił mu na rumiano policzki i rozpalił oczy.

Przygryzłam dolną wargę.

- A robiłem swego czasu wiele rzeczy, chociaż nie z tobą. Wielka szkoda. Bo postanowiłem, że chciałbym poznać cię lepiej. - Usiadł na łóżku i oparł się o ścianę, uśmiechając się do mnie szeroko. - Powiedz coś.



- Przysnam, że nie wiem, co powiedzieć.
- To zrób coś. - Jego oczy! Gdy tak na mnie patrzył, wydawało się, że wie o mnie coś, czego ja nie wiem.
- Zrobić... co?
- Na początek możesz tu podejść.  
Podeszłam do niego, bojąc się... nie wiedziałam czego.
- Usiądź. - Poklepał łóżko obok swego uda.
- Nie mogę. - Łóżko było tak niskie, że wiedziałam, iż nie mam nawet co próbować. Nie w moim gorsecie. I to tak mocno zasznurowanym.
- Z pewnością nie jesteś tak przywiązana do swojej moralności jak te wszystkie dziewczęta. - Westchnął.
- Nie powiedziałam, że nie chcę. Powiedziałam, że nie mogę.
- Nie możesz?
- Nie mogę. Z powodu... - Z powodu gorsetu. Nie mogłam zgiąć się w pasie, a ponieważ był taki długi, trudno mi było zgiąć się w stawach biodrowych. Mogłam tylko stać, zaś usiąść tylko wtedy, gdy krzesło było odpowiednio wysokie i podsunięte pod kolana przez kelnera. Z trudem. Z pewnością Franklin potrafił to zrozumieć bez mojego tłumaczenia. Jaka porządna dziewczyna mówiła o gorsetach i innych zakazanych tematach podczas kulturalnej rozmowy?
- Podniósł się i stanął całkiem blisko mnie.
- Nie możesz. Ale nie powiedziałaś, że nie chcesz. - Jego twarz była teraz skryta w cieniu. Jakoś dużo przyjemniej słuchało się jego głosu, niż patrzyło mu w oczy.
- Tak. Nie powiedziałam.
- Zanim zorientowałam się, co zamierza, Franklin podniósł mnie i wziął w ramiona. Znowu zaczęło mi się kręcić w głowie, ale wtedy usiadł ze mną na materacu. W silnym objęciu jego ramion powoli wracała mi ostrość spojrzenia. Zamknęłam oczy i oparłam się z ulgą o jego ramię.

Musnął nosem mój policzek. Szczecina jego bokobrodów podrapała mnie przyjemnie w szyję.

Zaczął lekko gryźć mnie w ucho.

Odsunęłam głowę, żeby przestała drętwieć mi skóra.

Wykorzystał okazję, żeby pocałować mnie w szyję. Do tej pory całował mnie tylko w policzek. Dość niewinnie. Ten pocałunek taki nie był.

- Franklinie!

- Mógłbym cię schrupać.

- Franklinie, proszę.

- Chcę tylko poczuć twój smak. - Zsunął mi rękaw z ramienia i zaczął składać na nim pocałunki.

Ciarki przeszły mi po plecach, a żołądek ścisnął się ze strachu. *Są pewne rzeczy, których pragnie każdy mężczyzna... myśl, że je dostanie, mogłaby zdopingować go do oświadczyn.*

- Klara czy Lizzie? Lizzie czy Klara? Nie możesz ode mnie wymagać, żebym wybrał jedną z was bez małej próby. Niech cię zobaczę. Niech cię dotknę. - Rozluźnił uścisk w pasie, ale, namacawszy dłońią moją rękawiczkę, zaczął mi ją zsuwać z ręki.

Ciarki przebiegły mi po skórze, gdy obnażone ciało napotkało powietrze.

- Doprawdy, Franklinie...

Ściągnął rękawiczkę ostatnim, szybkim pociągnięciem i uwolnił moje palce.

Przycisnęłam je do policzka Franklina, starając się delikatnie odwrócić jego głowę.

On jednak chwycił je swoją dłońią i splótł moje palce ze swoimi.

- Przestań! Muszę ci coś powiedzieć! - Moje własne słowa mnie zaskoczyły.

- O co chodzi? Proszę, powiedz mi coś, co chciałbym usłyszeć. Coś, co jest warte tej przerwy.

- Powiedziałam coś... rozpuściłam plotkę na twój temat. Ja i... - Nie. Nie będę obciążać Lizzie moją zbrodnią.

- A jakaż to była plotka?

- Powiedziałam wszystkim... no, kilku osobom, a one wszystkim pozostałym, ale to i tak moja wina, bo wiedziałam, że to zrobią. Liczyłam na to.

Franklin obserwował mnie z uniesionymi brwiami.

Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Poczułam, że Franklin znowu zaczyna całować mnie w szyję. - Powiedziałam im, że jesteś bezpłodny.

Przestał mnie całować. Lecz od razu zaczął się śmiać.

- Przestań. Czemu się śmiejesz?

- Powiedziałaś im, że jestem bezpłodny? Dlaczego?

- Ponieważ... ja... chciałam mieć cię dla siebie. - Kłamstwa! Znowu!

- Naprawdę? - Powiedział to tak, jakby to było epokowe odkrycie. - Chciałaś mieć mnie dla siebie.

Kiwnęłam głową. Ale tylko dlatego, że kręcenie głową przyprawiało mnie o zawroty.

- To możesz mnie mieć. - Pochylił się nad sutymi fałdami i plisami mojej sukni i pocałował mnie prosto w usta.

- Ale... nie jesteś zły?

Pocałował mnie jeszcze raz.

- Zły? Wszystko zależy od powodu. - Ujął w dłonie moją twarz i pocałował mnie w nos. - Nie mogłem pojąć, dlaczego nagle wszystkie dziewczęta zaczęły mnie unikać. A to była twoja sprawka. Skłamałaś, żeby mieć mnie tylko dla siebie. Nie myślałem, że jesteś do tego zdolna.

- Do czego?

- Do takiej sprytniej przebiegłości. I oszustwa. - Zsunął dłonie po moich obnażonych ramionach i wziął mnie za rękę. - Ktoś, gdzieś, wkrótce zorientuje się, że cię nie ma. Więc... co powiesz...?

*Franklin De Vries jest twoją jedyną nadzieją. Teraz nadszedł czas. Nie wolno ci zawieść. Głos ciotki, niski i gwałtowny, rozbrzmiewał mi w głowie. Moje mgliste myśli przez pocałunki Franklina stały się jeszcze bardziej zagmatwane. Czyż nie byłoby najprościej dać mu to, co chciał? Czy to nie był jedyny pewny sposób, by osiągnąć to, czego potrzebowałam?*

## 36

Jechałam powozem do domu w milczeniu, potem weszłam chyłkiem po schodach i położyłam się do łóżka, naciągając przykrycie na głowę. Zamknęłam oczy, żałując, że nie mogę wymazać z pamięci... wydarzeń... tego wieczoru. Jak będę mogła jutro spojrzeć Franklinowi w oczy? I pojutrze? I następnego dnia? Skóra nadal paliła mnie w miejscach, które całował. Policzki nadal piekły w miejscach, które podrapały jego bokobrody. Jak długo byliśmy na osobności w tym małym pokoju?

Zastanawiałam się, czy Harry to zauważył.

Kogo to obchodzi, czy Harry zauważył?

Och, miałam nadzieję, że Harry zauważył!

Mimo to... gdyby można było umrzeć ze wstydu, tobym padła martwa od razu przed kościołem św. Piotra, gdy owijałam się w swoje zabrudzone szaty.

Ciotka się domyśli. Na pewno. Bardzo możliwe, że już wie. Domyśli się jak zwykle w ten swój niesamowity sposób. Domyśli się i da wyraz swoim podejrzeniom, i jak ja wtedy zaprzeczę? Jakim sposobem?

*Są pewne rzeczy, których pragnie każdy mężczyzna. Oczywiście nie można mu na nie pozwolić. Nie przed ślubem. Jednak myśl, że je dostanie, mogłaby zdopingować go do oświadczeń. Rozumiesz, co mówię?*

Czyż nie wyraziła się dostatecznie jasno?

To czemu zawaliłam sprawę?

Dlaczego nie potrafiłam po prostu zrobić tego, o co mnie prosiła?

Wbrew temu co mówiła i chociaż nie miałam wątpliwości, jaką strategię mam przyjąć, odmówiłam mu. I nie tylko nie pozwoliłam mu na poufałość, ale równocześnie wymierzyłam mu policzek, ostatecznie i całkowicie odrzucając jego zaloty.

Czyż nie postąpiłam tak, jak postąpiłaby każda przyzwoita dziewczyna?

Ale ja nie byłam przyzwoitą dziewczyną. Byłam dziewczyną, która miała szarlatana za ojca. Dziewczyną udającą, że ma prawo do debiutu. Dziewczyną, która starała się robić to, co jej każą. Dziewczyną bez możliwości wyboru, oprócz jednego. I mimo że to wiedziałam, odmówiłam Franklinowi. Zachowałam swoją cnotę i odrzuciłam wszystko inne. Dziewczyny nie miały wyboru; miały dyrektywy.

Powinłam zrobić tak, jak kazała mi ciotka. Jak chciał tego ojciec.

A nawet więcej.

Przespałam śniadanie, więc ubrałam się pospiesznie i zeszłam na lunch, zatrzymując się po drodze, żeby zajrzeć do ojca. Ciotka czekała na mnie w jadalni. Ledwie postawiono przede mną miskę z bulionem, gdy zapytała.

- Oświadczył się?

- Nie.

Zmarszczyła brwi. Zanurzyła łyżkę w zupie, kierując ją na zewnątrz. Podniosła do ust i upiła łyk.

- Chyba nie będę w stanie utrzymać naszego sekretu dłużej.

- I właściwie nie sędzę, że się oświadczy.

Łyżka wyślizgnęła się z palców ciotki i z brzękiem wpadła do miski. Kamerdyner podszedł, by zabrać naczynie. Ciotka trzepnęła go w rękę.

- Jeszcze nie skończyłam!

- Proszę mi wybaczyć. - Ukłonił się.

Ciotka podniosła łyżkę i położyła ją na talerzu, na którym stała miska, piorunując wzrokiem kamerdynera.

- Nie skończyłam. Może potrzebne ci okulary.

Kamerdyner poczerwieniał.

- No więc. Nie sądzisz, że pan De Vries się oświadczy. Czemu nie? - Skierowała wzrok z powrotem na mnie.

Nie odezwałam się.

- Poprosił już o rękę Lizzie? Myślałam, że się jej pozbyłaś.

- Tak. Pozbyłam.

- Więc o co chodzi? Jeśli nie ma nikogo innego... to musiałaś dać mu jakiś powód, żeby się nie oświadczył.

Zaczęłam przygryzać wargę.

- Co zrobiłaś?

- Nie chodzi o to, co zrobiłam. - Tym razem liczyło się to, czego nie zrobiłam.

- Więc o co?

- Poprosił mnie... żebyśmy coś zrobiła. A ja nie chciałam.

- Nie chciałaś...? Ty głupia dziewucho! - Psy u jej stóp zaczęły szczekać. - Przypuszczam, że poprosił, żebyś poświęciła swoją cnotę.

Nie odpowiedziałam. Nie potrafiłam. Po co miałabym przyznawać się do tak haniebnej rzeczy? Czemu miałabym chcieć, żeby wiedziała, co Franklin uważał, że może dostać?

- Czym jest cnota w porównaniu do bogactwa? Nie rozumiałaś? Mówiłam ci, że *musi się oświadczyć*. - Ślina przyskała jej z ust. - Jak myślisz, ile będziesz jeszcze miała okazji, żeby poślubić dziedzica De Vriesów?

- Franklina.

- Franklina?

- Ma na imię Franklin. - Był osobą, a nie bezimienną fortuną.

- Może mieć nawet Matuzalem! Coś ty zrobiła? Co więcej, czy możesz to odwrócić?

- Nie! - Miałam nadzieję, że całe przerażenie i wstyd, jaki czułam, było widać w moich oczach. Odwrócić? Przecież to znaczyło...

Ciotka zmusiła się do uśmiechu. Wyciągnęła rękę i położyła ją ciężko na mojej.

- Nie, nie. Nie chodzi mi... o to, co myślisz. Chodzi mi o to, czy nie mogłabyś stworzyć odwrotnego wrażenia? Dać mu do zrozumienia, że w innym czasie i miejscu...?

- Na przykład... latem w Newport?

- Właśnie. W zamian za oświadczyń.

- Dać mu do zrozumienia, że oczywiście chętnie mu się oddam, jeśli wkrótce weźmiemy ślub?

- Czy to byłoby takie trudne?

To nie powinno być takie trudne. Co było ze mną nie tak, że nie potrafiłam zrobić tego, czego ode mnie oczekiwano? Zwłaszcza teraz, kiedy po ataku ojca cała moja przyszłość spoczywała wyłącznie na moich barkach. Droga, którą nakreśliła ciotka, była najprostsza. Najłatwiejsza. Najbardziej korzystna. Dlaczegoż nie mogłam tego zrobić?

- Nie chcę za niego wychodzić. Chcę czegoś więcej. - Chciałam kogoś takiego jak Harry. Oczywiście nie samego Harry'ego. On zdecydował się na Lizzie. Ale kogoś podobnego do niego. Musi być ktoś taki jak Harry. Gdzieś. Chciałam czegoś więcej, nawet jeśli pod względem materialnym oznaczałoby to dużo mniej.

- Czegoś więcej? - Twarz ciotki złagodniała, ale jednocześnie spojrzenie stało się zimne. - Przypuszczam, że czekasz na prawdziwą miłość.

- A jeśli tak? - Uniosłam podbródek.

- Zdradzę ci pewien sekret. Prawdziwa miłość to iluzja dla młodych dziewcząt, żeby skusić je do małżeństwa. To tylko mit.



- Nieprawda!

- Przypuszczam, że dowód na to znalazłaś we wszystkich tych powieściach i wierszach, które ciągle czytasz.

Tak było. Po części.

- Być może. Ale nawet rozum mi mówi, że powinno być coś więcej.

- Tak, powinno być. Tu się z tobą zgodzę. Ale nie ma. Prawdziwa miłość prowadzi dziewczęta do ołtarza, ale potem to rzeczywistość bierze je za rękę i wyprowadza z kościoła. Więc lepiej jej nie szukać. To dużo bardziej praktyczne dla wszystkich zainteresowanych. Unika się wtedy rozczarowań. Poślubienie pana De Vriessa oszczędziłoby ci wszelkiego rodzaju rozczarowań.

- I wszelkiego rodzaju szczęścia. - Odsunęłam talerz i wstałam.

- Jeśli na to czekasz, to będziesz czekać wiecznie!

- Warto czekać.

- Nie bądź głupia! Nie odrzucaj wszystkiego dla niczego. Dla jakiejś beznadziejnej tęsknoty za fantazją. - Ciotka podniosła się, by pójść za mną.

- To nie fantazja. - To nie mogła być fantazja.

- A co będzie, jeśli nigdy jej nie znajdziesz? - Jej głos podążył za mną do frontowego holu.

Przynajmniej będę wiedziała, że nie zrezygnowałam z szukania.

Oczywiście były jeszcze przyjęcia, opery i prywatne bale, w których trzeba było uczestniczyć. Jednak nawet to niewielkie zainteresowanie sezonem, jakie kiedyś miałam, zniknęło. Czułam się... poniżona. Zdemaskowana przez swoje zachowanie wobec Franklina.

Chociaż ciotka nadal miała nadzieję na pojednanie, ja nie miałam złudzeń. A jednak żałowałam... żałowałam, że nie mogę cofnąć tego czasu spędzonego w pokoju służącego. Fakt, że Franklin w ogóle zwrócił się do mnie z taką propozycją, świadczył o tym, że wyczuł we mnie pewną dwuznaczność. Świadczył o tym, że uznał to za realną możliwość. I to zawstydzalo mnie najbardziej.

Bo to była prawda.

Gdybym się nie bała, może bym się zachwiała. Może bym rzeczywiście uległa jego żądaniom. Jeśli mogłam poszczycić się jakąś cnotą, to była nią płochliwość. A cóż to była za cnota? Z pewnością nie była to cecha, z której byłam dumna.

Przynajmniej nadal mogłam rozmawiać z Harrym.

Odkąd dowiedziałam się o oszustwach ojca, moje uczucia do Harry'ego się zmieniły. Moje zranione serce doświadczyło cudownego uzdrowienia. Skoro okazało się, że nigdy nie zasługiwałam na jego uwagę, poczułam po prostu wdzięczność za jego przyjaźń. Jego i Katherine. Nie zasługiwałam na ich życzliwość.

Zwłaszcza że Franklin zaczął się zalecać ostatecznie i wyłącznie do Lizzie. Oczywiście nie mógł wpisać się na każdy taniec w jej karnecie, ale te, które zarezerwował, były zatańczzone z pewną znamioną zażyłością. W czasie przerw rozmawiał tylko z nią, a pani Barnes przyglądała się temu z nieskrywaną radością.

Podczas jednej z takich przerw Harry przyniósł mi szklankę ponczu. Z wdzięcznością odwróciłam wzrok od widoku szczęścia Franklina i Lizzie, by skoncentrować na nim swą uwagę. Zastanawiałam się jednak... jak on się czuł? Gdy Lizzie tak nagle i całkowicie z nim zerwała? Nieładnie potraktowała człowieka tak uprzejmego i taktownego. Uśmiechnęłam się do niego.

- Dziękuję ci, Harry. Bardzo jesteś miły.

- Więc może mógłbym zadać ci osobiste pytanie. Czy coś wydarzyło się pomiędzy tobą a Franklinem? - Próbował pochwycić mój wzrok.

- Nie. - Uśmiechnęłam się, ale nie spojrzałam mu w oczy.

- Jesteś pewna? Bo jeśli...

Obok nas jedna z dziewcząt Remstellów zaśmiała się głośno. Za chwilę przyłączyły się do niej jej towarzyszki. Pochyliłam się ku Harryemu, żeby mnie słyszał.

- Nic się nie stało. Możesz wierzyć, że to już prawie koniec sezonu? A wydaje się, jakby dopiero się zaczął.

- Klaro?

Poddałam się. Musiałam na niego spojrzeć, jeśli chciałam go przekonać. Gdyby mi się to nie udało, nigdy nie przestałby mnie pytać.

- Nic mi nie jest, Harry. Naprawdę. - Dlaczego tak się tym przejmował? Jeśli już, powinien być zaniepokojony tym nowym przywiązaniem Franklina do Lizzie. Wypiłam resztę ponczu i podałam Harryemu szklanekę. - Byłbyś tak miły?

- Oczywiście. Jesteś pewna...?

- Wystarczy mi, dziękuję.

Zmarszczył brwi, słysząc moją błędną interpretację, ale ja liczyłam na to, że jest zbyt wielkim dżentelmenem, żeby dalej się dopytywać.

Kiedy Harry odszedł, pojawiła się ciotka.

- Co ty robisz? Idź tam, do dziedzica. Odbij go Lizzie!

Pokręciłam głową.

- Musisz przynajmniej spróbować. Po tych wszystkich tygodniach! Po całej naszej pracy.

Nie było naprawdę sensu. I Harry się zbliżał. Rozłożyłam wachlarz i odgoniłam troski ciotki, zdecydowana nie zbacać z obranego kursu.

Następnego dnia w kościele starałam się unikać Harry'ego. Jeśli zdarzyło mi się spojrzeć w jego kierunku, to z przyzwyczajenia. Tylko dlatego, że się zapominałam, zapominałam o swojej sytuacji. Starałam się pogрузić w głoszonym kazaniu. I pieśniach.

*Tak, jaki jestem, pełen wad,  
Obdarty z niewinności szat,  
By w serce promyk łaski wpadł,  
Tak idę już, Baranku mój!*

Z oczu o mało co nie poleciały mi łzy. To była pieśń mamy! Ukradkiem wyjęłam chusteczkę z torebki i przetarłam oczy, spoglądając po ławkach. Bogu dzięki, że nikt nie patrzył.

*Tak, jaki jestem, pełen skruch,  
Odważa ma rozwiana w puch;  
W twej łasce tylko ufa duch,  
Więc idę już, Baranku mój!*

A gdyby tak jak powiedziała mama, Bóg kochał nas takimi, jakimi jesteśmy? Gdyby kochał *mnie*? Bez afektacji i udawania? Bez gorsetów i krynolin? Gdyby nie dbał o to, czy wiem, jak zrobić komuś afront, albo czy umiem tańczyć walca? Sama myśl o tym, sam taki pomysł groził mi zgubą. Taka miłość byłaby ekstrawagancją nie do pomyślenia. Gdy-

bym potrafiła uwierzyć, że Bóg kocha mnie w ten sposób...  
to zmieniliby wszystko!

*Tak, jakim jest — Tyś łaskaw mi,  
Przebaczasz i omywasz z win,  
Dla Twych obietnic wierzę Ci —  
Baranku Boży, idę już!*

Jeślibym zamknęła oczy, mogłabym sobie wyobrazić, jak mama stoi obok mnie, śpiewając swym czystym jak dzwoneczek głosem. Głosem z mojego dzieciństwa. Nie tym z późniejszych lat, kiedy brakowało jej tchu i śpiewała chrypiącym szeptem. Kiedy byłam dzieckiem, mama miała najlepszy głos ze wszystkich modlących się w naszym kościele. Uwielbiała śpiewać. Jej śpiew unosił się jak śpiew anioła ponad dźwiękami organów. W gruncie rzeczy, jak przypuszczałam teraz, cała jej teologia została zaczerpnięta ze śpiewnika. Na każdą troskę, na każde zmartwienie, o których mówiłam, znajdowała odpowiedź w wersach pieśni.

Spotykały mnie pokusy i przeciwności losu?

*Jakiego przyjaciela mamy w Jezusie!\**

Nie byłam pewna, jak powinnam postąpić?

*On mnie prowadzi! \*\**

Pieśń na każde doświadczenie życiowe, melodia w odpowiedzi na każde pytanie. Oprócz tego jednego: czy Bóg naprawdę mnie kocha? Taką, jaka jestem?

\* *What a Friend We Have in Jesus* - chrześcijańska pieśń napisana przez Joseph M. Scrivena w 1855 r.; muzykę skomponował w 1868 r. Charles Crozat Converse.

\*\* *He Leadeth Me* - pieśń ze słowami Josepha Gilmore'a (1862 r.) i muzyką Williama Bradbury'ego (1863 r.)

Pierwszy marca. Ostatni Bal Patriarchów. Wspaniałości De Vriesów zawdzięczałam zaproszenie. Nie potrafiłam jednak wyrzesać z siebie ani krzty entuzjazmu. Ponieważ w ostatecznym rozrachunku cała ta wściekłość i wrzask\* tańców, przyjęć i bali wytwornego towarzystwa nie nie znaczyły. Zebrałam tylko burzę. A dziś wieczór zostawię to wszystko za sobą. Jednak wcześniej muszę zrobić jedną, ostatnią rzecz.

Pośród całej tej sieci oszustw i wymuszeń, jaką rozciągnął w tym sezonie mój ojciec, była jeszcze jedna, nawet większa, nieuczciwość. A ja musiałam pokazać, że to wiem. Musiałam upewnić się co do tożsamości Tattlera. Chciałam wiedzieć, bez wątpliwości, kto próbował storpedować moje wysiłki. Ale jeszcze bardziej chciałam wiedzieć dlaczego.

Problem polegał na tym, że aby tę wiedzę uzyskać, musiałam wykorzystać Harry'ego.

Jednak Harry był najmniejszym z moich zmartwień. Tak jak ja najwyraźniej byłam najmniejszym z jego. Zależało mu na Lizzie dużo bardziej niż na mnie. Ja nigdy nie zasługiwałam na jego czas i uwagę. Ale dzięki temu łatwiej przyjdzie mi zaakceptować swoją przyszłość. Kiedy skończy się ten wieczór, nie będzie już żadnych powiązań z życiem, do którego przedtem dążyłam.

W chwilach większej szczerości przyznawałam przed sobą, że żal mi tego, co odkryłam w Harrym. Przyjaciela, powiernika... prawdziwą bratnią duszę. Jednak ciotka i ojciec nigdy by mi nie pozwolili na ten związek. No i jego serce wyraźnie skłaniało się ku komuś innemu. Prawdopodobnie opłakiwał Lizzie tak samo, jak ja jego. Harry był nieosiągalny, daleki jak gwiazda. Jeśli tego wieczoru nie zdobędę nic innego, to przynajmniej udowodnię to sobie raz na zawsze.

\* Aluzja do tytułu powieści Williama Faulknera, a pośrednio do monologu Makbeta z piątego aktu *Makbeta* Williama Szekspira.

Poza tym przekreślę nadzieje ciotki na zdobycie mi męża. A wtedy być może będę mogła sama dokonać wyboru. Nie wiedziałam jeszcze, jaki to będzie wybór, ale z pewnością coś się dla mnie znajdzie. Kimś będę mogła zostać. Na wszelki wypadek wyszeptalam modlitwę. Pomodliłam się, żeby - jeśli Bogu naprawdę na mnie zależy, takiej jaka jestem - wyznaczył mi jakąś drogę. Ponieważ nie uda się odwrócić tego, co zamierzałam zrobić.

Przykręciłam do uszu ametystowe kolczyki mamy i spojrzałam po raz ostatni w lustro. Jak daleko zaszłam. Nie było już śladu po tej cichej, nieśmiałej dziewczynie, którą kiedyś byłam. Jednak kim była ta kobieta, która patrzyła na mnie z lustra? I co się z nią stanie, kiedy skończy się ta noc?

Życzyłam jej wszystkiego dobrego. A potem zesłam na dół do ciotki.

- Wiesz, jak ważny jest ten wieczór.

- Wiem. - Ważniejszy, niż mogła to sobie wyobrazić.

Pogmerała przy tiulu na moim staniku. Schyliła się, by poprawić kokardę na spódnicy.

- Musi się oświadczyć. I nie przesadzę, jeśli powiem, że to musi stać się dziś wieczór.

- Wiem.

- Jest eś taka blada. Uszczypnij się w policzki.

Wieczór zaczął się operą, potem o północy był bal u Delmonica. Wszystko u Delmonica wydawało się być w stanie najwyższego podniecenia. Śmiech miał wyższe brzmienie. Muzyka grała głośniej. Ludzie wydawali się bardziej żywiołowi, bardziej swobodni.

Mój karnet szybko się wypełnił. Franklina nie było wśród moich partnerów, ale Harry tak. Zarezerwował dwa tańce. Pierwszy był lansjer. W poprzednich tygodniach byłabym szczęśliwa, że mogę go z nim zatańczyć, nie zważając na kroki i układy, koncentrując się tylko na naszej rozmowie. Tej nocy wydawało się, że nie mają już nic do powiedzenia.

Po przerwie Harry wrócił do mnie po swój drugi taniec i zabrał mnie spod skrzydeł ciotki na parkiet. Jedną ręką ujął moją dłoń, drugą położył mi na plecach, ale gdy ja oparłam dłoń na jego ramieniu, odsunął się.

- Chcesz...? To znaczy... nie mam ochoty tańczyć.

- To co chcesz robić?

- Wyjdiesz ze mną na zewnątrz? Do holu?

Oto okazja, na jaką czekałam! Zanim odpowiedziałam, rozejrzałam się po sali balowej. Koniecznie musiałam zlokalizować pana Douglasa. I ciotkę. On musi widzieć, jak wychodzimy. A ona nie. Ach - tam jest! Stał trochę dalej ode mnie, w towarzystwie kilku osób, słuchając jednego z dżentelmenów, ale ze wzrokiem utkwionym w Katherine. A... tam była ciotka, rozglądając się po sali czujnym okiem.

- Klaro?

- Oczywiście. Może... pójdziemy tędy? - Manifestacyjnie przeszedłam obok pana Douglasa. Zobaczyłam, że unosi brew. No i nic dziwnego. Szłam prosto do wyjścia, nie kryjąc się z zamiarem opuszczenia sali balowej. A towarzyszył mi ktoś, kogo można było uważać za zalotnika.

Orkiestra zaczęła grać i popłynęły za nami dźwięki walca.

Odrzuciłam się, żeby wziąć Harry'ego za rękę, ale on nadal tkwił przy drzwiach. Szybciej! Miałam tylko czas trwania walca, żeby zrobić to, co miałam zrobić. Próbowaliśmy się uśmiechnąć, ale potem, kiedy to nie oderwało go od drzwi, odezwałam się.



- Harry?

- Jesteś taka... piękna.

Nie potrafiłam powstrzymać rumieńca, ale nie miało to znaczenia. Względne ciemności holu skryły moje zawstydzenie.

- Znasz Byrona?

Przytaknęłam.

- Jest taki wiersz jego autorstwa, który moim zdaniem przeznaczony był dla ciebie. - W końcu przeszedł przez drzwi i podszedł do mnie w milczeniu.

- Chcesz mi go powiedzieć?

- Hm? Co?

- Wiersz?

- Och tak! Zobaczmy, czy go pamiętam. Zaczyna się...  
- Zamknął oczy i unióś głowę do góry, tak jakby to miało pomóc mu sobie przypomnieć. Potem otworzył oczy i spojrział prosto na mnie. - Zaczyna się tak: „Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina...”\*

Och, Harry.

- „Gwiazdziste niebo bez śladu obłoku...”. To mój ulubiony wiersz - szepnęłam.

- Nigdy mi się specjalnie nie podobał. Tak jak i inne jego wiersze. Jest zbyt cliwy.

- Och!

- Wyglądasz na zrozpaczoną. Powiedziałem coś nie tak? Oczywiście, że powiedziałem. Zawsze mówię nie to, co trzeba. A ty przed chwilą stwierdziłaś, że to twój ulubiony wiersz. No tak. - Ukłonił się, najwyraźniej w formie przeprosin. - Dlaczego ci się podoba?

- Byron? Był ulubionym poetą mojej matki.

\* Fragment wiersza *Gdy stąpa, piękna (She Walks in Beauty)* George'a Gordona Byrona w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka [w: *Od Chaucera do Larkina*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1993].

- No cóż. Tego nie mogę skrytykować. I muszę powiedzieć, że ten wiersz doskonale cię opisuje. „...Gwiazdziste niebo bez śladu obłoku: ciemność i jasność - każda z nich zaklina w nią swój osobny czar”. - Głos Harry'ego złagodniał. I spoważniał. - Prawie jakby cię znał. „I czarnej twarzy, policzka i skroni jakąś spokojnie pewną ma wymowę: w ufnym uśmiechu, w barwie, co twarz płoni, widać jej czyste dni dotychczasowe, lecz i świadomość, jak wielu śni o niej - serce niewinne, lecz kochać gotowe!”

O nie, on wcale mnie nie znał. Harry też nie.

Minęła już połowa walca. Musiałam dokonać tego, co postanowiłam zrobić. A więc uśmiechnęłam się. Wzięłam go za rękę i odciągnęłam dalej od tłumów.

- Mama miała jego książkę, tom wierszy, który podpisał.

- Dla niej? Czy on nie umarł... wieki temu?

- Tak naprawdę dla jej ojca, ale teraz książka jest moja. Jedyne spadki, jakie mi zostawiła. - Dostałam oczywiście jej klejnoty, ale tylko na kartach tej książki mogłam poczuć jej duszę.

- A ty najbardziej ją lubisz, bo należała do twojej matki.

Harry doskonale to zrozumiał. Zawsze doskonale rozumiał.

- Ale czy naprawdę podoba ci się Byron? Jako taki? Dla siebie samego?

- O, tak!

- Dlaczego? Nigdy nie rozumiałem jego uroku. - Kręcił głową, jakby nie mógł pojąć mojej opinii.

- Ponieważ on pisze o miłości. O prawdziwej miłości. Miłości, na którą warto czekać.

- Miłości, na którą ty czekasz?

Jak to się stało, że zaczęliśmy rozmawiać o miłości! Usiłowałam przekonać samą siebie, że Harry się nie liczy. Że nie myśli o mnie z jakąkolwiek sympatią... sam to powiedział

Franklinowi! W takim razie dlaczego patrzy na mnie w ten sposób? Dlaczego w jego oczach można wyczytać taką słodką obietnicę?

- Klaro?

- Harry? - Podniosłam rękę, żeby zasłonić przed nim usta.

- Dlaczego zawsze mówisz w ten sposób? Z dłonią przy ustach? - Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

- Bo są za duże. - A ja nie potrafiłam zapamiętać, że mam myśleć o piku, Prusie i prymie.

- Kto ci to powiedział?

- Moja ciotka.

- Co ci jeszcze powiedziała?

- Że jestem za wysoka.

- Naprawdę?

- T a k - powiedziałam to szeptem, bo Harry podszedł tak blisko, że jego usta znalazły się tuż nad moimi.

- Obawiam się, że... chciałbym... cię pocałować. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Och, Harry... - Co za dziwne doznanie, poczuć usta Harry'ego na swoich. Takie ciepłe, łagodne i szczerze. Zwłaszcza kiedy usta Franklina były tak niedelikatne, nagłace i obcesowe.

Harry odsunął się ode mnie z westchnieniem. Położył mi dłonie na szyi i wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę... po prostu stał tam, patrząc mi głęboko w oczy. A potem zsunął ręce na moje ramiona i przytulił mnie do siebie.

- Dla mnie są w sam raz - wyszeptał mi do ucha.

- Co takiego?

- T w o j e u s t a . I t y . Jesteś doskonała taka, jaka jesteś. - Wypuścił mnie z objęć i pocałował raz jeszcze.

Och, Harry, nie zdawałam sobie sprawy! W tym pocałunku, jego pocałunku, było tyle absolutnej pewności, że za-

częłam się zastanawiać, czy się nie pomyliłam. W sprawach dotyczących wszystkiego. Pocałunek Harry'ego nie stawiął pytań ani nie przekonywał - dawał odpowiedzi i potwierdzał przekonanie. Zapomniałam, by zwrócić uwagę, czy pan Douglas za nami poszedł. Zapomniałam o Tattlerze. A przede wszystkim zapomniałam, że Harry miał być zakochany w Lizzie. Wybiegłam z holu, nadal czując dotyk miłości na ustach, i minęłam po drodze pana Douglasa.

Następnego dnia pisały o tym wszystkie gazety.

Może i odkryłam tożsamość Tattlera, ale jednocześnie zagwarantowałam sobie, że nikt w wytwornym towarzystwie już się nigdy do mnie nie odezwie. Jakżeby mogli, jeśli widziano, jak się z kimś całuję u Delmonica? Jak całuję się z mężczyzną, który jest bratem kogoś, za kogo zdaniem wszystkich miałam wyjść za mąż?

Ciotka nie wyszła w tym dniu ze swego pokoju.

Wieczorem, kiedy kucharki nie było w pobliżu, poszłam do kuchni i wzięłam jej najostrzejszy nóż i jędrne, zielone jabłko. Ukryłam je w fałdach spódnicy i wróciłam na górę.

Kiedy skryłam się w zaciszu własnego pokoju, zdjęłam suknię, narzutkę na gorset, halki i obręcze. Potem zrobiłam użytek z noża - tnąc przez dłuższą chwilę i z wielkim wysiłkiem, uwolniłam się z gorsetu. Rzuciłam go w strzępach na podłogę. Zdjęłam także haleczkę.

Po raz pierwszy od... *miesiący...* *kiedy* spojrzałam w dół, zobaczyłam swoje własne ciało. Dotknęłam wgłębnie w miejscach, gdzie fiszbiny uciskały mi skórę. Przejechałam rękami po żebrach, wzdłuż kręgosłupa. Przycisnęłam chusteczkę do zadraśnięć po nożu. Upewniona, że nadal tu jestem, że nadal jestem sobą, wzięłam jeden głęboki, niespieszny oddech. Po-

tem drugi. Wyjęłam szpilki z włosów i roztrzepałam je. Na-  
łożywszy lizeskę, znalazłam swojego Byrona, wzięłam jabłko  
i zakopałam się w łóżku.

*Już nie będziemy na noc całą  
Wymykać się, gdy inni zasną -  
Chociażby serce wciąż kochało,  
A księżyc świecił równie jasno.*

*Rękojeść słabsza jest od ostrza,  
Choć dusza żyje — pierś się dusi;  
I, choćbyś była mi najdroższa,  
Miłość też tchu zaczerpnąć musi.\**

\* Fragment wiersza George'a Gordona Byrona *Już nie będziemy na noc całą* (*So, we'll go no more a-roving*) w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka [w: *Od Chaucera do Larkina*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1993].

Dwa dni później czekałam na Lizzie przy żywopłocie, modląc się, żeby mimo wszystko przyszła. Kiedy już prawie pogodziłam się z faktem, że straciłam jej przyjaźń na zawsze, usłyszałam skrzypienie furtki, a potem szelest po drugiej stronie żywopłotu.

- Witaj, Lizzie.

- Witaj. - Gdyby tylko nie patrzyła na mnie tymi zranionymi oczami! - Dobrze się bawiłaś na Balu Patriarchów?

Bal Patriarchów. Jedyne przypadek, gdy w trakcie sezonu miałam przewagę. Wzruszyłam ramionami.

Uniosła brodę i spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie było cię tutaj w zeszłym tygodniu. - Poczzerwieniła i opuściła wzrok na schowane w mufce dłonie.

- A ty przyszłaś? Nie sądziłam, że przyjdiesz. Było tak zimno. I padał śnieg.

- Wiesz, że dla ciebie zawsze bym przyszła.

Wzdrygnęłam się na to oskarżenie, uciekając wzrokiem. Och, Lizzie, co się z nami stało? Wyciągnęłam rękę w jej stronę i podniosłam oczy.

- Lizzie, żałuję...

Ale jej już nie było.

Ojciec zmarł następnego dnia.

Siedziałam przy nim, gdy wydał ostatnie tchnienie. Słuchałam tych strasznych, długich, przerywanych, dyszących

oddechów. Tyle chciałam mu powiedzieć. Temu mężczyźnie, którego tak naprawdę wcale nie znałam.

- Żałuję, że nie byłeś... - Jaki? Inny, lepszy? Jeśli chciałam, żeby był taki, to dlaczego nie chciałam tego samego dla siebie? Wzięłam go za rękę i powróciłam myślami do sezonu.

Żałowałam, że nie byłam inna.

Żałowałam, że nie byłam lepsza.

Żałowałam, że nie potrafiłam być taka, jakiej chciał. Jakiej potrzebował. Zawiodłam go tak samo, jak on zawiódł mnie. *Taka, jaka jestem?* Nie. Taka, jaka jestem, nigdy nie byłam dla niego wystarczająco dobra. Mama też nie. Ale może... może to niepowodzenie miało swoje źródło także w tym, że chciałyśmy się poddać formowaniu, jak i w tym, że nas formowano.

Uścisnęłam dłoń ojca.

- Żałuję, że nie mogłeś mnie poznać takiej, jaka jestem. Sądzę, że mogłabym ci się taka podobać. - Pocałowałam go w czoło, odgarniając do tyłu strzechę dystygowanych siwych włosów.

Moje słowa musiały być swego rodzajem błogosławieństwem. Potem siedziałam, czekając na oddech, który nigdy się nie pojawił.

Wkrótce potem, jakby wezwana przez królestwo niebieskie, zadzwoniła do drzwi pani Hobbs. Cicho. Delikatnie. Kiedy poproszono ją do salonu, usadowiła się na krześle naprzeciwko nas, złożyła ręce na kolanach i westchnęła.

- Kiedy usłyszałam, że w rezydencji Carterów ktoś zmarł, miałam nadzieję, że to może pani, panno Carter. Taka przystojna byłaby z pani nieboszczka. To właśnie powiedziałam panu Hobbsovi, kiedy wychodziłam. „Mam nadzieję, że to młoda panienka”. Tak właśnie powiedziałam.

Poczułam nieodpartą ochotę, żeby roześmiać się na głos. Przyłożyłam chusteczkę do oczu i udałam, że płaczę.

- Możemy poczynić przygotowania? - Poruszyła się siedząca obok mnie ciotka.

- Tak. Tak, oczywiście. Poczynimy przygotowania. Ale... mogłabym na niego spojrzeć?

- Spojrzeć?

- Tak. Tylko zerknę. - Przytaknęła pani Hobbs.

Ciotka wstała i poprowadziła ją w górę po schodach. Były u ojca tylko przez chwilę, potem usłyszałam, jak schodzą na dół. Pani Hobbs usiadła z powrotem na swoim miejscu i wyjęła z torebki mały kajet i ołówek.

Ciotka pozostała w pozycji stojącej.

- A zatem. Będzie go pani chciała ubrać w surdut.

- Tak. Każę go do pani wysłać.

- Kto będzie niósł trumnę?

- O co pani chodzi? - najeżyła się ciotka.

- Kto to będzie?

- J a . . . nie wiem. - W głosie ciotki słychać było konsternację. Rozumiałam dlaczego. W gruncie rzeczy nie wiedziałam, kogo ojciec uważał za przyjaciela. Nie mogłyśmy przecież poprosić o to jego pacjentów.

- Nie wie pani...?

- Nie miałabym pojęcia, kogo poprosić. Nie mogłaby pani się tym zająć?

- Oczywiście, oczywiście. Pan Hobbs zna z tuzin wspańiałych młodych mężczyzn, do których może się zwrócić. Wszyscy całkiem przystojni, ale odpowiednio posępni. Oczywiście... dostarczy pani rękawiczki i krepę? Na rękawy?

Ciotka kiwnęła głową.

- A powozy?

- W pogrzebie weźmie udział tylko najbliższa rodzina.



- Oczywiście. Ale na pewno przyjdą przyjaciele. - Pani Hobbs podniosła wzrok znad kajetu.

Ciotka pokręciła głową.

- Nie będzie przyjaciół?

- Nie będzie. - Zacisnęła usta ciotka.

Bardzo wątpiłam, żeby jacyś nam jeszcze zostali.

- Jakkolwiek by było, będziemy potrzebowali powozu dla pastora.

- Tak. Wyślę go do pani.

- A który to będzie kościół? Trzeba podać w nekrologu.

- Zrobimy nabożeństwo tutaj. W domu.

- W domu. - Pani Hobbs pisała dość gwałtownie w swoim kajeciku. - W domu. - Pokręciła głową. Potem podniosła wzrok znad kajetu. - A co do kwiatów?

- Proszę zrobić, jak pani uważa.

- Oczywiście. - Zajęła się z powrotem swoim kajecikiem.

- Gdybyż to była panna Carter... takie piękne kompozycje można zrobić z białych róż...

Podniosłam się i poprosiłam o wybaczenie. Potem pobiegłam po schodach do swojego pokoju i zasłoniłam sobie twarz poduszką. I śmiałam się w nią, dopóki nie zaczęłam płakać. Opłakiwałam matkę, którą znałam za krótko, i ojca, którego nie znałam wcale.

Po południu ciotka zajęła się zamawianiem żałobnych ubrań dla mnie. Jej nie były potrzebne. Jeśli cokolwiek zyskała na małżeństwie z biednym, ale szanowanym nowojorczykiem, to było to prawo do opłakiwania jego śmierci. Tak długo, jak tylko chciała.

Krawcowa przyszła następnego dnia, tak jak była umówiona, przynosząc z sobą wszelkiego rodzaju przygnębiające

rzeczy. Próbkę czarnej krepy i frędzli. Kupony gazy i cienkiej wełny. Nakrycia głowy, mankiety i kołnierze. - Co pani jeszcze chce zamówić?

- Dla siebie nic. Ale dla mojej bratanicy kilka prostych sukni z krepy.

- Tak, proszę pani. Z zabudowaną górą? Czy może z żakietem?

- Nie ma znaczenia.

- Może żakiet? Albo pelerynę?

Ciotka nie odpowiedziała.

Kobieta podniosła wzrok znad swego zeszytu, a zmarszczka przecięła jej czoło.

- Proszę wybaczyć, że pytam... a na pogrzeb? Na zewnątrz?

- Nie ma znaczenia.

Ciotka podniosła na mnie wzrok, a z jej oczu można było wyczytać smutną prawdę. Nie miało to znaczenia, ponieważ nikt nie przyjdzie na pogrzeb ani potem nie zbliży się do mnie. Kiedy umierał szantażysta, narzędzie ucisku, to był powód do świętowania, a nie do żałoby. Westchnęła. - Będzie potrzebowała kilka hulek i chusteczek do nosa. Pończochy i rękawiczki. I kilka czepków.

- Tak, proszę pani.

- Mogłaby pani porozmawiać z modystką w naszym imieniu?

Krawcowa kiwnęła głową.

- I proszę dopisać to do rachunku.

- Doktora Cartera? Obawiam się... - Oczy krawcowej omiotły z zakłopotaniem pokój.

- *Mój* rachunek. Pani Lewisowej Stuart. - Ciotka wstała i zaczęła iść w kierunku holu.

- Och! No cóż, w takim razie. Oczywiście. - Krawcowa wstała i poszła za nią.

Była jeszcze jedna rzecz, o której powinna wiedzieć. Zaskazłałam grzecznie.

- Moje wymiary...

Odwróciła się, unosząc wyczekująco brew.

- Zmieniły się. Nie noszę już gorsetu.

- Już nie? Ale...! - Oczy o mało co nie wyskoczyły jej z orbit.

Na twarzy ciotki pojawił się wyraz odurzenia.

- Trzeba będzie powtórnie wziąć miarę. Żeby rozmiar był dobry.

- Ale... w ogóle bez gorsetu?

- Bez.

- Ale...

- Trzeba mnie będzie ponownie zmierzyć. - Uniosłam podbródek, prostując się jak struna.

W końcu kobieta ukłoniła się trochę sztywno i wyszła.

Ciotka nadal stała na środku pokoju.

- Bez gorsetu?

- Bez. - Wzięłam ją delikatnie za rękę i podprowadziłam do kanapy.

- Z pewnością ludzie przyślą listy kondolencyjne. - Od czasu, gdy krawcowa wyszła, ciotka siedziała na kanapie w salonie, tak jak ją posadziłam, nie robiąc absolutnie nic.

Ja nie spędziłam tego czasu tak bezużytecznie. Podniosłam oczy znad książki. Znad Byrona.

- Będą musieli przysłać listy kondolencyjne. To by było małostkowe z ich strony, gdyby tego nie zrobili. - Chociaż ciotka mówiła, nie patrzyła na mnie. Wydawała się rozmawiać sama z sobą. - Zamówię trochę biletów. Tak wypada. To jedyna właściwa odpowiedź na list kondolencyjny.

Każę je wydrukować z szeroką czarną obwódką. Tak właśnie zrobię.

Siedziałam zwinięta w kłębek przy oknie. Stara suknia, którą miałam na sobie, dawała mi dużą swobodę ruchu. Za oknem powozyjechały do miasta. Wozy toczyły się z łoskotem w przeciwną stronę. Tak tu było spokojnie, gdy obserwowałam, jak świat toczy się dalej, wiedząc, że nic się ode mnie nie wymaga. I nie czułam... absolutnie nic. To było dziwne, że czuję tak niewiele. Byłam teraz sierotą. Dziewczyną, której debiut został przerwany, a nikt nie przyrzekł, że będzie na mnie czekał. Powinnam czuć się samotna, zagubiona, opuszczona. Nie czułam jednak zupełnie nic.

Nic oprócz spokoju. I dziwnego poczucia ulgi.

Krawcowa przysłała dziewczynę, żeby wzięła ze mnie miarę, i wkrótce po pogrzebie dostarczono nowe żałobne stroje. Proste, nieefektowne, sztywne rzeczy. Ponure i mało eleganckie. Doskonale mi odpowiadały. Dostarczono również stopy biletów. Leżały w holu, czekając na rozdanie. Jednakże przyszło niewiele listów kondolencyjnych. Dużo mniej, niż się ciotka spodziewała.

Zostałyśmy zignorowane.

I tak jak mnie kiedyś uczyła ciotka, nie było co do tego wątpliwości. Jediną rzeczą, jaką można było zrobić, to odwrócić się i udawać, że bycie ignorowanymi było od początku naszym zamiarem. Nie powinno być to trudne. Wytworzone towarzystwo się dla mnie skończyło. Nie będzie składania wizyt i przyjmowania gości. Nie będzie tańców, przejażdżek czy kolacji. Moje życie zostało zatrzymane przez śmierć i zgodnie ze zwyczajem pozostanie w zawieszeniu przynajmniej przez rok.

Przez sześć miesięcy będę ubrana w krepe.

Przez następne sześć miesięcy - wykończoną batystem.

A potem znowu będę mogła wyruszyć w świat. Jednak co to będzie za świat dla kogoś, kto został osierocony, zrujnowany i zignorowany?

Następnego dnia odważyłam się wejść do gabinetu ojca. Usiadłam w jego fotelu i usiłowałam zobaczyć świat jego oczami. Świat, który był mu winien piękno, bogactwo i sławę. Rzeczy, które czuł się w obowiązku wydrzeć przeznaczaniu przy pomocy sprytu i oszustwa. Nie potrafiłam zdobyć się na to, żeby go żałować. Litować się - może tak. Byłam w stanie poczuć dla niego litość. Dla człowieka, który zrezygnował ze wszystkiego co wartościowe dla rzeczy tak przemijających.

Przerzuciłam kartki jego kalendarza, zwracając uwagę na wpisane tam nazwiska.

Schemerhorn. Vanderbilt. Pierpont. Gould.

Wszyscy uwolnieni teraz z jego szponów.

Spojrzałam na stojący w kącie sejf, strażnika tajemnego przepisu doktora Cartera. Wstałam z krzesła i schyliłam się przed sejfem. Wzięłam za klamkę. Był zamknięty. Przekręciłam pokrętłem raz. Dwa razy. Trzy razy. Jaki mógł być szyfr? Spróbowałam datę urodzenia ojca. Datę jego ślubu. Datę moich urodzin. Były to cyfry, które powinny mieć duże znaczenie w życiu każdego człowieka. Ale moim ojcem nie kierowało zamiłowanie do domowego ogniska. Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę. A potem spróbowałam innej kombinacji cyfr. 18 września 1873 roku. 18-09-73. Datę wybuchu paniki roku 1873. Dzień, w którym przepadły wszystkie jego pieniądze.

Sejf się otworzył.

Wsunęłam rękę do ciemnej czeluści. Palce natrafiły na jakiś papier. Chwyciłam go i wyciągnęłam. Sięgnęłam głębiej i znalazłam więcej papierów. Wyciągnęłam je na kolana i zaczęłam przeglądać. Pierwszy papier, jaki znalazłam, był przepisem na „Tonik dr. Cartera”. Został nagryzmołony na odwrocie koperty. *Do czterech galonów 60-procentowej żytniej whisky dodać: jeden funt białego cukru — 50 granów kokainy - 3 drachmy sproszkowanego korzenia belladony - 2 drachmy eteru siarkowego.*

Whisky, kokaina, korzeń belladony i eter. Na nich zbudowana została fortuna mojego ojca. Myślałam o tym, co powiedział. Z jakim lekceważeniem odniósł się do swoich pacjentów. Jak pogardliwie traktował ich potrzebę toniku. Jeśli jeden kieliszek szampana wystarczył, żeby zaszumiało mi w głowie, z pewnością cztery galony 60-procentowej whisky wystarczały, żeby z kogokolwiek zrobić pijaka. Mój ojciec nigdy nie leczył swych pacjentów; on tylko topił ich symptomy w alkoholu. Pan Hooper miał rację. Ojciec nigdy nie zasługiwał na swój tytuł lekarza.

Otworzywszy szufladę biurka, schowałam papiery i wezwałam pokojówkę, żeby rozpałała ogień. Kiedy wyszła, wyjęłam przepis z szuflady i rzuciłam go na polana. Przez chwilę palił się zielonym płomieniem, a potem zniknął w szalejącym ogniu.

Usiadłam ponownie w fotelu, wyciągnęłam resztę papierów z szuflady i rozłożyłam je przed sobą na biurku. Było to sześć aktów własności. Wszystkie nieruchomości znajdowały się przy Mulberry Street.

Mulberry Street... Mulberry Street.

Czy pan Douglas nie pytał mnie kiedyś o Mulberry Street? Nawet wtedy, gdy usłyszałam tę nazwę po raz pierwszy, to miejsce z czymś mi się kojarzyło. Ale zarówno wtedy, jak i teraz nie mogłam sobie przypomnieć z czym i dlaczego.

Mulberry Street.

Nagle zdałam sobie sprawę, skąd znam tę nazwę, i napełniło mnie to odrazą. Mulberry Street to inaczej Mulberry Bend. Miejsce z książki pana Riisa. Najbardziej utożsamiane z udrękami imigrantów. A mój ojciec był właścicielem sześciu z tych walących się, rozpadających kamienic czynszowych.

O mało co nie wrzuciłam tych aktów do ognia. Ale w ostatniej chwili, gdy trzymałam je nad kominkiem, rozmyślałam się. Oto miałam okazję coś zrobić. Zadośćuczynić za grzechy ojca. Włożyłam akty z powrotem do sejfu, żeby były bezpieczne, dopóki nie zdecyduję, co z nimi zrobić.

O dziwo moje życie nie było wcale tak odosobnione, jak mogłabym się spodziewać. Tydzień po śmierci ojca przyszedł z wizytą pan Douglas. Przywitałam go we frontowym holu.

- Przyszedłem po zapłatę. Pani ojciec był mi winien pieniądze. Za napisanie tych artykułów.

- Naprawdę?

- Tak. Za dwanaście tygodni pracy.

Mówił mi to, co i tak wiedziałam, więc zaprowadziłam go do gabinetu ojca. Kazałam mu usiąść, a sama zaczęłam szukać książeczki czekowej ojca.

Znalazłam ją w jednej z szuflad. Położyłam przed sobą na biurku. Jednak zanim ją otworzyłam, położyłam na niej rękę.

- Dlaczego pan to zrobił, panie Douglas?

- Kto by nie zrobił? Za takie pieniądze? - Posłał mi szeroki uśmiech.

- Ale dlaczego czuł pan potrzebę plotkowania o mnie? W innych artykułach, dla tej drugiej gazety. Co ja panu robiłam?



- Nie chodziło o panią. Przykro mi, że pani tak pomyślała. A... może pani nie wiedziała? Że pani ojciec był sprzedawcą sekretów? - Uśmiech zniknął mu z twarzy, a oczy zrobiły się zimne.

- A jakiego rodzaju tajemnicę znał na pański temat?

- Niewartą poznania. Taką, przez którą byłbym wyrzucony poza nawias wytwornego towarzystwa. Wydawało mi się to nie w porządku, że pani ojciec może szantażem wprowadzić panią do towarzystwa. Ktoś musiał coś zrobić. - Spojrzał na mnie z wyzwaniem w piwnych oczach.

W tym momencie coś sobie przypomniałam. Przypomniałam sobie, gdzie wcześniej widziałam takie oczy.

Pan Douglas mówił dalej, nieświadomy, że coś właśnie odkryłam.

- Kilka lat temu... zachowałem się... mało chwalenie. Uważałem, że znalazłem prawdziwą miłość i przekonałem swoją przyjaciółkę, że się pobierzemy. Tylko że jej ojciec widział to inaczej. A wtedy było już za późno. Przez moje błędy wysłano ją za granicę.

Teraz to wszystko nabrało sensu. Zwłaszcza ten wielki smutek, jaki widziałam w oczach Katherine, gdy patrzyła na pana Douglasa.

- Wysłano ją za granicę, do kraju, gdzie nieślubne dzieci nie są traktowane jako hańba. Do mężczyzny, dla którego pana błąd okazał się całkiem przydatny. - Jak to Harry powiedział? *Dopóki baron nie spotkał Katherine, sądzono, że nie może mieć dzieci.*

Pan Douglas prychnął.

- Ożeniłbym się z nią. Troszczyłbym się o nią. O nich obydwójce! Tylko że nie dano mi szansy. - Spojrzał na mnie. - Kochałem ją. - Powiedział to tak, jakby chciał mnie przekonać o swoich intencjach.

- Wydano ją za to za barona.

Kiwnął głową.

- Widział go pan?

- Kogo? Barona?

- Chłopca.

- Nie. Nie pozwoliła mi. Mówi, że jest teraz synem barona. - Pokręcił głową.

- Dziwi się pan?

Szczęka poruszała mu się, gdy najwyraźniej zmagął się z odpowiedzią. Potem twarz mu znieruchomiła.

- Nie.

- Wygląda zupełnie jak pan. Ma pańskie oczy. I dumę.

Gdy spojrział na mnie, oczy przejaśniły mu się, a na ustach pojawił się na chwilę cień uśmiechu.

- J a księ pani dowiedziała? Ojciec pani powiedział?

- Nie. Pan to zrobił. I ona. Przez to, jak na siebie patrzyliście. - No i oczywiście nie mało pomogło mi podsłuchiwanie.

- To pani ojciec stwierdził, że jest... przy nadziei. Gdyby wieść się rozeszła w towarzystwie... jak bym mógł być nadal zapraszany na ich bale i przyjęcia, kiedy zniesławiałem jedną z nich?

- Zapytałam kiedyś pana, co mój ojciec robi w The Bowery. Nie chciał mi pan powiedzieć.

- T a k .

- Bo jest pan lepszym, bardziej honorowym człowiekiem, niż był on. - Otworzyłam książeczkę czekową ojca i wypisałam mu czek. Włożyłam go do koperty i podałam. - Przykro mi, panie Douglas. Za wszystko. Czy chce pan wierzyć, czy nie, nigdy nie chciałam poznać pańskiego sekretu i nigdy go nikomu nie wyjawię. Poza tym, ojciec chyba coś panu zostawił.

- Co? Czemu miałyby mi cokolwiek zostawić? - Jego spojrzenie stało się nieufne.

Wręczyłam mu akty własności do kamienic czynszowych.

Pan Douglas ułożył je w wachlarz, jakby były kartami do gry. A potem pokręcił głową i próbował mi je oddać.

- Nie. Nie zostawił ich mnie. Zostawił je swej spadkobierczyni. Czyli pani.

- Ja ich nie chcę.

- Będzie ich pani potrzebować. W każdym razie czynszu, jaki przynoszą. - Położył je na biurku.

- Nie chcę ich.

- To jak pani utrzyma ten styl życia, do jakiego przywykła podczas tego sezonu?

- Nie zamierzam.

- Ach, rozumiem. Zamierza się pani poświęcić dla dobra zwykłego człowieka. Bez względu na to, czy któryś zauważy, czy ktoś w ogóle się o tym dowie.

- Czy ktoś się o tym dowie, czy nie, panie Douglas, tak należy zrobić.

- A co się stanie z panią?

Wzruszyłam ramionami. Nie miało już znaczenia, czy jest to wulgarny gest. Nie byłam już panną Klarą Carter, wybitną debiutantką i arbitrem mody. Byłam wyłącznie i po prostu sobą.

- Nie wiem, co się ze mną stanie, ale nie mam wątpliwości, że Bóg to wie. I to przekonanie będzie musiało mi wystarczyć. - Jeśli Harry miał rację, jeśli Bóg naprawdę stworzył mnie w jakimś celu, jeśli właśnie o taką Klarę Carter, bez gorsetu i bez udawania, mu chodziło, to znajdzie jakiś sposób, by się o mnie zatroszczyć. Był do tego zobowiązany, jeśli to była prawda, jeśli byłam dla Niego ważna, taka jaka jestem.

Pan Douglas zmrużył swe piwne oczy, wytrzymując moje spojrzenie.

- Ile ma pani lat?

- Osiemnaście.

Zmarszczył brwi.

- Będę miała za sześć miesięcy.

- Czyli dopiero za trzy lata będzie pani mogła mieć nadzieję, że cokolwiek zrobi z tym żałosnym spadkiem. - Zebrał akty własności razem, stuknął nimi o kant biurka, żeby ułożyć je równo, i podał mi z powrotem.

- Powiedział mi pan kiedyś, że nic nie mogę zrobić dla tych biedaków z The Bowery. A jednak mogę. Mogę dać te akty panu. A pan może coś z nimi zrobić.

- One nie należą do mnie. Są wystawione na jego nazwisko. Wszystkie. - Pokręcił głową.

- Z pewnością ma pan znajomości, panie Douglas. Nie powie mi pan, że nie ma wpływów w Tammany Hall. Skoro jest pan dziennikarzem.

Uśmiechnął się na to szelmowsko.

- Być może. Całkiem możliwe. - Złożył akty i wsadził je do wewnętrznej kieszeni surduta. - A pani, panno Carter, jest całkiem w porządku.

Zaczerwieniłam się, słysząc jego komplement.

- Był pan dla mnie wielką pomocą w trakcie tego sezonu. Uważałam pana za przyjaciela, w czasie gdy miałam ich bardzo niewiele. Zawsze będę za to panu wdzięczna.

- Tak... no cóż... - Tym razem uciekł wzrokiem przed moim spojrzeniem.

- Zawsze, panie Douglas. - Wstałam i wyszłam, wiedząc, że potrafi sam znaleźć drogę do wyjścia.

## 40

Mój następny gość był tak samo nieoczekiwany jak pierwszy.

Od śmierci ojca, od czasu gdy zamówiła bilety i zawiązała krepę na frontowych drzwiach, ciotka nie wychodziła ze swojego pokoju. Więc to mnie kamerdyner wręczył bilet wizytowy.

Baronowa von Bergholz. Katherine. Siostra Harry'ego.

Kazałam kamerdynerowi ją wprowadzić i kiedy weszła, wstałam.

- Nie spodziewałam się, że zaszczycisz mnie wizytą. - Nie po tym wszystkim, co zrobiłam.

Przeszła szybko po dywanach salonu i objęła mnie. Unosił się za nią orzeźwiający zapach bergamotki.

- Przyszłam się pożegnać.

Przynajmniej miała na tyle poczucia przyzwoitości, żeby zobaczyć się ze mną po raz ostatni. Spodziewałam się, że wszystkie moje rówieśniczki i ich rodziny będą traktować mnie jak powietrze.

Odsunęła się ode mnie, trzymając mnie za ramiona.

- To nie tak, jak myślisz. Za kilka dni płyniemy z baronem do Europy.

Zarumieniłam się, ale ciepło poczułam w całym ciele. I ulgę, że nadal miałam przynajmniej jedną przyjaciółkę.

- Usiądź, proszę - wskazałam na kanapę.

- Nie. Nie zostanę długo. Jesteś w żałobie i masz o czym myśleć, zamiast tracić czas na rozmowę ze mną. Chciałam

tylko powiedzieć, że masz... szczęście. Większe, niż myślisz. Martwiłam się tobą i Franklinem. Nie byłabyś z nim szczęśliwa.

- Ma Lizzie.

- Tak. - Uśmiechnęła się.

- Ale o nią się nie obawiasz?

- Nie. Lizzie jest do tego wszystkiego stworzona. Trzeźwo patrzy i nie ma ani nadmiernych nadziei, ani bezpodstawnych oczekiwań. Sama może zapewnić sobie szczęście. I wydaje mi się, że przy okazji może też zagwarantować szczęście Franklinowi.

Ciepło, którym się rozkoszowałam, zniknęło. Cofnęłam się o krok.

- Nie chodzi o to, że jesteś gorsza od Lizzie. Chodzi o to, że jesteś za dobra dla Franklina.

- Rozumiem.

- Nie. Nie sądzę. Ale może... mam nadzieję, że zrozumiesz. Dopóki jeszcze jest czas. - Przynęła się do mnie, ujęła moją twarz w dłonie i ucałowała w oba policzki. - Musisz zacząć sobą kierować. Nie bierz pod uwagę tego, co mogło się wydarzyć. Mam głęboką nadzieję, że cię jeszcze zobaczę. Ponury Berlin byłby wtedy całkiem wesoły.

Berlin.

Jak bym chciała ją jeszcze zobaczyć. Jednak równie dobrze mogłam pragnąć pojechać do Włoch.

Odwiedziny Katherine sprawiły, że zatęskniłam za swoją przyjaźnią z Lizzie. W następny czwartek o wpół do czwartej wyruszyłam w kierunku żywoplotu w ogrodzie. Nikt nie przychodził z wizytą przez pierwsze sześć miesięcy żałoby.

Jeśli miałyśmy się jakoś skontaktować, inicjatywa musiała wyjść ze strony Lizzie. Miałam pomimo wszystko nadzieję, że Lizzie będzie pamiętała o naszej schadzce.

I rzeczywiście czekała tam na mnie!

- Nie wiedziałam, czy tu będziesz, ale i tak postanowiłam przyjść.

- Dziękuję. - Podeszłam i objęłam ją.

- Przepraszam. Za wszystko. - Otoczyła mnie ramionami.

- Nie, Lizzie. To przeze mnie. To ja złamałam naszą obietnicę. To moja wina. Ja po prostu... ja... przestraszyłam się. Kiedy ojciec dostał ataku. I wtedy, kiedy ciotka mnie tak naciskała... Franklin wydawał mi się jedynym wyjściem. Przekro mi.

- Nie tylko ty byłaś naciskana. W ciągu tych ostatnich tygodni mama z tuzin razy chciała, żebym cię zignorowała. Przynajmniej tuzin!

Pani Barnes?

- N i e !

- O tak! Ale nie potrafiłam się do tego zmusić. Bo wiedziałam, że obdarzyłaś mnie zaufaniem. Co noc, zanim poszłam spać, spoglądałam na dewizę, którą dla mnie wyhaftowałaś: *Przyjaźń Miłość i Prawda*. I prawdę mówiąc, ja też pokładałam niemałe zaufanie w tobie! Nie mam pojęcia, jak będę w stanie poradzić sobie samą z Franklinem. To znaczy...

- Zasłoniła sobie usta dłonią. - Nie chciałam...!

- Nie szkodzi.

- Naprawdę, Klaro! Nie chciałam przez to powiedzieć...

- W porządku, Lizzie. Zasługujesz na niego. Powinnaś za niego wyjść.

- Ale tak naprawdę nie wiem, czy mnie wybierze. To znaczy... a jeśli...?

- A jeśli... nagle wyrosną ci skrzydła i odlecieś do Chin?

Uśmiechnęła się na wspomnienie naszej zabawy z dzieciństwa. - Albo wyrosną mi wasy i zacznę miauczeć tak jak Kicia.

Westchnęłam i pokręciłam głową. - Masz rację. W takim przypadku by cię nie chciał.

Obdarzyła mnie swoim nieodpartym uśmiechem i rzuciła mi się w ramiona.

- Czy ty... czy wszystko jest w porządku?

Teraz było.

Nazajutrz siedziałyśmy z ciotką w salonie. Nie spodziewałam się już żadnych gości. Przynajmniej przez następne sześć miesięcy żałoby. Postanowiłam więc zadać jej pytanie, na które do tej pory nie potrafiłam znaleźć prawdziwej odpowiedzi.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że ojciec bywał w The Bowers.

Ciotka poruszyła się na krześle. Podniosła na mnie zmętniałe oczy.

- To prawda.

- Wiedziałaś o tym? O kamienicach?

- Wiedziałam.

- J a k on mógł być właścicielem czegoś takiego? Jak mógł traktować ludzi, jakby byli niewiele lepsi od zwierząt! Był lekarzem. Powinien był ratować życie ludzkie. Powinien był... powinien był uratować życie mamie.

- Nikt nie byłby w stanie uratować życia twojej matce. Nie możesz go o to obwiniać.

Mogłam. I obwiniałam.

Ciotka zamknęła oczy na tak długo, że myślałam, iż może zasnęła z wyczerpania. Ale otworzyła je i zaczęła mówić.



- Jak on mógł być właścicielem tych budynków? Lepiej zapytać: „Czemu by nie mógł?”.

- To niemoralne - trzymać ludzi w... Nie wiesz, jak one wyglądają?

Pokręciła głową, jakby dawno temu przebaczyła taką głupotę.

- Był po prostu mężczyzną. Jak wszyscy mężczyźni. Próbował odzyskać to, co stracił. Wielu mężczyzn zbija majątek kosztem biednych. Lub imigrantów. Lub prostytutek.

- Nie wszyscy mężczyźni. Nie wszyscy mężczyźni są tacy.

- Wierz mi lub nie, ale próbowałam cię nauczyć, jak przeżyć w tym świecie. Jako kobieta. Próbowałam przygotować cię na to, co przyniesie przyszłość. Czy tego chcemy czy niejedno jest pewne - potrzebujemy mężczyzny. Wszystkie potrzebujemy mężczyzny i ja robiłam, co mogłam, żeby nauczyć cię, jak go zwabić, a potem zatrzymać.

- A zatem nauczyłaś mnie tylko, jak złapać takiego mężczyznę, jakiego nie chcę.

- Nie ma innych.

Są. Muszą być.

- A taki, który żeni się z miłości? Taki, za którego wychodzę za mąż, bo go kocham?

- Nie ma miłości, już ci to mówiłam! Jest tylko złudzenie. Kiepska imitacja. I tego właśnie próbuję cię nauczyć. Konwersować. Flirtować. Tańczyć...

- Żebym żyła, całe życie starając się być kimś, kim nie jestem?

- Żebyś mogła być taka, jakiej inni oczekują.

- Czyż nie znajdzie się ktoś, kto kochałby mnie taką, jaka jestem? - Przypomniałam sobie słowa pewnej rozmowy. *Bóg cię stworzył, nieprawdaż? Inną niż ktokolwiek, kto był przed tobą czy przyjdzie po tobie? Zdecydowanie twierdzę, że znaczysz dla Niego dużo więcej, niż ci się wydaje.*

- Jaka jesteś? Przecież ledwie potrafisz zatańczyć walca. Jakim sposobem możesz się komuś przydać taka, jaka jesteś? Czemu... czemu się uśmiechasz? Staram się tylko oszczędzić ci cierpienia.

- Uśmiecham się, ponieważ właśnie uświadomiłam sobie, że nie trzeba mnie ratować. Jestem w porządku taka, jaka jestem.

- Czy ty tego nie rozumiesz? Nie chcę, żebyś skończyła tak jak ja!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Siedziałyśmy tam obydwie z ciotką, balansując na krawędzi wielkich emocji. Może czuła się niezrozumiana. Prawdą było to, że przez ten rok chętnie poświęcała się i dzieliła swoją wiedzą. Bez jej rad nigdy bym sobie nie dała rady podczas debiutu. Jednak jeśli ona uważała się za niezrozumianą, to ja tak samo myślałam o sobie. Zdecydowałam się więc spróbować jeszcze raz. Łagodniejszym głosem i prostszymi, życzliwymi słowami.

- Nie chcę kompromisu za cenę niespełnionych marzeń. Pragnę miłości.

- Miłości? Miłość cię tylko rozczaruje. Miłość sprawi, że będziesz się czuła porzucona i upokorzona, czekając całe noce na człowieka, który wróci o poranku pijany, pachnący jakąś inną kobietą. Miłość zniszczy twoje marzenia i złamie ci serce.

- Przykro mi, ciociu. Z powodu twojego bólu. Ale rozumiesz mnie, prawda? Na pewno doświadczyłaś miłości. Albo nadziei na nią. Kiedyś.

- O tak, doświadczyłam miłości. Bardzo dużo miłości do dnia, w którym poroniłam nasze pierwsze dziecko. Potem... kiedy brat powiedział nam, że niebezpiecznie byłoby w ogóle kiedykolwiek próbować... cóż... pan Stuart przeniósł się ze swoją miłością do The Bowery. To on powiedział twojemu ojcu o tych kamienicach. Ale nie miało to znaczenia, bo widzisz, wtedy już zrozumiałam. A kilka lat później umarł.

- Mówiła coraz głośniej, jakby chciała zagłuszyć łyzy, które płynęły jej po policzkach.

Nie pamiętała o jednym - nie byłam ślepa.

Wyciągnęła chusteczkę z rękawa i przetarła oczy. Potem wzięła głęboki, urywany oddech i spojrzała na mnie stoickimi, zaczerwienionymi oczami.

- Wszystko stracone. Co zrobimy?

- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałybyś zrobić tak, jak chcesz. Nie masz już pieniędzy? Po panu Stuarcie?

- Niewiele; wydałam je. Na suknie, rękawiczki i lekcje. Dla ciebie. - Trzeba jej przyznać, że w jej wzroku nie było wyrzutu. Nie było oskarżenia w jej słowach. Po prostu stwierdzała fakt.

- Sprzedamy zatem dom i jego zawartość.

- I co potem zrobimy?

- Ja nie będę potrzebowała pieniędzy ze sprzedaży. Poradzę sobie. - Nie miałam wyjścia. Nie miałam powodu, żeby w to wierzyć, ale nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna. - Może byś wykorzystała te pieniądze, żeby kupić jakiś domek nad morzem i tam osiąść?

- Sama?

- Czemu nie?

- Ale... kto się mną zaopiekuje?

- Uważam, że przez te wszystkie lata świetnie sobie radziłaś z opiekowaniem się sobą, nie sądzisz?

W jej oczach pojawił się przebłysk starych, niezłomnego ducha. Uniosła brodę.

- Tak. Tak, to prawda.

W następnym tygodniu przeczytałam w gazetach, że Lizzie i Franklin zaręczyli się.

**„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA**

**22 marca 1892 r.**

**BARNES - DE VRIES**

Ogłoszono zaręczyny panny Elizabeth Wallace Barnes, córki państwa Barnesów z Nowego Jorku, z Franklinem Schuylem De Vriesem, również z tego miasta.

Panna Barnes jest wnuczką czcigodnego Johna Eamesa i prawnuczką Zechariaha Carlisle'a. Debiutowała z wielką pewnością siebie w tym sezonie.

Absolwent Yale, pan De Vries, jest synem państwa De Vriesów i członkiem Klubu Knickerbocker, Klubu Związkowego, Klubu Uniwersyteckiego, Klubu Tuxedo, Klubu Aktora, Nowojorskiego Klubu Jeździeckiego, Klubu Tenisowego, Nowojorskiego Klubu Jachtowego, Związku Jeździeckiego, Klubu Wyścigów Konnych i Nowojorskiego Klubu Łyżwiarskiego. Niedawno powrócił z kilkuletniej podróży zagranicznej.

**Ślub odbędzie się 15 września.**

Szczerze cieszyłam się z sukcesu Lizzie.

Naprawdę.

Z wyjątkiem chwili, kiedy uświadomiłam sobie, że ona będzie zawsze miała coś, czego nie będę mieć ja - bliski kontakt z Harrym, właściwie codziennie. Tak często, jak zechce.

Następnego dnia usłyszałam pukanie do drzwi. Normalnie otworzyłby je kamerdyner, ale zwolniłam go ze służby. Nie było już nas na niego stać. Więc chociaż byłam ubrana w suknię poranną, otworzyłam drzwi sama.

To był Harry.

Wyglądał na zaskoczonego moim widokiem.

Nie bardziej niż ja na jego widok!

Harry wsunął rękę za poję marynarki i wyciągnął list.

- Dla ciebie. Przyszedł niedawno.

Wzięłam go z jego ręki i rozerwałam kopertę.

*Najdroższa Klaro,*

*Jest inne wyjście. Chociaż przyjąłam oświadczyzny niejakiego pana Powella i wkrótce wychodzę za mąż, dowiedziałam się właśnie o potrzebach pewnej panny Thompson. Będąc kobietą posuniętą w latach, ale zdecydowaną odwiedzić Europę, byłaby zachwycona, mając za towarzyszkę osobę taką jak ty. A jest kobietą zamożną. Jestem pewna, że w tej sytuacji byłabyś bardzo zadowolona. Z pewnością jeśli choroba twego ojca jest tak poważna, jak piszesz, nie pożyje już długo. Wybacz mi, jeśli zraniłam twoje uczucia, ale muszę ci powiedzieć, że gdybym była w twojej sytuacji, wolałabym poczynić plany, dopóki jeszcze masz do dyspozycji środki. Czy mam powiedzieć pannie Thompson, że jesteś zainteresowana?*

*Zawsze myśląca o Tobie*

*Julia Miller*

O mało co nie osunęłam się z ulgą na futrynę drzwi. To było to! To na co czekałam - droga, którą Bóg dla mnie przygotował. On wiedział i widział wszystko. Troszczył się o mnie.

- Dobrze wieści?

- Wiadomość od przyjaciółki. Wychodzi za męża. - Scho-  
wałam list z powrotem do koperty.

- To rzeczywiście dobra wiadomość.

To była prawda. Tylko że, pomimo uczucia ulgi, w pe-  
wien sposób poczułam się całkowicie opuszczona. Tak jak  
nie czułam się nawet wtedy, gdy zmarł ojciec.

- Powiedziałam ci kiedyś, Harry, że byłam wobec ciebie  
okropnie niegrzeczna.

- Pamiętam. - Kącik ust uniósł mu się do góry, a w oczach  
pojawił się błysk.

- Ale to, jak zachowałam się wobec ciebie na Balu Pa-  
triarchów...

- Na Balu Patriarchów...? - Błysk w jego oczach zgasł,  
a usta zacisnęły się w wąską linię.

- Przypominasz sobie pana Douglasa, tego reportera  
z gazety?

- Tego, który chodził za tobą przez cały sezon?

Przytaknęłam.

- Pisał o mnie w Journalu", ale również pisał o mnie  
w „Tattlerze”.

- Wiem o tym.

- Naprawdę?

- Czytałem gazety. On był jedyną osobą, która towarzy-  
szyła ci przez cały sezon. Oprócz mnie, oczywiście.

Oprócz niego.

- Sprzedał cię. - Oskarżenie Harry'ego było bardziej traf-  
ne, niż myślał.

- Tak. Ale ja wiedziałam, że to zrobi. Zwłaszcza tej nocy.

- Naprawdę? - Harry zmrużył oczy.

- T a k .

- Więc... ta noc... na Balu Patriarchów...?

- Miała potwierdzić to, co podejrzewałam.

- No cóż, potwierdziła również coś, co ja też podejrzewałam już wcześniej. - Kiwnął głową. Potem odetchnął głęboko i wyprostował ramiona.

Wiedziałam, co zamierza powiedzieć, bo jak mógłby nie poczuć tego, co ja wtedy czułam? Nawet jeśli oddał już serce Lizzie. Oczywiście czeka go pod tym względem rozczarowanie, ale to nie znaczy, że ma zdecydować się na mnie. Nie teraz, kiedy odkryłam oszustwa ojca. Poza tym, nie chciałam być dla kogoś namiastką; pragnęłam prawdziwej miłości. Obydwojga małżonków. Powstrzymałam go więc, zanim mógł złożyć obietnicę, której nie wolno by mu było dotrzymać.

- Nie mów tego, Harry.

- Czemu nie?

Czemu nie?

- Co by to dało? Zwłaszcza teraz? A może nie wiesz nic o moim ojcu?

- Wiem, że byłaś jego córką.

- Nie był dobrym człowiekiem.

- Co to ma wspólnego z tobą?

Tyle życzliwości, tyle miłości płonęło w jego oczach. Nie mogłam jednak ich przyjąć. Nie były przeznaczone dla mnie. A nawet gdyby były, nie zasługiwałam na nie.

- Próbuję zrobić to, co należy, Harry. Pomóż mi zrobić to, co trzeba. - Odwróciłam się do niego plecami i zaczęłam zamykać drzwi.

Przytrzymał je ręką.

- Harry...! - Jeśli nie wyjdzie, nie zdołam się opanować. Czemu nie potrafił tego zrozumieć?

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała. Wyjeżdżam. Jadę z powrotem za granicę.

- Cieszę się. - Uśmiechnęłam się. Głównie z ulgą. Jeśli wyjedzie z miasta, nie będę musiała o nim myśleć.

- Chciałem tylko... chciałem... ci powiedzieć. Chciałbym, żebyś mogła pojechać. - Jego oczy zadawały wiele pytań, na które wiedziałam, że nie mam prawa odpowiadać. Teraz już nie.

- Zegnaj, Harry.

Ciotka szybko przekonała się do pomysłu przeprowadzenia się nad ocean. Zaproponowała mi nawet, bym z nią zamieszkała. Powiedziałam jej, że się zastanowię. Wiedziałam jednak, że tak jak ojciec zainwestowała wszystko w powodzenie mojego debiutu. Pieniądzy mogło wystarczyć, by sama żyła wygodnie, ale dodanie mnie do jej wydatków byłoby dla nas obu powodem do zmartwienia. Wyjęłam więc ostatni list od Julii i zaczęłam pisać odpowiedź.

*Najdroższa Julio,*

*Nie myśl, proszę, że uraziłaś jakieś moje uczucia. Ojciec nie żyje. Nic już nie mam. Jeśli uważasz, że jest nadal szansa na zapewnienie sobie posady u panny Thompson, nalegam, żebyś mnie jej poleciała jak najszybciej. Ciocia wkrótce przeprowadzi się do własnego domu. Ja nie mam*

Absolutnie niczego.

Westchnęłam i przeczytałam jeszcze raz to, co napisałam. Potem ponownie wzięłam do ręki pióro i pisałam dalej.

*żadnego powodu, by zostać w Nowym Jorku. Jak wiesz, zawsze marzyłam o podróży za granicę. Zapewnij, proszę, pannę Thomp-*



*son o moim zdrowym rozsądku i solidności i jeśli możesz, pomyśl o mnie ciepło.*

*Klara*

*Można do mnie pisać na adres domowy do września. Nie chcę już nadużywać życzliwości pana De Vriesa.*

- Pst. Klaro!

Spacerowałam po ogrodzie, rozkoszując się spokojem, jaki zapewniał. Dopóki byłam w ciężkiej żałobie, nie mogłam pojawiać się w miejscach publicznych, ale nie spodziewałam się, że znajdzie mnie tu ktoś obcy. Nie byłam już olśniewającą panną Klarą Carter. Byłam skompromitowaną córką szarlatana, doktora Cartera.

- Klaro!

Zerknęłam w głąb żywopłotu, usiłując się zorientować, skąd dochodził głos.

Chwilę później Lizzie, ubrana w zielony aksamit, przepchnęła się przez gałęzie. Kapelusz jej się przekrzywił, a zabłąkane liście przyczepiły do loków. Była jednak w świetnym humorze. Widziałam to po rumieńcach na jej policzkach.

- Oświadczył się!

- Gratulacje.

- Przyjęłam go.

- Oczywiście, że tak.

Podeszła blisko i wzięła mnie za rękę, spoglądając jednocześnie w kierunku domu.

- Ale nie bez zastanowienia. - Spojrzała znowu na dom. Potem odwróciła mnie w przeciwnym kierunku i odeszła ze mną parę kroków w stronę żywopłotu, przez który przeszła.

- Złożył mi wyjątkowo niedżentelmeńską propozycję!

- Naprawdę?

- Tak! I nigdy więcej już o tym nie wspomnę, tylko teraz ci powiem, droga Klaro, że nigdy bym cię nie oszukała w ten sposób. Chciałam, żebyś to wiedziała.

- Czy to cię nie... martwi?

- Czemu? - Na moment ściągnęła brwi, ale potem czoło jej się wypogodziło. - Och! Och, nie! Po co by się żenił, gdyby mógł dostać to, o co poprosi? A ja od tej pory nabrałam chyba w jego oczach jakiegoś uroku. Od czasu gdy mu odmówiłam. - Zachichotała. - To całkiem zabawne. - Potem westchnęła i uściśnęła mi dłoń. - Przykro mi z powodu twojego ojca. Czuję się jakbym... trochę tak... czuję się, jakbym zdobyła Franklina nie fair.

- Nie, Lizzie. Zdobyłaś go uczciwie. I cieszę się z twojego szczęścia. - Puściłam jej rękę i objęłam ją mocno.

- Naprawdę? Szczerze?

- Tak. Szczerze.

- W takim razie jestem jeszcze bardziej szczęśliwa. Ale ślub jest za sześć miesięcy. Będziesz nadal w żałobie.

- To prawda. - Chociaż zawsze planowałyśmy, że będziemy dla siebie nawzajem druhnami, cieszyłam się, że nie będę musiała jej towarzyszyć. Po prostu na to nie zasługiwałam.

- Będę za tobą tęsknić.

- A ja za tobą.

- Będę myśleć o tobie. W tym dniu. - Uściśnęła mnie. Pocałowała w policzek.

- Mam nadzieję, że nie.

Zachichotała. Uściśnęła mnie jeszcze raz. A potem ruszyła w kierunku żywopłotu.

- Muszę iść zaplanować moją wyprawę ślubną.

- Nie daj się przytąpać.

- Nie daliby mi przejść! Wszyscy dopytują się o legendarną i nieuchwytną pannę Carter. Wiedziałaś, że tak cię określił „The Tattler”?

- N i e .

- Tak! - Przerwała i podniosła palec do góry. - Powiedział, cytując: „Będzie brakowało w towarzystwie niezwyklej urody legendarnej i nieuchwytniej panny Carter”. Tym razem nawet wymienił cię z nazwiska! „Znajomość z nią wyszła niejednej osobie, niejednemu dżentelmenowi na dobre. Zaszczycą swoją obecnością zarówno nasze sale balowe, jak i serca. Jej styl bycia zauroczył nas w sposób niespotykany w tym mieście od wielu lat. Zegnaj, panno Carter, i niech fortuna uśmiechnie się do ciebie”. Czyż to nie było miłe?

Bardziej, niż się jej wydawało.

I dużo bardziej, niż na to zasługiwałam.

Nie mogłam spać. Nie mogłam jeść. Nie mogłam nawet czytać. Zostawiłam biednego Byrona nie wiadomo gdzie, ale już nie chciało mi się go szukać. Nie było czasu na prawdziwą miłość - było zbyt wiele innych rzeczy, którymi trzeba było się zająć. Nie stać nas już było na pozostanie w domu. Bez zarobków ojca, uzyskanych w sposób przyzwoity czy nie, nie miałyśmy źródła dochodów. A on nie zostawił po sobie żadnych oszczędności.

Musiałymy zwolnić służących, jednego po drugim, aż została nam tylko kucharka. To ja napełniałam kubły na węgiel i sprzątałam ze stołu, słałam łóżka i odkurzałam dywany. To ja robiłam pranie i wywieszałam nasze ubrania z tyłu domu, żeby wyschły.

Na początku sierpnia nawet ciotka nie mogła zaprzeczyć temu, co było oczywiste. Nikt nie pospieszył nam na ratunek. Kiedy skończy się sześciomiesięczny okres ciężkiej żałoby, będziemy musiały uratować się same. Ja załatwiłam sobie posadę u starej panny poleconej przez Julię. Przysłano mi bilet kolejowy, żebym mogła pojechać do niej do Bostonu we wrześniu. Miałam z nią zostać do wiosny, kiedy miałyśmy wyruszyć do Europy. A ciotka? Chociaż przekonała się do pomysłu przeprowadzki nad morze, nie poczyniła jeszcze żadnych planów w tym względzie.

Pewnego dnia pod koniec miesiąca, gdy dołączyłam do niej przy śniadaniu, odezwała się. - Poprosiłam przedstawi-

ciela domu aukcyjnego, żeby złożył nam wizytę. Żeby ustalić wartość tego, co nam pozostało.

Uniosłam brew.

- Ma przyjść o wpół do jedenastej.

Dopilnowałam, żeby do tej pory skończyć z kominkami, odkurzyć salon i doprowadzić się do porządku.

Przedstawiciel był niski i łysiejący. Przeszedł przez dom z ołówkiem w rękę, cmokając i marszcząc brwi. Wyglądało na to, że zainteresowało go tylko kilka rzeczy. Jedną z nich była taca na bilety wizytowe. Drugą wieszak z holu.

- Bardzo ładne rzeczy.

- One nie są na sprzedaż. - Ciotka zajęła pozycję tuż obok nich.

- Gdyby były, postarałbym się uzyskać za nie całkiem wysoką cenę.

- Nie są na sprzedaż. - Odwróciła się w moją stronę. - Gdybym pojawiła się na wybrzeżu bez wieszaka, ludzie mogliby pomyśleć, że jestem jakaś... zubożała...

- Ależ ciociu, nie sędzę, żeby wieszak tej wielkości zmieścił się w...

- Nie pozwolę, żeby ludzie myśleli, że stałam się... że byłam...!

Kiedy ciotka poszła z licytатorem pokazać mu bibliotekę ojca, ja poszłam do ważniejszych zajęć. Trzeba było pocerować rzeczy i nakryć do stołu do kolacji.

Wieczorem podałam gotowane jajka i śledzie. Z tostami. Potem usiadłam obok ciotki.

- Przyśle wozy w środę. - Spojrzała na mnie znad talerza.  
- Ile spodziewa się uzyskać ze sprzedaży? - Potrzebowałam niewielu rzeczy, ale zaliczały się do nich nowe suknie. Nie mogłam przecież objąć nowej posady ubrana w stroje młodego dziewczęcia. Suknie z debiutu już na mnie nie pasowały, a nie poprawiłabym żadnej starszej kobiecie nastroju ubrana w jednolitą czerń.

Ciotka prychnęła.

- Powiedział, że da ogłoszenie w "Journalu". Jestem pewna, że jego kalkulacje są dużo niższe, niż będą faktyczne wpływy ze sprzedaży. Nie bardzo potrafił odróżnić widelczyk do lodów od widelczyka do cytryny.

- Ale czy powiedział ci, ile spodziewa się dostać?

- Nie. Ostateczną wycenę przyśle przez wozaków. W najbliższą środę.

Dokończyliśmy nasz posiłek w ciszy, jedząc przy świetle kilku świec, które nam zostały. W świetle świec jedzenie wyglądało bardziej zachęcająco. Świece rzucały dużo cieplejsze światło niż oświetlenie gazowe. Jednakże nie robiłyśmy tego ze względu na nostalgię. Kazałam odłączyć przewody gazowe. Nie stać nas już było na ten luksus.

Gdy obudziliśmy się w środę, wszystko spowijała dusząca mgła. Wozacy wynurzyli się z niej, jakby byli upiorami skoncentrowanymi na jakimś makabrycznym zadaniu. Wręczyli ciotce list i ciężkim krokiem poszli po schodach na górę do swojej roboty.

Ciotka otworzyła Ust i wydała stłumiony okrzyk.

- Ależ... ależ... on na pewno się myli!

- Pokaż. - Wyjęłam list z jej ręki i zaczęłam czytać napisaną ciasno, ale skrupulatnie wycenę. Najwyraźniej ciotka

poprosiła go o sprzedanie tylko kilku rzeczy. Kompletu mebli z jadalni, sypialni ojca i mamy oraz książek ojca. - Będziemy musiały dać mu więcej niż tylko to.

- To co nam zostanie?

- Nie musi nam nic zostawać. Nie możemy już tu mieszkać. Im mniej będziemy miały, kiedy będziemy się wyprowadzać, tym lepiej.

- Ale...

- Dlaczego nie wpisałaś na listę mojej sypialni? - Tam, gdzie pojedę, nie będę jej potrzebować. Odwróciłam list i zaczęłam dopisywać następne rzeczy. Dodałam klejnoty mamy i moje dywany. Porcelanę i wszystkie srebra stołowe. Tureckie dywany z salonu i żyrandole. - Dopisuję fortepian.

- Nie możesz!

- Co z nim zrobimy? Nie będzie miał go tutaj kto słuchać.

- Może będzie. Kiedy już skończy się nam ciężka żałoba. Pokręciłam głową.

- Kiedy skończy się nam żałoba, ja pojedę do Bostonu, a ty przeniesiesz się nad morze.

- Nie. Proszę. Nie mogę mieć salonu bez fortepianu.

Zacisnęłam szczęki, żeby nie wypowiedzieć myśli, które były zbyt bluźniercze, żeby nadawały się do powtórzenia. Poszłam natomiast na górę na poszukiwanie wozaków. Byli w pokoju mamy, rozbierając na części jej łóżko.

- Dodałam kilka rzeczy do listy. Możliwe, że będziecie potrzebowali jeszcze jeden wóz.

Jeden z mężczyzn skinał głową na młodego chłopca. Chłopak wybiegł z pokoju i wkrótce usłyszałam tupot jego stóp na schodach. Pozostali kontynuowali swoją robotę, znosząc części sypialni na dół. Zdejmując obrazy ze ścian. Po zdjętych obrazach zostawały na tapecie dziwne ciemne plamy, znacząc miejsca ich bytności. Jak duchy przeszłości.

A na podłodze ujawniły się kłęбки kurzu, które schroniły się pod szafą i komodą. Nie byłam tak dobrą pokojówką, jak myślałam.

Ostatni z mężczyzn zatrzymał się, gdy schylał się, by podnieść obraz.

- Przyjemnie było, panienko? Żyć w ten sposób?

Czy było?

- Tak. - Tak, rzeczywiście było.

- Szkoda, panienko. Ale nic nie trwa wiecznie. - Skinał głową. Podniósł obraz.

Dopiero kiedy wozy z większością naszego dobytku wyruszyły do domu aukcyjnego, przysłała mi na myśl moja książka. Odnalazłam ciotkę w salonie. - Gdzie jest mój Byron?

- Co takiego? - Ciotka podniosła wzrok. Siedziała na krześle, jedynym, jakie nam zostało. Podłogi zostały ogołoczone z dywanów. Jedwabne zasłony zdjęte z okien. Ciotka siedziała w pełnym świetle, a drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca. Szpice leżały u jej stóp.

- Byron mamy. Gdzie jest?

- J e j Byron?

- J e j książka! Taka czerwona. Z okładką z marokinu.

- Nie wiem. - Ciotka jakby mnie nie dostrzegała. Rozglądała się po pokoju w bezgranicznym zdumieniu.

- Gdzie on jest!

Natężenie mojego głosu musiało przebić się przez jej myśli. Wzdrygnęła się. W końcu na mnie spojrzała.

- Książka? Ten Byron?

- T a k .

- T e n z biblioteki brata? Był podpisany. Przez autora...

- *Poetę*. - Powiedziałam to przez zęby.



- Licytator powiedział, że takie rzeczy mają wielką wartość.

- Sprzedałaś go?

- Tak niewiele rzeczy w tym domu było wartościowych.

- Sprzedałaś go? - Jak mogła! Nie miała prawa!

- *Ja* go nie sprzedałam. Licytator go sprzedaje. - Ciotka zamrugała oczami.

- Sprzedałaś Byrona mamy?!

- Twój ojciec prawie nic nam nie zostawił. Gdyby tylko udało nam się znaleźć recepturę „Toniku dr. Cartera”.

- Ale ta książka nie należała do ojca. To była książka mamy! Jedyna rzecz jaka mi po niej została.

- Ale... a klejnoty? - Po jej twarzy przemknął wyraz zdziwienia.

- Sprzedałam je. Dla ciebie. Dla nas. Nie sądziłam, że poprosisz mi jednej małej książki.

- W takim razie... - Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Przykro mi. Dziewczyna zawsze powinna mieć coś po matce. Nie wiedziałam. - W jej oczach pojawiło się coś na kształt żalu.

Stałam tam przez chwilę, myśląc o tym wszystkim, co chciałam jej powiedzieć, ale w końcu poszłam na górę zrobić przegląd tego, co zostało z mojego pokoju. Nie było sensu opłakiwać Byrona.

Za późno już było na prawdziwą miłość.

Gdy tylko przewróciłam kartkę kalendarza na wrzesień, a nasza pełna żałoba zamieniła się w połowiczną, pojechałyśmy koleją do Bostonu, a potem, pociągiem kursującym do portu, do Fall River. Nadszedł czas, by ciotka znalazła swój domek. Pociąg jechał aż do Newport, ale ciotka nie chciała jechać dalej.

- Nie wolałabyś jakiegś miejscowości bardziej na południe? Nad Atlantykiem? - Na przykład Newport?

- *Wolałabym*. Middletown. Po prostu nie chcę płynąć tam statkiem. Mam wielki lęk przed statkami, który jeszcze zwiększył się z wiekiem. - Na stacji w Fall River ciotka wynajęła powóz, który przez kamienny most w Tiverton zawiózł nas do Middletown. Noc spędziłyśmy w gospodzie, a następnny ranek z agentem nieruchomości. Znalazł dla ciotki mały, ale wygodny dom z widokiem na morze.

- Tak. - Zaczęła kiwać głową, jak tylko weszła do środka.  
- **W i d z e** się tutaj.

Ja też.

- Tylko... miałaś rację. - Odwróciła się do mnie. - Powinniśmy byli sprzedać ten wieszak. Nie zmieści się tutaj.

Agent obiecał, że zarezerwuje dla niej ten dom i odwiózł nas do gospody. Ciotka nie zakładała, że tak szybko się na coś zdecyduje, więc nie miałyśmy żadnych planów na resztę dnia. Poprosiłam ją więc o coś, czego zawsze pragnęłam. - Mogłybyśmy pojechać do Newport? Nie musimy zostać tam długo.

Wynajęliśmy kolejny powóz, żeby zawiózł nas na południe, i wkrótce wyruszyliśmy w drogę. Newport, do którego wjechałyśmy, nie był tym legendarnym Newport z moich marzeń. Ulubioną miejscowością bajecznie bogatych i nieprzyzwoicie sławnych. Miasteczko było zabudowane małymi domami i poza sezonem wyglądało na pozbawione ludzi. Kiedy wjechałyśmy jego ulicami, wiatr łomotał o powóz.

- Chciałabyś zobaczyć ocean?

Kiwnęłam głową. To tutaj mieszkała moja matka. W jednym z tych domów została wychowana. Być w jej mieście i nie widzieć oceanu? Pochyliłam się ku oknu i oparłam czoło o szybę. - Chyba go widzę.

Ciotka się roześmiała.

- Nie. Stąd go nie widać. Jest schowany za wydrami.  
- Walnęła parasolką w dach powozu i krzyknęła komendę.  
- Na plażę! Drugą Plażę.

Powóz zawrócił szerokim łukiem i wyjechał z miasta.

- Ale...

- Druga Plaża była jej ulubioną.

Po chwili powóz przestał turkotać i zaczął jakby sunąć. Kopyta koni przestały stukać i wydawało się, jakby ich całym nie było. Potem powóz się zatrzymał. Ciotka skinęła głową w kierunku drzwi.

Zawahałam się.

- Chcesz pójść ze mną?

- Nie, zostanę tutaj.

Stangret pomógł mi wysiąść i moje stopy dotknęły nie ubitego błota, nie bruku, nie asfaltu. Dotknęły piasku. Jak dziwnie! Uniosłam spódnicę jedną ręką i poszłam w stronę pagórków z piasku, rozciągających się przede mną. Każdy krok, jaki postawiłam, zdawał się zapadać w siebie. Chodze-

nie po piasku wymagało większego wysiłku, niż mi się wydawało. Jednak w końcu, po kilku falstartach i prawie upadku, wspierałam się na jedną z wydm. I oto przede mną rozciągał się błyszczący w słońcu ocean.

Jak okiem sięgnąć.

Część pozostawała w cieniu rzucanym przez chmury na niebie, ale pozostałe obszary migotały jak lśniąca szafiry.

Trzymając ręką kapelusz, odważyłam się zejść z wydm na rozległą, płaską przestrzeń piaszczystej plaży. Schodziła łagodnie aż do samego oceanu i ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Poszłam wzdłuż plaży, równoległe do fal, nie chcąc zamoczyć sobie butów. Kiedy tak sobie szłam, zauważyłam osobliwego ptaka, który podskakiwał przede mną. Z długim dziobem i cienkimi nogami. Doskakiwał do miejsca, w którym fale lizały piasek, ale nigdy nie zamoczył sobie nóg. Jakimś przedziwnym sposobem dokładnie wiedział, jak daleko może podejść.

Idąc za tym ptakiem, zapuściłam się dalej, niż zamierzałam.

Kiedy się odwróciłam, stwierdziłam, że wiatr wieje mi w twarz. Przytrzymałam mocniej kapelusz, ale wkrótce ręka mi się zmęczyła. Zdjęłam go więc i wsadziłam pod pachę. Wiatr przeczesywał mi włosy, burząc fryzurę i wyciągając kosmyki, które oplatały mi szyję, ilekroć odwróciłam głowę, by spojrzeć na ocean. Przynosił z sobą zapachy, których nie poznawałam. Woń soli i wody morskiej. Zapachy czyste i podstawowe.

Poszłam po swoich śladach do miejsca, w którym zeszałam z wydm. Spojrzałam po raz ostatni na ocean i wróciłam do powozu.

- Myślałam, że może wieloryb cię połknął - powitała mnie z marsową miną ciotka.

Uśmiechnęłam się.

- N o i?

- Nie wiem, jak mogła opuścić to miejsce. - Westchnęłam, gdy powóz ruszył w drogę.
- Nie opuściła. Nie tak naprawdę. W rzeczywistości o mało co nie wróciła.
- Naprawdę?
- To było niedługo po tym, jak się pobrali. Życie w miasteczku na wybrzeżu nie przygotowuje nikogo do życia w wielkim mieście.
- Nie przypuszczałam, żeby to było możliwe.
- A godziny pracy brata były w najlepszym razie nieprzewidywalne. Widzisz, nigdy nie można było być pewnym, kiedy będzie w domu.
- Oczywiście, że nie. W końcu był lekarzem.
- A potem dowiedziała się, że poznał The Bowery. Że kupił kilka z tych starych budynków. Jaki raban podniosła! Ile łez wylała! Zakwestionowała nawet stan jego duszy. A na koniec wysłała go z powrotem tam, skąd właśnie przyszedł.
- I co się stało?
- Zaczekałam, aż brat pójdzie, a ona się uspokoi i powiedziała jej, jak jest. Wyjaśniłam jej, jakiego rodzaju życia może się spodziewać. Jako żona człowieka z rosnącą fortuną.
- I została? - Jak mogła? Kiedy o wszystkim wiedziała?
- Od czasu do czasu robiła się niespokojna. Otwierała czasem na oścież okna w swojej sypialni, a ja po wyrazie jej twarzy mogłam się domyślić, że nie czuje odpadków i nie widzi sady.
- Ale została.
- Tak. I w końcu nie robiła już scen.
- Bo go kochała. - I postanowiła uczestniczyć we wszystkich przyjemnościach, które można kupić za pieniądze.
- Ciotka pokręciła głową.
- Bo kochała *ciebie*. Dowiedziała się, że się urodzisz. Więc została. I zrezygnowała dla mnie z oceanu.

- A on... został? Z mamą?

- Tak. Nigdy nie związał się z inną kobietą. Bo ja pokazałam jej, jak go zatrzymać. Mówiłam ci, że osiągnęła szesnaście cali w pasie? Brat miał rację - była najpiękniejszą kobietą w mieście.

Dwa dni po naszym powrocie do Nowego Jorku zwlekłam się z posłania i zabrałam za usuwanie z mojej najlepszej sukni lamówek z krepy. Zamiast nich przyszyłam batuskowy kołnierz i mankiety. Dokonawszy dzieła, zjadłam na śniadanie kawałek suchego tosta i popiłam herbatą. Potem wyjęłam z pudła kapelusz, wyrwałam z niego czarne pióra i nasadziłam na czubek głowy.

Wychodziłam.

Byłam trochę spóźniona, więc nie zważając na nic, szłam pośpiesznie ulicą. Miałam do przejścia prawie dwadzieścia kwartałów. Pod koniec nawet trochę biegłam, w bardzo wytworny sposób. Ale zdążyłam. Dotarłam do chodnika przed restauracją Sherryego i wmieszałam się w kłębiący się tam tłum. To był dzień ślubu Lizzie i chciałam tam być. Nawet jeśli miałam ją tylko dostrzec z tłumu.

Kiedy dał się słyszeć odgłos najeżdżającego powozu, rozległy się okrzyki.

Stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwi.

Pojawiła się Lizzie. Włosy miała upięte wysoko do góry. Wpleciono w nie kwiaty pomarańczy i diamenty. Suknia z długimi rękawami uszyta była z białego atłasu i ozdobiona koronką.

Gdy wysiadała z powozu, odwróciła głowę w moją stronę. Wybałuszyła oczy. A potem, jestem tego prawie pewna, mrugnęła.

Zastłoniłam uśmiech ręką.

A oni wysiedli z powozu i weszli do restauracji. I już ich nie było.

Tłum zaczął rzędnąć i wkrótce zostałam na chodniku całkiem sama, zastanawiając się nad tym splotem wypadków, które uczyniły Lizzie, zamiast mnie, żoną Franklina.

- Dobrana z nich para.

Drgnęłam, słysząc te słowa, a potem odwróciłam w stronę głosu, który tak dobrze znałam.

- To prawda.

- Zawsze wiedziałem, że tak będzie.

Pomimo wszystko, nie zważając na to, co powiedziałam i zrobiłam, Harry stał tam, patrząc na mnie, jakbym była jedyną osobą na tym chodniku.

Spojrzałam mu w oczy, szukając smutku, zazdrości lub innych oznak emocji. Nie znalazłam. Nic oprócz... szczęścia. Zadowolenia.

- Nie jesteś... nie wydajesz się... zły. Wyglądasz na dość zadowolonego.

- Bo jestem. Wszystko ułożyło się tak, jak zaplanowałem!

Tak, jak zaplanował?

- Ale...?

- Ale co?

- Ale... myślałam, że sam chcesz zdobyć Lizzie.

- Lizzie Barnes? Ja? Zdumienie odbiło się na jego twarzy.

- T a k .

- Jest dość urocza, ale przyznam się, że nigdy nie rozumiałem, na czym polega jej atrakcyjność.

- Nie rozumiałeś...? Ależ Harry, sama cię słyszałam! - Jak może tak kłamać? W żywe oczy!

- Słyszałaś mnie?

- Słyszałam, jak to mówiłeś.

- Jak co mówiłem?

Wzięłam głęboki oddech i przywołałam słowa, które przeszły mi serce.

- Słyszałam, jak mówisz Franklinowi, że w sumie wolisz Lizzie Barnes ode mnie.

- Słyszałaś to?

- Tak.

- To nie było przeznaczone dla ciebie. - Mina mu zrzędała i wyglądał na bardzo zawstydzonego.

Oczywiście, że nie było. Wyprostowałam się na całą swoją wysokość.

- To, co o nas mówią inni, nigdy nie jest przeznaczone dla naszych uszu.

- Nie było przeznaczone dla twoich uszu, bo to nieprawda. - Wziął mnie za rękę i spojrzał prosto w oczy.

- Nieprawda?

- Tak. Widzisz, Franklin zawsze zabierał mi wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. A tym razem postanowiłem, że ciebie mi nie zabierze.

- Co... takiego? - Miałam problem ze zrozumieniem jego słów.

- Chcę powiedzieć, że w sumie dużo bardziej wolę *ciebie* od Lizzie Barnes.

Stwierdziłam, że nie mam nic, absolutnie nic do powiedzenia.

- Klaro? Dobrze się czujesz?

Kiwnęłam głową. Tylko tyle byłam w stanie zrobić. Harry *dużo bardziej wolał* mnie od Lizzie? Wolał *mnie* od Lizzie?

- Tydzień temu znalazłem coś, co, moim zdaniem, mogłoby ci się spodobać. Nosiłem to przy sobie na wypadek, gdybym się z tobą spotkał. Mogę ci dać?

Ponownie kiwnęłam głową, bo nadal nie byłam w stanie mówić.



Harry wsunął rękę do kieszeni płaszcza i wyjął cienką książkę najwyraźniej oprawioną w marokańską skórę. Podał mi ją.

- Podpisana przez samego poetę. Podobno dość cenna.

- Byron mamy! - Nie mogłam w to uwierzyć. Otworzyłam książkę na pierwszej stronie, na której widniał zamieszty podpis Byrona. Przewracałam ukochane strony, aż trafiłam na bratki Harry'ego. Nadal tam były, zasuszone pomiędzy kartkami.

- Moje kwiatki?

Policzki ogarnęło mi ciepło. Zamknęłam książkę i przycisnęłam ją do piersi.

- J a k ją znalazłaś?

- Kupiłam ją. Na aukcji.

- Ale... skąd wiedziałeś?

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. A potem wyjął chusteczkę i zaczął ocierać mi łzy.

Doprawdy to było nie w porządku, żeby tak pojawił się na chodniku obok mnie. I wyznał mi, że to co myślałam na temat jego uczuć, było nieprawdą. Kłamstwem powiedzianym dla mojego dobra. Dla *naszego* dobra.

- Myślałam, że wyjeżdżasz za granicę.

- Odwróć trochę głowę. W tę stronę.

Posłuchałam, pociągając nosem.

- Wyjeżdżam. Wyjadę. Może na wiosnę. - Dotknął dłonią mojego policzka i otarł drugie oko.

- Ja też wyjeżdżam. Na wiosnę.

- Oczywiście, że tak.

Ale ja nie jechałam dla przyjemności. Ja jechałam do pracy.

- M a m być damą do towarzystwa niejakiej panny Thompson. Starej panny w podeszłym wieku.

- Więc może się zobaczymy.

- Może. - Chociaż nie bardzo wiedziałam jakim sposobem. A nie mogłam wymyślić, co mam jeszcze powiedzieć, żeby zrozumiał moją trudną sytuację finansową. Lecz przede wszystkim nie wiedziałam, co mam czuć. W całym tym zamęcie łzy mi obeschły, odepchnęłam więc jego rękę.

Schował chusteczkę do kieszeni.

- Rodacy mieszkający w Europie doświadczają czasem przecudownych zbiegów okoliczności. Znałem kiedyś człowieka, który zupełnie przypadkowo spotkał tam rodaczkę. Podróżowała jako dama do towarzystwa pewnej starej panny. Stara panna była ulubioną ciotką tego dżentelmena, więc spotkanie było im chyba pisane. A trzy dni później uciekli, żeby się potajemnie pobrać.

- Naprawdę?

- T a k .

- *Trzy dni później?* - Jakimś dziwnym sposobem nie mogłam złapać oddechu.

- Bo co? Czy wydaje ci się, że trwało to zdecydowanie zbyt długo? Myślałem, to znaczy, z pewnością trzeba było nawiązać potajemnie miłosny związek; spacerować po ogrodach w świetle księżyca i robić do siebie słodkie oczy, siedząc w jednej z tych wiedeńskich kawiarenek.

- A... jak jego rodzina odniosła się do tego związku?

- Z wielkim uszczęśliwieniem. Wygląda na to, że znajomy dał im powód do myślenia, że związał się z jakąś nieodpowiednią, szaloną Włoszką.

- A związał się?

- Nie. I naprawdę nie wiem, skąd taki pomysł przyszedł im do głowy. Pocziwina nawet nigdy nie był we Włoszech.

- Harry wzruszył ramionami.

- Nie był.

- Nie. - Harry ściszył zmysłowo głos. - Ale pojechał tam niedługo potem. W podróż poślubną. Ze swoją żoną.

Poczułam, że się rumienię. Nic na to nie mogłam poradzić. Ciepło ogarnęło mi policzki, a u nasady włosów poczułam mrowienie.

- Ale... a co z tą młodą kobietą? Była najwyraźniej zubożała. Co zrobiła, żeby zwolnić się ze swojej posady?

- Nawet stare panny, *zwłaszcza* stare panny, mają chyba głęboką i nieprzemijającą, chociaż skrytą, sympatię dla prawdziwej miłości. Szczególnie jeśli dotyczy to ich ulubionych siostrzeńców - uśmiechnął się Harry.

- Naprawdę?

- T a k . - Powiedział to z przekonaniem. Stanowczo. Z wielką pewnością siebie. A potem pochylił się i pocałował mnie. W biały dzień, przed restauracją Sherry ego, na oczach wszystkich.

#### **„THE NEW YORK JOURNAL” - KRONIKA TOWARZYSKA**

**14 kwietnia 1893 r.**

Doniesiono nam, że pan Harold De Vries, syn Petera De Vriesa, i panna Klara Carter, córka niedawno zmarłego dr. Willarda Cartera, spotkali się i wzięli ślub w Wiedniu, w Austrii. Teraz są w podróży poślubnej we Włoszech. Ci, którzy w zeszłym roku byli w mieście, być może pamiętają pannę Carter ze względu na niedoścignioną w tym sezonie elegancję i wdzięk.

#### **„THE TATTLER”**

**14 kwietnia 1893 r.**

Któryż to wytworny dżentelmen i która młoda debiutantka, szczęśliwym trafem odnowiwszy znajomość za granicą dzięki niezamężnej ciotce tego pana, uciekli, żeby potajemnie

się pobrać? Kładąc kres plotce, że dżentelmen ten związał się z córką włoskiego hrabiego. Młoda para jest podobno w podróży poślubnej we Włoszech. Zamierzają odwiedzić siostrę pana młodego, baronową, w Niemczech, zanim wyruszą do Paryża, gdzie dżentelmen ma zająć się rodzinnymi interesami związanymi ze sztuką i antykami. Przypuszcza się, że wkrótce będzie prowadził galerię sztuki w tym mieście, a zimy spędzał we Włoszech w posiadłości, którą para niedawno kupiła.

# Słowo do Czytelnika

Pomimo świętoszkowatej retoryki i rasistowskich poglądów książka Jacoba Riisa *Jak żyje druga potowa* zelektryzowała mieszkańców Nowego Jorku. W tamtych czasach czterdzieści trzy procent budynków miejskich było określane jako kamienice czynszowe, a dwie trzecie populacji miasta żyło w brudzie i nędzy, które Riis opisał w swej książce. W walentynki 1892 roku dr Charles H. Parkhurst, głosząc kazanie w Madison Square Presbyterian Church, wystąpił przeciwko polityce Tammany Hall. Potęga politycznej maszyny nowojorskich demokratów trwała aż do lat 60. XX wieku, ale haniebnemu uciskowi oraz korupcji policji, za którymi stało Tammany Hall, kres położyło dochodzenie wielkiej ławy przysięgłych i zwycięstwo reformistów w wyborach na burmistrza miasta w 1894 r.

Okres późnowiktoriański w Ameryce przyniósł pierwszą w tym społeczeństwie kulturę celebrycką. Tak jak to ma miejsce obecnie, celebrytów tej epoki kreowały ówczesne media, czyli gazety. To właśnie na łamach dzienników można było znaleźć pierwsze kroniki towarzyskie i dzięki nim wybrane debiutantki mogły stać się sławne tylko z tej przyczyny, że reporterzy o nich pisali. Najbardziej znane nierzadko musiały trzymać się z dala od wychodzących na ulicę okien, by uniknąć tłumów gapiów zgromadzonych na chodniku. Nawet sezon letni na plaży w Newport był okazją do rozgłosu, kiedy dziennikarze jechali tam na wakacje za przedstawicielami towarzystwa.

Kobiety wiktoriańskie przykładały wielką wagę do wyglądu i osiągnięcia pewnego stylu. Słowa *peas, prunes* i *prisms* były w XIX wieku na ustach wszystkich dziewcząt, które miały nadzieję, że napięcie wywołane wymawianiem „p” doprowadzi do uzyskania modnych, nabrzmiątych ust. Bez względu na szczotkowały również włosy sto razy przed pójściem spać, a także wciskały dłonie w zbyt ciasne rękawiczki, a stopy w za małe buty. Jednakże znaczącą część swego uroku zawdzięczały modelowaniu figury. Przy pomocy gorsetu.

Czasopisma takie jak „Godey's Lady's Book” czy „Harper's Bazar” były dla epoki wiktoriańskiej tym, czym dziś jest „Vogue” lub „In Style”. A jeśli na potrzeby panującej ówczesnie mody zamieszczano ilustracje, które przesadnie uwydatniały biust lub zmniejszały talię do nierealistycznego obwodu, jakie to miało znaczenie? Ostatecznie to były tylko rysunki. Jednak dla wielu niczego niepodejrzewających kobiet reklamy stały się ideałem. I by osiągnąć ten kształt klepsydry, konieczne stało się ciasne sznurowanie gorsetu.

Niebezpieczeństw, wynikających z takiego sznurowania, było wiele. Jedną z najbardziej poważnych konsekwencji była anoreksja. Zwężenie obwodu talii powodowało ogromny ucisk żołądka i zmniejszenie jego pojemności. Ciasno sznurowająca się kobieta zauważała coraz częstsze przypadki zgagi i niestrawności i stwierdzała, że pewne potrawy powodują uciążliwe wzdęcia. Wkrótce zaczynała nie tylko jeść mniej i rzadziej, ale także wybierać wyłącznie potrawy lekkostrawne. Takie jak tosty. Lub herbata.

U kobiet z tej epoki często diagnozowano histerię. Diagnozę ową stawiano w przypadku objawów takich, jak omdlenia, brak tchu, bezsenność, uczucie ciężkości w brzuchu i utrata apetytu. Wszystkie te symptomy były rezultatem noszenia gorsetu. Wiele ówczesnych kobiet uzależniało się od toników podobnych do „Toniku dr. Cartera”, które

były mieszanką składników, takich jak chloroform, opium, belladonna, naparstnica i kokaina, z dużą ilością alkoholu. W czasach olbrzymiej presji społecznej, prymitywnej wiedzy medycznej i niekwestionowanego obowiązku dostosowania się do nierealistycznych ideałów, toniki stanowiły sposób na akceptowaną przez społeczeństwo formę ucieczki.

Przez ponad sto lat krążyły plotki, że niektóre kobiety usuwały sobie żebra, aby osiągnąć idealną, szesnastocalową talię, ale takie twierdzenia nigdy nie zostały udowodnione. Dużo bardziej prawdopodobne jest, że tak drastyczne zniekształcenia były skutkiem ciasnego sznurowania gorsetu, co z czasem powodowało przemieszczenie i deformację wolnych żeber.

Jednym z godnych pożałowania skutków ubocznych ciasnego sznurowania było przemieszczenie narządów wewnętrznych. Wiadomo, że ciasno zasznurowany gorset zmniejszał objętość płuc, a także zmieniał położenie oraz kształt wątroby. Mógł także prowadzić do ucisku na nerwy i objawów podobnych do rwy kulszowej. Trudy porodu w połączeniu z zewnętrznym uciskiem gorsetu przyczyniały się do częstych przypadków wypadania macicy. Na szczęście rozwiązanie tego problemu było dogodne i powszechnie znane. Pessaria można było bez trudu dostać na receptę lub zamawiając z katalogu firmy Sears, Roebuck & Co.

Warto pamiętać, że kiedy, jako społeczeństwo, uznajemy, iż coś jest absolutnie niezbędne, by być pięknym, zdrowym lub szczęśliwym, niektórzy ludzie zrobią absolutnie wszystko, żeby to osiągnąć.

# Podziękowania

Książka nigdy nie jest dziełem tylko jednej osoby, a ta książka, jak wszystkie moje pozostałe, zawdzięcza wiele grupie ludzi, których mam szczęście nazywać przyjaciółmi. Moja agentka, Beth Jusino, pomogła mi obrać właściwą drogę. Moi redaktorzy, Dave i Sarah Long, pomogli mi znaleźć lepszy sposób wyrażania moich pomysłów. A moje przypadkowe spotkanie z Wendy Lawton dodało moim słowom dodatkowej warstwy autentyczności.

Ponownie, jak zawsze, jestem wdzięczna moim recenzentom wewnętrznym: Maureen Lang, Lindzie Derrick, ReAnn Johnson i Trudy Mitchell, za czas poświęcony na komentowanie moich wersji roboczych. Nie mogę też nie wspomnieć, raz jeszcze, mojego męża Tony'ego Mitchella, który zawsze kocha mnie taką, jaka jestem, i nigdy nie przestaje mi tego powtarzać.